

TEMATY ROKU: Strażniczka sieci ■ Czerwony papież ■ Zaczarowana Brytania
Wielka mała ryjówka ■ Diabeł oceanów ■ Słowiański przyjaciel ■ Rozplątane
języki ■ Królowie się cieszą ■ Królik leczy lęki ■ Jakiego końca świata nie będzie

Kraków 5-12 stycznia 2020 nr 1-2 (3678-3679) cena 12 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

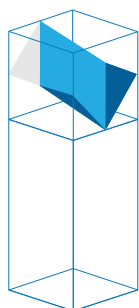
Katolickie pismo społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl

2020: Początek nowego świata



W NUMERZE DODATKI
ONI DORASTAJĄ Z NAMI
WROCŁAW,
MIASTO OLGI TOKARCZUK





Nagrody
ZAiKS-u



Dziękujemy, że tworzycie ZAiKS

Z ogromną radością i satysfakcją nagrodziliśmy wybitne osobowości polskiej kultury. Nowi honorowi członkowie ZAiKS-u:

Olga Tokarczuk, Urszula Dudziak, Agnieszka Holland, Krystyna Janda, Ewa Lipska, Maja Komorowska, Anda Rottenberg, Katarzyna Gaertner, Ilona Łepkowska, Zbigniew Rybczyński, Leon Tarasewicz, Andrzej Dudziński, Zbigniew Hołdys, Wojciech Karolak, Krzysztof Karasek, Leszek Długosz i Janusz Kapusta. **Laureat Nagrody 100-lecia:** Józef Teichma.

Laureaci Nagrody Specjalnej: Krystyna Łyczywek, Zbigniew Benedyktowicz, Stefan Bratkowski, Wojciech Prażmowski, Andrzej Rutkowski i Andrzej Sikorowski. **Gratulujemy!**

ZAiKS

KS. ADAM

Boniecki: Czy czas przyspiesza?

TAK – W MIARĘ JAK PRZYBYWA MI LAT. DOPIERO co było Boże Narodzenie 2018 i Nowy Rok 2019, a tu już Boże Narodzenie 2019 i następny Nowy Rok. I te niezrealizowane plany... Po prostu zabrakło czasu. Nie to, co dawniej! Bo dawniej, panie dzieju, to na wszystko mieliśmy czas. Odwiedzaliśmy się bez telefonicznego uprzedzenia, godzinami siedzieliśmy przy herbacie, gadaliśmy i było dobrze. Ze wszystkim jakoś nadążaliśmy.

Ale czas nie przyspiesza. Minuta, jak dawniej, trwa minutę, godzina godzinę. Rok ma jak zawsze 365 dni, a jeśli jest przestępny (jak teraz te dwie dwudziestki), to ma 366. Jak zwykle. Jak od stuleci. Nie przyspiesza, ale się kurczy. Mój czas. Kurczył się od początku, ale w młodości żyłem tak, jakbym przed sobą miał czasu nieskończenie dużo. A potem się odkrywa, że już nie.

Lat przybywa niepostrzeżenie, cicho, jakby nic się nie zmieniało. No, prawie nic. Człowiek funkcjonuje normalnie, choć biodro zastąpi protezą, zaćmy się pozbędzie operacją, słuch wzmocni aparatem, a zawroty głowy maskuje wspierając się na lasce. I co z tego, że do dziewięćdziesiątki już zaledwie kilka lat? Z taką miną chodzę po świecie, ale dobrze pamiętam, jak dobijająca do setki pani profesor Karolina Lanckorońska, skrywając niepokój za właściwym sobie, ironicznym poczuciem humoru, kiedyś wyznała mi: „Proszę księdza, ja się tak nagle zestarzałam”. Pamiętam też, jak w szpitalu młoda lekarka, po obejrzeniu dyskiety, na której był sfotografowany mój mózg, powiedziała: „Ksiądz ma wspinały mózg. Chciałabym taki mieć... w księdza wieku”. I są jeszcze spotkania dawno niewidzianych równolatków, są nekrologi znajomych, pogrzeby i wreszcie po prostu jest kalendarz... Tak, tak, czas nie przyspiesza, ale się kurczy. To mój czas się kurczy.

Takie są moje noworoczne dumania o teraźniejszości i przyszłości. Ale kiedy z biciem zegara o północy zacznie się nowy rok, ja (trzeźwiuteńki) pomyślę także o przeszłości, której już nie ma i nie będzie. Pamiętacie 2005 rok? Pamiętacie



śmierć Jana Pawła II, i nasz płacz? Pamiętacie nasze zjednoczenie serc? „Pokolenie JP2”? Wysyp papieskich pomników? Pamiętacie nazywanie jego imieniem ulic, szkół, szpitali? I co pozostało? Pomniki – tak (czasem niestety); nazwy ulic – tak (do czasu, w Warszawie ulica Piękna do czasów PRL nazywała się Piusa XI); szkół i szpitali – jeszcze tak. Ale płacz, zjednoczenie serc – nie zostały.

Ileż to wydarzeń, spraw, postaci z pierwszych planów odpłynęło na plan drugi, trzeci lub na nie wiadomo który. To nauka dla wszystkich, którzy przywiązują wielką wagę do planu, na którym się eksponują. Dla wszystkich zaś nauka dystansu. Psalm 37 (w przekładzie ks. Jakuba Wujka): „Widziałem niebożnika wyniosłego, i podniesionego jako cedry libańskie. I minąłem, alic go już nie masz: i szukałem go, a nie znalazło się miejsce jego”.

W myśleniu o czasie minionym wracają też wspomnienia zachowań niemądrych, złych, krzywd wyrządzonych komuś lub czyjegoś (uzasadnionego lub nie) gniewu na mnie albo żalu do mnie. Nie wszystko się udało i uda powyjaśniać, ponaprawiać, anulować. Niestety, bardzo często się nie uda. Nie da się, gdy sprawa dotyczy gniewu/żalu ludzi zmarłych, albo ludzi, których dziś nie potrafię odnaleźć. Nie uda się także wtedy, gdy moja wersja wydarzeń jest diametralnie różna od wersji tego, który przeze mnie cierpi lub/i mnie nienawidzi. I trzeba z tym żyć, bo nie wszystko da się naprawić. Trzeba żyć z bagażem swoich rzeczywistych win i win (niesłusznie) mi przypisanych. Czasu się nie cofnie, a zadanych komuś ran nie wyleczy żadna najbardziej szczerza spowiedź i pokuta. Człowiek wierzący może wtedy mieć nadzieję w Bożym Miłosierdziu, niewierzący, jak sądzę, znajduje się w trudniejszej sytuacji. Ciężar czasu przeszłego może i powinien nas wszystkich uczyć pokory i powstrzymywać od potępiania bliźnich.

A dziś, kiedy czas znów nam się o rok skurczył, a kalendarz przypomniał, że i tak się w końcu znajdziemy poza czasem (według jednych w wieczności, według innych w nicości), wznoszę noworoczny toast i wszystkim życzę szczęśliwego Nowego Roku!

©P

TP

Miło nam poinformować,
że w październiku „Tygodnik Powszechny”
(jako jedyny z polskich tygodników opinii)
zanotował wzrost sprzedaży.

Dziękujemy Państwu za zaufanie,
nowe Czytelniczki i nowych Czytelników
gorąco witamy!

Wzrosty/spadki PAŹDZIERNIK 2019/2018

TYGODNIKI OGÓLNOPOLSKIE SPRZEDAŻ OGÓŁEM



DANE ZKDP, PRESS, GRUDZIEŃ 2019



38 Matka naszej córki
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI
O takich jak one mówią: „wyrodne”. Nikt nie pyta, dlaczego podjęły taką decyzję. I czemu zostały z nią same.

42 Czerwony papież

EDWARD AUGUSTYN
Kardynał Luis Tagle z Filipin staje się dla Franciszka kimś tak ważnym, jak Ratzinger dla Jana Pawła II. Dlatego wielu wróży mu w Kościele podobną karierę.



96 Skok w Nowy Rok

ROZMOWA Z JUSTYNĄ BARGIELSKĄ, PISARKĄ:
Mój stały czytelnik zapytał, czy chciałabym skoczyć ze spadochronem. Na urodziny dostałam od niego voucher. Godność kobiety nie pozwalała mi się wycofać.



54 Anglicy z Krainy Czarów

MARCIN ŻYŁA Z LONDYNU I CAMBRIDGE
Będzie ich nam brakować. Na miesiąc przed opuszczeniem przez nich Unii wyruszymy jeszcze raz w podróż po Anglii.



74 Diabeł morski

MACIEJ MÜLLER
Wyruszyło ich dwustu siedemdziesięciu, wróciło osiemnastu: 500 lat temu wyprawa Ferdynanda Magellana płynęła naokoło kuli ziemskiej.



82 Zwierzę roku

ANNA GOC
Ryjówka mała żyje rok. Musi się spieszyć. Niektórzy mówią o niej „ta jedza”.



NATALIA POLASIK / @MOONWATERPL

6 Franciszek się rozpęda
EDWARD AUGUSTYN

7-13 Wiadomości / Komentarze

24-25 Czytania / Widzenia

ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ
ŚPIEWAK / O. WACŁAW OSZAJCA /
PIOTR SIKORA

■ ■ KRAJ

26 Strażniczka sieci KRZYSZTOF
STORY o Katarzynie Szymielewicz,
prezesce fundacji Panoptykon

30 Kto zaciągnie hamulec
JAROSŁAW FLIS:
Prezydenckie kalkulacje

32 Jakoś to nie będzie
MAREK RABIJ: Na co
przygotowują się preppersi

■ ■ REPORTAŻ

38 Matka naszej córki
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

■ ■ WIARA

42 Czerwony papież
EDWARD AUGUSTYN

46 Nadzieją się cieszą DARIUSZ
KOSIŃSKI: Orszak Trzech Króli
jest wielomilionowym świętem,
przekraczającym granice Polski

50 Kim jest mesjasz ROZMOWA
Z ISRAELEM KNOHLEM,
BIBLISTĄ I HISTORYKIEM

■ ■ ŚWIAT

54 Anglicy z Krainy Czarów
MARCIN ŻYŁA

59 Austriacka gra w kolory
BARBARA RADZIŃSKA-
KRYŚCZAK o Sebastianie Kurzu

63 Václavák i milcząca reszta
ULA IDZIKOWSKA: Czesi
protestują przeciwko premierowi

TEMAT TYGODNIKA

16 Jakiego końca świata nie będzie
ŁUKASZ ŁAMŻA

Miał już nastąpić na tak wiele sposobów, że
trudno zliczyć. Jakiej apokalipsy boimy się dziś,
na progu nowej dekady?

■ DODATKI SPECJALNE ■

92 Wrocław, miasto Olgi Tokarczuk
113 Oni dorastają z nami

■ FELIETONY ■

37 ANNA DZIEWIT-MELLER 67 ANDRZEJ STASIUK
110 JAN KLATA 111 PAWEŁ BRAVO 122 STANISŁAW
MANCEWICZ 122 BARTOSZ MINKIEWICZ

Okladka: IRINA LEVITSKAYA // MAREK ZALEJSKI
ADOBE.STOCK.COM

Redaktor prowadzący: MARCIN ŻYŁA

INFORMACJA DLA CZYTELNIKÓW

Następne wydanie „Tygodnika” (nr 3/2020)
ukaze się w środę 15 stycznia,
wydania cyfrowe we wtorek 14 stycznia wieczorem.

■ ■ Z ODDECHEM

68 Leczenie królikiem ROZMOWA
Z VAMIKIEM VOLKANEM,
PSYCHOANALITYKIEM

■ ■ HISTORIA

74 Diabeł morski MACIEJ MÜLLER

78 Pierwszy król ruchomych
obrazków BARTOSZ
HLEBOWICZ: *Przed Hollywood był*
Siegmund Lubin, „Piracki Król”

■ ■ NAUKA

82 Zwierzę roku ANNA GOC

86 Szachy bez królowej
ŁUKASZ JACH, ŁUKASZ ŁAMŻA:
Gdzie się podziały szachistki?

■ ■ KULTURA

96 Skok w Nowy Rok
ROZMOWA Z JUSTYNĄ BARGIELSKĄ

100 Floryan, słowiański
przyjaciel MAGDA HEYDEL
o Katherine Mansfield

103 Uważność ADAM ZAGAJEWSKI:
Odszedł Stanisław Kasprzysiak

104 Lot w noc MARCIN CIELECKI:
Jubilat Batman ma 80 lat

106 Dekada opowieści
JAKUB MAJMUREK: *Serialowa*
klęska urodzaju

108 Pożegnanie z epoką
ANITA PIOTROWSKA *o filmie*
Polańskiego „Oficer i szpieg”

110 Przed katastrofą
LEKTOR *o książce* Piotra Szaroty
„Paryż 1938”

■ ■ ZMYŚŁY

118 Rozwiązywanie języków
ROZMOWA Z GASTONEM
DORRENEM, LINGWISTĄ

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

➔ Kryzys klimatyczny – serwis specjalny

Tematu klimatycznej katastrofy nie da się już dłużej ignorować – w **SERWISIE SPECJALNYM** poruszamy na bieżąco najważniejsze zagadnienia związane z naszą planetą. tygodnikpowszechny.pl/kryzys-klimatyczny

➔ Noblistka przed trybunałem [Podkast Powszechny]

Aung San Suu Kyi była ikoną demokracji. Właśnie stanęła przed Międzynarodowym Trybunałem Sprawiedliwości i broniła birmańskiego wojska przed oskarżeniami o ludobójstwo na Rohingach – o sprawie opowiada **MAREK RABIJ** *Weź, słuchaj!* powszech.net/birma-haga



WOŚ
SIĘ JEŻY wolność równość ekonomia

Co czwartek na TygodnikPowszechny.pl

f /TygodnikPowszechny ■ t /Tygodnik ■ i /Tygodnik ■ y YouTube /TygodnikPowszechny



FRANCISZEK SIĘ ROZPĘDZA

„To nie tylko epoka zmian. To zmiana epoki” – powiedział papież na świątecznym spotkaniu z rzymską kurią. Dymisja kardynała Angela Sodano, którą chwilę wcześniej ogłosił, jest tego wymownym dowodem.

EDWARD AUGUSTYN

92-LETNI SODANO PRZEPRACOWAŁ W KURII watykańskiej 60 lat. Stał się jej symbolem, uosobieniem wszystkich wad i nielicznych zalet. Jako długoletni sekretarz stanu (14 lat podczas pontyfikatu Jana Pawła II i rok za Benedykta XVI) odcisnął na urzędzie widoczne do dziś piętno. – Ani jednej kartki nie można było przełożyć bez jego wiedzy – mówi „Tygodnikowi” Luis Badilla, przedstawiciel najstarszego pokolenia watykanistów. Sodano odpowiadał za wszystkie decyzje (i ich brak), nomenklaturę (od niego zależały nominacje i kariery), związane z nią koterie, kunktatorstwo i korupcję, a także – co okazało się najbardziej tragiczne – lekce-

ważenie doniesień i blokowanie dochodzeń w sprawie przestępstw seksualnych duchownych, zwłaszcza tych najgłośniejszych: Marciała Maciela, kard. Hansa Hermanna Groëra czy Ferdinanda Karadimy.

Sodano wspierał Jana Pawła II w otwieraniu Kościoła na świat i inne religie. Wytrawny dyplomata, jako nuncjusz apostolski w Chile organizował trudną i ważną podróż Jana Pawła II do tego kraju w 1987 r., na kilka lat przed oddaniem władzy przez Augusto Pinocheta. Zaaranżował wspólne pokazanie się papieża z dyktatorem na balkonie nuncjatury, o czym Jan Paweł II, jak mówiono, nie został uprzedzony i o co miał być

Spotkanie świąteczne papieża Franciszka z kardynałami kurii rzymskiej, Sala Klementyńska, Watykan, 21 grudnia 2019 r.

wściekły. Ale nie zaszkodziło to karierze nuncjusza: dwa lata później był już „ministrem spraw zagranicznych” Watykanu, a w 1991 r. – sekretarzem stanu.

Jako szef watykańskiego rządu cieszył się bezgranicznym zaufaniem Jana Pawła II. W ostatnich latach pontyfikatu, podczas choroby papieża, jego władza (wspólnie z bp. Stanisławem Dziwiszem) była wręcz nieograniczona.

W 2006 r. Sodano odszedł z urzędu, ale pozostał dziekanem kolegium kardynałów, co pozwoliło mu nadal skutecznie, choć nieformalnie, wpływać na pracę kurii. Dlaczego więc Franciszek zwlekał siedem lat z jego odwołaniem? Czy pojawiły się nowe fakty obciążające Sodano?

Luigi Accattoli, inny wieloletni obserwator życia na papieskim dworze, wątpi w to: – Raczej nie chodzi o ciemne karty z przeszłości kardynała, bo te od dawna są znane. Papież myśli o przyszłości – mówi „Tygodnikowi”. Accattoli uważa, że – wbrew pozorom – Sodano był dotąd Franciszkowi potrzebny: jako twarz opozycji i piorunochron zbierający gromy ciskane na kurię. Teraz nadszedł czas, gdy na czele kolegium potrzebny jest ktoś młodszy, aktywny i skuteczniejszy w rozwiązywaniu sporów między kardynałami a papieżem. – Reforma jest ważniejsza niż Sodano – dodaje Accattoli.

Bardziej radykalny w ocenie jest Badilla, choć też nie uważa, aby przyczyną odwołania były dawne grzechy kardynała. Jego zdaniem chodzi o sprawy całkiem nowe: – Wszyscy, którzy blokują Franciszkowe reformy, zostaną wymienieni – uważa watykanista. – Dziekan był jednym z nich, choć często działał skrycie, jako człowiek inteligentny i przebiegły. Papież wie, że czas jego pontyfikatu się kończy i trzeba przyspieszyć – mówi Badilla (dodajmy, że ma on ma osobiste powody, by Sodano nie lubić: kardynał był przyjacielem Pinocheta, a dziennikarz jest Chilijczykiem i jako zwolennik obalonego prezydenta Allena musiał w 1973 r. uciekać z kraju).

Ostatnie wydarzenia roku 2019 potwierdzają jego słowa. Papież obsadza kluczowe urzędy (sekretarz ekonomiczny, prezes trybunału watykańskiego, prefekt Kongregacji Ewangelizacji, o którym piszemy w tym numerze) nowymi ludźmi spoza kurii. Obaj moi rozmówcy są przekonani, że to jeszcze nie koniec. Franciszek dopiero się rozpęda. Rok 2020 będzie czasem ważnych zmian w Kościele. Co wcale nie znaczy, że ma być ostatnim rokiem pontyfikatu. ©P

Kaczyński silny, ale słabnie

ANDRZEJ STANKIEWICZ



Z JEDNEJ STRONY TEN ROK POTWIERDZIŁ bezprecedensową polityczną siłę Jarosława Kaczyńskiego. Z drugiej pojawiły się jaskółki zwiastujące kryzys w obozie władzy. Rok 2020 będzie kluczowy dla przyszłości PiS.

To było wydarzenie roku 2019: PiS po raz drugi z rządu wygrał wybory do Sejmu. Ale wynik zasadniczo różni się od poprzedniej wiktorii. Sojusznicze partie Zbigniewa Ziobry i Jarosława Gowina się wzmocniły i szachują Kaczyńskiego tym, że bez nich nie ma większości. Gowin już utopił podwyżkę składek ZUS, a Ziobro próbował zatopić premiera Mateusza Morawieckiego. Słabnącą skuteczność PiS pokazuje też afera Mariana Banasia, który z ubóstwianego „uszczelnacza” VAT stał się zbuntowanym wyrodkiem, kłusującym dawnych patronów.

Fiaskiem skończyła się strategia Kaczyńskiego, który zwalczał nacjonalistyczną prawicę i PSL, zakładając, że tylko przejmując ich elektorat będzie w stanie rządzić długo i stabilnie. Ludowcy nie dali się z Sejmu wyrugować, a narodowa prawica wróciła do niego po raz pierwszy od 12 lat, teraz pod szyldem Konfederacji.

W dodatku – to prawdziwa sensacja – PiS stracił kontrolę nad Senatem. Opozycja (Ko-

alicja Obywatelska, Lewica i PSL) dostała w wyborach parlamentarnych łącznie niemal milion głosów więcej niż PiS. Jednak to sukces głównie symboliczny. Opozycja jak była, tak jest w rozsypce. Pierwszym etapem jednoczenia miały być wybory europejskie. Politycy PO, SLD, PSL i Nowoczesnej odłożyli na bok wieloletnie animozje i stworzyli Koalicję Europejską. Taki projekt arytmetycznego jednoczenia się opozycji przeciw PiS, bez pomysłu na program, został odrzucony przez wyborców. Najpierw wypisało się PSL, a potem szef PO Grzegorz Schetyna wyrzucił SLD. W dodatku i w PO, i na lewicy buzuje. Lewica się jednoczy (choć Razem zachowuje dystans), za to Platforma jest coraz bardziej podzielona. Po prawyborach kandydatką na prezydenta z ramienia PO została Małgorzata Kidawa-Błońska, która jest zwolenniczką usunięcia Schetyny. Podobnie uważa Donald Tusk, który będzie się angażował w kampanię prezydencką.

Wybory prezydenckie w 2020 r. – kluczowe dla dalszej rewolucji PiS, a przez to dla przyszłości Polski – są wciąż otwartą kartą. Nikt nie może być pewien wygranej. ©

Autor jest dziennikarzem Onet.pl, stale współpracuje z „TP”.

Piątek, dzień niecierpliwości

TEUMY UCZNIÓW NA ULICACH polskich miast były dotąd nieomylnym sygnałem, że właśnie jest 21 marca – pierwszy dzień wiosny i zarazem święto usankcjonowanych obyczajem masowych wagarów. Teraz, od roku 2019, może to być także dowolny piątek. Grupa społeczna, która z racji braku praw wyborczych jest poza radarem sondaży, marketingu politycznego i wyborczej kokieterii, właśnie w piątki – na wzór protestów Greta Thunberg pod szwedzkim parlamentem – wychodzi demonstrować przeciwko gnuśności, z jaką establishment podchodzi do działań hamujących katastrofę klimatyczną.

Przez polskie miasta takie uczniowskie marsze przeszły już trzykrotnie – w marcu, wrześniu i w listopadzie (do tego trzeba dodać kilka akcji polskiej odnogi ruchu

Extinction Rebellion, zakładających tok miejskiego życia). „Niewinny” rzekomo wiek pozwala używać im retoryki, która w dorosłym świecie uchodziłaby za objaw brzydkiego populizmu i braku politycznego wyrobienia. Coraz bardziej dramatyczne komunikaty ekspertów tworzą jednak atmosferę, w której aż się prosi, by porzucić tradycyjny język, a także role społeczne – demonstracje Młodzieżowego Strajku Klimatycznego wiążą się wszak z porzuceniem lekcji. Z oczywistych powodów taki aktywizm nie generuje struktur ani liderów – jest raczej szkołą (być może równie ważną, jak ta w budynku ze stosowną tabliczką) zaangażowania, komunikacji, koordynacji.

Uczniowie zarządzający te marsze – nie raz zbywane jako happeningi i papugowanie ruchów z Zachodu – w następnych wyborach będą już głosować (a może i startować). Coś z tej ich obecnej niecierpliwości, przecinającej w poprzek podziały partyjne, na pewno pozostanie. ©P PAWEŁ BRAVO

IGA KAZIMIERCZYK, NAUCZYCIELKA:

Za nami sukces, przed nami zapaść

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: Mija rok gęsty od wydarzeń wokół oświaty. Podwójny rocznik w liceach, strajk i jego zawieszenie, wyniki badania PISA. Co zapamiętamy?

FUNDACJA PRZESTRZEŃ
DLA EDUKACJI

IGA KAZIMIERCZYK: Dwa sukcesy, z których jeden to „sukces”. Pierwszy: wyniki 15-latków, którzy znaleźli się w światowej czołówce w każdej z dziedzin mierzonych przez PISA: czytaniu, matematyce i naukach przyrodniczych. Drugi to „sukces” ogłoszony przez ministerstwo: że udało się wszystkim uczniów upchnąć w szkołach ponadpodstawowych. Jeśli ten fakt jest osiągnięciem, to mamy świat wartości postawiony na głowie. Żeby było zabawniej, minister Piontkowski wziął na siebie także sukces PISA, mówiąc, iż to dowód na dobrze funkcjonujący system. Nie dodał, że mowa o systemie zlikwidowanym przez jego poprzedniczkę: to była ostatnia edycja PISA, w której badano gimnazjalistów.

Ten rok to też wejście polskiej wojny kulturowej na teren szkoły: spór o edukację seksualną i prawa osób LGBT+ nigdy nie wybrzmiewał tu tak mocno.

To prawda, choć to spór specyficznie polski: 16-letnia młodzież ma prawo do podjęcia aktywności seksualnej, a okazuje się, że nie ma prawa do wiedzy na ten temat. Słynna warszawska deklaracja LGBT+ to europejski standard: do edukacji równościowej odwołują się niemal wszystkie systemy.

Co nas czeka w roku 2020?

Smutna rzeczywistość będąca pokłosiem hysterii wokół edukacji seksualnej: wzrost nieufności i paraliż wynikający z lęku przed kurateryjnymi kontrolami, a w związku z tym przed wychodzeniem poza ramy edukacyjnej poprawności. Czekają nas też kontynuacja współistnienia równoległych roczników, a w dalszej perspektywie – po dotarciu tych roczników na studia, czego konsekwencją będzie wyludnianie się szkół – fala zwolnień nauczycieli. Jeśli nie pojawi się propozycja doinwestowania tej grupy i plan jej rozwoju, przed nami potężna zapaść systemu szkolnictwa.

© Rozmawiał PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

IGA KAZIMIERCZYK jest nauczycielką, prezeską fundacji Przestrzeń dla Edukacji.

ROK W SKRÓCIE

ZIMA

W styczniu podczas finału WOŚP z rąk wykrzykującego polityczne hasła nożownika zginął prezydent Gdańska Paweł Adamowicz. „Trzeba skończyć z nienawiścią, trzeba skończyć z nienawistnym językiem, trzeba skończyć z pogardą, trzeba skończyć z bezpodstawnym oskarżaniem innych” – mówił podczas pogrzebu o. Ludwik Wiśniewski.

JESIEŃ

PiS wygrał zarówno majowe wybory do Parlamentu Europejskiego, jak też jesienne wybory parlamentarne. Jarosław Kaczyński jest jednak daleki od euforii, i to nie tylko ze względu na afery w obozie rządzącym, utratę większości w Senacie i własne kłopoty ze zdrowiem (przeszedł operację kolana): zapowiada „poważniejsze spowolnienie gospodarcze”, bo „nie chce używać słowa kryzys”.



JACEK DOMIŃSKI / REPORTER

LATO

Sporo działo się w obozie opozycji: do parlamentu wróciła lewica, a Donald Tusk po długich wahaniach ogłosił, że nie będzie kandydował na prezydenta. Wystartują za to m.in. Małgorzata Kidawa-Błońska, Władysław Kosiniak-Kamysz i Szymon Hołownia. Jedną z zagadek polskiej polityki jest utrzymywanie przez Grzegorza Schetnę stanowiska lidera PO.

WIOSNA

Na 2019 r. z pewnością nie narzekali: Robert Lewandowski (gole dla Bayernu), Dawid Podsiadło i Taco Hemingway (wypełniona po brzegi widownia Stadionu Narodowego) oraz Jacek Karnowski (dotacja spółek Skarbu Państwa dla podupadającego czasopisma).

2019: wojny bez końca

CZTERYSTA ATAÓW Z POWIETRZA: tyle ich naliczyło w ciągu 24 godzin, w tygodniu przedświątecznym, Syryjskie Obserwatorium Praw Człowieka na terenie prowincji Idlib (Obserwatorium, z siedzibą w Londynie, monitoruje wojnę w Syrii na podstawie relacji współpracowników). Lotnictwo rządowe i rosyjskie prowadzi intensywne naloty od początku grudnia, wspierając ofensywę armii prezydenta Asada. Jej celem są prowincje Idlib i Hama: ostatni zwarty obszar pod kontrolą antyasadowskich powstańców (część z nich to radykałowie islamscy). W wigilię Rosjanie mieli zbombardować szkołę we wsi Sarakib, w której kwaterowali uchodźcy; według Obserwatorium zginęło 10 cywilów, w tym dzieci. ONZ szacuje, że wskutek ostatnich nalotów domy opuściło kolejnych kilkudziesięciu tysięcy ludzi; kierują się ku granicy tureckiej (Turcja przyjęła 3,7 mln Syryjczyków i zapowiada, że nie wypuści nowych). Przed świętami Rosja i Chiny zablokowały rezolucję Rady Bezpieczeństwa ONZ o kontynuowaniu pomocy humanitarnej w Syrii; ta misja trwa od 2014 r. i polega na dostawach żywności i leków, także na terenach poza kontrolą Asada (według ONZ na taką pomoc jest zdanych ponad 4 mln ludzi). Mandat misji wygasa 10 stycznia.

Wojna w Syrii trwa prawie dziewięć lat. NATO-miast prawie sześć lat trwa wojna rosyjsko-ukraińska w Donbasie. To dziś konflikt pozycyjny, ale niemal codziennie są ofiary. W 2019 r. po stronie ukraińskiej zginęło 110 żołnierzy, a kilkuset odniosło rany (do tego dochodzą straty niebojowe, w tym liczne samobójstwa). Końca nie widać: celem Rosji nie jest bowiem aneksja Donbasu, lecz zmuszenie Kijowa, by zaakceptował istnienie kontrolowanych przez Kreml parapaństw i nadał im specjalny status – tak aby były częścią Ukrainy, jako narzędzie wpływu Rosji na ukraińską politykę. Podobnie jak jego poprzednik, wybrany w 2019 r. prezydent Zelenski odrzuca taką możliwość. Wątpliwe, by przełom przyniosły nowe rozmowy w tzw. formacie normandzkim, planowane na początek 2020 r.

W Boże Narodzenie minęło 40 lat od chwili, gdy sowieccy spadochroniarze wylądowali w Kabulu. Inwazję sowiecką uważa się za początek tej wojny – choć faktycznie ona już trwała (afgańscy komuniści vs partyzanci). Wojna w Afganistanie trwa nadal; prowadzone od miesięcy w Katarze rozmowy przedstawicieli USA z talibami jak dotąd nie przyniosły efektów. © © WOJCIECH PIĘCIAK



ULA IDZIKOWSKA, autorka korespondencji z Pragi (s. 63), z Agnieszką Lichnerowicz w „Światopodglądzie” Radia Tok FM, w piątek 3 stycznia, o godz. 16.00
87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń
89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin
94,9 FM Kielce

www.tokfm.pl

Impeachment: przedwyborcza walka na noże

MARTA ZDZIEBORSKA Z SAN DIEGO



IZBA REPREZENTANTÓW ZAGŁOSOWAŁA za impeachmentem Donalda Trumpa. Ta z pozoru polityczna porażka prezydenta może jednak ułatwić mu walkę o reelekcję.

Trump jest trzecim – po Andrew Johnstone i Billu Clintonie – prezydentem, którego izba niższa Kongresu USA postawiła w stan oskarżenia. Głosowanie oparto na dwóch artykułach impeachmentu: zarzucie nadużycia władzy (chodzi o naciski Trumpa na Ukrainę, by wszczęła dochodzenie dotyczące Joego Bidena) i utrudniania śledztwa Kongresu w tej sprawie. To głosowanie nie oznacza jednak usunięcia Trumpa z urzędu – o tym zdecyduje Senat (izba wyższa), gdzie większość mają Republikanie. Tu wynik jest raczej przesadzony, bo oni pozostaną zapewne oczyszczają prezydenta z zarzutów. Nie wiadomo jednak, kiedy to nastąpi. Liderka Demokratów Nancy Pelosi ogłosiła, że nie odeśle natychmiast sprawy do Senatu, gdyż

obawia się, że nie dojdzie tam do sprawiedliwego procesu. Republikanie wykorzystali to do powtarzania narracji, iż procedura impeachmentu jest „stronnicza” i brakuje „mocnych” zarzutów wobec Trumpa.

Tymczasem impeachment – służący obu partiom do polaryzowania elektoratu przed wyborami w 2020 r. – zaczyna przynosić niepokojące dla Demokratów skutki. Od wszczęcia procedury notowania Trumpa wzrosły o 6 proc. Choć Amerykanie pozostają w tej sprawie podzieleni (49 proc. jest za odwołaniem Trumpa, 46 proc. przeciwko), są zadowoleni z sytuacji ekonomicznej. Aż 47 proc. zarejestrowanych wyborców ocenia ją jako dobrą, a 26 proc. jako doskonałą – to najlepszy wynik od prawie 20 lat. W kluczowych stanach, które w 2016 r. wyniosły go do Białego Domu, to właśnie czynnik ekonomiczny, a nie spór w Kongresie, może mieć dla wyborców decydujące znaczenie. ©



2019: świat w ruchu

NIE WIEMY, CZEMU SIĘ TAM ZNALEŻLI.

Choć jezioro Van, na którym nad ranem w drugi dzień świąt Bożego Narodzenia zatonała ich łódź, leży blisko granicy z Iranem, w całości znajduje się w Turcji. Czy skierował ich tam żądny zysku przemytnik? Wmówiono im, że innej drogi nie ma? Uratowano 64 osoby. Utonęło 7 migrantów podróżujących do Europy – obywateli Pakistanu, Bangladeszu i Afganistanu.

Z kolei w wigilijny wieczór ponure depesze napłynęły z Idlib, ostatniej syryjskiej prowincji pod kontrolą opozycji, gdzie 5 dzieci zginęło pod gruzami zbombardowanej szkoły. Rozpoczęta wcześniej ofensywa armii rządowej i rosyjskiego lotnictwa zmusiła do ucieczki prawie ćwierć miliona ludzi.

A to tylko jeden z 52 tygodni, i dwa z setek podobnych wydarzeń, które w 2019 r. pokazały, że to już nie jest kryzys, lecz permanentny ruch, trwała migracyjna rzeczywistość, pod znakiem której upłynie także nowa dekada.

Ponad ćwierć miliarda migrantów (w tym 71 mln uchodźców) złożyło się na obraz minionego roku. Ameryka Łacińska doświadczyła swojej wersji roku 2015 w Europie: gdy z pograżonej w chaosie Wenezueli uciekło ok. 4 mln ludzi, kraje regionu – Peru, Kolumbia i Ekwador – zamykały granice i wprowadzały wizy (na zdjęciu: poświęcona uchodźcom wystawa w Bogocie). Po zdewastowanym przez trzy cyklony Mozambiku poruszało się kilkadziesiąt tysięcy uchodźców klimatycznych. Także Polska jest częścią „świata w ruchu”: sprawnie integruje i korzysta z pracy ponad miliona Ukraińców, ale niechlubne praktyki Straży Granicznej w Terespolu skłoniły organizacje praw człowieka do postawienia tam billboardu z napisem do uchodźców i migrantów: „Przepraszamy”. © MARCIN ŻYŁA



CASSIE SPENCER / GETTY IMAGES

Australia: pożary trwają

SĄ ZJAWISKIEM REGULARNYM, dobrze przebadanym i tak częstym, że można je wręcz uznać za element ekosystemu: u występujących tam roślin obserwuje się adaptacje do tak ekstremalnych warunków. W ostatnich latach występuje jednak wzrost częstotliwości australijskich pożarów, związany z postępującymi zmianami klimatycznymi, które w tym regionie objawiają się m.in. dłuższymi i bardziej gwałtownymi okresami suszy.

W ostatnich miesiącach fala gorąca doprowadziła do gwałtownych pożarów w Nowej Południowej Walii, najgęściej zaludnionym

regionie kraju, w którym ogłoszono stan wyjątkowy (na zdjęciu: miasteczko Shoalhaven Heads, 21 grudnia 2019 r.). Pożary objęły ok. 2 mln hektarów, strawiły setki domów i pozabawiły życia kilka osób. Do oddalonego o kilkadziesiąt kilometrów Sydney wiatr zaniósł niebezpieczny dla zdrowia smog.

Choć w 2009 r. pożary zebrały znacznie bardziej śmiertelne żniwo (zginęło wówczas niemal 200 osób), w tym sezonie zaczęły się one wyjątkowo wcześniej – tradycyjnie ich największa intensywność przypada na styczeń, który jest na tym kontynencie najgorętszym okresem w roku. Prognozy nie napawają optymizmem: i tym razem w styczniu może być jeszcze gorzej. © ŁK

Strategia na wroga

MACIEJ MÜLLER



CZERWONA ZARAZA JUŻ PO NASZEJ Ziemi nie chodzi, co nie znaczy, że nie ma nowej, która chce opanować dusze, serca i umysły. Nie marksistowska, ale zrodzona z tego samego ducha – tęczowa – powiedział podczas mszy na 75. rocznicę wybuchu powstania warszawskiego abp Marek Jędraszewski. Lutowa deklaracja prezydenta Warszawy o wprowadzeniu do szkół edukacji antydyskryminacyjnej dostarczyła amunicji tej części polskiego episkopatu, która skutecznej strategii duszpasterskiej upatruje w definiowaniu wroga przypuszczającego aktualnie „frontalny atak na Kościół”. Wskazano nowego: to „ideologia LGBT”.

Za metaforę „tęczowej zarazy” na abp. Jędraszewskiego spłynęła fala krytyki, pod kuria odbył się protest modlitewny pod hasłem „Odzyskajmy nasz Kościół” – i kilka manifestacji mniej pokojowych. Prokuratura odebrała 20 zawiadomień o popełnieniu przestępstwa, ale „nie dopatrzyła się znamion czynu zabronionego”. Z kolei metropolitę poparł szef KEP abp Stanisław Gądecki, w sukurs pospieszył episkopat Czech, Słowacji i Węgier.

Jak wskazywał w „TP” psycholog społeczny Michał Bilewicz, „ideologia LGBT” zastąpiła w agendzie polskiego Kościoła „ideologię gender”, jako lepiej dopasowana do emocji społeczeństwa. Tradycja jest nienowa, np. przed wojną Kościołowi zagrażali Żydzi do spółki z masonami. Wspólnym mianownikiem lęków jest obawa o dzieci: wszystkie te środowiska były lub są oskarżane o ich demoralizację. „Duchowni wiedzą o powszechnym w Polsce lęku o dzieci związanym z rzekomym zagrożeniem ze strony osób homoseksualnych – i to wykorzystują” – mówił Bilewicz. Szczególnie po filmie braci Sekielskich (maj): bicie w bęben „zagrożenia ze strony ideologii LGBT” stłumiło publiczną debatę o przestępstwach pedofilskich duchowieństwa.

Tymczasem na horyzoncie widnieje nowy wróg: metropolita krakowski w świątecznym wywiadzie rozkładał na czynniki pierwsze „ideologię ekologiczmu”.

© P P

Kościół uwolnił się od toksycznego sekretu

W MARCU 2019 ROKU fundacja Nie Lękajcie Się zorganizowała w Sejmie konferencję, podczas której pan Darek opowiedział o gwałcie dokonanym na nim – wówczas 13-latk – przez wikarego z Jemielnicy w diecezji opolskiej. Miał ogromny żal do biskupa, że parafianie codziennie przed mszą modlili się za wikarego, gdyż poinformowano ich, iż został on przeniesiony ze względu na stan zdrowia. Nikt natomiast nie modlił się za niego. W wyemitowanym w maju filmie „Tylko nie mów nikomu” rodzice Zosi, molestowanej przez księdza, gdy miała siedem lat, opowiadają, że po zgłoszeniu tego faktu do kurii warszawskiej próbowali się dowiedzieć, co się z tym księdzem dzieje, i otrzymali kategoryczną odmowę wszelkich informacji wspartą groźbą sprawy w sądzie.

W czerwcu metropolita poznański abp Stanisław Gądecki nie wydał dokumentów dotyczących dochodzenia kanonicznego wobec wikarego z Chodzieży, który molestował nastoletniego ministranta, mimo wielokrotnych wezwań prokuratorskich i nakazu sądowego.

Przytoczone przypadki (można ich wymienić wiele) stwarzają wrażenie, że instytucja Kościoła bardzo mocno chroni księży-pedofilów i zarazem w przykry sposób igno-

ruje ich ofiary. Jednocześnie biskupi publicznie zaklinają się, że jest dokładnie na odwrót: Kościół stoi po stronie ofiar, realizując zasadę „zero tolerancji” dla pedofilii.

Za tę sprzeczność w dużej mierze odpowiadało wyjątkowo skrupulatnie stosowane w polskim Kościele kanoniczne narzędzie: tzw. tajemnica papieska. Została ona wprowadzona przez Pawła VI w 1974 r. i obejmuje najważniejsze sprawy związane z rządzeniem w Kościele (np. papieskie nominacje), przygotowywanie dokumentów doktrynalnych, relacje dyplomatyczne oraz przestępstwa przeciwko wierze i obyczajom. Do czasu wprowadzenia w 1983 r. nowego kodeksu kościelnego tajemnica obowiązywała pod sankcją ekskomuniki. Dzisiaj jej złamanie jest grzechem ciężkim (Kościół może też wymierzyć za to kary kanoniczne).

17 grudnia Franciszek zniósł tajemnicę papieską w kwestiach dotyczących przestępstw związanych z pedofilią. Do tej decyzji papież przygotowywał się przez prawie rok. Już bowiem na lutowym spotkaniu z przewodniczącymi episkopatów pojawił się postulat zniesienia tajemnicy papieskiej. Wskazywało, że obowiązek jej zachowania uniemożliwia informowanie osób zgłaszających przestępstwo oraz wspólnot parafialnych, których to dotyczy, o stanie dochodzenia i jego efekcie. Utrudnia też współpracę ze świeckim wymiarem sprawiedliwości.

© P ARTUR SPORNIANIK



VINCENZO PINTO / AFP / EAST NEWS

PAŹDZIERNIKOWY SYNOD AMAZOŃSKI budził wiele emocji, choć dotyczył ściśle określonego regionu. Ważnego z politycznego, gospodarczego i ekologicznego punktu widzenia, ale jednak obrady biskupów to wydarzenie głównie duszpasterskie. Spodziewano się, że jeśli synod przegłosuje propozycje biskupów Amazonii (zniesienie celibatu, zwiększenie roli kobiet, wprowadzenie indiańskich rytuałów do liturgii), to wkrótce wszędzie za ołtarzami staną żonaci księża i diakonise, a katolicy na całym świecie będą oddawać cześć Pachamamie.

Nic z tego. Synod wybrał ostrożne rozwiązania: dla Amazonii stworzony będzie specjalny ryt, kapłanami zostaną doświadczeni diakoni (także żonaci), a kwestie kobiet przedyskutuje komisja. © P P EA



PAWEŁ KESKA

Marta Titaniec, człowiek roku w polskim Kościele

MA KILKA WYJĄTKOWYCH CECH CHARAKTERU. Jest ofiarna. Od 10 lat pracuje w dziedzinie pomocy humanitarnej. Zrealizowała już ponad 40 dużych projektów – działając w różnych organizacjach, pomagała potrzebującym m.in. na Haiti, Sri Lance i w Nepalu, na Białorusi, w Libanie oraz Jordanii.

Odważna i wrażliwa. Jeździ z pomocą do miejsc ogarniętych wojną. Wielokrotnie była w Donbasie na Ukrainie, w Syrii i Iraku. W ramach działalności warszawskiego Klubu Inteligencji Katolickiej współzakładała inicjatywę „Zranieni w Kościele” – świecki projekt pomocy osobom wykorzystanym seksualnie w Kościele.

Szczera, uparta i cierpliwa. Dwukrotnie pracowała w Caritas Polska i dwukrotnie z tej pracy odchodziła z powodu mobbingu, o którym głośno mówiła.

Doceniająca dialog społeczniczą. Od 2000 r. jest sekretarzem generalnym Polskiej Rady Chrześcijań i Żydów. Przewodniczy Komitetowi Organizacyjnemu X i XI Zjazdu Gnieźnieńskiego, jest wiceprezeską Fundacji Św. Wojciecha-Adalberta w Gnieźnie. Od 2017 r. kieruje pomocową Fundacją Most Solidarności. W listopadzie na wniosek prymasa abp. Wojciecha Polaka, po burzliwej debacie biskupi powierzyli jej przewodniczenie Fundacji św. Józefa, która będzie pomagać ofiarom pedofilii w Kościele.

Jako kobieta i osoba świecka jest w tych miejscach, gdzie obecność Kościoła powinna być najbardziej intensywna i ofiarna, a często taka nie jest. Wie zatem także, czym z bliska jest klerykalizm.

Gdybyśmy mieli wytypować Człowieka Roku 2019 w polskim Kościele – byłaby to Marta Titaniec.

© ARTUR SPORNIAK

ROK W SKRÓCIE

NADZIEJA NA KONIEC ROKU

„Zawsze w drodze, nigdy nie wykorzeni” – pod tym hasłem odbyło się we Wrocławiu Europejskie Spotkanie Młodych Taizé (28 XII–1 I). Przyjechało 20 tys. uczestników z 70 krajów, odbyły się wspólne modlitwy, spotkania tematyczne i warsztaty, które podzielono na cztery działy: Kościół, solidarność / społeczeństwo, duchowość, sztuka i wiara. W niedawnej rozmowie z „TP” ks. Tomáš Halík uznał Taizé za wzór głębokiej i inspirującej duchowości ekumenicznej, kluczowej dla reformy Kościoła.

CZYTANIE FRANCISZKA W adhortacji „Christus vivit” papież podkreślił, że „młodzi mogą pomóc Kościołowi, by pozostał młody, by nie popadł w zepsucie, by się nie zamykał”. „O ile jesteśmy wierni woli Bożej, to czasy kościelnego oczyszczenia (...) uczynią nas bardziej radosnymi i prostymi” – napisał w liście do księży na rocznicę śmierci św. Jana M. Vianneya. Listem apostolskim „Aperuit illis” ustanowił Niedzielę Słowa Bożego, aby „w ludzie Bożym wzrastała bliska znajomość Pisma św.”. List „Admirabile signum” poświęcił symbolicznie żłóbka, który „ukazuje czułość Boga”.



TWITTER / VATICAN MEDIA

TSUNAMI

„Przypuszczam, że gdybym nie był księdzem i miałbym maltretowane dziecko, przestałbym chodzić na mszę” – wyznał ks. John Joseph Kennedy z Kongregacji Nauki Wiary, komentując rekordową liczbę tysięcy zgłoszeń przypadków wykorzystywania seksualnego, przyjętych w 2019 r. „To tsunami przypadków, szczególnie z krajów, o których w tym kontekście wcześniej nie słyszeliśmy” – powiedział.

Za nami dekada nostalgii



MONIKA OCHĘDOWSKA

MINĄŁ ROK, W KTÓRYM ŁOWCA ANDROIDÓW RICK DEKARD (grany w słynnym filmie przez Harrisona Forda) tropił replikantów w zaułkach Los Angeles. Niestety, nasze auta wciąż nie latają – zamiast nich mamy elektryczne hulajnogi. Kariery nie zrobiły także samosznurujące buty Nike Mag, na które czekaliśmy po obejrzeniu drugiej części „Powrotu do przyszłości”. Wciąż chętnie nosimy Nike AF1, zaprojektowane w czasach, w których pochodzą kultowe filmy Ridleya Scotta i Roberta Zemeckisa. Na ulicach królują modele tramppek z lat. 80. i 90. XX w., tzw. *daddy shoes* – toporne „tatusiowe” adidasy, jeszcze wczoraj synonim obciachu. Popkultura mijającej dekady była uzależniona od przeszłości. Angielski krytyk muzyczny Simon Reynolds nazwał to zjawisko „retromanią”.

Tęsknota milenialsów za czasami dzieciństwa bywa łączona ze skłonnością do ucieczki w świat iluzji – sprzyja ją temu choćby katastroficzne wizje przyszłości związane z kryzysem klimatycznym. Ale krytycy widzą w niej także przejaw powszechnej depresji. Począwszy od piosenek amerykańskiej wokalistki Billie Eilish (w grudniu 2019 r. skończyła 18 lat), podbijającej tegoroczne listy przebojów, a skończywszy na kinowym hicie wszech czasów „Jokerze” – popkultura chętnie kapitalizowała w tym roku także smutek.

„Retromania” widoczna jest nie tylko w głównym nurcie. Jedną z najpopularniejszych alternatywnych imprez muzycznych w Polsce jest ta organizowana przez Vogule Poland – dwudziestolatkiwie tańczą na niej do przebojów swojego dzieciństwa. W 2019 r. Vogule zgromadziło na parkietach studenckich klubów 100 tys. osób. Według badań agencji Storyclash monitorującej media społecznościowe, było także najmocniej angażującym medium w Polsce, wyprzedzając w tym zestawieniu Radio Zet, „Gazetę Wyborczą” czy TVN. I w tym przypadku można mówić o „tatusiowym” trendzie – Vogule Poland, wierni zasadzie *guilty pleasure* [ang. wstydliva przyjemność – red.], wracają przede wszystkim do piosenek niegdyś wywołujących zażenowanie.

Nostalgia obecna jest także w literaturze – w tej dekadzie zanotowaliśmy wysyp „duchologicznych” opowieści o początkach transformacji. Wciąż zanurzona w przeszłości jest także Olga Tokarczuk, która po 10 latach od wydania „Biegunów” wróciła do zawartych w tej (podbijającej właśnie amerykański rynek) książce wątków, publikując „Opowiadania bizarne”, których głównymi bohaterami są marginesy, obrzeża oraz... androidy. ©P



MARCIN ŻYŁA, autor portretu zbiorowego Anglików (s. 54), będzie gościem Grzegorza Chłasty w środę 8 stycznia o godzinie

7.30 w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podcastach na stronie internetowej radia.

| Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM

| Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM

| Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM

oraz na Mazowszu i w Warszawie – www.rdc.pl

ROK W SKRÓCIE



GODFREY PARIS / WIKIPEDIA.ORG

DAMA W OGNIU

Rektor paryskiej katedry Notre Dame przyznał, że konstrukcja budynku jest bardzo niestabilna. Nie można wykluczyć, iż w trakcie prac renowacyjnych, które zaplanowano na 2021 r., może dojść do co najmniej częściowego zawalenia sklepienia. Notre Dame została bardzo poważnie uszkodzona w wyniku tragicznego pożaru 15 kwietnia. Rok 2019 był pierwszym od czasów rewolucji francuskiej, kiedy w Notre Dame w okresie Bożego Narodzenia nie odbyły się msze ani nabożeństwa.

PAŃSTWO I KULTURA

Początek 2019 r. upłynął pod znakiem niepewności dotyczących losów „Dwutygodnika”, najważniejszego internetowego magazynu poświęconego kulturze. Natomiast koniec tegoż roku przyniósł wiadomość o braku środków na utrzymanie najpopularniejszej biblioteki – serwisu WolneLektury – którą każdego roku, już od ponad dekady, blisko 6 mln czytelników odwiedza 16 milionów razy. Środki finansowe, jakie dotąd twórcy Wolnych Lektur pozyskiwali ze źródeł publicznych, są coraz mniejsze.

PANI LITERATURA

Taki tytuł znalazł się na okładce numeru „Tygodnika” poświęconego Oldze Tokarczuk zaraz po tym, gdy przyznano jej literackiego Nobla. Rok 2019 w polskiej literaturze należał do kobiet. Wszystkie cztery Nagrody Gdynia trafiły do pisarek i tłumaczek. Nagrodę Kościelskich zdobyła Aldona Kopkiewicz, Nagrodę Conrada i Gombrowicza Olga Hund, a Nagrodę Wielkiego Redaktora – Małgorzata Szczurek, szefowa wydawnictwa Karakter.

Polskie filmy: supernova i czarne chmury

ANITA PIOTROWSKA



Rok 2019 OTWORZYŁ SIĘ I ZAMKNAŁ DOBRĄ Knewiną. Najpierw były trzy oscarowe nominacje dla „Zimnej wojny” Pawła Pawlikowskiego, a niedawno informacja, że na tzw. krótkiej liście w kategorii filmu nieanglojęzycznego znalazło się „Boże Ciało” Jana Komasy. Również zagraniczne sukcesy aktorskie Bartosza Bieleni, nowe filmy Agnieszki Holland czy Małgorzaty Szumowskiej leczyły nas z prowincjonalnych kompleksów. W bilansie osiągnięć należałoby zaznaczyć pojawienie się nowych obiecujących nazwisk – np. Bartosza Kruhlika, twórcy „Supernovej”, albo Piotra Adamskiego, reżysera filmu „Eastern”. Jeśli jednak jakiś tytuł rzeczywiście wstrząsnął Polską, to nie „Polityka” Patryka Vegi czy „Solid Gold” Jacka Bromskiego, lecz dokument „Tylko nie mów nikomu” braci Sekielskich z ponad 23 mln odsłon na YouTube. Powstał on poza systemem, z prywatnych datków, albowiem rok 2019, mimo kilku mocnych uderzeń i prestiżowych laurów, wcale nie był dla polskiej kinematografii tak pomyślny.

Pod względem instytucjonalnym można snuć wizję wręcz katastroficzne. Konsolidacja państwowych wytwórni filmowych w jedno cen-

tralnie zarządzane ciało nie wróży dobrze artystycznej suwerenności twórców. Tryb, w jakim odbywało się podejmowanie i wdrażanie tej decyzji, to policzek wymierzony zasłużonym instytucjom i pracującym w nich ludziom. Czarne chmury zawisły nad festiwalem w Gdyni. Majstrowanie urzędników przy programie (najlepszy debiut – wspomniana „Supernova” – o mały włos nie znalazłby się w konkursie) czy przepychanki wokół filmu Bromskiego uświadomiły konieczność przemyślenia tej imprezy na nowo, uczynienia jej całkowicie transparentną i wolną od nacisków politycznych czy środowiskowych.

Dołożmy do tych zagrożeń coraz większe upolitycznienie Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej, które szczególnie daje się we znaki twórcom filmów dokumentalnych. Ale dodajmy też, że był to rok wielu pożytecznych inicjatyw, jak choćby zorganizowanej przez stołeczne Centrum Kultury Filmowej im. Andrzeja Wajdy konferencji i warsztatów poświęconych edukacji audiowizualnej. Bo nawet jeśli film nie jest najważniejszą ze sztuk, to na pewno jest językiem, który może służyć zarówno komunikacji czy ekspresji, jak też zwykłej manipulacji. ©

Grosz Wiedźmina

26 MLD ZŁOTYCH – tyle miała być warta firma giełdowa CD Projekt, polski producent gier o „Wiedźminie”, w dniu premiery serialu Netflixa o GERALCIE z Rivii. Potem atmosfera się zagęszczała: 23 grudnia CD Projekt był już wart więcej niż bank Pekao S.A.

W tym czasie serialowy „Wiedźmin” zdobywał serca widzów. „Forbes” podał, że „Wiedźmin” z miejsca stał się najwyżej ocenianą w portalu IMDB (najpopularniejszym anglojęzycznym portalu o filmach i serialach) produkcją oryginalną Netflixa, a pieśń serialowego barda Jaskra „Grosza daj wiedźminowi” została już nazwana „najbardziej chwytliwym kawałkiem tej zimy”, „wiralowym hitem”, autor portalu Kotaku twierdzi zaś, że może ona zastąpić świąteczne evergreeny.

Ballada Jaskra pokazuje coś więcej: wiedźmin jest bohaterem globalnej wyobraźni. Na YouTube można znaleźć różne wersje językowe pieśni (Netfliks stworzył kilkanaście wersji dubbingowych) – możemy więc posłuchać Jaskra śpiewającego po japońsku, turecku, portugalsku, niemiecku, francusku, hiszpańsku, a nawet po tajsku i w języku hindi. Wiedźmin, w czasie po-



KATALIN VERMES / NETFLIX

wszechnej sequelozy i recyklingu, jest rzadkim przypadkiem nowego bohatera masowej świadomości. Aktor Henry Cavill założył ubranie wiedźmina po zdjęciu stroju Supermana, którego grał w kinowej superprodukcji.

Popularność gry stworzyła powszechne oczekiwanie na serial, a ten napędza grę – platforma Steam (taki Netflix dla gier) podała, że w ostatnim tygodniu liczba osób grających w gry z serii wystrzeliła w górę. Autorem filmu wprowadzającego do pierwszej, wydanej 12 lat temu gry o wiedźminie był Tomasz Bagiński, ten sam, który zatrudnił scenarzystkę Lauren Schmidt Hissrich do poprowadzenia serialu Netflixa.

Tymczasem tydzień po premierze serialu wartość CD Projektu wzrosła do 27 mld złotych.

© PATRYK STANIK

Opada cyfrowa kurtyna

„**RZĄDY ŚWIATA PRZEMYSŁU**, Wy, zużyci giganci z ciała i stali, przychodzę do Was z Cyberprzestrzeni, nowej ojczyzny Umysłu. W imieniu przyszłości apeluję do Was – związanych z przeszłością – byście zostawili nas w spokoju. Nie jesteście tu mile widziani. Wasza władza nie sięga miejsc, w których się zbieramy”. Tak zaczyna się „Deklaracja Niepodległości Cyberprzestrzeni” Johna P. Barlowa, opublikowana w 1996 r. w odpowiedzi na pierwsze działania rządów, które chciały regulować internet. Dziś do realizacji marzenia, że sieć stanie się bezpieczną utopią z wiedzy i danych, jest jeszcze daleko. A wiele wskazuje na to, że rok 2019 to marzenie na zawsze przekreślił.

Jak? Wzorem niech będzie Wielka Chińska Zapora Ogniowa. Powstała dzięki współpracy telekomunikacyjnych monopolistów w warunkach ograniczonej ilości światłowodów łączących ChRL z resztą świata. Dzięki temu rząd jest w stanie decydować, do jakich usług i informacji obywatele mają dostęp. Własne zapytania pozwalające się odciąć od świata stawiają m.in. Iran, Wietnam, Tajlandia, Turcja i Rosja. Indie tylko w 2019 roku dostęp do sieci odcinały ponad sto razy.

Łatwo byłoby szukać związku między dzieleniem internetu a brakiem demokracji. To jednak nie takie proste. Skutkiem ubocznym unijnych regulacji ograniczających monopole wielkich koncernów technologicznych czy chroniących prywatność jest to, że Europejczyk przeglądający internet ma do dyspozycji treści inne niż Amerykanin. Im więcej rozbieżności prawnych, tym mocniej nasze internety się rozdzielają. Tylko czy Europejczycy chcieliby zrezygnować z lepszej ochrony w imię wirtualnej jedności?

Te procesy mogą się okazać ledwie przegrywką do wielkiego rozdarcia, które będzie skutkiem amerykańsko-chińskiej wojny o sieć 5G. Obie strony chcą zdominować technologiczne zaplecze największego projektu informatycznego świata. Dziś komputery „rozmawiają” jednym językiem. Jeśli w konsekwencji wojny handlowej techniczne standardy zaczną się rozjeżdżać, świat może podzielić nie żelazna, lecz cyfrowa kurtyna.

Krótką erą wspólnej, globalnej agory zbliża się do końca.

© AGATA KAŹMIERSKA,
WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Juan czy dolar – wybór roku

ROZEJŚCIE W WOJNIE HANDLOWEJ USA i Chin nie oznacza, że dwie największe gospodarki świata znalazły sposób na pokojową koegzystencję. Waszyngton dąży do utrzymania hegemonii dolara w światowym handlu. Pekin – i coraz więcej jego satelitów – w tej samej roli widzi natomiast chińskiego juana.

Koniec roku przyniósł lekkie ocieplenie w relacjach handlowych obu gigantów. W połowie grudnia Pekin zawiesił wprowadzenie ceł na kolejną partię amerykańskich produktów. Na identyczne ustępstwa zdecydował się Waszyngton. Tuż potem strony ogłosiły, że udało im się uzgodnić treść pierwszego etapu umowy handlowej, co otwiera przestrzeń do ostatecznego porozumienia.

Trwająca od półtora roku wojna handlowa między dwiema największymi potęgami gospodarczymi globu naraża je na wielkie straty, a rykoszetem bije też w światowy handel. Międzynarodowy Fundusz Walutowy w październiku skorygował w dół prognozy światowego wzrostu gospodarczego do 3 proc. – o 0,2 punktu procentowego. Mimo protestów USA, Pekin nadal zaniża kurs juana do dolara, zwiększając dzięki temu rentowność swego eksportu oraz nadwyżkę w bilansie handlowym. Dla Waszyngtonu problemem jest również dezynwoltura, z jaką Chiny traktują kwestie



AP / EAST NEWS

własności intelektualnej; w tej sprawie strona chińska zgodziła się zresztą w grudniu na częściowe ustępstwa.

Dyplomatyczna odwilż nie oznacza jednak, że Pekin porzucił plany uczynienia juana dolarem XXI wieku – czyli główną walutą globalnego handlu i rozliczeń międzypaństwowych. Tylko w ubiegłym roku pięć największych chińskich banków otworzyło spółki córki w 25 najsilniejszych gospodarczo krajach świata (w tym w USA, Wielkiej Brytanii, Singapurze, Niemczech, Francji, Korei Południowej, Japonii i Rosji). Pekinowi udało się również pozyskać kilkudziesięciu nowych partnerów do swojego transgranicznego systemu płatności międzybankowych CIPS opartego właśnie na chińskiej walucie. W Afryce i na Bałkanach – gdzie Pekin od lat z powodzeniem prowadzi „dyplomację juana”, czyli uzależnianie pomocy gospodarczej od politycznej uległości – Waszyngton oddał już to starcie walkowerem.

© MAREK RABII



JAN GRACZYŃSKI / EAST NEWS

MUZEUM KSIĄŻĄT CZARTORYSKICH NA NOWO. W 1801 r. księżna Izabela z Flemmingów Czartoryska stworzyła kolekcję w Puławach. W 1831 r. zbiory zostały przewiezione do Hotelu Lambert w Paryżu. Powróciły do Polski w 1876 r. Kolekcja pamiątek narodowych stawała się też wybitnym zbiorem dzieł sztuki. W 2016 r. po zakupie kolekcji przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego stała się ona integralną częścią Muzeum Narodowego w Krakowie. Właśnie po trwającym dziewięć lat remoncie budynku „Dama z gronostajem” Leonarda da Vinci i tysiące innych dzieł wróciły wreszcie na swoje miejsce. Na zdjęciu: prezentacja odnowionego muzeum, 19 grudnia 2019 r. © P. M

**Uwaga! Tylko do
6 stycznia 2020!**



„Jerzy Turowicz. Książka do pisania. 75 lat Tygodnika Powszechnego”

Jak ją otrzymać?

1. JUŻ TERAZ zamów lub przedłuż dowolną prenumeratę wydania papierowego „Tygodnika Powszechnego” – roczną, półroczną lub kwartalną. Oferta ważna tylko do 6 stycznia 2020 r.
2. Możesz to zrobić przez stronę powszech.net/prenumeruj lub poprzez wpłatę na konto czy opłacenie w Dziale Prenumeraty „TP” – cennik i zasady szczegółowe opisane są poniżej.
3. Na przełomie stycznia i lutego 2020 r. otrzymasz „Książkę do pisania” – bez dodatkowych kosztów przesyłki.

Książka jest dostępna wyłącznie w dystrybucji „Tygodnika Powszechnego” – jest to limitowana oferta tylko dla obecnych i nowych Prenumeratek i Prenumeratorów.

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- internet na powszech.net/prenumeruj
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny
ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków
Bank Pekao SA
nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987
- opłacenie osobiste w Dziale Prenumeraty „TP”,
ul. Wiślna 12 w Krakowie, od poniedziałku do piątku
w godz. 9.00–16.00

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate, na której podane są ceny

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa pod nr. tel. 12 431 26 83, tel. kom. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@tygodnik.com.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na powszech.net/ewydania

Pomocy przy problemach technicznych udziela Anna Dziurdzikowska pod nr. tel. 668 475 263 (w godz. 10.00–14.00) lub adresem e-mail: kontakt@powszechswiat.pl

NOWY CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ*

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	370 zł	450 zł
Półroczna (26 numerów)	220 zł	270 zł
Kwartałna (13 numerów)	120 zł	140 zł
Pokolenia**	333 zł	
Karta Dużej Rodziny***	333 zł	



PREZENT!

„TYGODNIK POWSZECHNY WYDANIE SPECJALNE” NA 2020 ROK W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM”

	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna + 4 wydania specjalne	430 zł	510 zł
Pokolenia** + 4 wydania specjalne	393 zł	
Karta Dużej Rodziny*** + 4 wydania specjalne	393 zł	
4 wydania specjalne	69 zł	



PREZENT!

* CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ – ważny od 1 grudnia 2019

** z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

*** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

PARTNER MARKETINGOWY

SALES MANAGO
marketing automation

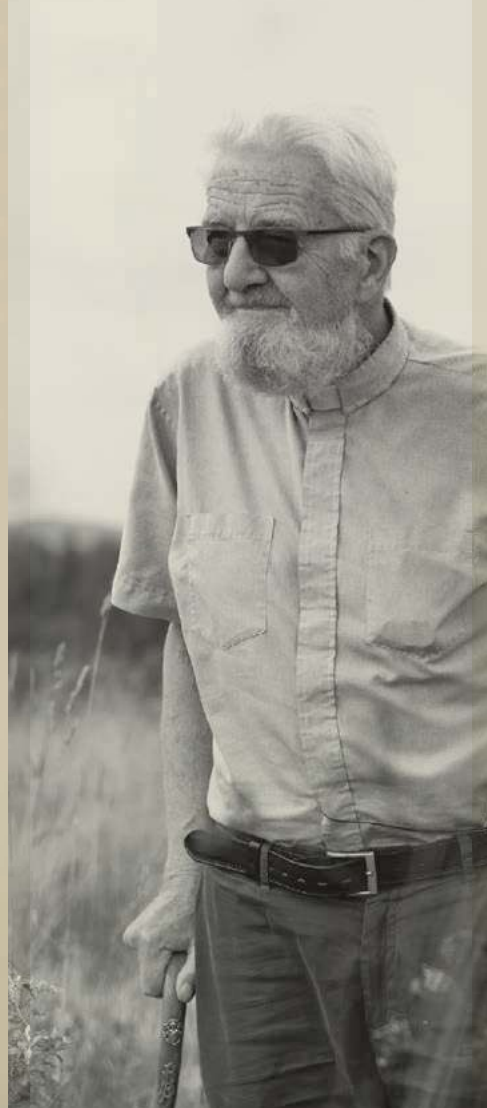
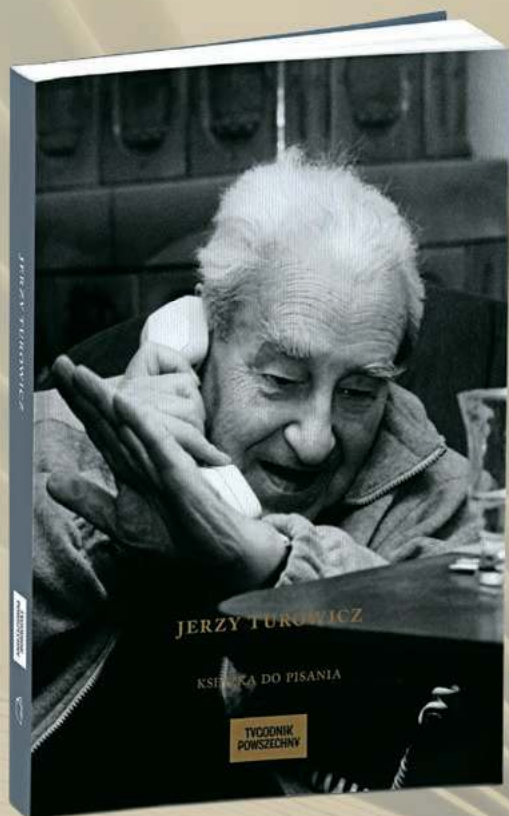


**TYGODNIK
POWSZECHNY**

W marcu 2020 roku świętujemy
75-lecie „Tygodnika Powszechnego”

Zaprenumeruj „Tygodnik Powszechny” i otrzymaj jubileuszowy prezent

„Jerzy Turowicz. Książka do pisania. 75 lat
Tygodnika Powszechnego” – ilustrowany notes
z archiwalnymi fotografiami i fragmentami
tekstów wieloletniego redaktora naczelnego pisma.



FOT. GRZYNA MAKARA

Nie musisz się spieszyć.
„Książkę do pisania” możesz
pisać przez całe życie.
Spiesz się jednak, kiedy będziesz
wiedzieć, że coś jest warte
zapisania. Zapisz natychmiast.
Pamięć jest niewierna i zawodna.
(...) Weź pióro i na pierwszej
stronie zapisz, co pomyślałeś.
O dalszy ciąg się nie martw.
Dalszy ciąg nastąpi.

ks. Adam Boniecki, fragment wstępu

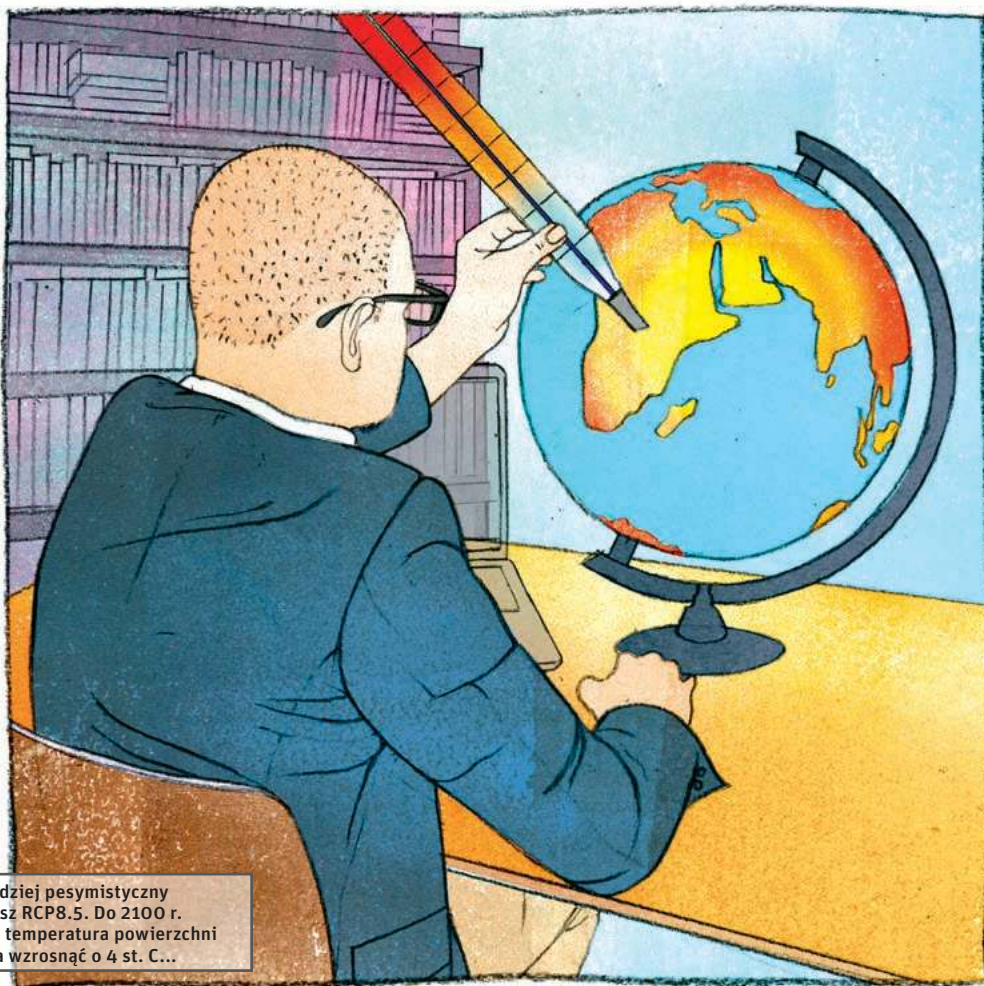
WYDAWCA:

**TYGODNIK
POWSZECHNY**


AUSTRIA

PARTNER WYDANIA:

Jerzy Turowicz
FUNDACJA JERZEGO TUROWICZA



...najbardziej pesymistyczny
scenariusz RCP8.5. Do 2100 r.
globalna temperatura powierzchni
Ziemi ma wzrosnąć o 4 st. C...

JAKIEGO KOŃCA ŚWIATA NIE BĘDZIE

Miał już nastąpić na tak wiele sposobów, że trudno zliczyć.
Jakiej apokalipsy boimy się dziś, na progu nowej dekady?
Co ma nam przynieść zagładę w XXI wieku?

TEKST **ŁUKASZ LAMŻA** ILUSTRACJE **MAGDA WOLNA**

NADSZEDŁ ROK 2020. OZNACZA TO, ŻE MNIEJ WIĘCEJ POŁOWA tegorocznych polskich noworodków ujrzy na własne oczy świat A.D. 2100. Wiemy, w jakim świecie przyszło im się narodzić. Mamy też scenariusze tego, z jakim światem się pożegnają.

No, chyba że w międzyczasie nastąpi koniec świata.

Nieporozumienie klimatyczne

Badania naukowe nie pozostawiają złudzeń: aktywność ludzka wpływa w istotny sposób na klimat. Zmiany te już teraz są mierzalne, a ze względu na dużą bezwładność systemów ziemskich nawet gdybyśmy już dzisiaj zaczęli wciśkać pedał hamulca, będą postępowały przez cały XXI wiek.

Jakie będą tego skutki? Zajrzyjmy do piątego raportu klimatycznego IPCC – a nie ma solidniejszego źródła niż ów dokument – cytując przy tym najbardziej pesymistyczny scenariusz RCP8.5. Do 2100 r. globalna temperatura powierzchni Ziemi ma wzrosnąć o 4 st. C, a poziom oceanów ma się podnieść o 70 cm. Niemal na pewno będzie częściej dochodziło do niektórych skrajnych zjawisk pogodowych, jak fale gorąca, ponadto poziom opadów w wielu regionach suchych spadnie, a w wilgotnych wzrośnie. Możliwe też, że letnia pokrywa lodowa w Arktyce zniknie całkowicie.

Jak więc zamierzam bronić tezy, że nie czeka nas katastrofa klimatyczna?

Po pierwsze, chcę się skupić wyłącznie na scenariuszach „końca świata” dla ludzkości. Smutna prawda jest taka, że wielu wyrządzonych przez nas szkód dla ekosystemów nie da się cofnąć i wiedza na ten temat prawdopodobnie długo będzie nas prześladować. O tym wiemy. Wiemy też, że działania zaradcze są konieczne: niektóre kłopotliwe dla konkretnych jednostek, a niektóre korzystne – jak choćby mądrzejsze korzystanie z transportu czy ograniczenie spożycia czerwonego mięsa.

Nie oznacza to jednak z automatu, że ludzkość czeka katastrofa albo, cytując wystąpienie Greta Thunberg na konferencji COP24 w Katowicach – której głos jest dziś powszechnie znany i będzie w tym artykule reprezentował głosicieli „katastrofy klimatycznej” – że „okradamy nasze dzieci z ich przyszłości”, a XXI wiek przyniesie „koniec cywilizacji ludzkiej”. Zróbmy to, do czego nawiązują aktywiści, i posłuchajmy naukowców. Fakty są zaś takie, że rodzące się dziś dzieci mają przed sobą najdłuższe, najzdrowsze życie spośród wszystkich ludzi, którzy kiedykolwiek żyli na tej planecie.

Co więcej, wbrew powszechnym mitom, efekt ten nie dotyczy wyłącznie krajów rozwiniętych. Przeciwnie – jakoś życia poprawi się najbardziej w krajach rozwijających się, choćby w Afryce Subsaharyjskiej. Wszystkie symulacje globalnego stanu populacji, np. ONZ-owskie „World Population Prospects 2019”, zakładają, że do 2100 r. przewidywana długość życia – i jego jakość – wzrośnie. W opublikowanym w 2011 r. raporcie Światowej Organizacji Zdrowia (WHO) szczegółowe prognozy zdrowotne doprowadzone są do roku 2060. Według WHO stabilnie spadać ma liczba chorych na w zasadzie wszystkie schorzenia wpływające na wysoką śmiertelność w krajach Trzeciego Świata, jak malaria czy denga. Liczba osób cierpiących na AIDS spadnie do 2060 r.

trzykrotnie. Prawie pięciokrotnie (!) spadnie też śmiertelność z niedożywienia w krajach o najniższym dochodzie: teraz niedożywienie jest tam przyczyną 2,5 proc. zgonów; w 2060 r. ma to być 0,6 proc.

Co więcej? Do 2100 r. ośmiokrotnie spadnie populacja ludzi nieposiadających żadnego wykształcenia. Zwiększy się dostęp kobiet do edukacji, a także globalny dostęp do medycyny, technologii i kultury. To nie są tylko przypadkowe, wybiórczo wybrane dane. Trudno znaleźć obiektywne mierzalne sfery, w której prognozuje się globalny spadek jakości życia w XXI wieku. Do spadku długości życia może – choć nie musi – dojść tylko w krajach wysoko rozwiniętych, w których zniwo zbierają choroby cywilizacyjne.

Jak połączyć jedno z drugim? Jak to możliwe, że w świecie rodem ze scenariusza RCP8.5 mimo wszystko będziemy żyć dłużej i zdrowiej? Okazuje się, że pozytywne skutki rozwoju cywilizacji przewyższają negatywne. Tak, to prawda, że zmiany klimatyczne zwiększą odsetek ludzkości narażonej na malarię. Rozwój medycyny sprawi jednak równolegle, że śmiertelność wskutek malarii spadnie (i to czterokrotnie, jeśli wierzyć WHO). Tak, to prawda, że znaczne połączenie Afryki Subsaharyjskiej staną się silniej narażone na susze, co utrudni produkcję żywności. Równolegle jednak dieta na tym obszarze, wg symulacji ONZ, spadnie ponaddwukrotnie, a wzrośnie wydajność rolnictwa. Najlepsze dostępne dziś symulacje mówią, że zmiany klimatyczne nie spowodują katastrofy i upadku cywilizacji, tylko nieznacznie spowolnią jej postęp.

Podkreślmy koniecznie, że poruszamy się cały czas w obszarze statystyk. Mówimy o ludzkości, a nie o poszczególnych ludziach. Czy dojdzie do indywidualnych tragedii, za które winą obarczyć można zmiany klimatyczne? Tak. WHO wylicza szczegółowo, że w okresie 2030–2050 zmiany klimatyczne będą powodować 250 tys. dodatkowych śmierci rocznie. DARA International po doliczeniu skutków pośrednich, jak konflikty zbrojne i migracje, podniosła to oszacowanie do 600 tys. Tak, to 600 tysięcy indywidualnych tragedii. Jeżeli jednak dokonujemy globalnej diagnozy stanu ludzkości, musimy spróbować zrozumieć tę liczbę. W 2050 r. z życiem pożegna się 91 mln ludzi, z czego, przykładowo, 1,8 mln w wypadkach drogowych. Zmiany klimatu przyniosą wiele tragedii, jednak nie spowodują globalnej katastrofy. W najgorszym razie nieznacznie spowolnią wspaniały postęp w dziedzinie globalnej jakości życia.

Warto dodać, iż choć można się dziś spotkać z poglądem, że „emisje to zło” i że ograniczanie produkcji CO₂ jest zawsze dobre, to za wzrost globalnych emisji w XXI wieku odpowiadać ma głównie rozwój cywilizacyjny w krajach rozwijających się – dostarczanie czystej wody i oczyszczanie ścieków, doprowadzanie dróg, budowanie szpitali, termomodernizacja budynków, zwiększanie mobilności i dostępu do dóbr kultury. Raport IPCC jasno pokazuje, że za największy wzrost emisji w XXI wieku odpowiadać będą właśnie te kraje, nie zaś państwa wysoko rozwinięte. Co zresztą jest w gruncie rzeczy oczywiste – przecież to rozwój doprowadził do tak wysokich emisji, a więc właśnie kraje rozwijające się będą te emisje najsilniej zwiększać. My mamy ten „skok wzrostu” za sobą (choć Polska pod pewnymi względami wciąż goni światową czołówkę) i możemy już – czy wręcz

→ musimy – pozwolić sobie na samoograniczenie. To zresztą dzieje się od dawna. Jak podaje Global Carbon Project: 28 liczonych łącznie krajów Unii Europejskiej osiągnęło swój szczyt produkcji CO₂ w 1979 r. – i od tego czasu emisja w UE spadła o 27 proc. USA miały swoje maksimum w 2005 r.

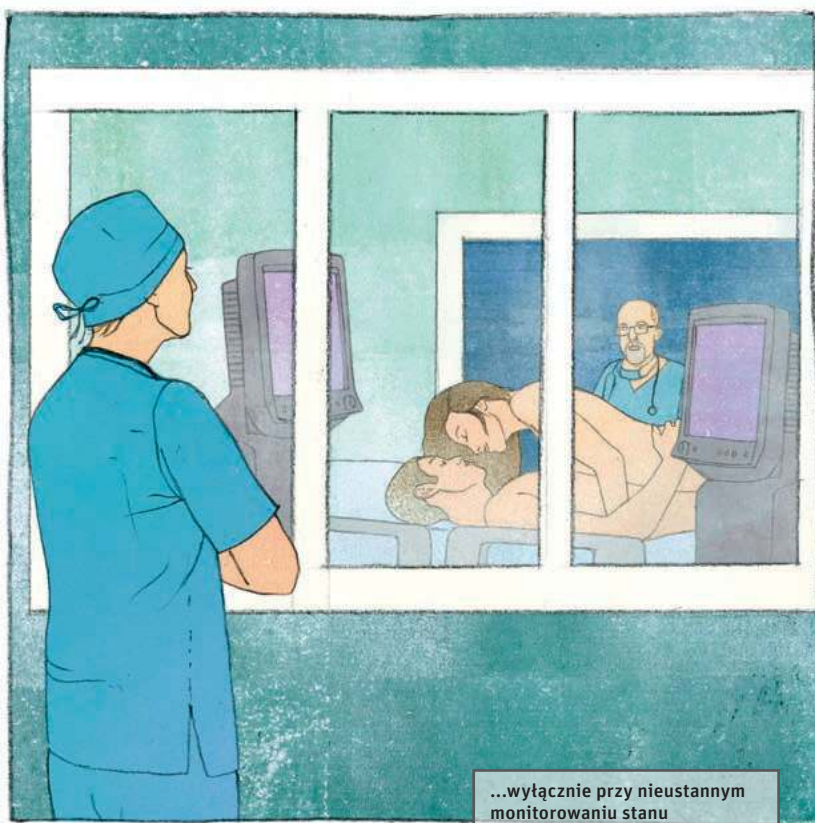
To nie jest więc tak – co jest kolejną popularną tezą – że nieliczna grupa bardzo bogatych krajów spala na potęgę, w wyniku czego biedną większość czeka katastrofa. Jest dokładnie na odwrót. Nieliczna grupa wysoko rozwiniętych krajów jako jedyna w XXI wieku ma obniżyć emisję, a dopiero rozwijająca się większość będzie emitować coraz więcej, jednocześnie znacząco podnosząc swoją jakość życia.

Era genetycznego nadczłowieka

Edycja genomu ludzkiego jest już rzeczywistością. W 2015 r. po raz pierwszy udało się usunąć śmiertelną w skutkach mutację genetyczną z komórek ludzkiego embrionu. W listopadzie 2018 r. chiński genetyk He Jiankui ogłosił, że miesiąc wcześniej na świat przyszły Lulu i Nana, dwie pierwsze znane nauce osoby „genetycznie modyfikowane”, noszące zmianę w genomie mającą uniemożliwić im zachorowanie na AIDS.

Grupa naukowców wezwała do moratorium na genetyczną edycję zarodków ludzkich, wyniki takie pobudzają jednak wyobraźnię. Jednym z popularnych lęków jest wizja świata, w którym można dowolnie kształtować ludzką inteligencję, atrakcyjność czy siłę fizyczną. Ponieważ ingerencje takie są i długo będą bardzo kosztowne, wyłania się wizja bogatych, genetycznie modyfikowanych nadludzi oraz biednej podklasy, która musi liczyć na zwycięski los na genetycznej loterii.

Nie uważam, aby miało do tego dojść. Po pierwsze, geny to nie wszystko. W przypadku inteligencji szacuje się, że genotyp wyjaśnia jej poziom mniej więcej w połowie. Reszta to czynniki środowiskowe. Nawet więc gdybyśmy złamali każdy sekret genomu i zrozumieli rozwój embrionu godzina po godzinie, komórka po komórce – od czego dzieli nas jeszcze naprawdę dużo – rodzic przyszłości chcący



...wyłącznie przy nieustannym monitorowaniu stanu zapłodnienia. Oznaczałoby to potężny nacisk na społeczną kontrolę nad rodzicielstwem...

mieć „superdziecko” musiałby prowadzić rygorystyczną hodowlę, aby zapewnić kontrolę nad drugą połówką czynników statystycznych. To raczej nie jest realistyczny scenariusz.

A to i tak wcale nie najważniejszy problem. Rzecz w tym, że ani inteligencja, ani atrakcyjność, ani siła nie gwarantują szczęścia i sukcesu, co najwyżej zwiększają szansę ich osiągnięcia. Są na świecie tysiące osób równie inteligentnych, równie pięknych i równie silnych, z których tylko nieliczna garstka osiągnie wielki sukces. Co o tym zadecyduje? Nikt nie wie. Spotkanie z właściwą osobą w windzie, dobra koniunktura, nagłe oślnienie...

Gdy przejrzyć listę najbogatszych ludzi na świecie, w czołówce znajdziemy osoby takie jak Bill Gates i Mark Zuckerberg. Gdy Zuckerberg rodził się w 1984 r., nie tylko nikt nie mógł przewidzieć istnienia Facebooka, ale wręcz internetu w dzisiejszym sensie. Przy obecnym tempie rozwoju świata – ale też po prostu ze względu na jego zasadniczą chaotyczność – nie ma szans, aby przewidzieć, co zadecyduje o sukcesie rodzących się dziś dzieci. Trzeba by odczekać przynajmniej dwie dekady, żeby się przekonać, czy wprowadzone modyfikacje genetyczne przyniosły dziecku sukces – a nawet i wtedy będzie można tylko zgadywać, czy spowodowały to geny, wychowanie, pieniądze, czy łut szczęścia. Świata nie zmieni zaś wiedza o tym, że p r a w d o p o d o b n i e można nie c o zwiększyć szansę na sukces swojego dziecka. Choć więc niektórzy pewnie zdecydują się na genetyczną modyfikację dzieci – podobnie jak niektórzy wydają

■ **2013** – pierwsza skuteczna edycja genomu myszy nowo odkrytą metodą CRISPR/Cas

■ **2015** – udana edycja genów u niezdolnych do życia zarodków ludzkich; u 28 spośród 54 embrionów udało się zmodyfikować gen hemoglobiny w planowanym miejscu

■ **2018** – w Chinach rodzą się pierwsze dzieci ze zmodyfikowanym biotechnologicznie genomem, dziewczynki o pseudonimach Lulu i Nana

fortunę na operacje plastyczne – nie stanie się to znaczącym zjawiskiem na mapie XXI wieku.

Może się jednak wydarzyć co innego: chodzi mianowicie o rutynowe likwidowanie wad genetycznych. Jesteśmy o włos od bezpiecznego usuwania z embrionu ludzkiego każdej spośród około sześciu tysięcy chorób jednogenowych, czyli wynikających z mutacji w jednym tylko genie. W październiku 2019 r. w „Nature” opisano już wykonanie za jednym zamachem 175 edycji ludzkiego genomu; autorzy szacują, że ich metodą można poprawić 89 proc. znanych nauce wariantów odpowiadających za choroby genetyczne.

Jest tu jednak interesujący haczyk: kluczowe znaczenie ma czas. Tylko w przypadku zapłodnienia *in vitro* istnieje dogodna możliwość nieśpiesznej pracy na pojedynczych komórkach. Oczywiście zarodka z chorób genetycznych mogłoby być więc oferowane jako dodatkowy pakiet przy leczeniu bezpłodności. W przypadku zapłodnienia naturalnego korekta dokonywałaby się na zagnieżdżonym embrionie, a każdy kolejny dzień ciąży znacząco utrudnia interwencję – ze względu na szybki przyrost liczby komórek, do których trzeba dotrzeć, ale i sam rozwój zarodka. Idea jest zaś taka, aby genom naprawić, zanim zaczną się przejawiać skutki chorób genetycznych.

Prowadzi to do ciekawej społecznie sytuacji, w której możliwe jest usunięcie chorób genetycznych – ba, nawet ich globalna eradykacja (!) – jednak wyłącznie przy nieustannym monitorowaniu stanu zapłodnienia. Oznaczałoby to potężny nacisk na społeczną kontrolę nad rodzicielstwem. Dodajmy, w charakterze technologicznej ciekawostki, jak konkretnie mogłaby się ona realizować. Istnieje już dziś możliwość monitorowania na żywo poziomu rozmaitych substancji we krwi. W 2018 r. opisano powstały z myślą o cukrzykach dyskretny, miękki implant informujący na życzenie o poziomie glukozy. Podobny implant, mierzący poziom gonadotropiny kosmówkowej – popularnego markera w testach ciążowych – mógłby kiedyś stać się czymś, co młodej kobiecie po prostu wypada mieć. Szybko wykryta ciąża, wizyta w klinice genetycznej, korekta. Proste. A kto tak nie robi – ten głupi i nieodpowiedzialny.

Dominacja maszyn

W 2015 r. grupa przedstawicieli świata nauki i technologii, m.in. Elon Musk, Steve Wozniak i Stephen Hawking, podpisała list otwarty w sprawie zagrożeń związanych z rozwojem AI. Z jej rosnącą mocą – głosi ów dokument – wiąże się ryzyko utraty kontroli. Sformułowanie, że pojawienie się superinteligentnej AI „może oznaczać koniec rasy ludzkiej”, pada nawet w popularnym podręczniku akademickim „Artificial Intelligence: A Modern

Approach”. Bill Gates, zapytany w 2015 r. o przyszłość AI, odpowiedział: „Nie rozumiem, dlaczego są jeszcze ludzie, którzy nie czują niepokoju”.

Jak miałyby wyglądać koniec świata wywołany przez sztuczną inteligencję? Niemal wszystkie scenariusze przewidują zajęcie dwóch procesów: osiągnięcia przez AI nadludzkiej inteligencji oraz jej uniezależnienia się od człowieka.

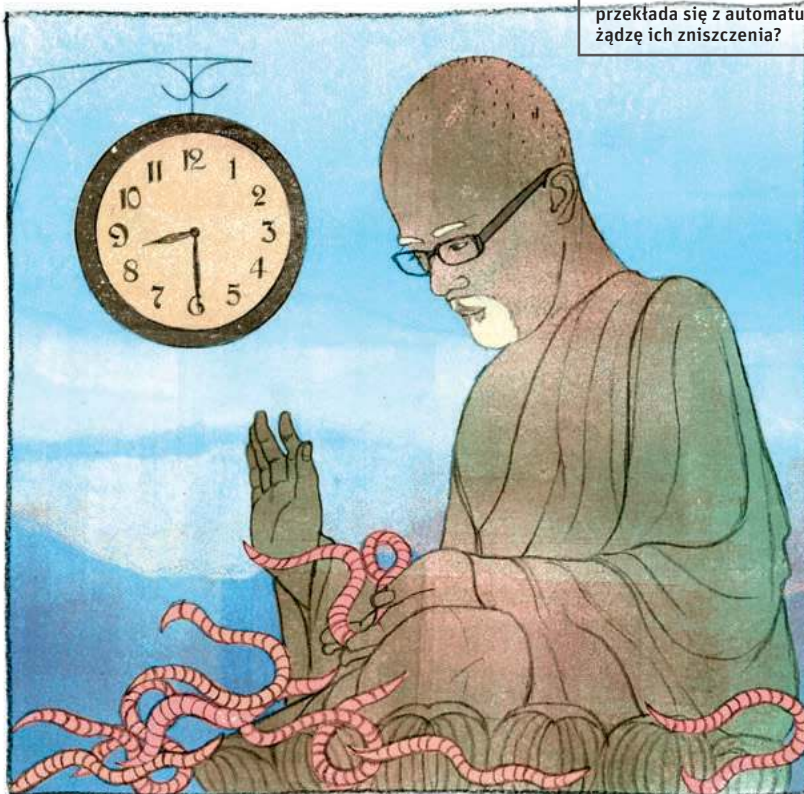
Ten pierwszy krok mamy już po części za sobą – pod warunkiem, że mówimy o wybranych, dobrze zdefiniowanych zadaniach, jak gra w szachy. Można by zaryzykować stwierdzenie, że w ciągu najbliższych lat AI osiągnie nadludzki poziom we wszystkich zadaniach, które da się na pewnym etapie sprowadzić do operowania na znakach i liczbach, i w których są jednoznaczne kryteria sukcesu. Co mieści się w tej kategorii? Niemal wszystkie gry, analiza danych, księgowość, stenografia, tłumaczenie... Lista zawodów, które – wg raportu UN-DESA, agendy ONZ do spraw społecznych i gospodarczych – mogą w XXI wieku zostać opanowane przez AI, jest długa. Trudno jednak orzec, w jakim stopniu. Autorzy oceniają,

Oto w jakim tempie program AlphaGo uczył się japońskiej gry go:

■ **0 GODZIN** – AlphaGo zna tylko podstawowe formalne reguły gry, rozgrywa pierwszą nieporadną partię sam ze sobą

■ **47 GODZIN** – AlphaGo odnajduje pierwsze joseki, czyli narażone układy kamieni, nieznane ludzkim graczom

■ **96 GODZIN** – AlphaGo potrafi już pokonać każdego człowieka



...Czy fakt, że przekroczyliśmy intelektualnie dżdżownice, przekłada się z automatu na żądze ich zniszczenia?

⇒ przykładowo, że do 2040 r. odsetek miejsc pracy w Polsce, które zostaną przejęte przez automaty i AI, mieści się w przedziale... 7–56 proc.

To jednak wciąż tylko konkretne zadania. Nie jest jasne, jak miałyby wykształcić się tzw. ogólna sztuczna inteligencja, zdolna do zręcznego przeskakowania między różnymi zadaniami, w dodatku spontanicznie, ze względu na szerszy, samodzielnie wyznaczony cel. Filozofowie i literaci lubią sobie wyobrażać, że w pewnym momencie algorytmy po prostu „klikną” i dojdzie do nagłego wyłonienia się w nich świadomości. Twórcy AI są jednak sceptyczni.

W „szczęściwych latach” AI panował wielki optymizm. W 1965 r. Herbert Simon, jeden z jej współtwórców, stwierdził, że „w ciągu dwudziestu lat maszyny będą zdolne do wykonywania każdej pracy ludzkiej”, i nie był w tym odosobniony. Wygląda jednak na to, że im więcej wiemy o AI, tym bardziej jest jasne, że przejście od zręcznego rozwiązywania problemów do intelektualnej samodzielności jest nieoczywiste. W 2006 r. na konferencję AI@50 zaproszono śmiankę światowych ekspertów, w tym ojców założycieli AI. Na pytanie, kiedy AI będzie w stanie naśladować wszystkie przejawy inteligencji ludzkiej, 41 proc. uczestników odpowiedziało „za więcej niż 50 lat”, a kolejne 41 proc. – „nigdy”.

Dołączam do sceptyków. Nie wierzę, aby AI miała nagle wybudzić się i stać się „kimś”. Zresztą nawet gdyby do tego doszło, nie boję się o losy ludzkości. Dla owej hipotetycznej, nadludzko szybkiej, rozproszonej świadomości człowiek byłby tworem równie mało interesującym i równie niegroźnym, co dla człowieka – dżdżownica. Czy fakt, że przekroczyliśmy intelektualnie dżdżownicę, przekłada się z automatu na żądę ich zniszczenia? Ponadto, z lekkim przymrużeniem oka rzecz biorąc, tempo ewolucji sztucznej inteligencji jest tak szybkie, że hipotetyczna „świadoma AI” w najwyższej kilka godzin po przebudzeniu stałaby się bodhisattwą, który pięć minut później osiągnąłby stan buddy – nie stanowiąc więc już dla nas zagrożenia. Jedynym zagrożeniem będzie dla nas, trwający pewnie parę minut, etap dzieciństwa, kiedy to rozbawione AI może po prostu z czystej ciekawości przeciąć dżdżownicę na pół, żeby popatrzeć, jak pełza.

To nie przebudzona AI powinna nas niepokoić, lecz raczej możliwości, które może uzyskać człowiek przy użyciu starej dobrej, narzędziowej AI. O tym jednak za chwilę.

Śmierć prywatności

Urządzenia mobilne to tak naprawdę przenośne detektory, za pomocą których generujemy gigantyczną ilość informacji: zdjęć, filmów, nagrań i tekstu; danych o naszym położeniu, kon-

taktach i odwiedzanych stronach internetowych; a także, coraz częściej, o naszym pulsie i poziomie aktywności fizycznej czy wręcz wynikach badań medycznych. Z wyszukiwarką dzielimy się wszystkim, od sfery publicznej po sekretną. Czy zgodzilibyśmy się udostępnić komukolwiek treść wszystkich zapytań, jakie wpisaliśmy kiedykolwiek

do Google’a? Firmy takie jak Google czy Facebook niespecjalnie kryją się z tym, że dane te są agregowane i analizowane, tj. powstaje na ich podstawie indywidualny, syntetyczny profil każdej osoby, która „wpadnie w Sieć”.

Czego konkretnie moglibyśmy się obawiać? Najczęściej artykułuje się lęk przed upublicznieniem prywatnej sfery naszego życia, a wręcz jej stopniowy zanik i zagrożenie swego rodzaju despotycznym totalitaryzmem. W 2009 r. ówczesny prezydent Google’a Eric Schmidt powiedział:

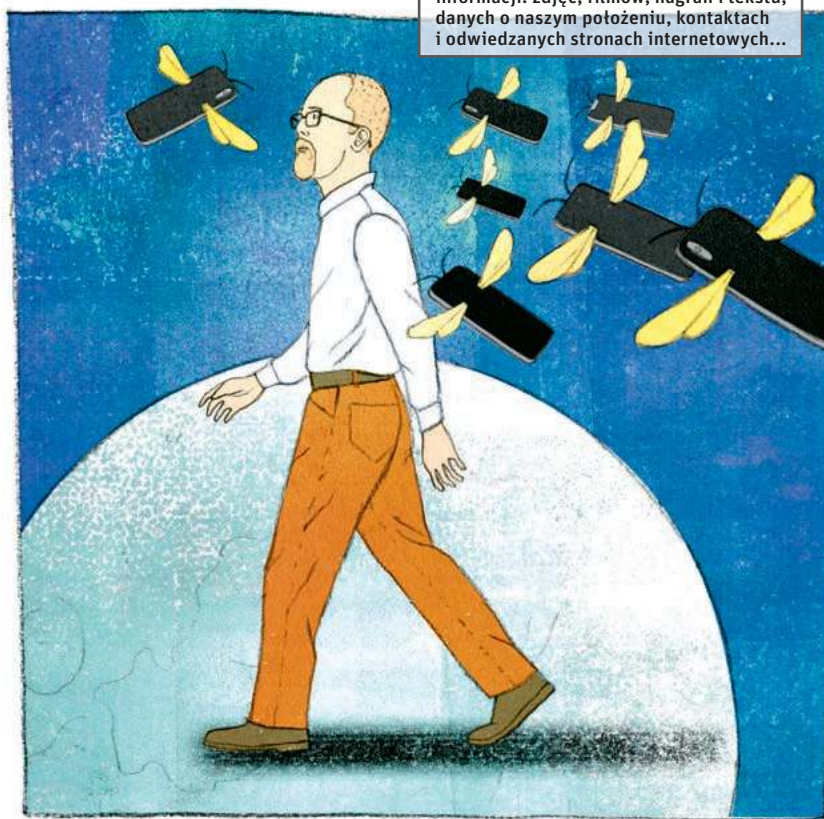
„Jeżeli jest coś takiego, o czym nie chcesz, aby wszyscy się dowiedzieli, być może nie powinieneś tego robić. (...) Prawda jest taka, że wyszukiwarki – w tym Google – przechowują

■ **2,7 MLD** – tyle osób, czyli mniej więcej jedna trzecia ludzkości, posiada własny smartfon

■ **63** – przeciętny użytkownik smartfona tyle razy dziennie wchodzi z nim w interakcję

■ **69%** – taki odsetek użytkowników smartfonów korzysta z niego w ciągu 5 minut od obudzenia się

...generujemy gigantyczną ilość informacji: zdjęć, filmów, nagrań i tekstu; danych o naszym położeniu, kontaktach i odwiedzanych stronach internetowych...



te informacje (...) i jest możliwe, że wszystkie zostaną przekazane władzom”.

To wręcz niewyobrażalne, że takie słowa padły publicznie. A jednak. Oczywiście reakcją mediów było skojarzenie z „Rokiem 1984” Orwella, w którym obywatele ze względu na ciągłą inwigilację nie tylko nie robią rzeczy niestosownych, ale wręcz nie potrafią ich już wypowiedzieć i pomyśleć. Lęk jest realny. Ba, pojawił się już nawet ruch oporu, jak choćby „degooglerzy”, którzy próbują – co nie jest wcale proste – żyć tak, aby nie dostarczać Google’owi żadnych informacji na swój temat.

Lęki te trudno zbagatelizować. Władza wynikająca z posiadania gigantycznego zbioru danych o każdej osobie jest niewyobrażalna. Niektóre zagrożenia każdy może sobie wyobrazić sam, a o jednym, chyba nieco mniej intuicyjnym, opowiem za chwilę. Teraz chciałbym jednak krótko wyjaśnić, dlaczego nie uważam, aby sytuacja ta miała doprowadzić do globalnego „kryzysu prywatności” i totalitarnego szantażu rodem z Orwella.

Przede wszystkim, szybko uczymy się korzystać z nowych technologii i jesteśmy coraz mniej naiwni. Rozporządzenia typu GDPR (w Polsce zwane RODO) realnie ograniczają możliwość gromadzenia danych – po jego wprowadzeniu Google stracił m.in. dostęp do treści wpisywanych do Gboard – wirtualnej klawiatury Google’a, z której korzysta wielu użytkowników smartfonów. Czesi w 2010 r. uniemożliwili pobieranie kolejnych zdjęć do Google Street View, a wygrane sprawy sądowe z Google’em (choć niestety na symboliczne kwoty) mają już za sobą rządy Węgier, Niemiec i USA. Choć lubimy sobie wyobrażać, że Google to wszechmocny szatan, który zawsze nas przechytry – bo perwersyjnie kochamy taką postać literacką – jest to uproszczenie.

Najważniejszy powód mojego sceptycyzmu wynika z podstawowych mechanizmów społecznych rządzących tabu. Tabu to bowiem błędne koło. W przestrzeni publicznej nie ma tego, co jest tabu. Czemu jednak coś jest tabu? Ponieważ nie ma tego czegoś w przestrzeni publicznej. Nie dźbiemy w nosie, nie obnażamy piersi i nie przeklinamy na ruchliwej ulicy nie dlatego, że są to rzeczy „z natury złe”, tylko dlatego, że nie robią tego inni. Gdyby zjawiska te występowały w przestrzeni publicznej, po pewnym czasie przestałyby być wstydlive.

Zastanówmy się: jakie to właściwie repozytorium sekretów posiada Google na temat przeciętnego człowieka? Parę żenujących zdjęć z co bardziej przesadzonych spotkań towarzyskich, trochę fizjologii, sporo wulgarności i seksu. Myślę, że XXI wiek nie będzie erą końca prywatności. Raczej erą pogodzenia się z powszechnością „tych rzeczy”.

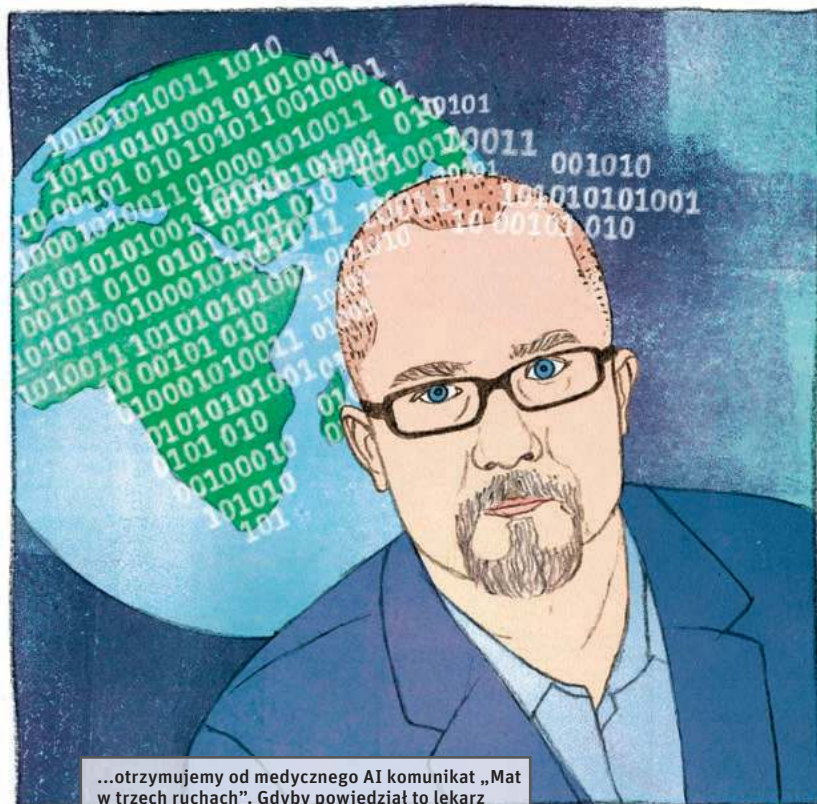
To nie jest tylko teoretyzowanie. Dotychczasowe przypadki nie świadczą o tym, by treści takie szczerze nas oburzały. Już

dzisiaj odczuwamy przecież skutki wszechobecności kamer i mikrofonów. Istnieje w internecie gigantyczny zbiór nagrań przeklinających jak szewc dziennikarzy, pijanych prezydentów i muzyków przyłapanych z kreską kokainy. Nie ma tygodnia, gdy któryś z polityków nie ujawni mimochodem na Twitterze, że w jego przeglądarce tuż za zakładką z orzeczeniami Sądu Najwyższego czają się gołe baby. Naprawdę nie wygląda na to, abyśmy z tego powodu mieli zbiorowo spłonąć ze wstydu. Ba, kto wie, czy zjawisko to nie przełoży się ostatecznie na zdrowszy, dojrzalszy stosunek do kwestii takich jak pornografia czy narkotyki?

Straszna wiedza

Spróbuję na koniec wyartykułować scenariusz, który naprawdę daje do myślenia. Nie jest to wizja końca świata ani dystopii, lecz raczej negatywne zjawisko, które może stać się „znakiem rozpoznawczym” XXI wieku.

To lęk przed wiedzą.



...otrzymujemy od medycznego AI komunikat „Mat w trzech ruchach”. Gdyby powiedział to lekarz z przychodni, można by to zbagatelizować. Co jednak, gdy orzeka nadludzka superinteligencja?

Połączmy dwa wymienione już zjawiska: istnienie gigantycznego zbioru danych o ludziach oraz algorytmów z nadludzką zdolnością wykrywających porządki. Algorytmy te mają ponadto dość niepokojącą cechę: są niezrozumiałe dla człowieka. „Starą dobrą AI” pracowicie uczylimy myślenia ludzkiego; dziś algorytmy same dochodzą do rozwiązań, których skuteczność widzimy, jednak których logika nie jest dla nas przejrzysta. Ba, istnieje już cała gałąź badań poświęcona

→ wyłącznie próbom przełożenia na ludzkie kategorie rozwiązań uzyskanych przez AI.

Przypuśćmy, że trenujemy AI na terabajtach zdjęć i filmów, danych z GPS, treści maili, każąc jej przewidzieć, kiedy dana osoba zmieni pracę, rozwiedzie się albo umrze. Dane treningowe mamy – to podzbiór osób, które rzeczywiście spotkał taki los. Skokowy wzrost jakości takich przewidywań nastąpiłby, gdyby algorytmy uzyskały dostęp do danych medycznych. I, niestety, scenariusz ten zaczyna się powoli spełniać. W kwietniu 2016 r. ujawniono, że Deep Mind Technologies, kupione w 2014 r. przez Google’a, dyspozytorem zapisów medycznych milionów brytyjskich pacjentów, umowę o udostępnienie niektórych danych właśnie dla celów trenowania AI. W listopadzie 2019 r. wyszło na jaw, że Google zawarł podobne porozumienie z amerykańską firmą Ascension, otrzymując miliony kart pacjentów: informacje o alergiach, szczepieniach, wyniki prześwietleń, zapisywane leki, diagnozy.

Przypuśćmy, że eksperyment się powiódł (co nie jest wcale oczywiste; AI to nie magia). Korzyści z istnienia tego typu systemu mogą być potężne. Wejdźmy w buty pacjenta, któremu daje się dwie możliwości: albo diagnozuje nas wyłącznie lekarz domowy, albo drugi głos otrzymuje superinteligentny system opisywany w „Nature” i „The Lancet”. Wystarczy kliknąć: „Zgadzam się na warunki usługi”. Algorytmy będą się zaś stawały tylko coraz lepsze. Przypuśćmy bowiem następnie, że uzyskanie komputerowej diagnozy wiązać się będzie ze zgodą na oddanie próbki śliny, dzięki czemu do naszej „karty” dołączy również sekwencja genomu. Gdy w grę wchodzi zdrowie i życie, chętnych nie brakuje.

Teraz o lękach. Nadludzka wiedza może być przerażająca, a niewiedza ma swoją wartość. Kto grał kiedyś w szachy z komputerowym arcymistrzem, ten zna owo dziwne, straszne uczucie, gdy w pewnym momencie pojawia się wiadomość „Mat za 13 ruchów”. My nie zauważyliśmy jeszcze nic niepokojącego, jednak z okrutnej matematyki wynika,

że mata w trzynastu ruchach uniknąć się nie da. Najlepsze, na co możemy liczyć po wykonaniu ruchu, to komunikat „Mat za 12 ruchów”.

Medycyna to oczywiście nie szachy, a diagnozy AI zawsze będą obciążone niepewnością. Pomyślmy jednak o sytuacji, w której my sami otrzymujemy od medycznego AI komunikat „Mat w trzech ruchach”. Gdyby powiedział to lekarz z przychodni, można by to zbagatelizować. Co jednak, gdy orzeka nadeludzka superinteligencja? To jak głos Boga.

Reakcja społeczna na istnienie takiego systemu może być silna. I nie ma tu znaczenia jego rzeczywista skuteczność: wystarczy kilka udanych przepowiedni, odpowiednio rozgłoszonych przez media. Wystarczy, abyśmy wszyscy w tę nieomylną moc uwierzyli – bo wtedy zaczniemy się jej lękać: samej tej siły, ale przede wszystkim utraty poczucia sprawstwa. Cokolwiek bym zrobił – mata w trzech.

Drugim kłopotliwym obszarem zastosowania AI jest system sprawiedliwości. Już dziś występuje tendencja, aby przy wydawaniu wyroków brać pod uwagę poziomy hormonów, cechy neuroanatomiczne albo genetyczne. W 2009 r. włoski sąd zmniejszył o połowę wyrok za morderstwo, gdy okazało się, że sprawca posiada wersję genu MAOA, związaną ze zwiększoną skłonnością do zachowań agresywnych. Stawia to pod znakiem zapytania kwestię odpowiedzialności. Skoro sąd może uznać, że „częściowo winne” są geny, ponieważ w pewnym stopniu tłumaczą morderstwo, to czy w miarę coraz pełniejszego rozumienia przyczyn zachowań ludzkich przekonanie o ludzkiej wolności i odpowiedzialności za swe czyny nie będzie się zmniejszać do zera?

W obu przypadkach konflikt sprowadza się ostatecznie do starej filozoficznej pary: wiedza – wolność. XXI wiek będzie tym czasem, gdy coraz silniej zacznie nam ciążyć świadomość tego, że na naszych ramionach stale spoczywa zimny pazur Konieczności. My, ludzie, mało rzeczy cenimy zaś sobie bardziej niż Wolność. Jeśli na drodze do niej stanie nam Wiedza, reakcją może być niechęć do niej, lęk i agresja.

Przestraszony *Homo sapiens* to zaś naprawdę bardzo, bardzo niebezpieczne stworzenie. © ŁUKASZ ŁAMŻA

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego
 Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wia-ra: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ,
 Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc,
 Michał Okoński, Marek Rabiń
 Mariusz Sepiolo, Andrzej Stankiewicz,
 Przemysław Wilczyński, Rafał Woś
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski,
 Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik),
 Marcin Żyła **Historia:** Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek
 (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski,
 Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska,
 Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski,

Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepiolo,
 Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn,
 Grażyna Makara (kierownik)
Wydanie internetowe: Ewelina Burda,
 Michał Kuźmiński (kierownik), Michał Okoński
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Bogucka,
 Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Sylwia Frotow,
 Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne:
 Maja Kuczyńska (kierownik),
 Anna Dziurdzikowska, Marta Filipiuk-Michniewicz,
 Monika Ochędowska, Mateusz Gawron,
 Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietoniści: Wojciech Bonowicz,
 Anna Dzięwiał-Meller, Szymon Hołownia,
 Jan Kłata, Stanisław Mancewicz,
 Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk

Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus
 Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk,
 Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata
 Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna
 Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła,
 Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek,
 ks. Tomasz Halik, ks. Michał Heller, o. Wacław
 Hryniewicz, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski,
 Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota
 Kosińska, Ryszard Koziołek, Stanisław Łubieński,
 Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski,
 Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin
 Napiórkowski, Małgorzata Nocur, Magdalena
 Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech,
 Olaf Osica, o. Wacław Osajca, Jacek Podsiadło,
 Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna
 Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna
 Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Stawek, Michał
 Sowiński, Andrzej Stasiuk, Marcelina Sumer-Brysz,
 Paweł Świątek, Jacek Taran, Joachim Trenkner

Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes),
 Piotr Mucharski (wiceprezes),
 Maja Kuczyńska (członkini)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków,
 ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11,
 redakcja@tygodnik.com.pl
Reklama, promocja: tel. 12-422-05-70,
 reklama@tygodnik.com.pl, promocja@tygodnik.com.pl
Prenumerata: tel. 12-431-26-83,
 prenumerata@tygodnik.com.pl

REKLAMA



S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

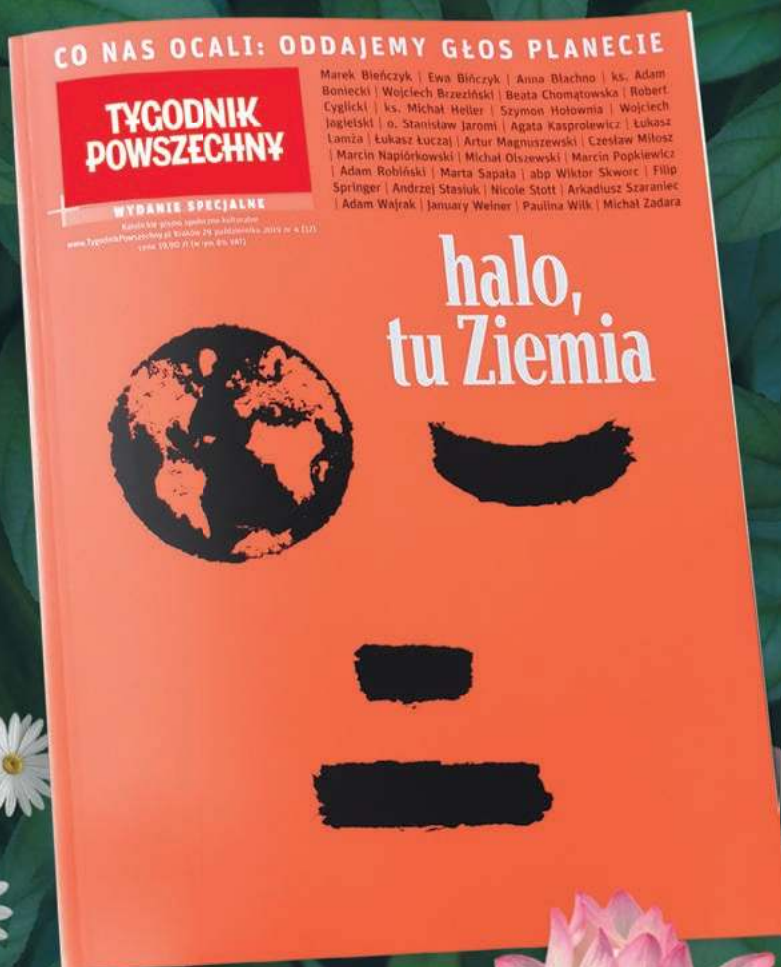


Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYM ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIEDZIA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

Możesz zdecydować o losach naszego świata. Przyszłość dzieje się teraz!



Halo, tu Ziemia. Weź, czytaj, to do Ciebie!

PAWEŁ

Śpiewak: Szukając złotej zasady



KOHELET POWIADA: „I WŁOŻYŁEM CAŁE swoje serce w badanie i dociekanie wszystkiego, co stworzone pod niebem” (Koh 1, 13). Czytając jego poemat domyśla się, że zostawił nam tylko częśćkę swoich medytacji. Pewnie tak samo rzecz

się ma z innymi biblijnymi nauczycielami mądrości. Nie wiele z ich rozważań przetrwało do współczesności, a jeśli, to dotyczyły głównie tego, co nazwać nam wypada „praktyczną mądrością”. Do niej zwraca się autor „Mądrości Salomona” i na pierwszym miejscu stawia naukę „umiarkowania i rozsądku, sprawiedliwości i męstwa, od których ponad te nie ma nic pożyteczniejszego w życiu ludzi. Jeśli zaś tęskni za wielkim doświadczeniem, bo kto zna rzeczy dawne i przyszłe, zna zwroty słów, rozwiązuje zagadki, znaki i cuda, wyrokuje wyniki pór i czasów”. Kolejność celów jest tu oczywista: pierwszeństwo mają zasady życiowe, a nauki o przeznaczeniu, wróżbach, przewidywaniu przyszłości zajmują miejsce podrzędne.

Izrael, jak wszystkie wielkie kultury i cywilizacje, poszukiwał i poszukuje czegoś, co nazwać można racjonalną zasadą. Tak pisał wielki znawca Biblii Gerhard von Rad. Czym jest owa zasada? Dotyczy wszystkich ludzi, jest stała, można na niej w życiu polegać, znajduje uzasadnienie w naszym doświadczeniu i umyśle. Nie oznacza to, że nie toczyły się i nie toczą spory o to, czym jest owa reguła. Istnieją na ten temat sprzeczne i wzajemnie wykluczające się opinie. Prowadzi to do zmiany poglądów, zastąpienia jednej reguły pełniejszą czy lepszą. Są to spory pierwszej wagi. Nie ma tu miejsca na ironię czy żarty. Jeśli szukać wstępnej tylko definicji mądrości, to właśnie oznacza poszukiwanie owej zasady. Może być nią nakaz samokontroli, a może oznaczać, że wszystkie rzeczy pod słońcem przemijają i nic poza marnością nie pozostanie. Jakże inne są nauki Hioba i Koheleta, a całkiem odmienne znajdziemy w Księdze Przysłów. Księgi mądrości – co warto powtórzyć – nie stanowią jakiejś spójnej całości. Wprost przeciwnie. Uderza w nich właśnie ich odmienność.

Zasadniczą różnicę między księgami mądrościowymi a resztą Tanach (hebrajska nazwa zbioru zwanego Biblią) jest oczywista. Mądrość szuka tego, co powtarzalne, stałe, co znajduje swój wyraz w języku abstrakcyjnym. Na przeciwnym biegunie znajdują się księgi historyczne. Nie tylko różnią się przedmiotem analiz czy refleksji, ale tworzą odrębną i samodzielną całość. Po jednej stronie jest to, co ogólne, po drugiej pojawia się Bóg w wielu swoich imionach, który kieruje za pomocą niezbadanych dekrétów dziełami ludzi, czego nie sposób wyrazić inaczej niż poprzez niepowtarzalne dla każdego zdarzenia opisy. ©

O. WACŁAW

Oszajca: Inna droga



W LIŚCIE APOSTOLSKIM „GODNY PODZIWIU znak” Franciszek mówi o Mędrcach: „Są ludźmi bogatymi, mądrymi cudzoziemcami, spragnionymi nieskończoności, wyruszającymi w długą i niebezpieczną podróż, która wiedzie ich do Betlejem”. Tam rozumieją, że Bóg, podobnie jak z suwerenną mądrością kieruje gwiazdami, tak też kieruje biegiem historii, unizając możnych i wywyższając pokornych”. Coś podobnego przydarzyło się właścicielom betlejemskiego zajazdu, kapłanom i Herodowi, ale oni, w przeciwieństwie do Maryi, Józefa, Elżbiety, Zachariasza, pasterzy, Mędrców, Anny i Symeona, rozminęli się z Jezusem, z najważniejszym wydarzeniem nie tylko tamtego czasu. Właściciele gospody nie zauważyli, że odręczając ciężarną kobietę, odrzucili Boga.

Na początku Adwentu Franciszek w przemówieniu do redakcji „Aggiornamenti Sociali” mówił: „Nigdy, nigdy nie ukrywajcie tego, co się dzieje w rzeczywistości. (...) Rzeczywistość jest taka, jaka jest i ma swój sposób rozumienia samej siebie. Trzeba ją zrozumieć”. A w orędziu na Dzień Pokoju napisał: „W obliczu następstw naszej wrogości wobec innych, braku szacunku dla wspólnego domu i rabunkowej eksploatacji zasobów naturalnych (...) potrzebujemy nawrócenia ekologicznego”. Według papieża ta ekologiczna konwersja polega na umiejętności uchwycenia tego, co dzieje się tu i teraz, oraz na odwadze zmierzenia się z tym, co jest złe. „Wiemy przecież, że całe stworzenie aż do tej chwili woła i cierpi jak rodząca kobieta. Zresztą nie tylko ono, ale również my, którzy mamy pierwsze owoce Ducha. My więc także wołamy w naszych sercach, ufnie oczekując uznania za dzieci, czyli odkupienia naszego ciała” – mówi Paweł Apostoł.

Ekologiczne nawrócenie rozpoczyna się więc od uwierzenia, że świat „został nam dany przez Boga, abyśmy go uczynili naszym wspólnym domem. Istotnie, zasoby naturalne, liczne formy życia i sama Ziemia zostały nam powierzone, abyśmy je »uprawiali i strzegli«, także dla przyszłych pokoleń. (...) Ponadto potrzebujemy przemiany przekonań i spojrzeń, która otworzyłaby nas bardziej na spotkanie z drugim człowiekiem i na przyjęcie daru stworzenia, które odzwierciedla piękno i mądrość Stwórcy” – mówi Franciszek.

Jan Paweł II powiedział o Betlejem, że „w tym mieście zawsze jest Boże Narodzenie”. Kończąc tegoroczne świętowanie, wzorem Mędrców, którzy usłyszeli we śnie polecenie, aby „inną drogą wrócili do ojczyzny”, wracajmy do naszych powszednich ojczyzn, ale „inną drogą” – z bardziej czułym nastawieniem do takiego świata, jaki mamy, gdyż, parafrazując słowa papieża, Boże Narodzenie jest zawsze wszędzie. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:

Błogosławieństwo dla Judy

*Dla rozumnej istoty żywej
tym samym jest działanie
zgodne z naturą i zgodne
z rozumem.*

MAREK AURELIUSZ



*Skrucha działa podwójnie:
pracuje i strzeże.*

ABBA POJMEN



JAKIŚ CZAS TEMU LITURGIA przypomniła błogosławieństwo-proroctwo udzielone Judzie przez jego ojca – Jakuba. „Judo, ciebie sławić będą bracia

twoi (...), Judo, młody lwie, (...) mój synu (...). Nie zostanie berko odjęte od Judy, ani laska pasterska spośród jego kolan, aż przyjdzie Ten, do którego ono należy, i zdobędzie posłuch u narodów” (Rdz 49, 9-10).

To jeden z najbardziej zdumiewających tekstów w Biblii. Od 37. rozdziału Księgi Genesis jest przecież historią innego Jakubowego syna – Józefa. To on jest zapowiedziany jako „numer 1”. Sprzedany przez zazdrosnych braci do niewoli w Egipcie, staje się „wicefaraonem” i zarządza zasobami państwa. Wydziela żywność ojcu i braciom, gdy dotyka ich głód w Kanaanie. Staje się zbawcą swojej rodziny. I właśnie w tym momencie Jakub umiera, udzielając przed śmiercią błogosławieństwa wszystkim swoim synom. Spośród nich, jako niekwestionowanego ich przewodnika, wskazuje nie Józefa, lecz Judę. W nim upatruje lidera i władcy (lew) – choć jeszcze potrzebującego okrzepnięcia (młody).

Dlaczego? To przecież Juda był inicjatorem sprzedania Józefa w niewolę. Potem zaś sam „opuścił” (Rdz 38, 1) swoich braci – hebrajska Biblia używa tu słowa „*yarad*”, które znaczy też „schodzić w dół, w niższy region”, a nawet „upaść” lub „spowodować

czyjś upadek”. I nic dziwnego, że odejście Judy z grona krewnych jest interpretowane bardziej w kategoriach moralnego upadku niż zmiany miejsca zamieszkania. Rzeczywiście, wkrótce grzech zaczyna się w sposób wstrząsający panoszyć w życiu Judy i jego najbliższej rodziny...

A teraz błogosławieństwo dla niego jako lidera? Z prorocstwem, że to z jego rodu narodzi się Mesjasz? Co uzasadnia ten wybór? Odpowiedź egzegetycznej tradycji żydowskiej jest taka: spośród wszystkich synów Jakuba Juda jest tym, który doświadczył prawdziwego nawrócenia. Widać to, gdy w Egipcie okazuje się, iż ceną za pomoc Izraelowi ma być uwięzienie Beniamina. Na wieść o tym Juda mówi do (jeszcze nierozpoznanego) Józefa: „niechaj ja, sługa twój, zostanę zamiast chłopca niewolnikiem pana mego, on zaś niechaj pójdzie ze swymi braćmi” (Rdz 44, 33). Bóg dokonał w nim głębokiej wewnętrznej przemiany, uczynił go innym człowiekiem: z zazdrosnego egoisty stał się kimś, kto kocha i potrafi wziąć odpowiedzialność za drugiego.

Otwartość na nawrócenie i doświadczenie nawrócenia jest tym, co pozwala przewodzić. I właśnie dlatego Juda jest też w księdze rodowodu Jezusa Chrystusa. Bo Jezus, również dziś, nie wstydzi się mieć grzeszników za „przodków”; On, po trzykroć Święty, może się urodzić z grzesznika. Nawróconego... To najlepsza z nowin, jakie usłyszałem ostatnio podczas liturgii. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (5 – 19 I)

Druga niedziela po Narodzeniu Pańskim: Syr 24, 1-2.

8-12; Ps 147B; Ef 1, 3-6. 15-18; J 1, 1-18;

Poniedziałek – Uroczystość Objawienia Pańskiego:

Iz 60, 1-6; Ps 72; Ef 3, 2-3a. 5-6; Mt 2, 1-12;

Wtorek: 1 J 3, 22 – 4, 6; Ps 2; Mt 4, 12-17. 23-25;

Środa: 1 J 4, 7-10; Ps 72; Mk 6, 34-44;

Czwartek: 1 J 4, 11-18; Ps 72; Mk 6, 45-52;

Piątek: 1 J 4, 19 – 5, 4; Ps 72, Łk 4, 14-22a;

Sobota: 1 J 5, 5-13; Ps 147B; Łk 5, 12-16;

Niedziela Chrztu Pańskiego: Iz 42, 1-4. 6-7; Ps 29;

Dz 10, 34-38; Mt 3, 13-17;

Poniedziałek: 1 Sm 1, 1-8; Ps 116B; Mk 1, 14-20;

Wtorek: 1 Sm 1, 9-20; Ps 1 Sm 2, 1. 4-5. 6-7. 8;

Mk 1, 21-28;

Środa: 1 Sm 3, 1-10. 19-20; Ps 40; Mk 1, 29-39;

Czwartek: 1 Sm 4, 1-11; Ps 44; Mk 1, 40-45;

Piątek: 1 Sm 8, 4-7. 10-22a; Ps 89; Mk 2, 1-12;

Sobota: 1 Sm 9, 1-4. 17-19; 10, 1; Ps 21; Mk 2, 13-17;

Druga niedziela zwykła: Iz 49, 3. 5-6;

Ps 40; 1 Kor 1, 1-3; J 1, 29-34.

Wybrał PIOTR SIKORA

STRAŻNICZKA SIECI

To miała być wolna przestrzeń, sprzyjająca demokracji.
W zamian mamy włości kilku wszechwładnych cesarzy
w cyfrowym feudalizmie – mówi Katarzyna Szymielewicz,
prezeska fundacji Panoptikon.

KRZYSZTOF STORY

ROK 1787. ANGIELSKI FILOZOF JEREMY Bentham projektuje więzienie idealne. W pracy naukowej wyklada nowe zasady budowy instytucji, w których ludzie powinni znajdować się pod nadzorem. W tytule precyzuje, że chodzi o architekturę „w szczególności więzień, ale też aresztów, fabryk, warsztatów, przytułków, lazaretów, manufaktur, szpitali, domów wariatów i szkół”.

Jego Dom Nadzoru ma kształt pierścienia, podzielonego na pojedyncze cele tak, by komunikacja między więźniami była niemożliwa. W centrum znajduje się oddzielona od reszty wieża strażnicza. Cele są dobrze oświetlone, wieża – ciemna, dźwiękoszczelna, otoczona lustrami weneckimi. Dzięki temu więźniowie nigdy nie wiedzą, w którą stronę spogląda strażnik. Nie widzą, czy w ogóle tam jest. Wiedzą tylko, że mogą być obserwowani w każdej chwili. Bentham twierdził, że dzięki temu staną się strażnikami dla samych siebie, a więzienie będzie tańsze w utrzymaniu. Swoją projekt nazwał Panoptikonem. Z greckiego: *pan* (wszystko) i *optikos* (widzieć).

Dwieście dwadzieścia dwa lata po publikacji Benthama czwórka młodych polskich prawników zakłada fundację Panoptikon. Chcą chronić ludzi przed manipulacjami władzy, sterowaniem emocjami za pomocą informacji. Od początku skupiają się na nowych technologiach, zwłaszcza na internecie. Nazwa ma im przypominać o kierunku, w którym nie chcą zmierzać. Bo chociaż architekto-

niczny Panoptikon nigdy nie powstał, koncepcja Benthama przetrwała. Każde nasze kliknięcie, każdy ruch w sieci, każde wrzucone zdjęcie pozostawia po sobie ślad. Ślad, który można skatalogować, wykorzystać, sprzedać. I podobnie jak w więzieniu idealnym – tu też nie widzimy strażnika.

Wiedza to władza

Prezeską fundacji od początku jest Katarzyna Szymielewicz: – Wtedy byliśmy głosem na pustyni – mówi. – Panoptikon, wbrew temu, czego wówczas oczekiwały media, nawoływał do krytycznej refleksji na temat nowych technologii, których w Polsce dopiero się uczylimy. Jako społeczeństwo wchodziliśmy w ten świat entuzjastycznie i często bezrefleksyjnie. Dzisiaj przekaz jest o wiele bardziej krytyczny. My zaś nie fetyszujemy technologii, nie przypisujemy jej niszczących mocy, ale konsekwentnie pokazujemy zagrożenia.

Fundacja powstała 10 lat temu. Dzisiaj Panoptikon jest jednym z najważniejszych głosów w debacie nad prawem internetu.

– Pomysł na Panoptikon nie zrodził się tylko ze złości, z niezgody na świat. Musieliśmy przejść całą drogę od pogłębionej refleksji na temat tego, co w tym świecie nie działa, do pomysłu na działanie – mówi Szymielewicz. – Sama refleksja nie była nowa, bo czerpaliliśmy z prac filozofów: Foucaulta i Agambena. Kluczowe dla nas było stwierdzenie, że wiedza to

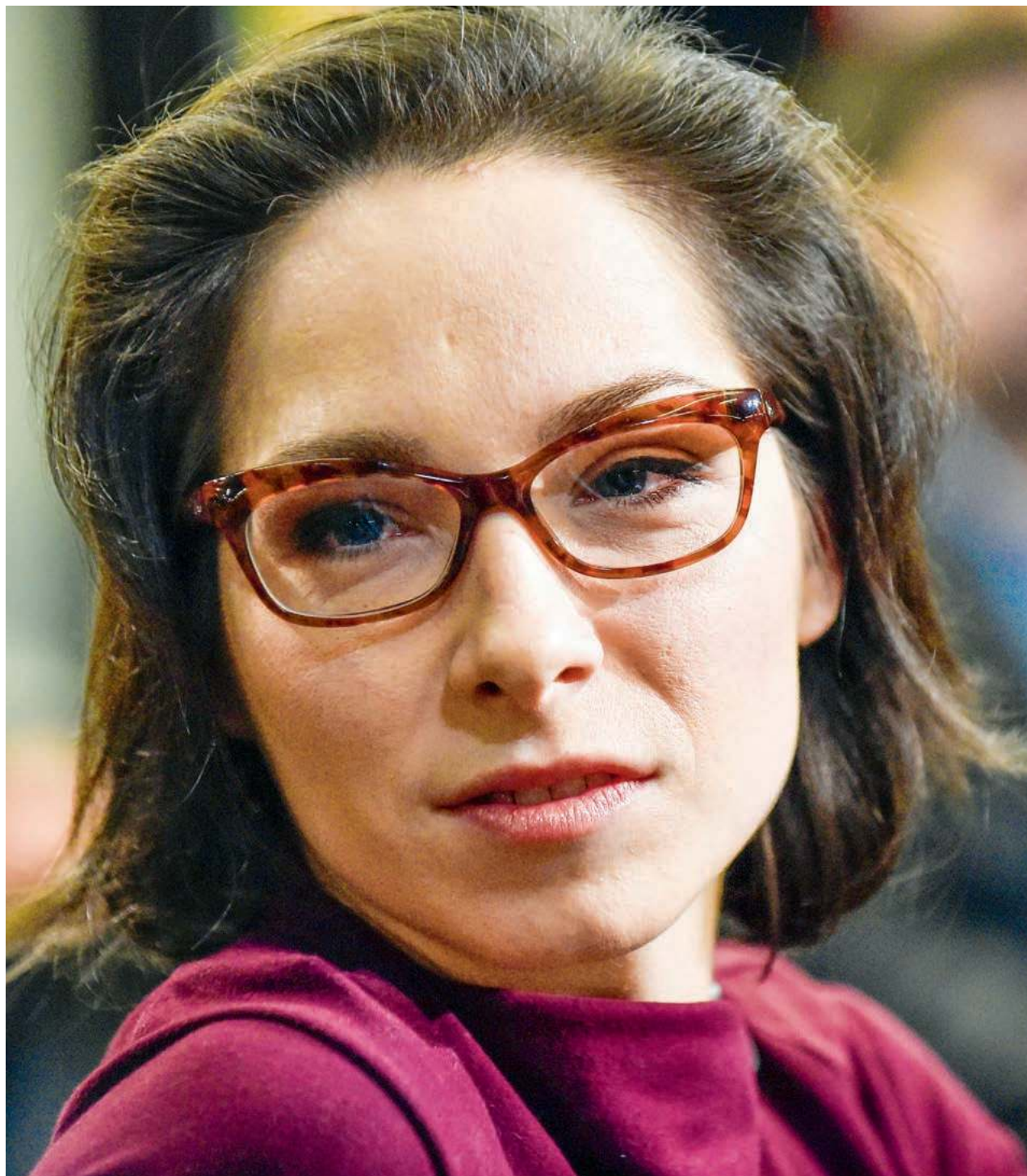
władza. A odkąd żyjemy w społeczeństwie informacyjnym, wiedza pochodzi z danych. To właśnie na bazie ciągłej obserwacji ludzi, dzięki przetwarzaniu ich cyfrowych śladów, wytwarzana jest wiedza o tym, jak działa współczesny człowiek. Dzięki tej wiedzy można na niego wpływać. Na to, co kupuje, ale też jak głosuje, co myśli, w co wierzy. W tej opowieści nie da się pominąć internetu.

Esej

Szymielewicz musiała się więc internetu nauczyć. Z wykształcenia jest prawniczką. Po studiach trafiła na staż do międzynarodowej kancelarii, na wysokie piętro w szklanym wieżowcu. Wytrzymała tam trzy lata, poczuła, że musi uciekać z powrotem do realnego świata, bo w pracy czuła się od niego odcięta. Uciekła do Londynu na drugie studia, do nowej pracy.

– Byłam świeżo po studiach i obserwowałam niepokojące zmiany w naszej rzeczywistości. Próbowalam je po swojemu nazwać. Ludzie zarządzani za pomocą narracji opartych na strachu. Instrumentalnie wykorzystywane prawa człowieka, nawet do zabijania innych ludzi w ramach wojny z terroryzmem. Jeśli mnożą ci się w głowie takie obserwacje, masz dwa wyjścia. Napisać o tym esej albo próbować coś z tym zrobić. Ja chciałam spróbować.

Zacząło się od spotkania czterech osób, które czuły coś podobnego. Jedną to Małgorzata Szumańska, koleżanka ze studiów. Pozostałe dwie zasugerował Kata-



MACIEJ KOSYCARZ / KFK

Katarzyna Szymielewicz, 2017 r.

rzynie jej mentor, Adam Bodnar. Obecny rzecznik praw obywatelskich widział wtedy zapotrzebowanie na organizację pozarządową broniącą praw do prywatności, do kontroli nad naszymi danymi.

– Nie jesteśmy tylko „organizacją od internetu”. Nie mówimy tylko o technologii. Internet traktuję jak kolejne narzędzie władzy, takie same jak pałka policyjna czy codzienna gazeta. Skoro ist-

nieje, zostanie użyte. Różnica polega jedynie na skali oddziaływania i skuteczności. W tej konkurencji internet zdecydowanie wygrywa, bo mechanizmy władzy są tu bardziej subtelne, mniej widoczne.

Jeszcze w 2009 r. Szymielewicz poszła do grupy komputerowych geeków, która co wtorek spotykała się w Warszawie. Przedstawiła pomysł na fundację. Powiedziała, że czuje, iż internet jest proble-

mem, i zapytała, jak on działa. Jak to się dokładnie, w szczegółach dzieje, że ona klika „Enter” i ktoś dostaje wiadomość? Albo co decyduje o wyświetlanej reklamie? Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

– Nie ma osoby, która by rozumiała cały ten złożony system. On nas przerósł – mówi Szymielewicz. – A jednocześnie ma wpływ na każdy aspekt naszego życia.



Era cesarzy

→ To prawda. Nie ma już podziału na świat *online* i *offline*. To dwa wymiary, które tworzą jedną całość. Nie wyobrażamy sobie jednego bez drugiego. Bez internetu nie ma płatności, komunikacji, protestów politycznych. Jednocześnie każdy ruch w sieci zostawia ślady. Generujemy dane kupując, lajkując, rozmawiając, a nawet pojawiając się w określonym miejscu.

– Problem polega na tym, że straciłmy kontrolę nad naszymi danymi – mówi Szymielewicz. – Zaczynając od tego, że nie wiemy, kto je zbiera i jak wykorzystuje. Kończąc na tym, że przeraża nas próba wyobrażenia sobie, ile tych cyfrowych śladów jest i jaką wiedzę o nas można z nich, dzięki analizie statystycznej, wyciągnąć. W tym sensie naprawdę żyjemy w panoptikonie. Może nas obserwować i państwo, na przykład jeśli pojawiajemy się na protestach, i prywatne firmy, które chcą nam coś albo nas komuś sprzedać. Niestety człowiek szukający informacji w sieci jest przede wszystkim celem. Źródłem stałego dochodu dla kilku cyfrowych gigantów.

My też, jako społeczeństwo, powoli się tego uczymy. Pomiędzy utyskiwaniami na RODO a faktem, że nikt nie czyta warunków użytkowania największych usług internetowych, zaczęliśmy do internetu podchodzić sceptycznie. Tylko przez 10 lat istnienia Panoptikonu miało miejsce kilka przełomowych wydarzeń. Protesty przeciwko ACTA, sprawa Edwarda Snowdena, afera Cambridge Analytica. Zobaczyliśmy, że sieć nie jest demokratycznym eldorado. Po miliardowych karach dla Facebooka, oskarżeniach o wpływanie na wyniki wyborów w Stanach Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii ciężko utrzymywać narrację o wolnym i dającym wolność internecie. Według Szymielewicz cyfrowi giganci oferują nie tylko usługi, z których korzystamy, ale też potężny aparat nadzoru o olbrzymich skutkach ubocznych. I to nie my, użytkownicy, jesteśmy w tej grze podmiotem.

– Narodzinom masowego internetu towarzyszyła liberalna narracja, niemal legenda polityczna, zbudowana na obietnicy dostępu do informacji, wolności słowa, demokracji – mówi prezeska Panoptikonu. – Tylko że ta obietnica nigdy się nie zmaterializowała. W praktyce, w naszym cyfrowym życiu, doświadczamy raczej średniowiecznej kondycji.

Nikt nie pytał nas o zdanie

w największym
eksperymentcie społecznym
naszych czasów.
Dlatego może być
za późno na drobne regulacje,
które próbują naprawić
istniejący system.

Kilku cesarzy – m.in. Facebook, Amazon, Google – podzieliło sieć między siebie, tworząc zamknięte ogrody. Do tych cesarskich ogrodów jesteśmy wabieni obietnicą darmowych, spersonalizowanych usług. Ale już w środku okazuje się, że mamy pozycję nawet nie chłopów, tylko czegoś na kształt biomasy, którą algorytmy przetwarzają na profile marketingowe.

– A jak to wpływa na naszą codzienność? – pytam Szymielewicz.

– Jeśli wpiszę w wyszukiwarkę słowo „rower” i wejdę na jakąkolwiek komercyjną ofertę, później przez tydzień oglądam reklamy rowerów – to wiedzą wszyscy. Oswoiłmy ten mechanizm, mimo że codziennie przypomina nam, że nie mamy żadnej kontroli nad swoimi danymi. Trudno nam dostrzec osobistą szkodę, bo wpływ, jaki wywierają na nas ci, którzy dużo o nas wiedzą, jest subtelny, a jego negatywne skutki – odroczone. Dokładnie tak jak w przypadku palenia papierosów czy niezdrowego jedzenia. Łatwiej dostrzec tę szkodę w skali społecznej. Choćby to, co stało się z mediami: zalew fake newsów i clickbaitów. Śledząca technologia ma też negatywne skutki ekologiczne, a nawet zdrowotne. Kilkanaście lat temu bezrefleksyjnie weszliśmy w świat internetu, odkrywaliśmy kolejne usługi jak nowe zabawki. A dzisiaj okazuje się, że jesteśmy od tych interfejsów pouzależniani, przebudzcowani, zalani informacyjną papką.

Slow tech

Szacuje się, że około 10 procent dzieci w Polsce może mieć zaburzenia psychiczne. Między innymi przez zanurze-

nie w nowe technologie – wszechobecność aplikacji, internetu, informacji.

Oczywiście technologia to nie tylko zło i szkody. Twitter w 2019 r. zakazał płatnej reklamy politycznej, choć to raczej sprytna zagrywka marketingowa bez realnych strat. Są firmy, które nigdy nie zarabiały na komercjalizacji danych, funkcjonują w innym modelu (np. Apple czy Netflix). Sam Panoptikon w ciągu 10 lat odniósł sporo sukcesów. Dzięki działaniom fundacji Polska nie przyjęła pisanego „na kolanie” prawa antyterrorystycznego, dającego służbom dużo większy nadzór. Polskie władze nie profilują też osób bezrobotnych.

Szymielewicz wylicza aspekty, w których dane mogą być nam bardzo przydatne: dzięki nim można lepiej planować zasady ruchu, nowe inwestycje, ochronę zdrowia czy polityki publiczne. Tylko że dziś nie jest to w interesie wielkich platform.

Prezeska Panoptikonu uważa, że obecny system wyrządza nam tak dużo szkód, że mamy prawo go regulować. Żądać od niego dużych zmian. Oczekiwać, że oprócz Nowego Zielonego Ładu (ogłoszono właśnie przez Unię Europejską) powstanie kiedyś Nowy Cyfrowy Ład.

– Do tej pory próby regulacji wyglądały podobnie – mówi Szymielewicz. – Do naszych cyfrowych cesarzy przychodził któryś z silniejszych regulatorów, np. Komisja Europejska, i w imieniu poddanych proponował coś na kształt konstytucji. Że teraz cesarz powinien działać bardziej przejrzysto, nie powinien blokować arbitralnie tego, co piszemy, a jednocześnie powinien nas chronić przed „złym”, dajmy na to mową nienawiści. I cesarze stopniowo na te reguły przystają, bo dostrzegają w tym swój interes. Im więcej publicznych funkcji im powierzamy, tym bardziej legitymizujemy ich władzę nad nami. Żadna z tych „konstytucji” nie odebrała im jeszcze rzeczywistej władzy nad danymi. Nadal jesteśmy zdani na zaprojektowane przez nich interfejsy, które subtelnie, ale bardzo skutecznie określają to, kim jesteśmy w sieci.

– A co można zrobić? Co ja mogę zrobić? – pytam prezeskę Panoptikonu. Przecież nawet jeśli usunę konto na fejsie, to i tak reklamy i dane z Facebooka będą miały wpływ na wyniki wyborów w moim kraju.

– Strategie indywidualne są wymagające i często skazane na porażkę – odpowiada Szymielewicz. – Nie możemy obar-

czać pojedynczego człowieka odpowiedzialnością za tak złożony system, ocze-kiwać, że on „sam się ogarnie” i pójdzie pod prąd technologicznym trendom. Owszem, jest grupa ludzi, którzy mogą sobie na to pozwolić, mają wiedzę, motywację i pieniądze. Wybiorą analogową edukację dla swoich dzieci, usługi szyte na miarę, a niekoniecznie śledzące. Bezpieczne, ale droższe urządzenia. Taki ruch *słow tech* jest potrzebny, a nawet niezbędny. Ale sama awangarda nie wystarczy. Musi istnieć rozwiązanie systemowe. Niestety, ale potrzebujemy twardych regulacji.

Pytanie, którego nie było

Szymielewicz mówi o nowej umowie społecznej z platformami, które dzisiaj zawłaszczyły internet. O otwarciu zamkniętych ogrodów i odebraniu władzy cesarzom. Na przykład dzięki temu, że każdy z nas będzie mógł sam ustawić swój profil marketingowy, zamiast być śledzonym przez algorytm Facebooka. O tym, że potrzebujemy informacji w innym schemacie niż ten podawany przez Google'a. Panoptikon pracuje nad rozwiązaniami, które mogłyby taką wizję wprowadzić w życie.

– Od 2013 roku, kiedy protestowaliśmy przeciw ACTA, poprzez kolejne lata pracy nad RODO, przechodziłam wewnętrzną zmianę od wiary w moc polityki w kierunku wiary w siłę idei – tłumaczy Szymielewicz. – Jeśli coś w tym zgłębku ma znaczenie, to właśnie idee. Potrzebujemy lepszych pomysłów na urządzenie tych technologicznych ogrodów. Nie możemy ograniczać się do kolejnego punktowego protestu, batalii sądowej z Facebookami tego świata czy walki o lepsze przepisy. Ten system trzeba wymyślić na nowo. A więc musimy potrząsnąć ludźmi i zapytać: takiego internetu chcieliście?

Tego pytania przy powstawaniu internetu, a zwłaszcza przy jego komercjalizacji nikt nigdy nie zadał. Ani pojedynczy użytkownicy, ani prawo w żaden sposób nie ograniczało rozwoju platform, które krytykuje Szymielewicz. W największym eksperymencie społecznym naszych czasów nikt nie zapytał nas o zdanie. Dlatego dziś może być już za późno na drobne regulacje, które próbują naprawić istniejący system. Być może naprawdę trzeba go zburzyć i zbudować od nowa. Szymielewicz twierdzi, że powinniśmy wyjść z logiki usług i zysków, a zacząć myśleć pra-

Jesteśmy wabieni obietnicą darmowych usług.

Ale okazuje się, że mamy
pozycję czegoś
na kształt biomasy,
którą algorytmy
przetwarzają na profile
marketingowe.

wami człowieka. Być może wtedy uspołecznienie struktury cyfrowych gigantów nie będzie już tak radykalne.

– Niech pan sobie wyobrazi, że stawiamy naszych cyfrowych cesarzy w takiej roli, jaką dziś zajmują koncerny paliwowe. Firm, które bezpośrednio zagrażają naszemu zdrowiu, naszemu środowisku, a nawet rynkowi, bo go monopolizują – mówi prezeska Panoptikonu.

– Porównuje pani kryzys klimatyczny do technologicznego? – dopytuje.

– Obydwa mają tę samą dynamikę. Długo nie widać objawów. Dopiero pewna skala informacyjnego zanieczyszczenia, suma złych nawyków przekłada się na zniszczenie: naszych relacji społecznych, psychologicznych mechanizmów obronnych, naszego zdrowia. W przypadku technologii informacyjnej mówimy o trzech dekadach.

– Przeciwno zmianom klimatycznym na ulice wychodzą dziś setki tysięcy ludzi. Zawiłości technologiczne nie porwą tłumów. Poza tym, gdzie mieliby się umówić, skoro usuną Facebooka?

– Przecież ludzie organizowali się i przed Facebookiem. Z pewnością zawiłości technologiczne nie porwą tłumów, ale realne stawki, koszty społeczne? Najważniejsze jest znalezienie odpowiedniego języka. O tym, że trwa kryzys ekologiczny, wiemy co najmniej od lat 70., czyli już dobre pół wieku, a wciąż są tacy, którzy kwestionują jego istnienie. Facebook skończy w tym roku 15 lat, a Panoptikon 10. Minie jeszcze chwila, zanim w tych zamkniętych ogrodach zacznie brakować nam powietrza. Raczej szukamy sposobu, żeby otworzyć w ich ogrodzeniach nowe furtki.

Prezeska Panoptikonu mówi o wartościach, o prawach, o otwieraniu ogrodów. To wszystko pięknie brzmi. Tylko że po drugiej stronie stoją największe korporacje i ich miliardowe zyski.

– Tak, to walka Dawida z Goliatem – przyznaje Szymielewicz. – Żeby organizacje takie jak Panoptikon mogły ją wygrać, potrzebujemy ludzi i ich wsparcia. Również finansowego. Na szczęście coraz więcej ludzi podziela nasz niepokój. Są też – np. w Parlamencie Europejskim – postępowi politycy i jest mnóstwo firm, które na obecnym modelu tracą. W tej grupie są m.in. media internetowe. Jesteśmy w innym miejscu niż 10 lat temu. Narracja o głębokim kryzysie w świecie technologii to już nie jest gdybanie ani teorie spiskowe. Zwykli użytkownicy zaczynają czuć, że coś w internecie jest nie tak. Brakuje jeszcze powszechnej refleksji, co dokładnie i jak to zmienić – w tym widzę nasze, Panoptikonu, zadanie. Ale artykulacja tej, mówiąc językiem Muminów, „cośnietakości” już ma miejsce. To jest nasz największy sukces przez te 10 lat. Udało się wzbudzić krytyczne myślenie. Zaczęła nas ta „cośnietakość” uwierać i motywować do szukania innych ścieżek.

– A największa przeszkoda? – pytam Szymielewicz.

– My sami – odpowiada. – Mnie od początku motywuje potrzeba kontrolowania systemu, patrzenia na ręce tym, którzy zarządzają naszymi lękami, emocjami, wyobrażeniami. Chciałam zajrzeć tam, gdzie mechanizmy władzy są najmniej czytelne. Ale ciężko tę misję przełożyć na masowy ruch. Zdaję sobie sprawę i doceniam, jak potwornie wysokie jest to wymaganie w stosunku do człowieka zajętego swoim codziennym zmaganiem. Wiem, jak bardzo naszą zdolność do kontestowania rzeczywistości ogranicza nasz „gadzi mózg”. Po co mam kwestionować swoje odruchy, pozbawiać się przyjemności, podejmować wysiłek? Wszyscy jesteśmy rozgrywani przez proste chemiczne reakcje, które zachodzą w naszym mózgu. A te reakcje w coraz większej mierze stymulują dziś technologiczne interfejsy.

– Wkurza się pani?

– Nie, to raczej rozczarowanie, że człowiek jest tylko człowiekiem. Obawiam się, że nie zrozumiemy natury tych zagrożeń, dopóki nie będzie zupełnie źle. Że jednak musimy się na tej drodze wywrócić.

© KRZYSZTOF STORY



ZYGMUNT JANUSZEŃSKI

Kto zaciągnie hamulec

JAROSŁAW FLIS

Wszystkim obozom politycznym szykującym się do wyborów prezydenckich zależy wyłącznie na tym, żeby druga strona nie przejęła tego urzędu.

POMIJAJĄC USTALENIE DATY, POZOSTAJE tylko jedna niewiadoma co do wyborów prezydenckich – kto będzie kandydatem Lewicy. Jak dotąd, całe to wydarzenie charakteryzuje bardzo daleko posunięta przewidywalność. Pomimo spekulacji pojawiających się w ostatnich latach nic nie wskazuje, aby rządząca partia miała innego kandydata niż urzędujący prezydent. Okazało się zatem, że głosy te miały raczej charakter wewnętrznej rozgrywki osłabiającej jego pozycję. Ta zaś nie jest wcale daleka od tej, którą miał Bronisław Komorowski przed pięciu laty. Gdy wówczas pojawiła się kandydatura Adrzeja Dudy, nie brakowało rozważań, czy to aby nie ktoś, kto stanie się punktem odniesienia, ukierunkowującym działania partii rządzącej. Dziś nikomu to już nie przychodzi na myśl. Pozycja prezydenta w obozie władzy jest równie pewna, co słaba.

Podobnie jak w przypadku Komorowskiego, obozowi rządzącemu wydaje się, że prezydentura obroni się niejako z rozędu i nie będą potrzebne tu żadne specjalne działania. Panuje przekonanie, że konkurencja jest słaba i rozbita, zaś własna przewaga w dostępnych zasobach, możliwościach komunikacji i sile zaplecza wystarcza, by powtórzyć sukces. Jedyna istotna różnica, w porównaniu z końcem poprzedniej kadencji, jest taka, że dzisiaj już wiemy, jak poprzednio skończyło się takie przekonanie.

Przywódcy

Zaskoczeniem nie okazał się też wynik prawyborów w PO. Znowu, podobnie jak w przypadku Bronisława Komorowskiego, wśród pozytywnych rzeczy, które można powiedzieć o kandydaturze Małgorzaty Kidawy-Błońskiej, na pewno nie jest to, że zobaczymy osobę, która przejmie niekwestionowane przywództwo – choćby we własnym obozie politycznym, nie mówiąc już o całym kraju.

Aspiracje przywódcze ma natomiast kandydat, który w zasadzie jako pierwszy rzucił wyzwanie urzędującemu prezydentowi, czyli Władysław Kosiniak-Kamysz. Stało się to na fali nieprzewidywanego przez sondaże sukcesu w wyborach parlamentarnych. O ile stało się oczywiście, że liderzy dwóch największych partii z pewnością nie będą się ubiegać o urząd prezydenta, to start Kosiniaka-Kamysza był okazją do zdobycia dodatkowych

punktów, podobnie jak w debatach podczas ostatniej kampanii.

Kto wie, czy nie doprowadzi to do zaskakującego sukcesu, który był udziałem obecnego prezydenta Austrii wywodzącego się z partii Zielonych. Wówczas obydwie główne partie, chadecy i socjaldemokraci, wystawiły postaci z tylnych szeregów, dając kandydatowi drugoligowej partii szansę na przejście do drugiej tury, a następnie zaskakujące zwycięstwo. Bez wątplenia taki sukces byłby dla PSL zarówno wielkim osiągnięciem, jak i wyzwaniem, gdyż oznaczałby konieczność zmiany przywódcy. Ale są to już bardzo odległe scenariusze, a prawdopodobieństwo sukcesu PSL nie jest specjalnie wielkie, i to z kilku powodów.

Dawka obawy na zdrowie

Pierwszym jest to, że pojawił się inny kandydat, celujący w podoby elektorat – Szymon Hołownia. Nowe nazwisko „spoza układu” trudno uznać za zaskoczenie po poprzednim gambicie Pawła Kukiza. Podobnie do przewidzenia był fakt, że jego notowania będą takie, jakich można się spodziewać na tym etapie: niezbyt porywające, ale dające jakąś nadzieję. Obecność tej kandydatury jest dobra dla demokracji, gdyż pewna dawka obawy z pewnością nie zaszkodzi naszym partiom, może je wręcz zmobilizować. Niemniej wydaje się, że szansą takiego kandydata mogłoby być jedynie to, że wszyscy pozostali naprawdę odpuszczą.

Nie jest jednak wykluczone, że albo Kosiniak-Kamysz, albo Hołownia w toku kampanii może wykonać interesujący manewr, rezygnując i wspierając drugiego zgromadzonym kapitałem. Może to co nieco przypominać wsparcie, którego Paweł Kukiz udzielił PSL w ostatnich wyborach parlamentarnych. O ile jednak PSL mógł wpuścić najwierniejszych posłów Kukiz’15 na swoje listy, to Kosiniak-Kamysz nie może zaoferować Hołowni urzędu wiceprezydenta.

Kolejnym powodem, dla którego oczekiwania co do wyniku Kosiniaka-Kamysza i Hołowni nie mogą być zbyt duże, jest sytuacja w PO. Prawyborcy nie odciągnęły jej uwagi od głównego starcia, czyli walki o wewnętrzne przywództwo. Choć żadna z kandydujących na stanowisko przewodniczącego osób nie wydaje się przerażać Schetyny swą charyzmą, to jednak żadna mu w tym znacząco nie ustępuje. To zaś może oznaczać, że odsunięta

zostanie ekipa odpowiedzialna za trzy ostatnie przegrane kampanie. Wtedy PO z kandydatką, która nie wzbudza może zachwytu, ale też nie będzie musiała walczyć z kimś o nadzwyczajnie mocnej pozycji, powinna wejść do drugiej tury.

Na placu boju, poza marginalnym przypadkiem Konfederacji, pozostaje jeszcze Lewica. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności udało jej się zjednoczyć tego lata i wróciły rozważania o odzyskaniu przez nią pozycji jednej z dwóch głównych sił polskiej polityki. Na razie skończyło się to zjednoczeniem SLD z Wiosną i „rebrandingiem”. Nazwa Nowa Lewica wskazuje jednak na to, że partia będzie raczej pielęgnować swoją pozycję w narożniku, niż maszerować w stronę centrum, odwołując się do pojęć, które nie wymagają wyraźnej ideowej identyfikacji. To, że Lewica jako ostatnia z głównych sił obwieszcza swoją kandydaturę, wynika też z faktu, że w niej samej nie ma wiary w zwycięstwo czy nawet wejście do drugiej tury. Teoretycznie może się to zdarzyć, jeśli głosy na Kidawę-Błońską, Kosiniaka-Kamysza i Hołownię rozłożą się po równo. Wtedy kilkanaście procent dla Lewicy wystarczy do przejścia do drugiej tury. Jednak wiara w cuda nie jest chyba składową tożsamości tego obozu.

Bardziej przeciw niż za

Twórcy obecnej konstytucji nie przewidzieli jednego – to, kto wygrywa wybory prezydenckie, ma znacznie mniejsze znaczenie niż same zjawiska społeczne, które tym wyborom towarzyszą. Sama kampania odbywa się niejako w tle, gdyż dzieje się wiele ważniejszych rzeczy.

Niewątpliwie PiS swoim jesiennym zwycięstwem potwierdził mocną pozycję na ideowej i tożsamościowej mapie kraju. Pokazał też rozkręconą maszynę, szczególnie sprawną w mobilizacji lokalnych aktywistów. Tyle tylko, że cały obóz grzęźnie teraz w kłopotach. Z jednej strony sprawa prezesa NIK, z drugiej – jeszcze trudniejszy do rozwiązania konflikt wokół sądów. Równie brutalne, co nieskuteczne pomysły na reformę przeczają tezom z exposé premiera. Odmieniana w nim na wszystkie sposoby normalność ma na razie sprowadzać się do tego, że w celu jej przywrócenia należy zastosować całkowicie nienormalne środki. Trudno przy tym zrozumieć, dlaczego działania te miałyby przynieść przewidy-

walne skutki, a nie przerodzić się w cały serial napięć, który będzie towarzyszył kampanii wyborczej – co zwykle mobilizuje bardziej przeciwników niż własnych zwolenników.

Tu trafiamy na najważniejszy problem z tymi wyborami. Ciężko bowiem stwierdzić, co w zasadzie zwolennicy któregoś z kandydatów mogliby w tej sytuacji użyć – poprzez głosowanie. To, że pomysł na prezydenturę skrojony gdzieś pomiędzy Lechem Wałęsą a Aleksandrem Kwaśniewskim jeszcze w poprzednim stuleciu, jest fatalny, potwierdza się w zasadzie raz za razem. Łatwiej można przytoczyć argumenty przemawiające raczej za absurdem tej roli niż za płynącymi z niej dla kraju korzyściami. Do tej pory jednak kalejdoskop konstytucyjny, który decydował o zmiennym układzie wyborów, sprawiał, iż zwykle przynajmniej jedna strona mogła uważać, że walka o pałac prezydencki to okazja do zaprezentowania pomysłu na kraj. Tak opowiadał o sobie Andrzej Duda w 2015, Jarosław Kaczyński w 2010, Aleksander Kwaśniewski jako współlider opozycji w 2000 czy może najbardziej Lech Kaczyński i Donald Tusk w 2005 r. Za każdym razem choć jedna strona mogła wierzyć, że zwycięzca wyborów będzie wykorzystywał swoją pozycję, by poprowadzić kraj w jakimś kierunku.

W przypadku wszystkich tegorocznych kandydatów wydaje się to być abstrakcją. W zasadzie wszystkim obozom politycznym zależy wyłącznie na tym, żeby druga strona nie przejęła tego urzędu. Jeśli spojrzeć na sytuację z punktu widzenia ustrojowego, prezydent pełni w Polsce rolę trzeciej, jednoosobowej izby parlamentu z mocniejszym wetem niż Senat. To w zasadzie jedyne realne uprawnienie – może on sparaliżować działanie władzy ustawodawczej, choć samej władzy realnie nie może odebrać. Próba zwołania Rady Gabinetowej przez prezydenta Lecha Kaczyńskiego za rządu Donalda Tuska skończyła się zupełnie żenującą sytuacją.

Tak jak przed wyborami w 2010 r. pisałem: „Fotel prezydenta w Polsce można porównać do fotela pasażera obok kierowcy samochodu. Jest to na pewno miejsce prestiżowe, dobrze widoczne i dające dobry ogłód sytuacji. Jednak jeśli chodzi o ustalanie, dokąd samochód jedzie, pasażer może jedynie wyrazić swoją opinię. Z instrumentów kierowania w jego zasięgu →

→ jest tylko hamulec ręczny”. Wybory te nie są więc walką o kierownicę, ale właśnie o dostęp do hamulca. Do tego, czy opozycja będzie mogła go zaciągać już zaraz. Albo czy gdyby w 2023 r. doszło do zmiany władzy, obecny obóz rządzący będzie mógł go zaciągać przez pierwsze dwa lata rządów nowej większości – aż do kolejnych wyborów prezydenckich w 2025 r.

Zagadka mobilizacji

Wybory prezydenckie jeszcze nigdy nie odbywały się tuż po parlamentarnych. Ten wyjątkowy układ sprawia, że tak naprawdę może nas zaskoczyć jedynie frekwencja. Skoro w ostatnich trzech wyborach – samorządowych, europejskich i parlamentarnych – doszło do niespodziewanego jej wzrostu, to właściwie powinniśmy spodziewać się analogii. Może stać się jednak inaczej: wybór trzeciej izby parlamentu może zostać potraktowany jako wydarzenie mniej ważne. To prowadziłoby do pewnego skrzywienia mobilizacji elektoratu.

Doświadczenia amerykańskie, potwierdzone przez polskie wybory uzupełniające do Senatu, pokazują, że przy okazji drugorzędnych wyborów odbywających się w trakcie kadencji przeciwnicy rządu mobilizują się znacznie bardziej niż jego zwolennicy. To także dlatego sam wynik nie jest wcale przesadzony. Tak podpowiada też wynik wyborów do Senatu, gdzie w wielu okręgach doszło do niczym niezaburzonego pojedynku PiS-u z antyPiS-em. Średnio walkę tę partia rządząca przegrała wynikiem 48:52.

Wracamy do punktu wyjścia sprzed pięciu lat, bogatsi o trudne doświadczenia minionych miesięcy. Wynik jesienianych wyborów nie zadowolił żadnej ze stron – jedna uważała, że zasługuje na więcej, druga pomimo uporządkowania szeregów musiała pogodzić się z porażką. To powinno skłaniać do chłodniejszych ocen. Trudno zaskoczyć kogoś, kto jest czujny i ostrożny, a takimi ludźmi wydają się być polscy wyborcy i politycy opozycji. Być może wybory te – pozbawione tak wielu złudzeń – będą okazją do jakiejś normalizacji sytuacji politycznej.

Czy pozostała nam inna realna nadzieja?

© JAROSŁAW FLIS

Jakoś to nie będzie

MAREK RABIJ

Konserwy są dla turystów. Na koniec świata, jaki znaliśmy, najlepszcy jest owies.

NA KARTCE WYPISZ POWTARZAJĄCE się czynności z ostatnich trzech tygodni. Te, bez których mógłbyś się obejść, jak kino czy wizyty na siłowni, możesz od razu skreślić: liczy się jedynie to, od czego zależy jakość życia czy wręcz przeżycie. Nie lekceważ drobiazgów. Nosisz na przykład soczewki kontaktowe? Ulica, przy której mieszkasz, o poranku korkuje się przed skrzyżowaniem, na którym łączy się z trasą szybkiego ruchu? No to pomyśl, co zrobisz, kiedy w sklepach zabraknie soczewek. Albo którędy wydostaniesz się z domu, gdy wszyscy w okolicy będą próbować tego samego.

Dokładnie przeanalizuj tygodniowy plan zajęć całej rodziny i zastanów się wspólnie, dlaczego funkcjonuje on właśnie w taki sposób. W tej chwili na pewno wydaje ci się oczywiste, że dziecko z przedszkola odbiera żona, bo ma bliżej. Po drodze z pracy musi jednak przejechać na drugi brzeg rzeki. Oczywiście, to drobiazg. Dopóki istnieją mosty.

Rozejrzyj się dokładnie po okolicy. Jak daleko macie do lasu, który może dać wam schronienie i opał? Czy umiałbyś bezpiecznie ściąć drzewo? Przefiltrować wodę z rzeki, gdyby zabrakło jej w kranach? Wreszcie – co wiesz o sąsiadach? Czy któryś z nich dysponuje umiejętnościami, które ułatwiłyby wam przetrwanie?

Za dużo pytań? W głębi duszy już wiesz, że to nie one są problemem, lecz odpowiedzi. Każda kolejna uświadamia ci, jak krucha jest skorupka rzeczywistości, której zawdzięczasz wygodne i bezpieczne życie. I to, że na jej brak jesteś kompletnie nieprzygotowany.

Lepiej już było

– Prowadziłem ostatnio zajęcia terenowe z nastolatkami – głos Piotra Czuryłły w telefonie słabnie i narasta w zależności od siły sygnału sieci komórkowej,

który łatwo zgubić pośród warmijskich lasów. – Na biwaku poprosiłem jednego z uczestników o pokrojenie cebuli. Chwilę później prawie siłą wyrwałem mu z ręki nóż – relacjonuje. – Rozumie pan? Nastolatki nie potrafią już kroić nożem!

Swój nóż Czuryłło ma przy sobie niemal zawsze. Żona ma własny. Starsze dzieci również. W garażu rodzina trzyma z kolei „bug-out bags”, indywidualne zestawy ewakuacyjne, w skład których wchodzi, prócz śpiwora i sprzętu biwakowego, także latarki, liny, zapasowa odzież i porcje żywnościowe na trzy doby.

– W każdej chwili możemy opuścić dom dosłownie w piętnaście minut. Wiem, bo to systematycznie ćwiczymy – zapewnia Czuryłło. – Oczywiście to tylko jeden ze scenariuszy, na który się przygotowujemy. Założenia są takie, że najdłużej, jak się da, próbujemy zostać w domu. Mamy tu generator prądu, panele solarne, nie zabrakło kominka, który może ogrzać dom. Zgromadziliśmy też zapasy żywności, leków i wody.

Mieszkający koło Olsztyna Czuryłłowie to chyba najbardziej znana rodzina polskich preppersów, czyli osób przygotowujących się na koniec świata opartego na dotychczasowych, przewidywalnych zasadach. Weterani wywiadów prasowych, zaprawieni także w pozowaniu fotografom i występach przed kamerą.

Półzartem mówią o sobie, że stali się nieformalnym biurem prasowym około 30-40 tysięcy Polaków zainteresowanych tematyką prepperingu. Większość rodzimych preppersów unika dziennikarzy. Znudzili ich protekcyjne komentarze i kolejne pytania o życie po katastrofie nuklearnej.

– Jesteśmy preppersami w takim znaczeniu, w jakim byli nimi nasi pradziadkowie, którzy gromadzili opał i zapasy



LUKASZ PAĆKOWSKI

Piotr Czuryłło z żoną Claudią i dziećmi, maj 2019 r.

na sezon zimowy nawet wtedy, gdy poprzednia zima była łagodna – wyklada prepperskie credo Czuryłło. – Nie żyjemy w poczuciu ustawicznego zagrożenia, nie kontestujemy zdobyczy cywilizacji ani porządku publicznego. Od reszty społeczeństwa różni nas tylko odpowiedź na pytanie, czy świat, w którym żyjemy, może się rozlecieć na kawałki w kilka dni. Nie należymy do tych, których uspokaja myśl, że jakoś to będzie. Dlatego moje dzieci grają w gry wideo i siedzą w internecie, ale też celnie strzelają z łuku. Przyda im się, kiedy jakoś to jednak nie będzie.

Co do przewidywalności jutra Czuryłło zdania nie zmienił. Do lasu ciągnęło go już w dzieciństwie. Początkowo się go bał. Z czasem, ucząc się go od leśników i doświadczonych myśliwych, zrozumiał, że natura może być sojusznikiem, jeśli tylko traktuje się ją z respektem i po partnersku, a nie jak surowiec do eksploatacji. Działkę budowlaną pod dom wybrał więc w pobliżu lasu, otoczoną jeziorami, z dala od dużych węzłów komunikacyjnych, fabryk, elektrowni i innych obiektów, które mogłyby być celem potencjalnego ataku lub poważnej awarii. Przed zakupem Czuryłło przejrzał nawet mapy

geologiczne terenu, które pokazywały, że okolica obfituje w wody gruntowe.

Na pytania o realność zagrożeń, przed którymi chce chronić siebie i rodzinę, Piotr Czuryłło przez lata odpowiadał tak samo: wskazując na obecność rosyjskich wyrzutni raketowych w obwodzie kaliningradzkim, jakieś 100 kilometrów w linii prostej od jego domu. Dziś, jak twierdzi, bardziej niepokoi go co innego: – Dużo czasu spędzamy w terenie, także po to, by się nauczyć okolicy. Mielśmy tu mnóstwo oczek wodnych, kanałów i strumyczków wpadających do większych cieków – wylicza. – Ostatniego lata wyschły praktycznie wszystkie.

A więc wojna

Kilka lat temu Czuryłło założył fundację promującą prepping. Prowadzi również komercyjne szkolenia. Tematyka kursów kręci się nie tylko wokół zasad przetrwania na łonie przyrody. Prepping, jak twierdzi Czuryłło, powinien zacząć się od domu.

Od sprawdzenia, w jakim stopniu gospodarstwo domowe jest uzależnione od dostaw energii i wody z ujęć centralnych („kuchenkę gazową można w każdej chwili dopiąć do butli, płyta induk-

cyjna bez prądu nadaje się najwyżej na cel na strzelnicę”).

Od oszacowania potrzeb żywieniowych gospodarstwa domowego. Człowiek potrzebuje około czterech litrów wody pitnej dziennie. Czteroosobowej rodzinie na tydzień potrzeba zatem 112 litrów – najlepiej gazowanej, bo można ją przechowywać dłużej od zwykłej. W każdym domu nie powinno zabraknąć także zapasu żywności na kilkanaście dni – przecież wystarczy parę dni ostrzejszej zimy, nieprzejezdne drogi i na prowincji już mogą wystąpić trudności z zaopatrzeniem sklepów. Dobrze urządzona piwnica pomieści bez trudu kilkadziesiąt słoików z wekami, parę kartonów gotowych dań turystycznych, a na najczarniejszą godzinę: zapas cukru, mąki oraz dwa, trzy worki ziarna. Doskonałym źródłem energii jest zwłaszcza owies. Można go zemleć na mąkę, ale da się też z niego szybko zrobić pożywną owsiankę, która błyskawicznie stawia na nogi. W piwnicy warto schować też generator prądu, a jeśli w okolicy nie ma wścibskich sąsiadów – także aparaturę do destylowania alkoholu. Doświadczenia ostatnich konfliktów w Jugosławii i na Ukrainie pokazały, że w ciężkich czasach najlepszą →

→ walutą staje się alkohol. Kto nie chciałby na chwilę zapomnieć o grozie sytuacji?

– Nie zachęcam do łamania prawa – podkreśla z uśmiechem Czuryłło. – Chodzi raczej o wskazanie kierunku: zamiast gromadzić produkty, lepiej mieć surowce, narzędzia i umiejętności do wytworzenia tych produktów. Korpus prepperskich doświadczeń pokazuje, że najprostsze rozwiązania okazują się najtrwalsze. Nie polecam na przykład wiertarek elektrycznych. Warto mieć w domu także model na korbę. I nauczyć się, jak wypalić w drewnie otwór o jednolitej średnicy.

Encyklopedią wiedzy o przetrwaniu był w Polsce również kanał internetowy Adolfa Kudlińskiego, byłego żołnierza zawodowego, zwanego „pierwszym polskim prepperem”. Swoje gospodarstwo w Świętokrzyskiem Kudliński przekształcił w niemal samowystarczalną twierdzę. Panele słoneczne na dachach zaopatrywały go w energię elektryczną, w piwnicy trzymał kilkaset toporów, kilofów i innych narzędzi, a w okolicy zakopał blisko 30 tys. litrów wody w szczelnych zbiornikach. Miał też warsztat kowalski i ogród, w którym prócz warzyw uprawiał zioła lecznicze. W internecie Kudliński chętnie dzielił się swoją wiedzą zielarską. Ostrożnie warzywiny na reumatyzm i problemy skórne. Wyciąg z korzenia hortensji na choroby nerek i układu moczowego, a przeciw gorączce – napar z kory wierzby. Suszony piołun i wrotycz na pasożyty przewodu pokarmowego. Niestety, działalność edukacyjną „pierwszego polskiego preppera” przerwał wyrok trzech lat więzienia za nielegalne posiadanie broni palnej.

Tymczasem zainteresowanych tematyką przetrwania – jak twierdzi Piotr Czuryłło – przybywa z roku na rok w tempie geometrycznym. Kilka lat temu na jego szkoleniach przeważali młodzi mężczyźni zafascynowani militariami, sztuką survivalu i niezbędnymi do tego gadżetami. Dziś pojawiają się i emeryci, którzy w przygotowaniach na najgorsze dostrzegli szansę na znalezienie wspólnego języka z wnukiem grającym w gry o zombie, i naukowcy, którzy w trakcie badań nad zmianami klimatycznymi doszli do wniosku, że dla ludzkości nie ma już ratunku. Gdyby skleić z tych motywacji mapę największych polskich lęków, okazałoby się, że – mówi Czuryłło – największym z nich pozostaje jednak wojna.

– Kiedy wybuchł konflikt na Ukrainie, naszą stronę odwiedziło w trzy dni ponad 80 tysięcy razy – podlicza. – Wcześniej liczbę wejść szacowaliśmy na 300-400 dziennie.

Znaleźć punkt E

Karolina Wikiel, analityczka ryzyka w jednym z warszawskich towarzystw ubezpieczeniowych: – Pamiętam chwilę, kiedy dowiedziałam się o ataku Rosji na Ukrainę. Siedziałam na zebraniu. Luty, marznący deszcz, całe miasto w korkach. Mąż gdzieś w Warszawie, bo jego praca polega na ustawicznych wizytach u klientów. A nasza córka w przedszkolu. Nagle pomyślałam: co byś zrobiła, gdybyś była przedszkolanką, a w Warszawie nagle pojawiłyby się „zielone ludziki”? Zostałabyś z cudzymi dziećmi czy pognąłabyś do swojego? Aż mi się zimno zrobiło.

Karolina nie ma w szafie ani jednej bluzy w kolorach maskujących. Nie zrobiła też pozwolenia na broń palną ani nie kupiła sprzętu do biwakowania w lesie. Nie interesuje jej nawet to, jak z kory zrobić napar na gorączkę. Jej scenariusz to błyskawiczna ewakuacja.

– Po tamtym doświadczeniu zaczęłam czytać fora prepperskie, polskie i zagraniczne, kupiłam też kilka książek na temat survivalu. Aż dostało mi się, że to ślepa uliczka. Mamy się z rodziną przygotowywać do życia w Puszczy Kampińskiej? – chichocze, ale szybko poważnieje. – W pracy zajmuję się tworzeniem algorytmów do oceny ryzyka kredytowego, w podobny sposób podeszłam więc do ryzyka, które może grozić naszej rodzinie.

Istnieje odmiana prepperingu zwana miejskim survivaliem. Adepti uczą się w nim m.in., jak sprawić, by w pełni funkcjonalny dom wyglądał z zewnątrz na opustoszały i splądrowany, i zniechęcić w ten sposób potencjalnych rabusiów. Analiza przebiegu konfliktu na Ukrainie, a wcześniej wojny w Jugosławii i w Iraku pokazała Karolinie coś znacznie cenniejszego – istnienie cezur, po której ucieczka staje się praktycznie niemożliwa: – Preppersi mają ukryte zbiorniki z benzyną i podziemne magazyny żywności. Naszym zabezpieczeniem będzie świadomość, gdzie na osi eskalacji konfliktu zbrojnego leży coś, co nazywamy w żartach punktem E, czyli ostatni dogodny moment na ewakuację – tłumaczy. – Właśnie wokół tego zbudowaliśmy rodzinną strategię przetrwania.

Mąż był początkowo sceptyczny. Z czasem udało się go jednak przekonać do dwuetapowego planu. Jeśli sytuacja w Polsce zaogni się do poziomu ostrzegawczego, który oszacowała Karolina, rodzina przejdzie w tryb oczekiwania. To etap pierwszy.

– Bierzemy urlopy albo kilka dni zwolnienia, córka oczywiście także zostaje w domu. Wycofujemy oszczędności z banków, pakujemy walizki, najważniejsze dokumenty i pamiątki rodzinne od dawna mam zresztą spakowane w trzy wodoszczelne worki. Z karty kredytowej, którą utrzymujemy jedynie w tym celu, kupuję loty do Londynu i Oslo, każdy u innego przewoźnika. I czekamy.

Jeśli sytuacja w kraju się nie uspokoi, rodzina opuści Polskę: – W obydwu potencjalnych miejscach ucieczki mamy przyjaciół, w ostateczności urządzimy więc sobie kilkunastodniowy urlop.

Na pytanie, czy warto ćwiczyć takie scenariusze, Karolina ma gotową odpowiedź. W formie pytania: – A czy ktoś, kto idzie na kurs pierwszej pomocy, zakłada, że zemdleje na ulicy albo udławi się kluską?

50 lat samotności

Prepperingu wykielkował na podatnym gruncie nuklearnej histerii lat 50. XX wieku, kiedy Stany Zjednoczone na poważnie szykowały się do wojny atomowej, a rząd namawiał obywateli do budowy przydomowych schronów. Kryzys ekonomiczny drugiej połowy dekad przyspieszył ten proces: wielu obywateli wyrosłych w epoce New Dealu nagle straciło wiarę w stabilność amerykańskiego mocarstwa. To wtedy Harry Browne, pisarz, ekonomista i działacz Narodowej Partii Libertariańskiej, zaczął objeżdżać Stany z cyklem seminariów, w których zalecał daleko posuniętą nieufność wobec instytucji federalnych i propagował ideę gospodarczej samowystarczalności. Ziarno zostało zasiane.

Lata 60. to już Don Stephens, popularny ówczesnie futurolog i architekt promujący ideę odwrótu od cywilizacji opartej na wielkomiejskim przemyśle. W głośnej książce „Retreater's Bibliography” z 1967 r. Stephens przekonywał Amerykanów do samowystarczalności budowanej na harmonii z przyrodą; jako jeden z pierwszych zaczął mówić o recyklingu i zamianie energii słonecznej na elektryczność. W kolejnej deka-



ŁUKASZ PACZKOWSKI

PIOTR CZURYŁŁO:

Poprosiłem jednego
z kursantów o pokrojenie
cebuli. Chwilę później prawie
siłą wyrwałem mu z ręki nóż.
Nastolatki nie potrafią już
kroić nożem!

W schronie, 2018 r.

dzie jego myśli podchwyci Kurt Saxon, który w serii publikacji zacznie używać terminu „survivalist” w odniesieniu do ludzi, którzy nie wierzą, że bezpieczną przyszłość może im zapewnić państwo. W kolejnych latach ruchy amerykańskich retreatersów i surwiwalistów zaczęły się od siebie oddalać: pierwsi zaczęli opowiadać się jednoznacznie za ekologią i wycofaniem na łono natury, natomiast drudzy rzuci w stronę ruchów paramilitarnych (w serii książek „The Poor Man’s James Bond” Saxon, były działacz American Nazi Party, będzie wręcz zachęcać współobywateli do przydomowej produkcji broni, napalmu, trucizn i materiałów wybuchowych). Śledztwa FBI po latach dowiodą istnienia powiązań pomiędzy amerykańskimi surwiwalistami a Davidem Koreshem, liderem sekty Gałąź Dawidowa, który w kwietniu 1993 r., na wieść o nakazie aresztowania, zabarykaduje się wraz ze współwyznawcami na farmie w Waco w Teksasie. W strzelaninie z agentami i w pożarze zabudowań śmierć poniesie 74 wyznawców Koresha i czterech funkcjonariuszy.

Preppers lat 90. będą uważani za grono nieszkodliwych dziwaków szykujących się pod dyktando przemysłu, którym zdąży do tej pory obrosnąć ten ruch, do praktycznie nierealnej apokalipsy. Zachodni świat ostatniej dekady XX wieku żyje przecież w błogim przekonaniu o „końcu historii”, który przynosi sojusz neoliberalizmu i demokracji. Obudzi się dopiero 11 września 2001 r.

Słowa prezydenta Busha, który w orędziu do narodu stwierdził, że USA są znowu w stanie wojny, zbiegną się w cza-

sie z audycjami telewizyjnymi, w których byli żołnierze na zaproszenie stacji ponownie będą tłumaczyć Amerykanom, jak uszczelnić łazienkę na wypadek ataku gazowego i w co wyposażać przydomową spiżarnię, gdyby wojsko wprowadziło stan wyjątkowy. W tym samym czasie w wynikach wyszukiwania Google po raz pierwszy pojawi się określenie „preppers”.

W jedności siła

Współcześni preppersi, jak wyjaśniał BBC Tom Martin, szef American Preppers Network, nie chcą być dłużej utożsamiani z „jeszcze jedną grupą paranoików żyjących dniem zagłady”. Ich celem, poza przetrwaniem, jest przede wszystkim edukacja. Wiele postulatów pionierów ruchu prepperskiego, choćby idee Dona Stephensa, są przecież bardzo bliskie celom współczesnych ekologów czy trendowi *zero waste*, który zachęca do ograniczenia konsumpcji. I choć amerykańscy preppersi wciąż szkolą się na każdy scenariusz (jest wśród nich także inwazja kosmitów, a nawet epidemia nieznanej dotąd choroby, która zainfekowanych zmieni w zombie), uwaga środowiska coraz bardziej koncentruje się na przygotowaniu na konsekwencje katastrof naturalnych i zmian klimatycznych. Ludzie, którzy wiedzą, jak utrzymać możliwie najwyższy poziom życia bez użycia zdobyczy cywilizacji technicznej, będą przecież naturalnymi liderami w sytuacji, kiedy spełnią się dystopijne wizje klimatologów.

Deklaracja „jestem preppersem” długo była równoznaczna z odmową uczestnic-

twa w strukturach społecznych – zauważył ostatnio antropolog Chad Huddleston na łamach „Washington Post”. Dla jego współczesnych liderów kluczowa staje się tymczasem właśnie odpowiedź na pytanie, jak w obliczu wyzwań klimatycznych zacieśnić więzi lokalne i uczynić silniejszymi małe społeczności. Bohaterem prepperskiego eposu przestaje być dzielna jednostka zbuntowana przeciw kłamliwemu systemowi. Jej miejsce zajmuje wspólnota, która razem stawia wyzwania suszom i huraganom.

– Nasze osiedle – ciągnie Czuryłło – pod wieloma względami jest również samowystarczalne. Mieszka tu spec od telekomunikacji, botanik, mamy człowieka od pierwszej pomocy, myśliwych oraz łuczników. Regularnie organizujemy ćwiczenia, podczas których sprawdzamy się w różnych scenariuszach, nawet najbardziej ekstremalnych. Dorośli ćwiczą na przykład zimowy marsz po zanurzeniu w lodowatej wodzie. Coś takiego nie może ci się przytrafić po raz pierwszy, kiedy będziesz walczyć o przetrwanie.

Pytanie o to, czy uczestnicy takich manewrów naprawdę wierzą, że szlifowane umiejętności przydadzą się im w praktyce, Czuryłło słyszy chyba zbyt często, bo reaguje na nie kontrolowanym, ale jednak zauważalnym zniecierpliwieniem: – Większość z nas – odpowiada po chwili – traktuje to jak zabawę. Niczym nie ryzykujemy, jeśli się okaże, że niepotrzebnie ćwiczyliśmy. A złośliwymi komentarzami nie przejmujemy się od dawna.

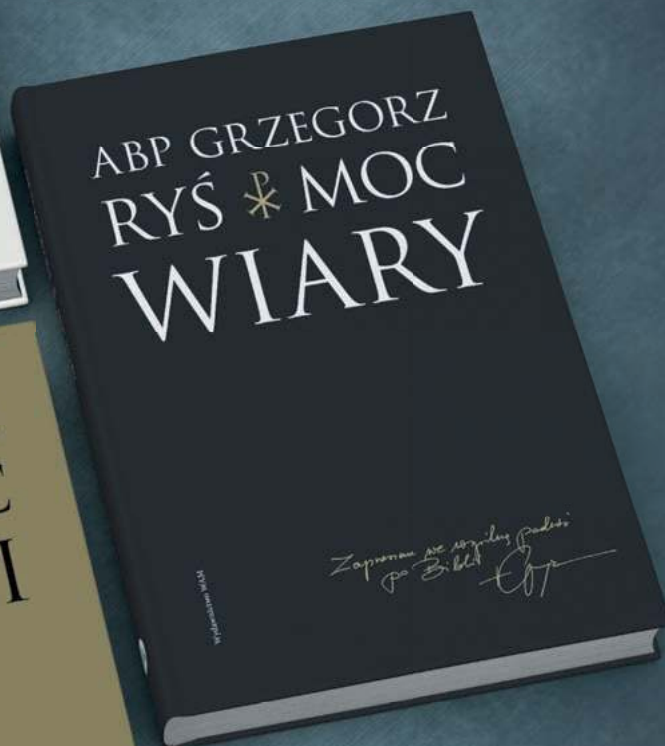
Ten się śmieje – mówi Czuryłło – kto najdłużej pozostanie przy życiu.

© MAREK RABIJ

Poznaj Credo abp. Grzegorza Rysia



Zapamiętaj we wszystkich parafiach po Biblii
Grzegorz Rys



RABAT **-30%** KOD: **TP29**

Moc słowa - 39,90 zł - 27,93 zł

Moc wiary - 36,90 zł - 25,83 zł

Moc nadziei - 39,90 zł - 27,93 zł

wydawnictwo 

DEON.PL

ŻYCIE
DUCHOWE

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

ZAMÓWIENIA
WYDAWNICTWOWAM.PL



zamowienia@wydawnictwowam.pl
tel. 12 62 93 260

Przy zamówieniu prosimy podać kod **TP29**
Przy zakupie od **75 zł** wysyłka w Polsce **GRATIS**

ANNA

Dziewit-Meller: Gorzkie winogrona



JEŚLI JEST JAKIŚ OKRES W ROKU, KTÓREGO nie lubię szczególnie, to na pewno czas noworoczny. Ten wyjątkowy moment absurdałnego zaklinania rzeczywistości, że idzie nowe (no dyc na Boga jedynego, zawsze coś idzie, i iść musi jakieś nowe,

bo niby jakie, skoro dopiero przyjdzie?). Wraz z końcem roku uruchamia się w wielu ludziach zabawna wiara, że wraz z nową datą magicznie wszystko się zmienia, oczywiście na lepsze, że z Nowym Rokiem to już całkiem nowym krokiem. Ten czas krótkotrwałych podpałów do działania, słomianych zapałów, stygnącej szybko nadziei i wiary – och, jakże działa mi on na nerwy, podsycany zgiełkiem idiotycznych reklam, zachęcających do magicznego myślenia.

A przecież 2019 rok, jak każdy poprzedni, kończy się w konwulsjach i nie ma powodu, by włączać myślenie życzeniowe, że 2020 będzie lepszy. No, chyba że jest się Szymonem Hołownią, wtedy można, a nawet trzeba. W Hiszpanii w sylwestra, gdy wybija północ, wkłada się do ust 12 winogron, po jednym na każde wybicie zegara. W Polsce proponuję włożyć sobie w usta 12 tegorocznych wspomnień. Żeby się potem głupio nie łudzić. Podsumujmy sobie w paru hałach ostatnich 12 miesięcy.

W styczniu podczas finału Wielkiej Orkiestry Świątecznej pomocy zginął tragicznie prezydent Gdańska Paweł Adamowicz. Dużo było wówczas o tym, że ta śmierć już na pewno wszystko w nas zmieni, że to zbyt wielki szok. I były wiele, mocne słowa, pieśni, ły, manifestacje, że nigdy więcej, że jednak teraz to już koniec tej nienawiści.

W lutym wybuchła afera Srebrnej, podsłuchany Jarosław Kaczyński planował z rozmachem. Ach, to koniec, to koniec! – pisano – teraz wreszcie cała Polska ujrzy prawdziwą twarz tych ludzi, to zmieni wszystko, patrzcie no, jak wali się świat, który znaliście. Nawet nie drgnął.

W marcu w Warszawie prezydent Trzaskowski podpisał Kartę LGBT, by dać sygnał, że miasto będzie chronić osoby dyskryminowane ze względu na swoją orientację seksualną, a chwilę potem cała Polska usłyszała, że czas na wojnę z „ideologią LGBT”, zaś pod stołecznym ratuszem stanęli bojownicy o dobrostan zagrożonych seksualizacją polskich dzieci z transparentami i okrzykami „Peđały i lesby, zróbcie sobie własne dzieci”.

W kwietniu wybuchł strajk nauczycieli. Dla podwyżek i by zaprotestować przeciwko zmianom wprowadzonym przez minister Zalewską. Według ogłoszonych 17 kwietnia 2019 r. wyników badania opinii publicznej 47 proc. ankietyowanych uznało, że nie popiera strajka, a 43 proc., że go popiera. I tak już mniej więcej zostało.

W maju cała Polska oglądała film braci Sekielskich „Tylko nie mów nikomu”. Musi nastąpić zmiana, musi być oczysz-

czenie, katolicy budzą swój Kościół z uśpiania – rozlegały się liczne głosy. Nie obudzili.

W czerwcu Robert Biedroń rzekł, że jednak nie odda mandatu europosła. I tak skończyła się wiosna nie tylko kalendarzowa.

W lipcu dzieci nie dostały się masowo do tych szkół, do których chciały, a dyrekcje placówek rozpoczęły przerabianie schowków na miotły na sale gimnastyczne, a stołówek na pracownie informatyczne, wdrażając jednocześnie model poruszania się po korytarzach zgodnie z kierunkiem wskazówek zegara. Przez Białystok przeszedł Marsz Równości i pokazał, jak bardzo jest jednak nierówny.

W sierpniu do gry wkroczyła farma trolli w Ministerstwie Sprawiedliwości, dzięki czemu cała Polska dowiedziała się, że za czynienie dobra nie wsadzają. Okazało się jednak szybko, że za czynienie zła również. Choć oczywiście zależy kogo.

We wrześniu Marian Banaś powiedział, że kamienicę w Krakowie dostał od akowca, a obwieszony złotem król Podgórze dzwonił do niego w programie telewizyjnym, by wyjaśnić wątpliwości.

W październiku Olga Tokarczuk od Szwedów dowiedziała się o Noblu. A potem od jednych Polaków, że sukcesem to jest Sapkowski, a od drugich, że dla weganki to jednak wstyd być na bankiecie, gdzie tyle mięsa i kwiatów. A od jednych i drugich, że jej mowa noblowska była niestety banalna.

W listopadzie odbyła się ogólnopolska dyskusja o zmianach w systemie emerytalnym, która tradycyjnie nie przyniosła niczego (prócz kilku ognistych polemik w „Gazecie Wyborczej”, nerwów Rafała Wosia i trzasku wyłączanych w wielu domach radioodbiorników podczas słuchania audycji Sroczynskiego w Tok FM).

W grudniu ruszyły prace nad ustawą zwaną kagańcową, mającą ostatecznie podporządkować system sądownictwa władzy wykonawczej. Posłowie opozycji mieli szansę odrzucić ją w pierwszym czytaniu, na sali zabrakło bowiem 23 posłów PiS, a ich przewaga jest niewielka. Niestety zabrakło także posłów opozycji. Widać mieli na głowie znacznie poważniejsze obowiązki, w końcu to był grudzień, tydzień przedświąteczny. Karp, choinka, grypa, supermarket.

Witaj nam więc roku 2020, co masz w sobie faktycznie ekscytujące piękno cyfr, jakąś numerologiczną niezwykłą urodę. Na razie niewinny i czysty, jak mój nowy kalendarz. Zacznijsz się jednak, ileż można żyć z ustami pełnymi, czy to winogron, czy to wspomnień. Nasza nieszczęsna karawana jedzie dalej!

©

Pragnę podziękować

Panu **JANOWI STOJAKOWI** – lekarzowi ortopedzie, doktorowi n. med. **PIOTROWI KŁOSIŃSKIEMU** – ordynatorowi oraz **CAŁEMU PERSONELOWI** Oddziału Urazów Wielonarządowych Ortopedii i Neuroortopedii Szpitala Specjalistycznego im. L. Rydygiera w Krakowie za okazaną troskę, szybki przebieg operacji oraz miłą i wykwalifikowaną opiekę medyczną.

Wdzięczna pacjentka – Anna Pietrzykowska

OGŁOSZENIE



MATKA NASZEJ CÓRKI

O takich jak Pani mówią: „wyrodne”.
Nikt nie pyta, dlaczego podjęłyście taką decyzję.
I czemu zostałyście z nią same.

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

KAROL: – W OŚRODKU ADOPCYJNYM zaproponowano: napiszcie list.

Julia: – Napisałyśmy krótko: że dziękujemy za Pani decyzję; że zrobiła Pani dla swojego dziecka dużo. Wszystko, co mogła na tamten moment.

K: – Podobno jeszcze Pani tego listu nie odebrała. Powodów możemy się tylko domyślać: może było to dla Pani na razie zbyt trudne?

Przysposobienie wymarzone

Takich jak ona może być w Polsce do tysiąca rocznie. Mniej więcej co dziesięć godzin jedna z nich zrzeka się praw rodzicielskich. Najpierw – zwykle będąc w ciąży – podpisują wstępną deklarację oddania dziecka. Po porodzie dostają ustawowe 42 dni na potwierdzenie decyzji. Po tym czasie dziecko trafia zwykle do adopcji.

„Przysposobienie wymarzone” – mówią o takich sytuacjach rodzice adopcyjni.

Żałoba

Julia: – Mamy długi małżeński staż, jesteśmy tuż po czterdziestce. Mieszkamy

w dużym mieście, oboje pracujemy. Ja jestem teraz na urlopie macierzyńskim.

Karol: – Decyzję podjęliśmy po kilku latach starań. „Problem” był po mojej stronie. Uznaliśmy, że dłuższe czekanie na biologiczne dziecko nie ma sensu.

J: – Wcześniej przeżyliśmy żałobę. Właśnie tak mówią o tym psychologowie. Słyszałam o badaniach: poziom stresu wywołanego wiadomością o bezpłodności bywa porównywalny z informacją o nowotworze. Gdy się o tym dowiedziałam, poczułam ulgę. Że nie tylko ja tak czuję. Na szczęście trafiłam na terapeuta, który wysłuchał, nie oceniał, rozumiał i był przy mnie, gdy płakałam z bólu i bezsilności. Ulgi nie przynosiły za to zdania, które słyszeliśmy od innych: „Nie przejmujcie się”, „Jeszcze wam się uda”.

K: – Ja odczuwałam głównie tęsknotę. Za tą całą drogą, powstawaniem życia. Za informacją o ciąży, za towarzyszeniem żonie, za przygotowaniami do porodu, za samym porodem. Może dlatego wiele lat później łatwiej przyszło nam zrozumienie, jak trudną decyzję Pani podjęła? Choć

jesteśmy też sobie w stanie wyobrazić, że dla Pani informacja o ciąży, jej przechodzenie oraz poród wcale nie było czymś, czego Pani chciała.

J: – „Jeszcze będziecie mieli swoje własne”. Takie zdanie budzi w nas dziś sprzeciw, uważamy nasze adoptowane dziecko za takie samo szczęście jak to biologiczne. Podobnie uważa nasza rodzina. Ale gdy zaczynaliśmy myśleć o adopcji, baliśmy się, czy na pewno pokochamy to dziecko tak jak „własne”. Pewnie każdy kandydat na rodzica adopcyjnego musi tę drogę przejść.



K: – Trafiliśmy do duszpasterstwa dla rodzin starających się o potomstwo. Na spotkanie przyszły też pary po adopcji. To byli fantastyczni ludzie ze wspianymi dziećmi. Stwierdziliśmy: spróbujemy. Po raz pierwszy zadzwoniliśmy do ośrodka w połowie 2015 roku. Testy psychologiczne, kursy, trudna emocjonalnie ankieta, w której zaznacza się oczekiwania. I konfrontacja z własnymi ograniczeniami: że nie jesteśmy gotowi na wszystko, tzn. chcemy dziecko do roku życia i w miarę możliwości zdrowe. Właśnie z powodu tych oczekiwań mieliśmy świadomość, że możemy czekać długo. I tak się stało.

Nogi jak z kamienia

Takich jak oni par może być w Polsce nawet półtora miliona. Część decyduje się na adopcję. Na dziecko będą czekać, przeciętnie, dwa-trzy lata. Żaloba, poczucie straty – to doświadczenie większości.

– Gdy zostałam mamą, poszłam po raz pierwszy na spacer z wózkiem – wspomina Magdalena Modlibowska, matka trójki, w tym dwóch adoptowanych córek, szefowa Fundacji Po Adopcji. – Miałam w sobie euforię i wszystkim się nią chwaliłam, głównie jednak wśród znajomych. Gdy zobaczyłam w parku inne matki, pomyślałam: „Lecę do nich!”. W połowie drogi poczułam, że mam nogi jak z kamienia. Nie byłam w ciąży, nie rodziłam, nie karmiłam. „Z czym ja mam do nich iść?” – myślałam. Wydaje mi się, że to dotyczy części nas, kobiet. Rozmawiałam z mężem. Nigdy nie myślał intensywnie o jakimś facecie, że spłodził jego córkę. Mnie zajęło sporo czasu, zanim siebie jako matkę zbudowałam. Pomógł mi telefon – od znajomej z piątką dzieci. Uważałam ją zawsze za wzór matki. A ona zadzwoniła, by się mnie poradzić. W sprawach macierzyńskich!

– Pogodzenie się z bezdzietnością jest warunkiem przyjęcia dziecka, z całą historią jego biologicznej rodziny – uważa Modlibowska. – W przeciwnym razie ją wypieramy. Udowadniamy sobie i światu, że jesteśmy jedynymi rodzicami, a wcześniej nie było nic.

Oddział

Julia: – Nie wiemy o Pani wiele, przecież nie spotkaliśmy się osobiście. Wszystko, co wiemy, dowiedzieliśmy się z ośrodka adopcyjnego. Np. że nie miała Pani

pracy, środków do życia, stałego miejsca zamieszkania. Wiemy, że zaszła Pani w ciążę z kolejnym partnerem. I że zgłosiła się Pani do ośrodka adopcyjnego w trakcie ciąży. Podobno ukrywała ją Pani w obawie przed stygmatem: w rodzinie, wśród znajomych.

Karol: – Nietrudno nam jest sobie wyobrazić, co mogła Pani czuć, gdy tułała się Pani po Polsce...

J: – Wiemy, że cierpiała Pani na depresję. I że krążąc po kraju, nie zawahała się Pani nawet skorzystać z pomocy szpitala psychiatrycznego. Tam znalazła Pani pewnie ciepło, fachową opiekę, wyżywienie. A więc walczyła Pani o siebie i dziecko, jak potrafiła. Chodziła Pani do lekarzy, przyjmowała leki.

K: – Za to również jesteśmy Pani wdzięczni.

J: – O ojcu nie wiemy prawie nic. Poza jednym: gdy dowiedział się, że jest Pani w ciąży, zniknął.

On albo ono

Takie jak ona zostają same.

– To sytuacje, w których zdarza mi się stracić zawodową empatię. Byłam świadkiem, jak pewna para kłóciła się przy mnie na oddziale. „Ja jej do domu nie wezmę!” – krzyczał partner. Kobiety mawiają: „Nie wezmę, bo on się ze mną rozwiedzie”. To one noszą winy. Za wszystko. Jak przerwie, winna. Jak urodzi chore, coś zrobiła źle. Urodzi i odda? Wyrodna – mówi psycholożka szpitalna z dużego miasta. Nie chce ujawniać danych: dyrekcje placówek, w których pracuje (poródówka i oddział intensywnej terapii dla noworodków), nie życzyłyby sobie tego.

– Pewnie chciałby pan usłyszeć chwytające za gardło historie konfliktów wewnętrznych – dodaje. – Ale ja akurat znam więcej takich, o których ludzie mówią: „z pogranicza patologii”. Takie kobiety nie są na oddziałach zbyt lubiane, empatia personelu skupia się na dzieciach. Alkohol i papierosy w ciąży, nie pierwszej i nie drugiej. Rekordzistka miała ósme oddane dziecko. To, że zaszły, ukrywają przed mężami. Poród, a lekarze są zaskoczeni, że dziecko ma wady – wcześniej nie było żadnych badań. Gdy w szpitalu staje się jasne, że dziecko jest ciężko chore, matka zrzeka się praw. Nie jest w stanie tego unieść, bo niesie sama.

Łódzki ośrodek preadopcyjny Tuli Luli, do którego ze szpitala trafiają porzucone dzieci, ma za sobą trzy lata działalności. I osiemdziesiąt historii. Siedemdziesiąt dziewięć to historie samotnych matek. Tisa Żawrocka-Kwiatkowska, prezeska Fundacji Gajusz, do której należy ośrodek, opowiada niektóre z nich. Np. o gwałcie, po którym kobieta zaszła w ciążę: – W podobnych przypadkach aborcja jest legalna, ale ta pani powiedziała, że byłaby to kara dla niewłaściwej osoby. Miała świadomość, że z jednej strony jest cierpienie, a po drugiej czyjeś szczęście. Bała się nie tego, że dziecko będzie podobne do gwałciiciela, ale że ona swoją traumą je skrzywdzi.

Historia kolejna: zdrada kobiety i warunek partnera: „Ja albo dziecko”. Następna: na poródowce kobieta, która wcześniej straciła czwórkę – podczas ciąży, ale też po porodzie. Zostawia dziecko, o którym już wiadomo, że będzie chore: nie jest w stanie unieść kolejnej straty. ➔



→ – Kiedyś inaczej na te kobiety patrzyłam – mówi Żawrocka-Kwiatkowska. – Teraz nie oceniam. Często powtarzam, że to są inne centymetry. Centymetry do mierzenia naszego życia i ich. One musiałyby się urodzić na nowo, by być gotowe do roli matek.

O „swoich” biologicznych matkach opowiada mi też Magdalena Modlibowska. Jedna z córek trafiła do niej niedługo po porodzie – dzięki zrzeczeniu się przez biologiczną mamę praw. Druga z dziewczynek – w wieku 2,5 roku. Tu interwencjonować musiał sąd.

– W stosunku do drugiej z kobiet zdarza mi się odczuwać złość – przyznaje Modlibowska. – Moja córka ma z powodu zaniedbań wyzwania emocjonalne, które nie jest łatwo pokonać. Pierwsza z pań była bardzo młoda. Kilko dzieci, różni partnerzy. Bieda, nie radziła sobie z życiem. Już w ciąży poszła do ośrodka. To była dojrzała, dobra decyzja, a przecież nie zawsze tak jest. O żadnej z nich nie powiedziałabym: „wyrodna”. Doświadczam dzięki nim pięknych rzeczy.

Poród

Julia: – Dziewczynka, dziesięć punktów w skali Apgar. Trzy i pół kilograma wagi. Tyle wiemy.

Karol: – Podobno rodziła Pani w środku nocy. Sama, z dala od bliskich. Trudno o wyraźniejszy symbol całej Pani sytuacji. Wiemy, że po 42 dniach podtrzymała Pani decyzję.

J: – Gabrysia spędziła w szpitalu dwa tygodnie. Pani podobno wyszła najszybciej, jak się dało, nazajutrz lub po dwóch dniach. Bez pożegnania z córką...

Żebyśmy się kiedyś spotkali

Ośrodek Tuli Luli: pokoje, sala zabaw, rehabilitacyjna, kuchnia. Dzieci trafiają tu zwykle z porodówek. Ich matki są po wstępnej deklaracji zrzeczenia się praw, ale jeszcze przed ostateczną decyzją sądu. Bywa, że zmieniają zdanie. Bywa, że przychodzą do Tuli Luli się pożegnać. Bywa, że szefowa Gajusza nagrywa filmiki. Krótkie: kobieta z dzieckiem na rękę, z trudem wyrzuca z siebie słowa. „Synku, kocham cię”, „Zawsze cię kochałam, zawsze cię będę kochać”.

Żawrocka-Kwiatkowska: – Przyszła mama z dwójką innych dzieci. Mniejsze nie mogło wiedzieć, co się dzieje, ale kilkuletnia dziewczynka przeżyła na na-

„Nie jesteście same!” – taki komunikat to u nas rzadkość.

Także od Kościoła,
do którego należymy.
Rozmowa o aborcji zaczyna
się od niewłaściwej strony:
zakazów, nakazów, potępień.

szych oczach dramat. Przyniosłam pierśnikową świeczkę. Powiedziałam, że może wyrazić życzenie. „Życzę ci, żeby przyszła po ciebie dobra rodzina. I żebyśmy się kiedyś spotkały” – powiedziała.

Bywa, że piszą listy. Na kolorowej papeterii. Żawrocka-Kwiatkowska: – Zaczynają tak jak na filmikach: „Kocham cię”. Potem jest często „przepraszam”. Nie opisują zwykle historii życia, trudno im o tym mówić. Jedna z pań mnie poprosiła, bym sprawdziła, czy nie ma błędów. Żeby obciachu za 18 lat nie było.

– Po co te filmiki, listy? – pytam szefową Tuli Luli.

– Dla dzieci: żeby się kiedyś dowiedziały, że były kochane. Że to była świadoma decyzja. Że wynikała z jakiejś, zwykłej dramatycznej historii. A dla matek: żeby nie wyszły stąd dodatkowo poronione. Żeby poszły do domu z poczuciem domknienia.

Ciężary

Karol: – Odwiedziliśmy nie tak dawno pewną rodzinę zastępczą. Mieli pod tymczasową opieką dzieci pozostawione przez biologicznych rodziców.

Julia: – Od ich krewnej usłyszeliśmy: „Jak można takie dziecko zostawić?”, „Co za matka!”.

K: – Może zmieniliby zdanie, słysząc historię taką jak Pani. Np. o tym, że i Panią opuściła matka, też zresztą samotna, na długo wyjeżdżając. Dlaczego jako społeczeństwo nie możemy uznać, że czasem sytuacja, w której jedna kobieta rodzi, a inna je wychowuje, jest dobra dla dziecka? Smutno mi, gdy pomyślę, że Gabrysia mogło nie być...

J: – Stygmat to też zdejmowanie odpowiedzialności z ojców. I z państwa. Pani odważyła się poprosić o pomoc ośrodek

adopcyjny, ale dlaczego w kraju „ochrony życia” podobnych historii jest tak mało?

K: – „Nie jesteście same!” – taki komunikat to u nas rzadkość. Także od Kościoła, do którego należymy. Rozmowa o aborcji zaczyna się od niewłaściwej strony: zakazów, nakazów, potępień. Nie mówimy o wsparciu, o kobietach, które wbrew wszystkiemu zdecydowały się dać życie. U nas, cokolwiek by zrobiła, jest zła. Przypominają mi się słowa Jezusa do faryzeuszów: „I wam, uczonym w Prawie, biada! Bo wkładacie na ludzi ciężary nie do uniesienia, a sami jednym palcem ciężarów tych nie dotykacie”.

Okno życia

Takie jak ona są niewidzialne. Szpitalna psychologka: – Na każdym oddziale powinien być psycholog. Jak jest w rzeczywistości? Dramatycznie. Jeden fachowiec na cały szpital, biega z oddziału na oddział, a to są przecież dramatyczne historie: oddzielenie od dziecka, depresje, ciężka niepełnosprawność albo choroba...

Pytam o ustawę „Za życiem”. To był przecież jeden z jej celów: wesprzeć kobiety, które dowiedziały się będąc w ciąży o chorobie dziecka: – Proszę mi wskazać miejsca, gdzie od ręki, bezpłatnie wspiera się takie kobiety – odpowiada. – One nie pójdą do MOPS-u po wsparcie, bo to miejsce źle się wielu z nich kojarzy. Jest „okno życia” po porodzie, ale nie ma „okna życia” dla matki, która jest w ciąży. Bywa, że taka kobieta przychodzi do nas na oddział. Płaczę, prosi, by znaleźć dla dziecka dobry dom. Tylko że akurat chore dzieci nie trafiają do adopcji. Ani nawet do specjalistycznej rodziny zastępczej, bo ich w Polsce dramatycznie brakuje. Trafiają do jakiegoś Zakładu Opiekuńczo-Leczniczego albo na inny szpitalny oddział.

Tomasz Polkowski, prezes Zarządu Fundacji Dziecko i Rodzina: – System nie widzi historii, które nazwałbym ciemną stroną adopcji. Bywa, że instytucje, które wkraczają do akcji tuż po tym, jak kobieta wyraziła wstępną deklarację zrzeczenia się praw, wyłącznie ją do macierzyństwa zniechęcają. Te matki są samotne, pogubione, ale być może wsparte znalazłyby w sobie zasoby i siły. Ośrodki adopcyjne mają wspierać ich na liście swoich zadań, ale czy wszystkie rzetelnie je wykonują?

Styczeń

Julia: – Telefon, że czeka na nas dziecko, otrzymaliśmy około dwóch miesięcy

po tym, jak urodziła Pani Gabrysię. Gdy opuściła szpital, trafiła do rodziny zastępczej. Pierwszy dom: ciepło, zainteresowanie, relacje. Dzięki Pani decyzji możemy się czuć szczęśliwcami: sytuacja prawna Gabrysi od początku była jasna, dzięki temu ten proces mógł być szybki. Znamy historie dzieci, których status jest przez lata nieuregulowany. Niektóre są w przepełnionej placówce, tracąc najważniejsze miesiące, lata życia.

Karol: – Po otrzymaniu informacji zaczęliśmy działać. Pojechaliśmy zapoznać się z dokumentami. Potem pierwsze w naszym wspólnym życiu widzenie. Pamiętam drogę samochodem: kilkadziesiąt kilometrów. Trzydzieści, dwadzieścia, dziesięć. Wejście do mieszkania, trudno to opisać...

J: – W domu rodziców zastępczych dostaliśmy od urzędniczki pytanie. Z formalnego punktu widzenia pewnie konieczne, ale nas wprawiło w konsternację: „Czy podtrzymujecie decyzję?”. Gabrysia była naszą córką, odkąd się o niej dowiedzieliśmy.

K: – Potem były kolejne widzenia, już bez udziału pań z ośrodka.

J: – Zobaczyliśmy, jak działa system. Pod opieką tej rodziny były dwie dziewczynki. Matka biologiczna wcześniej je biła, wręcz torturowała. Dziewczynki, wspaniałe, nie miały szans na stabilną rodzinę ze względu na niezdecydowanie urzędników, mimo że matka miała ograniczone prawa od dwóch lat. To doświadczenie pozwoliło nam jeszcze bardziej docenić Pani decyzję.

K: – Po kilku miesiącach zostaliśmy – już oficjalnie – rodzicami.

Po drugiej stronie muru

Takich jak oni oddziela od biologicznej matki ich dzieci mur. Częściowo uzasadniony: po adopcji dziecko ma – nieodwołalnie – nowych rodziców. Przepisy chronią więc dzieci przed rozchwianiem, którego doświadczyły już dość. Ale ten mur jest wedle wielu za wysoki. I zbyt szczelny.

Modlibowska: – Nie ma u nas tzw. otwartej adopcji. Polega na tym, że na początkowym etapie, np. na porodowce, rodzice adopcyjni i biologiczni się spotykają. Rozmawiają, przekazują informacje, potem oddają dziecko „z rąk do rąk”, nawet nie znając swoich personaliów. Wadą takiego modelu jest ryzyko: co, jeśli

Na każdym oddziale powinien być psycholog. Jak jest? Dramatycznie.

Jeden fachowiec na cały szpital, a to są dramatyczne historie: oddzielenie od dziecka, depresje, ciężka niepełnosprawność.

matka biologiczna się rozmyśli? Wielka zaleta: płynne przejście dziecka, które nie tuła się po ośrodkach, no i spokój matki.

Polkowski: – W krajach zachodnich to model często stosowany. To budowanie tożsamości, korzeni, pełna akceptacja dziecka „cudzego”. U nas tożsamość się ukrywa.

Mur i tak nie wytrzyma próby czasu. Adoptowane dzieci będą chciały zobaczyć, co jest po drugiej stronie. Biologiczne matki też.

Magdalena Modlibowska opowiada o kobiecie, która zgłosiła się do jej fundacji po ośmiu latach od rozstania z dzieckiem: – Powiedziała, że od czterech lat myśli o napisaniu listu. Że chce wszystko wyjaśnić. Że nie chciała zrobić nic złego, że nie miała wyjścia, że codziennie myśli, że kocha. Zapytała, czy powinna to zrobić. Nic od razu nie odpowiedziałam, tylko spytałam swoją adoptowaną córkę: „Chciałabyś dostać taki list?”. Rozpłakała się, powiedziała: „Mamo, to by było coś pięknego”. Przy innej okazji zapytała: „Masz zdjęcie mojej biologicznej mamy?”. Dzieci chcą wiedzieć, tak budują tożsamość. A rodzice adopcyjni powinni im to ułatwić. Wiele się zmienia: coraz rzadziej zataja się prawdę. Ale wiele osób odwleka jej przekazanie.

USG

Karol: – Nie mamy pewności, czy kiedykolwiek przeczyta Pani naszą historię. Zdecydowaliśmy się ją opowiedzieć także z myślą o kobietach podobnych do Pani.

Julia: – Gdy ją opowiadamy, siedzimy przy stole, jemy niedzielne śniadanie. Jest końcówka listopada. Wkrótce Gabrysia skończy rok. Jest bardzo ruchliwa, przed momentem weszła pod stół, spod którego

nie mogła się wydostać. Jest uśmiechnięta, nawet z obcymi szybko łapie kontakt. Psycholog by powiedział, że jest nisko reaktywna: nie płacze, kiedy usłyszysz nagły hałas, ma niski poziom lęku. Nie zawsze tak było. Pamiętam jej smutną buzię z czasów, gdy była w rodzinie zastępczej. I druga zmiana: kiedy na początku brałam ją na ręce, sztywniała.

K: – Z czasem przestała się opierać, choć nadal nie lubiła przytulać do mnie główki. Potem i to się zmieniło. A nawet sama zaczęła obejmować maskotki, zasypiać, kiedy nosiliśmy ją w nosidle. Patrzymy na to jak na historię wchodzenia w nasz świat. Historię rodzącej się więzi po miesiącach zmian. Gabrysia zmieniła nasze życie. Ja przemodelowałam własne zawodowe: zrezygnowałam z pracy, która nie pozwoliłaby mi być z nią tyle, ile bym chciała.

J: – Wiemy, że kilka miesięcy temu kontaktowała się Pani z ośrodkiem adopcyjnym. Wiemy, że poprosiła Pani o zdjęcie Gabrysi, w zamian oferując zapis USG z okresu ciąży. To wzruszające: przecież taki zapis to najbardziej intymna pamiątka. Podobno jeszcze się Pani po to zdjęcie nie zgłosiła. Być może jest to dla Pani za trudne. Dla nas, dla mnie, myślenie o Pani też bywa trudne. Miałam swoje momenty zawahania, lęku. Co będzie, jeśli będzie Pani chciała się skontaktować? To lęki wielu rodzin adopcyjnych. Myślę też często o przyszłości: o ewentualnym spotkaniu Pani z Gabrysią, gdy ona tego sobie zażyczy. Wiemy, że to nie będzie cukierkowe, że będą się z tym wiązać różne uczucia. Będziemy z Gabrysią o tym rozmawiać, ale czy można się na coś takiego dobrze przygotować?

K: – W ośrodku usłyszeliśmy, że najbardziej boi się Pani momentu, w którym urodzone przez Panią dziecko będzie się chciało z Panią skontaktować. I zapyta: dlaczego? Na pewno nie będziemy jej o Pani mówić źle. Przeciwnie, powiemy, że chciała Pani, by się urodziła, że na tamten moment Pani życia zrobiła Pani dla niej wszystko, co mogła. Powiemy, że chciała Pani, by Gabrysia miała kochających rodziców i szczęśliwe życie.

PS. Zmieniłem imiona bohaterów. Na prośbę Julii i Karola nie próbowałem skontaktować się z biologiczną matką Gabrysi.

©P PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

CZERWONY PAPIEŻ

Kardynał Luis Tagle z Filipin staje się dla Franciszka kimś tak ważnym, jak Ratzinger dla Jana Pawła II. Dlatego wielu wróży mu w Kościele podobną karierę.

EDWARD AUGUSTYN

FRANCO ORIGLIA

LEDWO ŚWITAŁO, GDY TRZY WOZY MIEJSKIEJ straży pożarnej wjechały na plac Mignanelli, czyli – mówiąc prościej – południowy skrawek słynnego placu Hiszpańskiego. Potężny, 16-tonowy iveco-magirus zatrzymał się pomiędzy XVII-wiecznym Pałacem Kongregacji Propagandy Wiary a ambasadą Hiszpanii przy Stolicy Apostolskiej. Jeden ze strażaków zaczął wspinać się po 30-metrowej drabinie na szczyt kolumny z figurą Niepokalanej, by na jej prawe, uniesione ramie, jakby przymierzające się do pobłogosławienia Rzymowi, nałożyć wieniec z białych kwiatów.

Strażacy mają pierwszeństwo. To przecież ich poprzednicy 8 grudnia 1857 r. ustawiali 12-metrową kolumnę, znaną na Polach Marsowych, i mocowali na niej czterometrową rzeźbę z brązu. Po nich przychodzą na plac kolejne delegacje miejskich służb: elektrycy, gazownicy, kierowcy autobusów, motorniczowie metra i zwykli mieszkańcy. Cały dzień grają mundurowe orkiestry, rodziny korzystają ze świątecznego, wolnego dnia (choć w tym roku wypadł i tak w niedzielę), by przynieść kwiaty pod posąg Niepokalanej.

O szesnastej ze swoją wiazańką przyjeżdża papież. Co roku wita go ambasador

Hiszpanii i prefekt Kongregacji. Jednak tym razem na twarzy kard. Fernanda Filoniego nie było widać entuzjazmu. Przed czterema godzinami dowiedział się, że właśnie został usunięty ze stanowiska.

Gradacje i kongregacje

Kongregacja Propagandy Wiary – utworzona w 1622 r. przez Grzegorza XV w efekcie wyzwań ewangelizacyjnych, jakie przyniosły Kościołowi wielkie odkrycia geograficzne – zajmowała się organizacją życia religijnego katolików na terytoriach misyjnych. Paweł VI po Soborze Watykańskim II zmienił jej nazwę



Odpowiedni wiek, przygotowanie teologiczne, pochodzenie spoza Europy i Ameryki – to cechy, które z filipińskiego kardynała czynią kandydata na następcę Franciszka. Na zdjęciu: Luis Tagle w Watykanie, październik 2014 r.

Spośród 32 dwóch dotychczasowych prefektów tylko sześciu nie było Włochami. Pierwszym obcokrajowcem był Polak – kard. Mieczysław Ledóchowski (1892–1902), kolejni to Holender, Libańczyk (ormiańskiego pochodzenia), Brazylijczyk, Słowak i Hindus.

Filoni, niespodziewanie odwołany 8 grudnia, był wybitnym dyplomata o konserwatywnych poglądach. Absolwent Papieskiej Akademii Kościelnej, watykańskiej kuźni kadr, nuncjusz w Jordani, Iraku i na Filipinach, substytut w Sekretariacie Stanu, całe życie związany z kurią i na wskroś przeniknięty jej stylem, co w oczach urzędującego papieża nie jest żadną zaletą. W dodatku wspierał Drogę Neokatechumenalną, dla której Franciszek, jak się wydaje, nie ma serca. W Japonii, skąd wrócił pod koniec listopada, biskupi już dekadę temu zakazali neokatechumenom działalności i zamknęli ich seminarium duchowne. Kard. Filoni próbował otworzyć je ponownie, pod auspicjami swojej kongregacji, ale się nie udało. Być może rozmowy Franciszka z japońskim episkopatem przyspieszyły jego decyzję. Dlaczego papież nie chciał poczekać, aż kardynał osiągnie – za dwa lata – wiek emerytalny (zwykle w ten sposób załatwia się dymisję w Kościele)? Albo na dobrą okazję do zmian, jaką będzie ogłoszenie nowej konstytucji, reformującej kurie, co zapewne nastąpi w czerwcu?

O ile przygotowywane dokumenty muszą przejść długą drogę konsultacji i korekt, to w kwestiach personalnych papież ma wolną rękę. Wiele ważnych decyzji, pokazujących, jaką ma wizję urzędu, już podjął. Wymienił prefekta Kongregacji Nauki Wiary (kard. Luis Ladaria Ferrer, jezuita). Swego jałmużnika (abp Konrad Krajewski) uczynił kardynałem, powierzając mu nowe zadania (wcześniej urząd ten sprawował arcybiskup, który zajmował się podpisywaniem papieskich błogosławieństw). Zreorganizował dykasterię komunikacji, a jej szefostwo powierzył świeckiemu (Paolo Ruffini).

Z trudem, ale jednak porządkuje sprawy finansowe – od stycznia sekretariat ekonomiczny przechodzi w ręce człowieka spoza kurii (o. Guerrero Alves, jezuita). Na stanowisko prezesa Trybunału Watykańskiego powołał znanego z walki z mafią prokuratora Giuseppe Pignatonego.

Teraz przyszedł czas na szefa Kongregacji ds. Ewangelizacji. Jak wynika z przecieków, ta wielka i ważna dykasteria po reformie będzie jeszcze większa (wchłonie Papieską Radę ds. Promocji Nowej Ewangelizacji) i jeszcze ważniejsza (w projekcie nowej konstytucji wymieniana jest na pierwszym miejscu, przed Kongregacją Nauki Wiary, dbającą o prawowierność głoszonej doktryny, z której nazwy zniknie przymiotnik „Najwyższa”). Kościół – według Franciszka – ma być przede wszystkim misyjny. Głoszenie Ewangelii to jego pierwsze i najważniejsze zadanie. Nie chodzi o nawracanie, propagandę czy prozelityzm, ale o wyjście „na peryferie”, jak lubi powtarzać papież, do ludzi potrzebujących prostego świadectwa, a nie pięknych słów. Ogłoszenie nazwiska nowego prefekta w niedzielę (czego się nie praktykuje), a w dodatku w jedno z największych świąt Kościoła (8 grudnia), pokazuje, że papież chce jeszcze mocniej podkreślić rangę kongregacji. A wybór na to stanowisko kard. Luisa Tagle z Manili pozwala przypuszczać, że papieżowi może nawet chodzić o coś więcej.

Kardynał „satanista”

W Watykanie opowiadają anegdotę, że gdy Benedykt XVI nakładał kardynalski biret na głowę filipińskiego biskupa, zapytał go, czy był już u pierwszej komunii. I choć minęło od tamtego czasu siedem lat, dziecięca twarz i filigranowa sylwetka kardynała wciąż budzą zdumienie. Zresztą – jak na kościelne standardy – jest rzeczywiście młody.

Urodził się w 1957 r., w wieku 25 lat został księdzem (1982), gdy miał 44 lat – Jan Paweł II zrobił go biskupem (2001), 55 lat to kardynałstwo (2012), i wreszcie – w 62. roku życia – zwierzchnictwo nad najważniejszym kościelnym ministerstwem.

Po drodze były studia w prowadzonym przez jezuitów seminarium duchownym w Manili, doktorat na Katolickim Uniwersytecie Ameryki w Waszyngtonie i prezydentura Caritas Internationalis. Tagle pracował jako duszpasterz na małej parafii, był wykładowcą teologii, spowiednikiem kleryków, rektorem →

na Kongregację ds. Ewangelizacji Narodów, a Jan Paweł II, bullą „Pastor Bonus” z 1988 r., ustalił nowy zakres obowiązków.

Dziś jej jurysdykcji podlega niemal jedna trzecia wszystkich diecezji na świecie – w Afryce, Ameryce Południowej, Azji i Oceanii. Zarządza całym ich majątkiem – nieruchomościami, funduszami misyjnymi i ewangelizacyjnymi. Przedstawia papieżowi kandydatów na biskupów z podległych jej regionów i nadzoruje ich pracę. Nie bez powodu kardynał, który jej przewodniczy, nazywany jest, od koloru szat, „czerwonym papieżem”.

→ seminarium, duszpasterzem młodzieży, biskupem diecezji Imus i arcybiskupem Manili. Brał udział w obradach synodów o małżeństwie i rodzinie, o młodzieży i poświęconego problemom Azji.

Przez lata był związany – z racji współpracy nad epokową, pięciotomową „Historią Soboru Watykańskiego II” – z tzw. teologiczną szkołą bolońską, mocno krytykowaną w konserwatywnych środowiskach kościelnych. Sam napisał tylko jeden rozdział, ale za to poświęcony delikatnej sprawie – roli Pawła VI podczas tzw. czarnego tygodnia, zamykającego trzecią sesję Soboru, kiedy to doszło do poważnych napięć, protestów i poprawek, zgłaszanych przez konserwatywną mniejszość, zmian w niektórych, gotowych już dokumentach (Konstytucja „Lumen gentium”, dekret o ekumenizmie) i odroczenia o rok innych (deklaracja o wolności religijnej). Tagle ocenił postępowanie papieża jako zbyt ostrożne, a nawet lękliwe, choć krytykę umiał wyrazić z szacunkiem i na tyle dobrze uargumentować, że nie przeszkodziła mu w dalszej kościelnej karierze. Niedługo po ukazaniu się „Historii” został biskupem, dziesięć lat później kardynałem.

Brał udział w konklawe, które wybrało Jorgego Bergoglię na papieża, ale wtedy znali się tylko z widzenia. Do bliż-

szego poznania doszło później – podczas Azjatyckich Dni Młodzieży w Korei Południowej (sierpień 2014), nadzwyczajnego (2014) i zwyczajnego (2015) synodu o rodzinie, a przede wszystkim w czasie papieskiej pielgrzymki na Sri Lankę i Filipiny (styczeń 2015), której – w drugiej części – kard. Tagle był gospodarzem. To z tamtego spotkania pochodzi słynne nagranie, gdy arcybiskup Manili uczy papieża złożyć palce dłoni w gest, który większości ludzi kojarzył się dotąd z heavymetalowymi koncertami i symbolem szatana. Szybko jednak wytłumaczono, że chodziło o popularny wśród anglojęzycznych osób głuchych gest „kocham cię” (w języku migowym mały palec oznacza literę „I”, kciuk i wskazujący – „L”, a całość układa się w kształt litery „Y” (*I Love You*)).

Kandydat z prawa i lewa

Skoro jesteśmy przy symbolach: ostatnią nominacją kardynalską Pawła VI był Joseph Ratzinger (wraz z czterema innymi kardynałami mianowanymi na konsystorzu, rok przed śmiercią papieża Pawła). Z kolei ostatnią nominacją Benedykta XVI był kard. Luis Tagle (wraz z pięcioma innymi, na konsystorzu, tuż przed abdykacją). Oczywiście o niczym to nie świadczy. I nie tylko z tego powodu więk-

szość obserwatorów watykańskiego życia uważa Filipińczyka za idealnego kandydata na następcę Franciszka.

Luigi Accattoli, zapytany przeze mnie o Taglego, wylicza cechy, które predysponują Filipińczyka do tej roli: odpowiedni wiek, przygotowanie teologiczne, pochodzenie spoza Europy i Ameryki, podobna do Franciszkowej wizja misji Kościoła. Struktura kolegium kardynalskiego pozwala przypuszczać, że przyszłe konklawe rzeczywiście może wskazać kandydata pochodzącego z Południa, rozumiejącego problemy ludzi ubogich, żyjących w państwie autorytarnym, reprezentanta Kościoła walczącego o respektowanie praw człowieka, doświadczonego duszpasterza, ale też – nie ukrywajmy – lepszego teologa, w dodatku umiejącego ważyć słowa. Jedyne, czego mu brakuje, to właśnie doświadczenia pracy w Watykanie. Tagle nigdy (podobnie jak Bergoglio) w Rzymie nie studiował ani nie pracował. Jest człowiekiem spoza układu.

Konserwatywne środowiska również przyznają, że nowy prefekt – z wymienionych wyżej powodów – może być dla Franciszka tym, kim Ratzinger był dla Jana Pawła II. Podkreślają, że „azjatycki Franciszek” jest charyzmatyczny, ale rzeczowy. Dobrze wykształcony, ale też przystępny dla zwykłych ludzi, którzy ce-

Trzy cechy teologa

„POWINNA OPIERAĆ SIĘ na duszpasterstwie, tak jak działalność duszpasterska powinna bazować na dobrej teologii” – mówi o dobrej teologii kard. Tagle w wywiadzie rzece „Radość Ewangelii” (Kraków 2019). Teologowie muszą być „bardziej przesiąknięci zapachem owiec”, aby z kolei „owce były bardziej przesiąknięte zapachem Chrystusa”. Trzy cechy potrzebne do uprawiania tego zawodu to wiara w Boga, miłość do ludzi i poczucie humoru. Cel: dowiedzenie, że „chrześcijaństwo czyni zadość potrzebom ludzi w każdym czasie”.

Wzorzec ewangelizatora: Samarytanka z Ewangelii Janowej, pozbawiona wprawdzie tytułów naukowych, ale ukształtowana przez samego Jezusa „przed studnią do czerpania wody, a nie w szkole teologii”. Sam Tagle nie miał ambicji naukowych. W 1985 r. poleciał do USA na wyraźne polecenie swojego biskupa – by studiować pod kierunkiem Avery’ego Dullesa, jednego z najwybitniejszych znawców Soboru Watykańskiego II. Wśród jego profesorów byli także s. Elizabeth Johnson, ikona teologii feministycznej, czy dogmatyk Joseph Komonchak. Tagle zaczytywał się w pismach Congara, Rahnera, Ratzingera, Martiniego, ale i Leonarda Boffa, twórcy teologii wy-

zwolenia. Miał za zadanie dogłębnie poznać eklezjologię soborową. Biskup chciał wiedzieć, „jak możemy stać się Kościołem odnowionym według ducha Soboru. (...) Nie chciał przypadkowych eksperymentów, ale pragnął odnowy autentycznej, opartej na solidnej teologii”. Jako duszpasterz kard. Tagle docenia rolę pobożności ludowej, to według niego „najważniejsza forma uczestnictwa ludzi w życiu wiary”. Kultura filipińska – mówi – „znajduje upodobanie w kontakcie fizycznym, dotyku, spojrzeniu, obrzędach, muzyce i gromadzeniu się. Obecność wielu świętych obrazów i figur gwarantuje ten kontakt”. Wierni idą do sanktuariów, „gdy doświadczają

krzyży w swoim życiu, (...) to pobożność ludzi szukających pomocy. Zawodzą ich politycy, system gospodarczy, społeczno-polityczny. Ale wiedzą, że mogą zwrócić się do Boga”. W 2018 r. podczas rekonsekacji w katedrze tódzkiej mówił o konieczności wyjścia z pułapki indywidualizmu. „Ludzi postrzegamy jako przedmioty, których można użyć”. Tymczasem chrześcijańskie rozumienie osoby „nie jest socjologiczne, ale teologiczne i rodzi się ze spotkania z Bogiem, który objawia się jako Osoba. (...) Droga, którą powinniśmy kroczyć, prowadzi od indywidualizmu do życia odniesionego do innych, we wspólnocie”.

© MACIEJ MÜLLER



AFP PHOTO / OSSERVATORE ROMANO / EAST NEWS

Papież Franciszek i kard. Luis Tagle podczas spotkania rodzin w Manili, styczeń 2015 r.

nią jego otwartość, „dar łez” i prosty język, daleki od kościelnej nowomowy. A w dodatku mają nadzieję, że okaże się rozsądniejszy niż Filoni w kontaktach z chińskimi komunistami.

Matka Taglego jest Chinką. Kardynał zachował nawet jej nazwisko (Luis Antonio Gokim Tagle). A Chiny to niespełnione marzenie Franciszka, jak mówił na ostatniej konferencji prasowej w samolocie, zapytany przez dziennikarzy, czy chciałby polecieć do Pekinu. Nowy prefekt Dykasterii ds. Ewangelizacji ma mu w tym pomóc.

Światło ze Wschodu

„Lux ex Oriente, ex Occidente lux” – zażartował papież Franciszek podczas tej konferencji, w drodze powrotnej z Dalekiego Wschodu, gdzie często chwalił, obcą zachodniemu społeczeństwu, „mądrość kontemplacji” i umiejętność spojrzenia głębiej i dalej. Kardynał Tagle w jednym z wywiadów przytaczał podobne słowa Jana Pawła II: „Pamiętajcie, że Jezus Chrystus narodził się w Azji i z Azji jego światło rozbiły się po całym świecie. Zapadło milczenie, niemal niedowierzanie. Zapomnieliśmy, że Bliski Wschód to też Wschód. Jezus był z kultury Wschodu, miał wschodni sposób życia i mówienia. Narracja zamiast abstrakcji. Spotkanie z drugim człowiekiem podczas posiłku. Proste słowa, by przekazać głębokie treści”.

Za taką umiejętność spotkania, nawiązania relacji chwalony jest także nowy

prefekt ds. ewangelizacji. Nie zatracił jej, choć wie, że w dobie nowoczesnych środków komunikacji, którymi zresztą świetnie się posługuje, nie jest to łatwe. Dwa dni po nominacji, w przemówieniu wygłoszonym w Instytucie Komunikacji Społecznej w Manili, mówił: „Żyjemy w erze Sztucznej Inteligencji. Internet jest wszędzie, ludzie połączeni są z siecią 24 godziny na dobę. To wielka zmiana kulturowa, wpływająca na nasz umysł i ciało”. Ale misją chrześcijan jest podtrzymywanie „inteligencji relacyjnej, z której rodzi się zaufanie, która usuwa lęk i przesady. (...) Misja to nie jest żadne »zrób-to-sam«. To zadanie wspólnotowe, dla innych i z innymi. A zwłaszcza z Chrystusem”.

Wystarczy porównać te słowa z ostatnim wywiadem Franciszka, opublikowa-

nym pod koniec listopada, na temat misyjności Kościoła. Widać, że i on, i Tagle, choć wywodzą się z różnych krajów i kultur – mówią jednym głosem.

Czy „cudowne dziecko” (dziś 62-letnie) z Manili będzie kolejnym papieżem? Czy kierowanie olbrzymią kongregacją pomoże mu, czy zaszkodzi? Przy padków, że prefekt Kongregacji Propagandy Wiary był pewnym kandydatem na Stolicę Piotrową, nie było w historii zbyt wiele. Raz była to kandydatura skuteczna – kard. Mauro Cappellari został Grzegorzem XVI, na początku XIX w. Drugi raz było blisko – kard. Grigor Bedros XV Agagianian, Ormianin z libańskim paszportem, przegrał o włos z kard. Angelem Roncallim (Jan XXIII sam o tym opowiadał). Trzeciego razu nie było – na następnym konklawe kandydaturę Agagianiana, nadal wysoko notowaną, spaliły tajne służby Włoch, informując kardynałów, że siostra kardynała utrzymuje kontakty z KGB.

Oczywiście wszyscy, którzy spekulują o szansach filipińskiego hierarchy i o tym, czy Franciszek szykuje już swego następcę, kończą swoje wywody znanym powiedzeniem: „Kto wchodzi na konklawe papieżem, wychodzi kardynałem”. Choć nie zawsze się ono sprawdza, czego ostatnim przykładem jest Benedykt XVI.

Tak czy inaczej, mieszkańcy Manili żegnali swego arcypasterza ze świadomością, że już do nich nie wróci, jakkolwiek pisana mu przyszłość. Podczas uroczystej mszy w katedrze, w święto Niepokalanej, nuncjusz papieski poprosił wszystkich obecnych, by unieśli prawą rękę i pobłogosławili zalanego łzami kardynała tak, jak matka błogosławi syna na długą drogę.

© P EDWARD AUGUSTYN

POŻEGNANIE

Z głębokim żalem zawiadamiamy,
że 11 grudnia 2019 zmarł w wieku 88 lat nasz ukochany

Ś.†P.

Ojciec i Dziadek
prof. dr hab. Andrzej Cieński

Żegnamy Go z poczuciem wielkiej straty.

NAJBLIŻSI

Nadzieją się cieszą

DARIUSZ KOSIŃSKI

W styczniu Orszak Trzech Króli przejdzie ulicami już po raz dwunasty. Jest wielomilionowym świętem, przekraczającym granice Polski. Przekształcił wzniosłość Epifanii w bliskość spotkania i narzędzie pedagogiki społecznej.

JEŚLI O SILE KULTURY ŚWIADCZY ZBIOROWA kreatywność, to proces wytwarzania nowych świąt, z jakim mamy w Polsce do czynienia w ostatnich dekadach, każe porzucić smętne opowieści o kryzysie i bliskim kresie. Moc nowych polskich świąt polega na tym, że – niezależnie od wyjściowych motywacji – uruchamiają zbiorową wyobraźnię i kreatywność. Z kulturowych konstruktów i ideologicznych tekstów zamieniają się w „rzeczy, które służą”.

Klasycznym przykładem takiej fortuny i produktywnej współpracy między twórcami ogólnych scenariuszy a wy-

pełniającymi je własną aktywnością uczestnikami-aktorami jest Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy. Jej inicjatorzy, z Jerzym Owsiakiem na czele, zaproponowali proste ramy działania złożone z trzech zasadniczych elementów: publicznej zbiórki pieniędzy na ulicach, wspólnotowych festynów oraz karnawałowej zabawy. Później doszły do tego kolejne elementy, przede wszystkim widowiskowe („Świąteczko do nieba”) i medialne (transmisja ze specjalnie przygotowanego studia). I one jednak funkcjonowały (i funkcjonują wciąż) łącząc to, co przygotowane i przewidywalne, z im-

prowizowanym i spontanicznym. WOŚP tworzy platformę i scenariusz działań o charakterze ogólnopolskim, pozostawiając twórczej aktywności uczestników lokalne realizacje, dopełnienia i przekształcenia wzoru.

Sukcesu Orkiestry, jako oczyszczenia z egoizmu i drapieżności pierwszych lat wolnorynkowej transformacji, wciąż nie doceniamy. Polegał on też na znalezieniu sposobu zbiorowego wejścia w okres karnawału, który w powojennej Polsce stał się co najwyżej czasem osobnych, zamkniętych zabaw. Wielka Orkiestra przypomniiała, że w polskiej i europejskiej kulturze karnawał to czas świątecznych zgromadzeń, odwiedzania się, przebierańców, śpiewaków i tancerzy. Czas świątecznego teatru.

Gwiazda drogę im wyznacza

Dwanaście kolejnych dni między Bożym Narodzeniem a Świętem Objawienia Pańskiego nazywano Szczodrymi, a niekiedy Świętymi. To wtedy nieprzyjazny ludzki świat stawał się otwarty i życzliwy – dzieci dostawały specjalnie pieczone na te dni szczodraki, biegając za nimi od domu do domu z kolędami

Sopot, 6 stycznia 2018 r.





LUKASZ DEINAROWICZ / FORUM

Gdańsk, 6 stycznia 2019 r.

i wierszykami. To wtedy też – jak wierzą – powietrze pełne było dziwnych głosów, a ziemia niesamowitych przybyśków. Wtedy do domów przychodzili kołędnicy – aktorzy jednego z najwspanialszych przedstawień kulturowych. Świat się odnawiał, wypełniając twórczymi potencjami.

W ten sezon, którego tradycyjne znaczenia znakomicie odnowiła Wielka Orkiestra, weszło kilka lat temu kolejne przedstawienie – Orszak Trzech Króli. Jak głosi pobrzmiewająca legendą historia opowiadana na stronie Fundacji Orszak Trzech Króli, wszystko zaczęło się dość banalnie od jasełek organizowanych w chrześcijańskiej szkole dla chłopców w podwarszawskiej Falenicy. Rozrastające się przedstawienie szkolne przeniesiono w roku 2008 do Teatru Buffo, a już rok później wyprowadzono na ulice Warszawy jako Orszak Trzech Króli.

Tego przeskoku organizatorzy nie wyjaśniają, a trzeba przyznać, że jest dość zaskakujący. Ostatecznie wiele szkół chcących uchodzić za wyjątkowe organizuje święta i uroczystości swojej społeczności w wynajmowanych wnętrzach prestiżowych lub popularnych instytucji kultury, ale nie oznacza to, że w kolejnym

ruchu inicjują masowe przedstawienia uliczne. Można się domyslać, że to wyjście na ulice było związane z prowadzoną wówczas przez środowiska chrześcijańskich aktywistów społeczną kampanią na rzecz przywrócenia święta Objawienia jako dnia wolnego od pracy. Masowe uroczystości celebrujące i pokazujące wyjątkowość tego dnia były dla tej kampanii wymarzonym wręcz argumentem.

Orszak Trzech Króli został powołany jako forma obchodów święta, które dopiero miało w pełni zaistnieć, stając się zarazem jego zapowiedzią. Inaczej niż w przypadku Święta Niepodległości, którego autentyczne, oddolne obchody w postaci Marszu pojawiły się w miejsce pustych i nudnych ceremonii oficjalnych. Ale też inaczej niż w przypadku Wielkiej Orkiestry, gdzie święto wynurzyło się ze świętowania i w świętowaniu jedynie istnieje.

Do Betlejem spieszą

Pierwszy Orszak przeszedł ulicami Warszawy w niedzielę 4 stycznia 2009 r. Już wtedy to zbiorowe przedstawienie było precyzyjnie wymyślone i zaplanowane. Zamiast zgromadzenia wokół plenerowej szopki, z jakimi już wcześniej mie-

liśmy do czynienia w różnych miastach w okresie Bożego Narodzenia, Orszak został skomponowany jako pochód nie jednego, ale trzech orszaków w trzech barwach symbolizujących poszczególne kontynenty. Połączone orszaki składające się z pieszych oraz jeźdźców na koniach i (będących do dziś specjalnymi atrakcjami) wielbłądach pokonywały ulice Warszawy, by złożyć hołd i dary w stajence – żywej szopce ustawionej na Rynku Starego Miasta.

Już wówczas pojawiły się papierowe korony – prosty gadżet (znany dobrze klientom pewnej sieci fast foodów), który jednocześnie oznaczał uczestników, był drobną pamiątką, ale i niósł znaczenia teologiczne (przypominał, że wszyscy jesteśmy Królami pielgrzymującymi do Dzieciątka).

Na trasie pochodu umieszczono stacje czy też – by użyć bardziej teatralnego terminu – mansjony ze scenami zaczerpniętymi z tradycji jasełkowych: Walką Diabłów z Aniołami i Dworem Heroda. Pierwsza odwoływała się do tradycji moralitetowej, druga – stanowiła rodzaj pokusy dla uczestników, którzy byli zachęceni, by zostać u oferującego „światowe przyjemności” władcy. Zakładane →



LUKASZ DEINAROWICZ / FORUM

Gdańsk, 6 stycznia 2019 r.

→ w scenariuszu pokonanie tej przeszkody stanowiło zarazem rodzaj deklaracji, składanej już przez samo to, że pochód szedł dalej.

Zręcznie połączono kilka tradycyjnych wzorów. Pierwszy to nawiedzenie stajenki – wędrowka grup wiernych z pokłonem i darami, mechanizm sprawdzony od wieków, wpisany m.in. w teksty kołęd („Pójdźmy wszyscy do stajenki”), a polegający na tym, że do wyróżnionych i wpisanych w ewangeliczną historię bohaterów – pasterzy i Mędrców – możemy dołączyć i my, by złożyć, co mamy. Oraz na zasadzie ekonomii wzajemności odebrać błogosławieństwo: dobre słowo obdarzone mocą. Bezpośrednio z nim wiąże się odnawiana i przejmowana przez Orszak tradycja religijnych i ludowych zarazem spektakli jasełkowych. Łączą one akty nabożne (przede wszystkim sam finałowy pokłon, często prowadzony przez kapłanów lub uzupełniany o elementy modlitewne) z sekwencjami ludycznymi i satyrycznymi (dwór Heroda) oraz dydaktycznymi i alegorycznymi (walka Diabłów z Aniołami).

I żar serca czysty

Drugi wzór Orszaku stanowi pochód karnawałowy – przejście ulicami w strojach i maskach, co przekształca miejsce i czas z codziennego w świąteczne. Słabo obecny w tradycji polskiej, jest świetnie znany w Niemczech, gdzie odgrywa także wielką rolę polityczną. Ta w przypadku odnowionych obchodów Trzech Króli wiąże się raczej z kolejnym wykorzystywanym przezeń wzorem: manifestacją – publicznym okazaniem swoich uczuć

i poglądów, tu o charakterze chrześcijańskiego świętowania dość jednoznacznie przeciwstawiającego się wymazywaniu religijnego znaczenia „Holiday Season”.

Wzór czwarty, tylko pozornie sprzeczny z radosnym charakterem obchodów, to wojskowa parada, której obraz przywołują jednolite stroje oddziałów maszerujących w szeregu przed swoimi władcami. Jest to – może i karnawałowe, ale dość oczywiste – odwołanie do dobrze znanej metafory wiernych jako żołnierzy pozostających „u Chrystusa na ordynansach” i toczących bój z wrogim światem – reprezentowanym na orszakowych scenach przez Diabły i dwór Heroda, a zarazem otaczającym świętujących i odróżniającym się od nich swoją biernością.

Wreszcie wzór ostatni: rodzinny festyn świąteczny, w którym rodzice i dzieci mogą brać wspólnie udział, oczekując kolejnych atrakcji, a zarazem włączając się w bardzo proste działania, takie jak śpiew kołęd czy po prostu przejście z jednego miejsca na drugie. Wiąże się z nim ważny element, na który trzeba zwrócić uwagę: obniżenie do minimum ideowych i konfesyjnych warunków uczestnictwa oraz akcentowanie wspólnotowego i otwartego charakteru Orszaku. Choć już nad tym pierwszym z roku 2009 patronat objął arcybiskup warszawski Kazimierz Nycz, który poprowadził rozpoczynającą uroczystość modlitwę „Anioł Pański”, to jednak od początku organizatorzy podkreślają na różne sposoby ekumeniczność świętowania i starają się usunąć poza jego nawias wszystko, co mogłoby być odczytane jako wpisanie go w określony kontekst polityczny.

Nie wymazując jednoznacznie chrześcijańskiej wymowy święta i jego przedstawienia, zarazem nie wymagają, by dzieci, które przyjdą obejrzeć wielbłąda czy popisy kolorowo ubranych tancerzy, składały deklaracje wiary. Zgodnie z wielowiekową tradycją, w Polsce szczególnie bogato rozwijaną w XVII wieku przez jezuitów, zadaniem przedstawienia jest przyciągnąć do kościoła ludzi od niego odległych lub po prostu obojętnych, zaciekać ich tym, że „coś się dzieje”.

Mędrzy świata, monarchowie

Gdy jesienią roku 2010 Sejm przyjął ustawę ponownie czyniącą 6 stycznia dniem wolnym od pracy, Orszak cieszył się już znaczną popularnością. Dzięki temu nie doszło do powstania przedstawieniowej pustki, która dotyka wiele innych dni świątecznych, tak państwowych, jak i religijnych. Odbývają się wówczas wprawdzie różnego rodzaju zbiorowe celebracje, ale najczęściej mają charakter dość schematyczny i słabo zaznaczają odmiennność danego święta.

Odpowiedzialny jest za to nie tylko nudny ceremoniał państwowy, ale w jakiejś mierze także stałe wykorzystywanie w funkcji centralnych punktów obchodów (tak w święta religijne, jak i państwowe) uroczystych mszy. Te nie są (bo i nie mają być!) atrakcyjnymi widowiskami, próby ich „ubogacania” zaś natychmiast obrastają szkodliwym patosem i irytującą pseudowniosłością. Przecież msze święte to element każdej niedzieli, więc trudno je potraktować jako przejaw wyjątkowości konkretnego święta. To właśnie dlatego takie znaczenie w katolickiej tradycji mają od wieków szczególne, wykorzystywane tylko jeden raz w roku kalendarzowym działania zbiorowe, takie jak procesje Bożego Ciała czy święcenie bukietów w święto Wniebowzięcia.

Odnowione w roku 2010 Objawienie Pańskie nie miało takich tradycyjnych, a wciąż żywych wzorów świętowania. I właśnie w tę pustkę z wyprzedzeniem wkroczył Orszak Trzech Króli – gotowy i już wypróbowany sposób oznaczania oraz przeżycia szczególności tego dnia w kalendarzu świątecznym. Sposoby świętowania pojawiają się zazwyczaj od razu ze świętem, ewentualnie zostają zbiorowo wytworzone już po jego zaistnieniu, najczęściej na drodze zapożyczeń i modyfikacji wzorów obcych. W przy-

padku odnowionego święta Objawienia nowa kompozycja elementów częściowo tradycyjnych została przygotowana, zanim jeszcze zaistniała realna potrzeba wypełnienia czasu świątecznego pozacodziennymi działaniami.

Nie mogłoby się to udać, gdyby nie jeszcze jedno rozwiązanie przyjęte przez inicjatorów Orszaku. Proponowane sposoby świętowania zostały zaakceptowane, ponieważ zapewniały miejsce na własną aktywność lokalnych organizatorów i uczestników, którzy mogą – trochę na zasadzie znanej z rynku medialnego – zrealizować własną wersję obowiązującego generalnie „formatu”. W przypadku Orszaku (tak jak i w przypadku WOŚP) ów „format” jest stosunkowo prosty i równie łatwy do realizacji, jak i do uzupełnienia. Konieczne jest zorganizowanie plenerowego pochodu Trzech Króli do Stajenki. To, jak pochod ten będzie wyglądał, jak będzie przebiegała jego trasa, co na swojej drodze spotka i jaki charakter mieć będzie jego finał – pozostawione jest kreatywności poszczególnych animatorów i uczestników. Dzięki temu nie są oni

wykonawcami cudzego scenariusza, ale – nie zmieniając jego zasadniczych wyznaczników uznawanych za „tradycyjne” – mogą spożytkować własną wyobraźnię twórczą, zaznaczyć specyfikę lokalną, za co mogą być nagrodzeni wprowadzeniem na ponadlokalną arenę medialną.

Od kiedy Objawienie stało się dniem wolnym, TVP transmituje Orszak Trzech Króli, w sposób oczywisty przyczyniając się do jego rozpropagowania, zarazem dostarczając platformy do prezentacji lokalnych odmian. To dzięki telewizji możliwe jest zachowanie kluczowej dla pochodzenia Orszaku równowagi między centralnymi wzorami a lokalnymi mutacjami, między „formatem” a realizacją. Ona też zapewnia ważne dla uczestników poczucie bycia częścią wielkiej całości. A choć wszystkie te aspekty są wprost zapożyczone z doświadczeń Wielkiej Orkiestry, to w przypadku Orszaku działają nawet lepiej, bo bez typowej dla WOŚP, zwłaszcza w pierwszych kilkunastu latach, spektakularnej przesady. Transmisja wydarzenia odbywającego się w określonych ramach czasowych jest też wy-

godna dla telewizji, stanowiąc rodzaj medialnego wystawienia działań, koniecznego dziś dla nadania im znaczenia, ale zarazem niezastępowanego samego święta i nietworzącego wrażenia zapośredniczonego uczestnictwa (co wytwarzały dawniejsze, cykliczne transmisje Wielkiej Orkiestry, z której TVP zrezygnowała).

Liczba uczestników Orszaku rośnie z każdym rokiem. Podobnie jak wpływ polskiego wzoru na chrześcijańskie (już nie tylko polonijne) wspólnoty w Europie i świecie. Ten tryumf wskazuje na przedwczesność twierdzeń o wirtualizacji międzyludzkiego świata i utracie znaczenia przedstawień „na żywo”.

Dowodzi także fortunność tych spośród nich, które nie osuwając się w spektakl, ale i nie przemieniając do końca widzów w aktorów, pozwalają im poczuć swoją sprawczość. To do środowisk konserwatywnych, propagujących tradycyjne wartości i wzory zachowań, a nie – jak kilkanaście lat temu – do środowisk liberalnych czy lewicowych należy polska scena uliczna.

© DARIUSZ KOSIŃSKI

REKLAMA

**NOWY
TEATR**

Projekt: Nowiki

kwiecień 2020

PREMIERA

EGLE ŠVEDKAUSKAITĖ „GRUPA WARSZAWSKA”

maj 2020

PREMIERA

KRZYSZTOF WARLIKOWSKI „ODYSEJA. HISTORIA DLA HOLLYWOODU”

czerwiec 2020

PREMIERA

MAŁGORZATA WDOWIK „WSTYD”

styczeń 2020

KRYSTIAN LUPA „PROCES”

styczeń – marzec 2020

**KRZYSZTOF WARLIKOWSKI „FRANCUZI”, „KRUM”,
„ANIOŁY W AMERYCE”**

**NOWY
TEATR**



Partner

Partner medialny

Patronat medialny

MINISTERSTWO
KULTURY I
DZIEDZICTWA
NARODOWEGO

Pismo

VOGUE

AKTIVIST

Going



Spektakl „Krum” powstał
w koprodukcji TR Warszawa
oraz Narodowego Starego
Teatru im. H. Modrzejewskiej

Spektakl „Anioły
w Ameryce”
— spektakl gościnny
TR Warszawa.

oraz wiele innych wydarzeń

nowyteatr.org
bilety.nowyteatr.org
ul. Madalińskiego 10/16, Warszawa



Israel Knohl przy murach Starego Miasta, w pobliżu Bramy Syjonu, Jerozolima, wrzesień 2019 r.

Nie za późno na tę debatę? Trudno cokolwiek zmienić w relacjach chrześcijańsko-żydowskich po niemal dwóch tysiącach lat wzajemnych oskarżeń i niechęci.

Od siedmiu lat biorę udział w dyskusji wokół tych relacji ze środowiskami katolickimi. Przez dwa miesiące w roku uczę w rzymskim Uniwersytecie Papieskim. W swoich wykładach za każdym razem podkreślam, że zdaję sobie sprawę z tego, iż przełomowym dokumentem Kościoła w tych relacjach była deklaracja „Nostra aetate” – i zawarte tam stwierdzenie, że winą za śmierć Chrystusa nie mogą być obarczeni wszyscy bez wyjątku Żydzi. Ale ta deklaracja powstała w bardzo określonym momencie historycznym, tuż po Holokauście. Bazowała też na ówczesnym stanie wiedzy. Jej publikacja była bardziej decyzją religijno-polityczną, a nie opartą na głębokich studiach tła wydarzeń związanych z ukrzyżowaniem Jezusa.

Sugeruje Pan, że trzeba ją poprawić?

Nie, absolutnie jej nie krytykuję. Myślę wręcz, że to, co robię, może być dodatkowym wsparciem dla tej deklaracji, której główne przesłanie powinno pozostać to samo: Żydzi jako cały naród nie mogą być oskarżani o zamordowanie Chrystusa. Sugeruję jednak głębsze rozumienie tych wydarzeń, refleksję historyczną. Po dokładnych studiach mogę bowiem udowodnić, że większość współczesnych Jezusowi Żydów miała podobne do jego poglądy na temat mesjanizmu. Gdyby społeczeństwo faktycznie miało wpływ na sprawę procesu Chrystusa, jego wynik byłby zupełnie inny.

Twierdzi Pan zatem, że Jezus umarł na krzyżu na skutek splotu nieszczyśliwych okoliczności.

Na skutek gorącej wewnętrznej debaty wokół mesjańskiej idei, która toczyła się wtedy w Żydowskim świecie. Opartej – w moim przekonaniu – na debacie, którą możemy odnaleźć w Starym Testamencie. Biblia Hebrajska prezentuje tu dwa nurty myślowe. Pierwszy – mesjański – ma swoje źródło w Psalmach. Gdy mowa jest o królu, tym aktualnym, w Jerozolimie, albo w północnym królestwie w Samarii – używa się pojęcia

Kim jest mesjasz

ISRAEL KNOHL, BIBLISTA I HISTORYK:

Nie został zrozumiany nie tylko przez swój lud – ale też przez swoich uczniów. Nie pojęli bowiem idei cierpiącego mesjasza – oczekiwali triumfującego, wojującego.

KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET: Opublikował Pan książkę, z której wynika, że 2 tysiące lat naszego rozumienia historii śmierci Chrystusa jest totalną pomyłką. Następnie przeszedł Pan na emeryturę, opuszczając pole minowe. Jak to? Właśnie teraz, gdy burza ma się rozpętać, Pan ucieka?

ISRAEL KNOHL: Przeszedłem na emeryturę jako profesor Uniwersytetu Hebrajskiego, ale nadal uczę tu, w jerozolimskim Shalom Hartman Institute. Nigdzie nie uciekam. Wezmę udział w debacie, która – mam nadzieję – rozpocznie się, gdy ukaże się angielskie tłumaczenie mojej książki. A to już lada moment.

„król-mesjasz” i nadaje mu półboski status. A więc król, który jest synem Boga, jest wieczny, stanowi źródło błogosławieństwa dla ziemi. Tę myśl przejmują Izajasz, który, jak sądzę, jako pierwszy określa mianem mesjasza nie obecnego króla, lecz tego, który dopiero ma nadejść, na którego się czeka.

Izajasz był rozczarowany rządami współczesnego mu króla Ahaza. Twierdził jednak, że w przyszłości, na końcu dni, zamiast tego słabego króla, objawi się wspaniały syn Boga, potężny, który przywróci pokój i wszystko zmieni. Ten mesjański król z przyszłości otrzymał od Izajasza półboski status. Prorok nazywa go określeniami, jakie przynależne są Bogu. Za tą myślą, zawartą w Psalmach, a następnie u Izajasza, idą kolejni prorocy.

Ale jest jeszcze drugi nurt.

No właśnie. Możemy go nazwać antymesjańskim. Widzimy go wyraźnie w księdze proroka Ozeasza, który żył w tym samym czasie co Izajasz, w drugiej połowie VIII wieku przed Chrystusem, lecz w północnym królestwie, a Izajasz w Jerozolimie, w Judei, w królestwie południowym. Ozeasz był przeciwny jakiegokolwiek formie monarchii, odrzucał ją. Z kolei w Księdze Powtórzonego Prawa monarcha nie jest namaszczonej, nie ma żadnej wyższej wartości, nie odgrywa żadnej wyższej roli w sądzeniu czy w wojsku – jest królem-marionetką. Człowiek z kolei nie może być podobny Bogu.

W księgach tych widzimy wyraźne rozróżnienie między tym, co boskie, a tym, co ludzkie. Ludzie, podobnie jak król, są śmiertelni.

No i kolejna sprawa – Bóg nie może mieć syna. Jest poza seksualnością. Z tego powodu Biblia Hebrajska nie akceptuje myśli o żadnej żeńskiej partnerce Boga. Wiemy z archeologii, że niektórzy ludzie chcieli wówczas takiego połączenia Boga z kanaanejską boginią Aszera. Biblia tego odmawia, nie ma żeńskiej partnerki dla Boga. On nie może być uwikłany w żadną prokreację. A zatem powiedzieć, że Bóg ma syna, uwikłać Go, to bluźnierstwo.

Jak to ma się do historii Chrystusa?

Mesjanistyczne idee zaczęły się znów pojawiać po wygnaniu babilońskim. Jedną z pierwszych osób, które wróciły z Babilonu do Jerozolimy, był Zorobabel z linii Dawida. Prorocy Aggeusz i Zachariasz oczekiwali, że to właśnie on będzie



Bazylika Bożego Grobu w Jerozolimie, maj 2018 r.

nowym mesjaszem. Miał wypełnić proctwa Izajasza, Jeremiasza i pozostałych. Ale jakiś czas po powrocie z Babilonu Zorobabel zniknął. Pozostaje tajemnicą do dziś, co właściwie się z nim stało. Umarł naturalnie czy został zamordowany? Może Persowie bali się, że zostanie mesjaszem, i go zabili? Nie wiemy. Potem przez wiele stuleci nikt już nie czekał na wybawiciela.

Początek kolejnych oczekiwań datuje się na okolice roku 100 przed Chrystusem w związku ze wspólnotą z Qumran. Za myślą tej wspólnoty podążają później faryzeusze. Zapewne z ich kręgu wywodzą się Psalmi Salomona, spisane po okresie panowania Rzymian. Przypomnijmy, że w latach 60. pierwszego stulecia napadli oni Judeę i Jerozolimę, i zbeszczęścili Świątynię. Wtedy właśnie pojawiło się oczekiwanie nadejścia pół-Boga, mesjasza, który odkupi Żydów i pobije Rzymian.

Zupełnie inaczej na sprawy mesjańskie patrzyli saduceusze – kapłani Świątyni Jerozolimskiej. W przeciwieństwie do dwóch pozostałych grup saduceusze nie wierzyli w zmartwychwstanie czy choćby w anioły. Najprawdopodobniej byli więc przeciwni mesjanistycznej idei.

Większość Żydów w tamtym okresie podążała za faryzeuszami, i to jest powiedziane jasno w Nowym Testamencie.

Gdy Chrystus staje przed sądem, pięć nad nim sprawują akurat saduceusze.

I tu następuje dramatyczny moim zdaniem punkt tej historii – bo jestem przekonany, że gdyby Jezus stanął przed są-

dem składającym się z faryzeuszy, a nie saduceuszy i ich pomocników, zostałby uwolniony nie ponosząc kary. To zupełnie zmieniłoby bieg historii. O tym, jak mogłoby to wyglądać, przekonujemy się czytając relację z sądu nad pierwszą wspólnotą chrześcijańską w Jerozolimie. Piotr i Paweł stają przed sądem składającym się z faryzeuszy, i z saduceuszy. Faryzeusze za każdym razem stają po ich stronie, w efekcie ci zostają uwolnieni.

Ale w Nowym Testamencie faryzeusze wcale nie są przyjaciółmi Jezusa.

Nie są, ale debatuje z nim, i z jego uczniami, i to jest debata o sprawy Prawa. O czystość i nieczystość. Jezus z jednej strony przychodzi i mówi: nie przyszedłem zmienić żadnej litery w Torze. Ale jeśli jest konflikt między Prawem a potrzebami człowieka, zawsze stawia na to drugie. Mówi: jeśli ktoś jest głodny w szabas, niech zerwie ziarno pszenicy i zje. Kwestie czystości nie są znów tak dla niego ważne. A więc faryzeusze debatuje z nim właśnie o takich kwestiach.

Nigdzie nie mówią, że wierzą w Jezusa jako mesjasza. Ale gdyby ich zapytać, czy widzą coś groźnego w idei mesjańskiej prezentowanej przez Jezusa, powiedzieliby: nie ma z tym problemu. Ich pogląd na kwestie mesjańskie jest podobny: również uważają, że to człowiek wyniesiony ponad innych, że siedzi po prawicy Boga. Spierają się jednak o to, kim on jest.

Skonfrontowani z osobą podającą się za mesjasza mówią: pokaż nam jakieś znaki, przekonaj nas. Chcemy wiedzieć, →

⇒ czy jesteś z domu Dawida. Nie mają nic przeciwko stwierdzeniu, że ktoś może być synem Boga. To nie jest dla nich bluźnierstwo, za które miałyby grozić kara śmierci. Podążają tu za Psalmami i prorokami, którzy mówią, że mesjasz jest synem Boga. A więc debata między nimi a Jezusem nie jest debatą o naturę mesjasza, lecz o to, kim on ma być.

W ewangelii św. Jana czytamy słowa oskarżycieli Chrystusa, którzy mówią Rzymianom: „My mamy Prawo, a według Prawa powinien on umrzeć, bo sam siebie uczynił Synem Bożym” – skoro więc istnieje jedno Prawo dla wszystkich, więc faryzeusze się do niego nie odnoszą?

W Torze nie jest powiedziane, że ktokolwiek podaje się za syna Boga, powinien być zabity.

Więc ci, którzy to mówią, kłamią?

Nie kłamią. Są saduceuszami. Wiedzą, że w Torze zabronione jest przeklinanie Boga. Bluźnierstwo jest okropną rzeczą, i dlatego okupioną karą śmierci. Ale pytanie brzmi, czy mówienie, że jest się mesjaszem, synem Boga, to bluźnierstwo? I tu wkracza nasza debata – faryzeusze odpowiedzą, że nie, to nie jest bluźnierstwo, i oprą się na Psalmach. Saduceusze powiedzą: tak, bluźnierstwo to nie tylko przeklinanie Boga, ale też twierdzenie, że ma On dziecko.

Gdy Jezus pojawił się przed gronem saduceuszy, nie byli zaciekawieni nim samym, nie pytali, czy jest z domu Dawida, nie prosili: pokaż nam znak, że jesteś mesjaszem. Jak mówi Marek – którego ewangelia jest najwcześniejszym źródłem – Jezus mówi im: tak, jestem mesjaszem, i zobaczycie syna Boga siedzącego po prawicy. Dla saduceuszy to jawne bluźnierstwo, jeden z nich w proteście rozdiera sobie koszulę. A więc jest to odrzucenie idei, że ktokolwiek może być synem Boga. To nie chodzi konkretnie o Jezusa. Ktokolwiek by to powiedział, skończyłby dokładnie tak samo. Oni są przeciwni samej idei mesjańskiej.

Często się to w judaizmie zdarza? Że jakaś grupa ogłasza mesjasza spośród swoich?

Cóż, współczesny judaizm ma problem z oczekiwaniem na mesjasza. Mówiąc krótko: Żydzi mają bardzo różne poglądy na ten temat. Dobrze widać to

na przykładzie grupy Chabad Lubawicz – ich ostatni rabin został ogłoszony mesjaszem.

To ów brodaty starszy człowiek, którego obraży i plakaty porozwieszane są w Izraelu dosłownie wszędzie, na ulicznych billboardach i w salonach domów na honorowym miejscu?

Tak. To Menachem Mendel Schneerson. W swoich ostatnich latach ogłosił się i był ogłoszony przez uczniów mesjaszem. Gdy umarł, kłócili się między sobą, aż wreszcie podzielili na dwie grupy: mesjańską i niemesańską. Mesjańska twierdzi, że on nie umarł, i że jego grób jest pusty. Twierdzą, że nadal żyje, i że wkrótce się objawi. Są w tym bardzo aktywni, także za granicą. Co ciekawe, na dowód prawdziwości tych twierdzeń cytują te same wersety ze Starego Testamentu, które Nowy Testament cytuje w kontekście Jezusa. Druga grupa jest bardziej zdystansowana. Nie chce o tym rozmawiać. Jeszcze za życia Schneersona, gdy on lub jego uczniowie twierdzili, że ma on status wyższy od statusu ludzkiego, że jest zjednoczony z Bogiem, doprowadziło to do wielkiej krytyki w kręgu ortodoksyjnych rabinów, bardzo zresztą respektowanych. Powtarzali, że to bluźnierstwo twierdzić, iż Bóg i człowiek mogą być jakoś ze sobą zjednoczeni.

Działo się to też w dawnych wiekach – przykładem może być Szabtaj Cwi z Turcji, który na końcu przyjął islam. Mimo upływu setek lat wciąż ma swoich wyznawców, co ciekawe – muzulmanów. Albo Jakub Frank, który działał na terenie Polski. On potem zresztą przekonwertował na chrześcijaństwo.

Przypomniała go Olga Tokarczuk w „Księgach Jakubowych”.

A na kogo dziś czekają Żydzi?

Odpowiedź na to pytanie znów brzmi: zależy, kogo chce pani zapytać.

Pan na kogo czeka?

Jeszcze nie wiem – dowiem się, gdy się objawi. Jeśli przeanalizujemy faryzejską talmudyczną tradycję od I wieku przed Chrystusem do V wieku po nim i spróbujemy naszkicować na jej podstawie portret mesjasza, nie będzie on inny od mesjanistycznych oczekiwań Jezusa względem samego siebie. Jezus był religijnym Żydem, jego wizja mesjasza nie była bar-

dzo odległa od tego, co znamy z literatury rabinicznej. Co innego z Pawłem – on jasno wystąpił przeciw.

Kim jest zatem Jezus dla Pana?

Jestem ortodoksyjnym Żydem, lecz gdy czytam Nowy Testament – głównie ewangelie synoptyczne – to jego figura robi na mnie wielkie wrażenie w wielu aspektach. Na przykład jego nauczanie dotyczące moralności. Co ciekawe, widzę tu podobieństwo do rabina Hillela, który żył wiek przed nim. W nauczaniu Jezusa w ogóle dostrzegam kontynuację pewnych myśli, które w żydowskim świecie wystąpiły o jedną generację przed nim. Nie tylko ja widzę to podobieństwo. Geza Vermes, żydowski uczony z Oksfordu, zauważył podobieństwo Jezusa do galilejskich rabinów, np. Haniny, syna Dosy, którzy byli znani ze swojego moralnego zachowania i dokonywania cudów. Wyjątkowe w jego postaci było to, że łączył wiele elementów, które zwykle były oddzielone w judaizmie jego czasów. Ale ani Hillel, ani Hanina nie twierdzili, że są mesjaszami.

Zresztą wątek mesjański w szczególnym wydaniu – bo w postaci cierpiącego mesjasza – możemy odnaleźć w zwojach z Qumran. Jezus mógł poznać nauczanie tej wspólnoty za pośrednictwem Jana Chrzciela, który był najpewniej członkiem tej sekty.

Kim był Jezus z perspektywy współczesnych Jemu Żydów? Rewolucjonistą, prawicowcem, lewicowcem?

To zależy, jak ich się definiuje! Zdecydowanie łamał zasady. Szedł z ubogimi, z tymi, których odrzucano. Był rewolucjonistą w dziedzinie socjalnej. To czyni go więc lewicowym radykałem. Był antykonserwatywny w wielu różnych aspektach. Co jednak ciekawe, nie był – i to wyróżnia go na tle innych mesjańskich figur – zaangażowany politycznie i militarnie w walkę z Rzymianami. On po prostu nie był tym zainteresowany. Nigdzie w ewangeliiach nie twierdzi, że jest synem Dawida. Niektóre ewangelie to o nim mówią, ale on sam – nie.

Dlaczego?

Dawid jest testamentalną figurą militarnego, triumfalnego mesjasza. Był bohaterem wojennym, to uczyniło go królem. Więc gdy Żydzi oczekują mesjasza, to ma

być on synem Dawida – ma ocalić lud także militarnie, politycznie, ma pobić Rzymian. Ewangelie synoptyczne przytaczają sytuację, w której na krótko przed ukrzyżowaniem Jezus mówi w świątyni: ja wam udowodnię, że mesjasz nie jest synem Dawida. W moim przekonaniu chodzi tu o to, że mesjasz jest kimś większym niż syn Dawida – bo jest synem Boga. Dodatkowo – nie jest triumfujący. Odkupienie, które obiecuje, nie jest połączone z jakąś militarną aktywnością. To w nauce Jezusa też było wyjątkowe.

Mesjasz nie może cierpieć?

W Biblii Hebrajskiej to Bóg nie może cierpieć. Z jednym wyjątkiem, u Izajasza, który mówi, że Bóg może cierpieć z ludem Izraela. Cierpienie Chrystusa było dodatkowym argumentem dla Żydów za tym, że nie jest mesjaszem.

Saduceusze wykorzystują to, że Jezus nie jest zainteresowany królestwem ziemskim. Jan cytuje ich słowa skierowane do Piłata:

„Jeżeli Go uwolnisz, nie jesteś przyjaciele cesarza”.

Nie jestem wielkim fanem ewangelii Jana, jako że nie należy ona do synoptycznych. Jest późniejsza i opowiada nieco inną historię. A trzy pierwsze – Marka, Łukasza i Mateusza – możemy czytać równolegle. Tak czy siak – nie sądzę, że Rzymianie dobrze rozumieli tę całą sytuację. Na krzyżu powiesili tabliczkę z napisem „Oto król żydowski”. Rozumieli najpewniej, że Jezus to kolejna mesjańska figura, która przyjdzie z grupą rebeliantów i wystąpi przeciw nim. Już przecież wszedł do świątyni, zrobił tam zamieszanie,

Współczesny judaizm ma problem z oczekiwaniem mesjańskim.

Dobrze to widać
na przykładzie grupy
Chabad Lubawicz
– ich ostatni rabin został
ogłoszony mesjaszem.

nie, pewnie więc będzie robił kolejne problemy. Nie rozumieli go.

Widzieli w nim zagrożenie?

Myślę, że tak. Nie rozumieli do końca, czego tak naprawdę chce. Brak zrozumienia to zresztą tragiczny element całej historii Jezusa. Nie tylko nie został zrozumiany przez swój lud – ale też przez swoich uczniów. Oni nie pojęli bowiem idei cierpiącego mesjasza – oczekiwali triumfującego, wojującego. Doskonale widać to w historii Piotra. Po przemienieniu idzie z Jezusem, a on pyta go: kim jestem? Wreszcie sam odpowiada: jestem mesjaszem i zobaczcie mnie odrzuconego, ukrzyżowanego. Piotr się denerwuje: co Ty mówisz! Nie słyszeliśmy o cierpiącym Chrystusie. Mesjasz musi triumfować.

Ja ze swojej strony wierzę w to, że Jezus miał zupełnie inne postrzeganie tematu mesjasza od swoich uczniów. Gdy więc został złapany i osądzony, zostawili go. Sam Piotr zaparł się go przecież – i to trzy razy! Kto stał przy krzyżu? Kobiety. Żaden z uczniów. Mało tego – nikt z rodziny. Został przecież odrzucony

przez swoich bliskich, zerwał z nimi kontakt, więc nikt nie przyszedł z nim do Jerozolimy. Mówią o tym wszystkie synoptyczne ewangelie. Poza Janem, który ma swoją wizję, ale jej ufałbym najmniej.

W kluczowym momencie swojego życia Jezus był bardzo samotny, i wydaje mi się, że to było jego wielką tragedią. Większość ludzi wówczas kompletnie go nie rozumiała. W najważniejszym momencie został porzucony nawet przez najbliższych. Uciekli od niego.

Jeśli więc pani pyta, jaki mam do Jezusa stosunek, powiem, że mam wielki respekt do wielu jego słów. Oraz empatię dla jego ludzkiego losu i tragicznej samotności.

Czy jako ortodoksyjny Żyd może Pan tak w ogóle mówić o Jezusie?

Był bardzo halachiczny. Sam mówił zresztą, że nie przyszedł zmienić Prawa. Był bardzo humanistyczny, i jeśli widział gdzieś konflikt między ludzkim życiem a Prawem, to najpierw stawiał na człowieka. Jezus nie jest moim mesjaszem i nie ze wszystkim, co głosił, się zgadzam, ale mam respekt i uznanie dla wielu rzeczy, które jako wierzący Żyd wówczas robił.

© Rozmawiała

KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET

ISRAEL KNOHL (ur. 1952) jest biblistą i historykiem. Emerytowany profesor Uniwersytetu Hebrajskiego, wykładowca Shalom Hartman Institute w Jerozolimie. Autor wielu książek o tematyce biblijnej i mesjanistycznej. Jego ostatnia książka „Kontrowersyjny mesjasz. Na kogo czekają Żydzi” ukazała się niedawno w Izraelu. Niedługo ukaże się przekład angielski.

REKLAMA

100 LAT SERII
OSSOLINEUM

**BIBLIOTEKA
NARODOWA**

PREMIERA

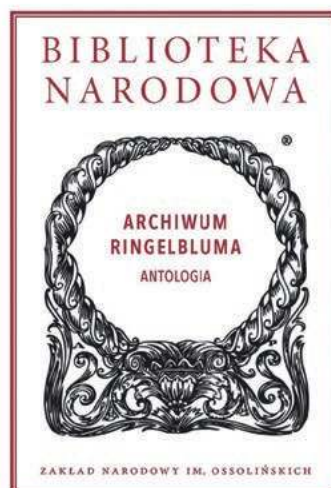
w serii Biblioteka Narodowa

10 grudnia 2019

Wstęp: Jacek Leociak

Opracowanie: Jacek Leociak, Marta Janczewska

Już w sprzedaży: <https://wydawnictwo.ossolineum.pl>



WYDAWNICTWO
OSSOLINEUM

Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.

DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW MINISTRA
KULTURY I DZIEDZICTWA NARODOWEGO
POCHODZĄCYCH Z FUNDUSZU PROMOCJI KULTURY

ANGLICY Z KRAINY CZARÓW

Za miesiąc opuszczą Unię. Będzie nam ich brakować.
Bo któż lepiej od nich łączy rzeczowość z ironią albo empiryzm
z mistyką? I kto inny wie, że baśnie bywają prawdziwe?

MARCIN ŻYŁA Z LONDYNU I CAMBRIDGE



Od dwunastego stulecia łabędziami na Tamizie opiekują się królewscy znacznicy. Do ich zadań, oprócz leczenia chorych i rannych sztuk, należy ochrona zwierząt w czasie letnich zawodów wioślarskich. Na zdjęciu: znaczenie łabędzi w Staines, zachodnie przedmieścia Londynu, lipiec 1970 r.

CO NOC, MNIEJ WIĘCEJ ZA KWADRANS pierwsza, realizator w studio 40B, na czwartym piętrze Broadcasting House, charakterystycznej, wzniesionej przed wojną w stylu art déco siedziby Radia BBC w Londynie, rozpoczyna emisję tego samego utworu. „Sailing By”, lekki angielski walc, kompozycja Ronalda Binge'a z lat 60. XX w., pełni praktyczną rolę – upewnia rybaków, którzy wtedy, podczas połowów na morzu, kręcąc gałkami starych odbiorników, że słuchają właściwej stacji.

Punktualnie o 00.48 prezenter czyta: „Ostrzega się przed wichrem we wszystkich sektorach z wyjątkiem Viking, North Utsire, South Utsire, Dogger i German Bight”... Omija „ciśnienie”, „hektopaskali”, „wiatr”, „opady” i „widoczność”. Na statkach, w szumie i trzaskach, fale długie niosą hipnotyczne: „Niskie – 987 w Rockall – spadające gwałtownie – spodziewane 964 w Fair Isle – o siódmej rano”... „Tyne, Malin, Hebridy – północnowschodni 3 do 5 – potem sporadycznie 6 – gwałtowne, potem przelotne – słaba, wzrastająca do umiarkowanej”...

Morze krzepi

Dla nienawykłych do niej uszu „Shipping Forecast” – prognoza z informacjami o sile wiatru i widoczności dla jednostek rybackich, wycieczkowców i frachtowców na morzach wokół Wysp Brytyjskich – może się wydawać najdziwniejszą audycją radiową świata. A jednak: kilka lat temu BBC podawało, że tej jedenastominutowej litanii cyfr, przymiotników i nazw sektorów, na które podzielono akweny od Islandii po Portugalie, słuchają na antenie Programu 4, prócz kilkuset rybaków, setki tysięcy Brytyjczyków.

Słuchają – i zdrowo się emocjonują. Gdy po protestach Hiszpanii, niezadowolonej, że wody u jej wybrzeży nazywa się „końcem świata”, Urząd Meteorologiczny zrezygnował z nazwy „Finisterre”, pisały o tym największe londyńskie dzienniki. Fotograf agencji Magnum wydał album ze zdjęciami z wszystkich 31 stref rybackiej prognozy pogody – książka sprzedawała się na pniu, ale autor dostał wiele listów od rodaków rozzaczowanych jego pomysłem („Reagowali jak czytelnicy oglądający ekranizację ulubionej książki, którzy inaczej wyobrażali sobie bohaterów”, tłumaczył). A prezenter, który czytał prognozę przez 40 lat, po odejściu z radia

nagrał ją jeszcze raz i wydał – jako kołysankę.

To by potwierdzało, że audycja – kończąca się minutę przed pierwszą odegraniem „Boże, chroń Królową” – tkwi w masowej wyobraźni mieszkańców Wysp. „Jest jak dobrze znana modlitwa – coś głęboko krzepiącego, nawet dla niewierzących”, pisze o niej antropolożka Kate Fox, autorka książki „Przejrzeć Anglików”, najlepszej chyba, choć zakończony fiaskiem, próby określenia, co to jest angielskość.

Smoki są naprawdę

Adriana Lochera poznałem kilka lat temu w ASHA Centre, położonym nieopodal miasta Gloucester ośrodku, do którego on – aktor i reżyser – zaprasza młodzież z Europy na zajęcia literacko-teatralne.

Ta okolica to dwa światy. Z jednej strony, stary, odnowiony dom w stylu georgiańskim, z ogrodem różanym, pawilonem do medytacji i biodynamiczną uprawą warzyw. Z drugiej – zaczynający się za posiadłością Forest of Dean, jeden z najstarszych lasów Anglii.

To w nim J.K. Rowling umieściła akcję „Harry'ego Pottera i insygniów śmierci”. Było to też ulubione miejsce J.R.R. Tolkiena. Znany z „Władcy pierścieni” Stary Las (w którym rosły złośliwe, potrafiące się poruszać drzewa) oraz Mroczna Puszcza (zasiedlona przez olbrzymie pająki) – to właśnie Forest of Dean, tylko przeniesiony do Śródziemia. W dodatku na jego skraju stoi najbardziej nawiedzony dom w całej Anglii, o czym przewodnicy informują tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Kogoś, kto mieszka w takiej okolicy, można zapytać o angielską wyobraźnię.

Kiedy spotykamy się w Londynie, Locher uśmiecha się na wzmiankę o rybackiej prognozie pogody. I natychmiast poważnieje.

– Jako naród nieustannie myślimy o morzu, symbolu dawnej potęgi – mówi. – Oglądamy „Downton Abbey” i „The Crown”. Melancholia i nostalgia może nie pomagają nam w polityce, ale przecież zawsze mieliśmy dwa oblicza: empiryczne i mistyczne. Świat baśni jest dla nas całkiem naturalny, to część celtyckiego dziedzictwa.

Do tego stopnia, że fizyk Newton i pisarz C.S. Lewis, biolog Darwin i poeta Blake, empirysta Bacon i kompozytor Williams, wszyscy Anglitcy – to dla niego świetnie się uzupełniające pary.

Adrian Locher: – Jedną z angielskich cech jest umiejętność specyficznej obserwacji rzeczywistości. Takiej, która zakłada równocześnie dystans i współodczuwanie. Umieemy zrobić krok w tył, spojrzeć na całość z perspektywy. Bez utraty empatii, ale i bez ryzyka, że percepcję zaburzają silne emocje. To jak w mojej branży: aktor musi obserwować postać i równocześnie ją grać.

Mój rozmówca się śmieje: – Mówią o Anglikach, że są nieśmiali, ale dajcie im tylko jakąś rolę, od razu staną się ekstrawertykami!

Ostatnio głównie rozzaczowanie

Rozmawiamy na zapleczu jednego z offowych teatrów na West Endzie, więc metafory narzucają się same. Rola, maska, scena... Oraz lustro – bo Adrian Locher częściej, niż odpowiada, sam zadaje pytania. Czym dla ciebie różni się brytyjskość od angielskości? Czy gdy wyjdziemy z Unii, nie zaszkodzi wam dominacja Francji i Niemiec? Czy jesteście już nami zmęczeni? Jakie emocje wzbudza Anglia?

– Ostatnio głównie rozzaczowanie – odpowiadam.

Locher reaguje po chwili milczenia: – To się po prostu zdarzyło – wzdycha. – 48 proc. głosujących w referendum chciało zostać w Europie. Ale był to moment, w którym do głosu doszły inne, może wcześniej tłamszone, siły i emocje. Dla mnie Wielka Brytania została jakby porwana. Wierzę, że dziś rezultat głosowania byłby inny. Ale inni uważają, że był to moment kluczowej zmiany, przebudzenia. Może to oni mają rację?

– Przebudzenia z czego?

– Może szukamy takiego poczucia bezpieczeństwa, jakie panowało w latach 50. i 60.? Zwłaszcza lata 50. były pełne optymizmu. Jasne, trwała zimna wojna, świat bał się wojny atomowej, ale Anglicy zwracali uwagę na coś innego: obronili przed Hitlerem swoją wyspę, przetrwali zapaść gospodarczą po wojnie, mieli młodą królową... Były to czasy pełne nadziei.

I – zdaje się sugerować Locher – klucz do wydarzeń z ostatnich lat.

Tamiza: port bez ryb

„Oto Rzeka! Rzeka nieprzerwanie płynącej Historii! Rzeka, bez której nie byłoby Londynu! Rzeka zapierającego dech w piersiach piękna oraz kwitnącego handlu! Zmieniająca się i niezmienna!

Pływali nią królowie, pokochały miliony! Jak jednak najslawniejszy szlak wodny Brytanii mierzy się z wyzwaniem dnia dzisiejszego?!

Wzniosły głos narratora, przypominający pierwszych lektorów Polskiej Kroniki Filmowej, rozpoczyna jeden z odcinków „Look at Life”, krótkich dokumentów, w latach 1959-69 wyświetlanych przed filmami w kinach Londynu. W tym spływamy nurtem Tamizy. Zrazu na luzie: podglądając wędkarzy, meandrując na łąkach pod Oksfordem, w Windsorze wsiadając na wycieczkową barcę. Jeszcze w Hammersmith, dziś dzielnicy stolicy, Tamiza to idylla i relaks.

Lecz niżej rzeka jest już – jak zapewnia lektor – „tak ruchliwa, że nie utrzyma się w niej żadna ryba”. Kolejnym kadram towarzyszy niepokojąca muzyka. Dobjamy do portu: trwa właśnie wyładunek statku z Polski, urzędnicy sprawdzają dokumenty, żurawie przenoszą na ląd skrzynie z mięsem i tytoniem, niedaleko na podróż do Europy czeka kolejka aut na eksport. Narrator pyta: „Czy Tamiza wytrzyma presję wzrastającego ruchu statków? Już teraz przez londyński port przechodzi jedna trzecia brytyjskiego handlu zagranicznego”. Ostatnie kadry filmu: po pracy jeden z magazynierów idzie do pubu na „małe jedno”.

„Raport znad rzeki” to jeden z najciekawszych z całej serii dostępnych na YouTube filmów „Look at Life”. Pokazują one Brytyjczyków sprzed sześciu dekad – korzystających z rozwoju po wielkim powojennym kryzysie, lecz nieświadomych rewolucji tuż za progiem: przybycia pierwszych imigrantów z likwidowanych właśnie kolonii, rewolucji obyczajowej, beatlemanii i „swingującego Londynu” lat 70.

Wielka zmiana

Pub „The Angel” w Southwark, na prawym brzegu Tamizy, ma taras wychodzący nad wodę, jednak teraz, podczas przypływu, nie da się tu siedzieć – fale ochlapują stoły i ławki. Spotykam się tu z 45-letnim Krzysztofem Adamcem, Polakiem od kilkunastu lat pracującym w Londynie.

Dziś, 31 października, jest cicho i spokojnie. Miał to być dzień brexitu – ale po kolejnym jego opóźnieniu chodnikami przemyskają tylko ludzie z pomalowanymi twarzami. Trwa Halloween, wieczór zabawy.

Kiedys obiecywano, że nowoczesna Anglia zostanie, jak w stalowni, wykuta „w białym żarze” i „płomieniu zmian”. Dziś zostało pytanie:

A może tamten przełom był za szybki?

Jesteśmy w dawnej dzielnicy doków – na brzegu widać stare magazyny z wystającymi nad rzekę dźwigami. Po lewej kościół, w którym pochowano kapitana słynnego statku „Mayflower”, na przeciwnym brzegu posterunek policji i miejsce, gdzie wieszano skazanych dokerów. Rzeka zakręca na północ, za dawnymi budynkami portu rysują się oświetlone wieżowce City.

Jeszcze pół wieku temu cumowały tu statki dalekomorskie. Zmiana przyszła w 1963 r., gdy Harold Wilson, nowy przewodniczący Partii Pracy, w jednej z najsłynniejszych przemów brytyjskiej polityki obiecał nową, prosperującą Brytanię – miał ją, niczym w piecu stalowni, przetopić na nowo „w białym żarze” (*white heat*), „płomieniu zmian”. Nikt od wojny nie brzmiał tak przekonująco: rok później Wilson był już premierem.

Adamiec pokazuje stare doki: – To było tak niedawno! Tuż po II wojnie światowej państwo było konserwatywne obyczajowo, był to kraj mężczyzn w tweedowych marynarkach. Potem zaczął się gigantyczny, niewyobrażalny dziś wzrost gospodarczy lat 60. Skończyła się uboga kuchnia bazująca na owsiance, przyszedł nowe mody i smaki – mówi.

Wchodzimy do środka. W pubie wisi kopia »Ostatniej drogi Temeraire’a« (1839), najbardziej znanego obrazu Williama Turnera, malarza okresu romantyzmu. Podobno malował go właśnie stąd – obserwując holowanie na miejsce rozbiórki starego, wysłużonego żaglowca marynarki królewskiej, który musiał ustąpić miejsca nowoczesnym parowcom.

– Kocham Londyn – deklaruje mój rozmówca. Pracuje tu jako archiwista. Przyjechał w 2005 r. To były inne czasy: Tony Blair, młody premier „trzeciej drogi”, miał

rządzić jeszcze dwa lata. Adamiec słuchał Blur, nowej „brytyjskiej inwazji” w muzyce pop, kraj zdawał się otwarty i nowoczesny. Było to apogeum optymizmu.

– Szybko zobaczyłem, jak dobrze mieszkać w mieście, gdzie żyją ludzie z całego świata, którzy sobie nie przeszkadzają, nawet się sobie nawzajem nie dziwią, funkcjonują po prostu wedle zasady „żyj i pozwól żyć innym” – mówi Krzysztof Adamiec. I ubolewa: – Potem tego angielskiego *common sense*, zdrowego rozsądku, zasady „rozgość się, niech tu wszystkim będzie dobrze”, zaczęło brakować. Od tej pory panuje tu smutek.

Kiedy w 2016 r., w dzień referendum, wychodził z pracy, miał złe przeczucia. – Moi brytyjscy koledzy klepali mnie po plecach, pocieszali: „Nie martw się, będzie dobrze” – opowiada. – Następnego dnia mieli kwaśne miny. „To co, może zaparzę wam angielskiej herbaty?”, zażartowałem.

Jak w terapii

Tamtego dnia, gdy ogłoszono wyniki referendum, Adrian Locher prowadził w ASHA Centre zajęcia z młodzieżą z Europy. – To było, jakby ktoś umarł – wspomina. – Pamiętam lzy w oczach mieszkających tu Litwinów, którzy uznawali Anglię za swój dom. Powiedzieli wtedy: „Ktoś rozbija naszą rodzinę”. To była autentyczna żaloba, z której wychodziliśmy kilka dni – mówi aktor i reżyser.

We wrześniu 2019 r. Locher wysłał młodzież z ASHA do Gloucester, miasta, które zagłosowało za wyjściem z Unii. Mieli trójkami podchodzić do ludzi i rozmawiać – spokojnie, bez konfrontacji. Nazajutrz powtórzyli ćwiczenie 8 mil dalej, w Stroud, proeuropejskim, liberalnym mieście, z którego m.in. wywodzi się Extinction Rebellion, radykalny ruch na rzecz ochrony klimatu.

– Wielu ludzi z kontynentalnej Europy – Locher na znak, że Anglię też uważa za część Europy, zawsze dodaje słowo „kontynentalna” – myślało o głosujących za wyjściem z Unii jako tych, którzy nienawidzą obcokrajowców i są wręcz ograniczeni mentalnie. A spotkali ludzi, którzy chętnie rozmawiali. Mówili, że boją się europejskiego superpaństwa, scentralizowanej władzy, ale też że chcą ścisłej międzynarodowej współpracy. Dla młodzieży było to zaskoczenie – opowiada Adrian Locher.

⇒ Pytam go o przyszłość. Ma 55 lat. Mówi, że nigdy nie widział w Anglii tak głębokich podziałów jak teraz: – Cieszę się jednak, że coś, co siedziało w nas głęboko, zostało ujawnione i pokazane. Teraz będzie trzeba to przepracować. Wyciągnijmy, zobaczmy, co to jest. Może Anglia jest jak człowiek potrzebujący terapii? Cierpliwości? Czasu? Nikomu w złym stanie nie powinno się od razu mówić: „weź się w garść, nie udawaj”.

Locher wymienia problemy: Zjednoczone Królestwo nie jest już zjednoczone, hasło „odzyskać kontrolę”, do niedawna używane przez przeciwników Unii, stało się mottem żądających niepodległości Szkotów.

– Podziały są bardziej zaskakujące niż kiedyś, bo częściej identyfikujemy się z czymś innym niż lokalne wspólnoty – opowiada. I zaczyna się zastanawiać: – A może znów powinno się zdecydować o przyszłości? Od referendum minęło trzy i pół roku. Dziś mogą już głosować 16-latk, odeszło wielu starszych ludzi, którzy głosowali za wyjściem, inni zmieniili zdanie. Skoro parlament wybieramy co cztery lata, czemu nie powtórzyć referendum?

Ciszej nad tym krajem

W pogodne jesienne popołudnie językoznawca dr Stanley Bill prowadzi mnie przez dziedziniec XVII-wiecznego Sidney Sussex College, obecnie części uniwersytetu w Cambridge. Siadamy w pokoju wykładowców. Już nie wolno palić tu cygar, herbatę robi się ze zwykłych torebek, miejsce foteli z brązowej skóry zajęły nowsze, z materiału – gdyby nie te szczegóły, można by sądzić, że pokój nie zmienił się od wieków.

Bill urodził się w 1980 r. w Anglii, ale jest Australijczykiem. Z pierwszego pokolenia, które, jak przyspina, nie cierpiało na kompleks mniejszości wobec Wielkiej Brytanii, typowy dla Australii jeszcze w latach 60. Podobnie jak rówieśnicy na Wyspach, czytał w szkole książki Roberta L. Stevensona czy Enid Blyton. Po przyjeździe do Anglii poczuł się więc jak u siebie. Nadal jednak nie wszystko jest dla niego zrozumiałe.

– Na przykład subtelne różnice w znaczeniu i używaniu słów. Mieszkam tu od lat, angielski to mój rodzimy język, ale nie zawsze wiem, kiedy i dlaczego mówi się „Zjednoczone Królestwo”, a kiedy

Pomimo obecnego chaosu na Wyspach przetrwa wyluzowane podejście do przyszłości. To pod hasłem:

„zachowaj spokój i rób swoje”.

„Wielka Brytania”. Albo czemu, gdy ktoś ma tu dwa telefony, z polską i brytyjską kartą SIM – zawsze mówi na ten drugi: „angielski”?

Bill ciągnie dalej: – Mamy piłkarską reprezentację Anglii. Ale na igrzyskach zawodnicy występują w koszulkach z napisem „Wielka Brytania”. A dlaczego nie: „Wielka Brytania i Irlandia Północna”? Przecież reprezentują cały kraj, a nie tylko jego największą wyspę. Inny przykład: gdy widzisz, że pod domem powiewa flaga Anglii – z czerwonym krzyżem św. Jerzego – wiesz, że może w nim mieszkać zwolennik brexitu. A gdy z tą samą flagą idziesz na mecz rugby, kibicujesz Anglii przeciw Szkoci!

Jest sporo takich paradoksów. Inaczej niż Szkocja czy Walia, Anglia nie ma własnego hymnu. Ani lokalnego parlamentu. Może dlatego Anglicy często czują się reprezentantami wszystkich? Na twarzy naukowca pojawia się uśmiech: – I tak jest nam łatwiej niż w czasach I Rzeczypospolitej, mamy przynajmniej przymiotnik „brytyjski”. Kiedyś Ukraińcy, Białorusini czy Litwini musieli posługiwać się słowem „polski”.

Stanley Bill studiował i pracował w Krakowie. Od pięciu lat jest w Cambridge kierownikiem programu polskich studiów. Współtworzył portal „Notes from Poland”, tłumaczący czytelnikom na Zachodzie kontekst aktualnych wydarzeń w Polsce. Pytam go więc, o czym pisałby z Anglii.

– O tym, że o wyjściu z Unii ludzie w ogóle nie rozmawiają. W Cambridge od czasu do czasu odbywają się demonstracje, w kraju trwa kryzys konstytucyjny, polityczny – ale na co dzień tego nie czuć.

– Dlaczego?

– Może dlatego, że to tak dzieli? Może ludzie są zmęczeni? A może, jeśli już musimy sięgnąć do stereotypów, jest to zwią-



zane z pewną angielską rezerwą i uprzejmością?

– Albo z zakłopotaniem, innym uczuciem uznawanym za typowo angielskie? – dopytuję.

– Jeśli, to wśród liberałów, którzy do ostatniej chwili chcieli, żeby Zjednoczone Królestwo zostało w Unii. Jakby chcieli powiedzieć: „Przepraszamy za to, co robimy, bądźcie z nami cierpliwi”. Wśród innych czuć złość i zniecierpliwienie: „Przecież głosowaliśmy za wyjściem, czemu trwa to już czwarty rok?”. Nawet duża grupa zwolenników Unii uważa, że wynik referendum powinien być uszanowany, bo inaczej kłóciłoby się to z typowo angielską chęcią poczuć się fair, w porządku w stosunku do innych – mówi Stanley Bill.

„My jesteśmy inni. Kropka”

W Sidney Sussex College skończyły się zajęcia, do pokoju wchodzi kolejny wykładowcy. Przez drewniane, skrzyn-



Kibice przed wyścigiem wioślarskim na Tamizie, w którym co roku mierzą się reprezentacje uniwersytetów w Oksfordzie i Cambridge. Ostatnim razem, z przewagą długości jednej łódki, zwyciężyli studenci z Cambridge. Londyn, 7 kwietnia 2019 r.

– Co zostało niezmiennie? – pytam na koniec.

– Spokojna, zrelaksowana otwartość na innych. Nawet w miejscowościach, które głosowały za wyjściem z Unii, nie ma nienawiści do obcokrajowców. „Ten jest OK, jest nasz”, mówią ludzie, pokazując na Polaków, Litwinów, Jamajczyków. Wśród londyńczyków utrzyma się poczucie wspólnoty, wynikające z trudności życia w tak wielkim mieście – uśmiecha się Bill.

Przetrwaj podejście: *Keep calm and carry on* (Zachowaj spokój i rób swoje).

Pogoda na jutro

Noc z 19 na 20 grudnia 2019 r. Na antenie Programu 4 prezydent czyta prognozę dla wód przybrzeżnych. Ten fragment audycji, podróż po przylądkach, zatokach i ujściach rzek, zawsze najbardziej pobudza wyobraźnię przed snem. Jedna za drugą, kolejne nazwy. Duncansby Head na północy Szkocji – czy to nie tam żeglował bohater „Porwanego za młodu”? Whitby, średniowieczny klasztor i miejsce najazdów Wikingów... Mull of Kintyre, jak tytuł piosenki Paula McCartneya. Land's End, kres lądu, dalej jest już tylko morze... Wybrzeża Anglii, Szkocji i Walii przypominają mapy odległych albo baśniowych krain, dołączane do książek z dzieciństwa.

„Ogromny, wielośrodkowy niż obejmujący północny Atlantyk i większość Europy będzie nadal odpowiadał za długo jeszcze nie kończący się system zmiennych, czasem wietrznych prądów w dającym się przewidzieć okresie, w całym Zjednoczonym Królestwie...” – czyta lektor.

Czas spać. Nad dalekim Rockall, ponurym ostańcem z czarnego granitu, od którego wzięła nazwę jedna ze stref pogodowych, wystającym z Atlantyku gdzieś w połowie odległości między Szkocją a Islandią, będzie nazajutrz mocno padać. Siła wiatru: 5 lub 6, czasem 7. Stan fal: wysokie lub bardzo wysokie. Widoczność dobra, niekiedy umiarkowana.

© © MARCIN ŻYŁA

kowe okna do środka wpada łagodne światło jesiennego słońca.

Bill jest przekonany, że koniec końców w Anglii zwycięży wiara w to, iż wszystko się ułoży. Może stąd ten spokój, brak paniki na ulicach, choć już nawet rządowe agencje przestrzegają przed skutkami opuszczenia Unii?

– Brytyjczycy zawsze mieli pewien rodzaj „zaufania do historii”, przekonania, że ich stare, stabilne instytucje, które w przeszłości wiele razy przechodziły próbę, dadzą radę i teraz. W XX w. nie przeżywali tak wielkich tragedii jak te, które były udziałem Polaków – tłumaczy Bill. I ostrzega przed zbyt łatwym interpretowaniem ostatnich lat jako chęci zamknięcia się na świat: – To jest ciągle bardzo otwarte społeczeństwo. Dobrze integrujące kolejne pokolenia imigrantów. Za kilka lat w życie zawodowe wejdą dzieci Polaków, którzy przyjechali tu zaraz po wstąpieniu do Unii. Są młodymi Brytyjczykami, lecz spadkobiercami dwóch kultur. Mam nadzieję, że niektó-

rzy z nich zapiszą się na polskie studia w Cambridge. Na razie z około 120 studentów nie więcej niż 5 było Polakami – mówi Stanley Bill.

Jak w trakcie każdej rozmowy w tych dniach, także w Cambridge wracają wątki psychologiczne, bo mojego rozmówcę najbardziej przekonują te tłumaczenia brexitu, które kładą nacisk na kulturę. Mówią o zbyt szybkim tempie zmian w ostatnich latach. O trudności rozmów na temat lęków związanych z masową migracją.

Bill: – Niektórzy twierdzą, że nie było miejsca, gdzie te lęki Anglicy mogliby wyrażać. Z drugiej strony, była jednak wolność wypowiedzi. Były premier David Cameron mówił wręcz otwarcie, że „wielokulturowość nie działała”.

Dlatego zwyciężył pogląd: „My jesteśmy inni, kropka”. – Takie przekonanie to ogromna różnica między Wielką Brytanią a Polską czy Australią, gdzie ludzie bardziej przejmują się tym, co myśli o nich za granicą – mówi Bill. – Ale też ostatnio przybyło rodzajów brytyjskości.

Austriacka gra w kolory

BARBARA RADZIKOWSKA-KRYŚCZAK
Z WIEDNIA

Sebastian Kurz może przejść do historii jako twórca nowego modelu politycznego w Austrii. A potem może także w innych krajach Europy.

AUSTRIACY ŻYJĄ W NAPIĘCIU I TĘSKNIĄ do „świętego spokoju”, którego tak im brakowało w roku 2019. Spokój skończył się, gdy pewne zadziwiające nagranie wywróciło polityczny świat w Wiedniu do góry nogami. Na dno poszła koalicja turkusowo-niebieska – turkusowy to kolor chadecji, Austriackiej Partii Ludowej (wcześniej barwą ÖVP był czarny, jak chadecji w Niemczech), a niebieski to kolor ultraprawicowej Wolnościowej Partii Austrii (FPÖ). Nagranie, które dało początek Ibiza-gate, sprawiło, że niebieska prawica wyeliminowała się z gry. Chadecka czerń, przeфарbowana na turkus, szuka teraz nowego koloru do pary. Nie będzie nim pewnie czerwien socjaldemokratów ani ostry róż liberałów. Trwają przymiarki do zieleni.

Jak do tego doszło? I kim jest człowiek, który może stworzyć ów precedens?

Film z konsekwencjami

Był maj 2019 r., tuż przed wyborami do Parlamentu Europejskiego, gdy przez austriackie, a nawet światowe media przemknęły obrazy z willi na hiszpańskiej Ibizie. Coś w rodzaju „reality show na wypie”, tylko na serio: nagrane z ukrycia spotkanie Heinza-Christiana Strache, szefa wolnościowców, z rzekomą wysłanniczką rosyjskich oligarchów.

Treść? Pieniądze, interesy, władza... I Strache, puszczy się przed atrakcyjną młodą kobietą (jak się okazało, podstawianą) i klarujący jej, w jaki sposób w Austrii można kupić przychylność przedsiębiorców i prasy, jak ominąć fiskusa i prawo. Strache oferujący konkretne in-

teresy: wy wypierzeć brudne pieniądze, my umocnimy władzę.

Do dziś nie wiadomo, kto zorganizował tę pułapkę i nagranie, które zapewne nieprzypadkowo trafiło do mediów w przeddzień unijnych wyborów. Wiadomo, co było później: w eurowyborach wolnościowcy ponieśli klęskę, a wkrótce upadł rząd koalicyjny z ich udziałem, kierowany przez chadeckiego kanclerza Sebastiana Kurza (Strache był w nim wicekanclerzem). Później rządu w Wiedniu objął przejściowo „gabinet ekspertów”, a jesienią przyspieszone wybory wygrał ponownie Kurz i jego chadecja.

Teraz, już od wielu tygodni, trwają negocjacje w sprawie stworzenia zupełnie nowej koalicji. Znosi się na to, że na początku 2020 r. Austria będzie miała rząd ze starym-nowym kanclerzem Sebastianem Kurzem, w którego skład wejdzie partia Zielonych.

Byłaby to sensacja na skalę Europy. Co więcej, taki sojusz formacji dotąd z dwóch biegunów – konserwatystów i zielonych – mógłby okazać się modelem nie tylko dla Austrii. Podobne rozważania pojawiają się ostatnio w Niemczech, gdzie czarno-czerwona „wielka koalicja” wyraźnie dożywa swych dni.



JOE KLAMAR / AFP / EAST NEWS

Sebastian Kurz podczas spotkania z dziennikarzami – tuż przed negocjacjami z Wernerem Koglerem, przewodniczącym Zielonych. Wiedeń, 18 października 2019 r.

Jak „Basti” usłyszał zew powołania

Sebastian Kurz, polityk dopiero 33-letni, zdążył już zasłynąć jako najmłodszy w historii Austrii kanclerz. Wiedeńczyk z pokolenia milenialsów, szczupły i niebieskooki: zawsze ta sama, zaczesana do tyłu gęsta czupryna i odstające uszy, z których dworują kabareciarze. Gładki i uprzejmy. Jedni chwalą jego dynamizm, odwagę i polityczny talent, inni ganią arogancję, oportunizm i autorytaryzm.

Wszystko zaczęło się w początkach nowego tysiąclecia, gdy nastoletni „Basti” (rocznik 1986) usłyszał zew powołania i wstąpił do Młodej Partii Ludowej (JVP), czyli chadeckiej młodzieźówki. Zaczął studiować prawo i wspinał się po szczeblach partyjnej drabiny. Studiów nie skończył, za to zajmował coraz wyższe stanowiska. W 2008 r. kierował stołeczną delegaturą JVP, a rok później jako 23-latek wywindował się na przewodniczącego szczebla krajowego.

W 2010 r. włączył się do kampanii przed wyborami lokalnymi: wymyślił hasło „czarne rajcuje” (czerń była wtedy barwą chadecji) i jeździł po Wiedniu geilmobilem (*geil* znaczy po niemiecku tyle, co rajcować, podniecać) – granatowym SUV-em, z którego partyjne koleżanki rozrzucały czarne prezerwatywy. Zbierał doświadczenia i zwracał na siebie uwagę.

Jednak kariera radnego Wiednia nie zaspokajała ambicji młodego człowieka. W 2011 r., zajął się – już jako sekretarz stanu w rządzie federalnym – integracją żyjących w Austrii obcokrajowców, poletkiem leżącym dotąd odłogiem. Było co robić, a Kurz koniecznie chciał się wykazać.

Udało się: temat zaistniał w mediach, zaistniał też Kurz. Pomysł na kampanię „Austria razem” był prosty i zdawał się skuteczny: przekonać obcokrajowców, że będą milej widziani, jeśli potraktują Austrię jak własny dom, o który trzeba dbać. I z drugiej strony: pokazać Austriakom, że są wśród przybyszów ludzie z osiągnięciami, gotowi coś z siebie dać nowej ojczyźnie. Kurz apelował o pozytywne emocje, o gościnność. O „kulturę otwartych drzwi” – po niemiecku *Willkommenskultur* – która później nabrała dla niego zupełnie innego znaczenia.

Obrońca unijnych granic

Szczęście wkrótce znów uśmiechnęło się do „Bastiego”, a los wynagrodził wysiłki

błyskawicznym pokonaniem kolejnego szczebla kariery. W 2013 r. Austriacy wybrali nowy parlament, a dla 27-letniego Kurza – już z nimbem kompetentnego, sympatycznego i dynamicznego polityka nowej generacji – znalazło się nie lada zadanie: fotel szefa dyplomacji. Niedługo resort wchłonął jeszcze sprawy europejskie (wcześniej traktowane oddzielnie) i znaną już Kurzowi integrację.

Trwała dobra passa, a nowy szef MSZ nie bał się kontrowersyjnych tematów i gestów. Zerwał z niepisaną tradycją i z pierwszą wizytą zamiast do Niemiec pojechał do Chorwacji. To był sygnał dla Bałkanów, że ich integracja z Unią leży na sercu Austrii. Sporo zamieszania wzbudziła zlecona przez jego resort praca badawcza, której autorzy zdiagnozowali muzułmańskim przedszkolom szerzenie politycznego salafizmu. Oponenci zarzucali MSZ manipulację, ale wszystko rozeszło się po kościach.

Potem przyszło lato 2015 r. – Austria znalazła się na szlaku masowych migracji uchodźców, a świat według Kurza stał się zimny i nieprzytulny. Nie było w nim już miejsca na „kulturę otwartych drzwi” – tak w tych gorących dniach propagowaną przez szefową siostrzanej chadecji, niemiecką kanclerz Angelę Merkel.

Teraz Kurz domagał się odwrotu od „polityki fałszywych nadziei” i zaryglowania granic. Atakował organizacje pozarządowe za to, że – jego zdaniem – *de facto* pomagają imigrantom w przeprawie przez Morze Śródziemne. Apelował, by uchodźców nie wpuszczać do Unii, lecz – wzorem Australii – odsyłać do ośrodków poza Unią (wzorowanych na słynnej wyspie Manus). Propagowany przez niego pomysł zamknięcia bałkańskiego szlaku migracyjnego, dyskutowany w lutym 2016 r. na unijnej konferencji w Wiedniu, początkowo wywoływał spory. W końcu jednak zyskał aprobatę Unii, a Kurz ogłosił się obrońcą austriackich i unijnych granic.

Bilans jego niespełna czteroletniego urzędowania w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, Europy i Integracji to także ustawy o islamie i integracji, regulujące na nowo prawa i obowiązki zarówno muzułmanów (m.in. zakazujące islamskich organizacjom religijnym finansowania z zagranicy), jak też w ogóle imigrantów. Była jeszcze ustawa o uznawaniu zagranicznego wykształcenia i wystartowały obowiązkowe kursy dla starających się

o legalny pobyt, edukujące o zasadach demokracji, równouprawnieniu płci itp. Planów wykreowania się na mediatora po aneksji Krymu Kurzowi nie udało się zrealizować, sukcesów nie przyniosło też rotacyjne przewodnictwo w Organizacji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie (OBWE) – krytykowano go za to, że podporządkował prace OBWE interesom wewnętrznej polityki swego kraju.

Ryzykował i wygrywał

Tymczasem pogłębiały się problemy w rządzącej krajem socjaldemokratyczno-chadeckiej koalicji. Nasilał się jej paraliż, a także frustracja wśród polityków z obu formacji, które przez powojenne dekady przywykły decydować (*de facto* wspólnie, na przemian wymieniając się władzą) o wszystkim, co działo się w Wiedniu, w landach oraz w miastach i gminach.

Wiosną 2017 r. w rodzimej partii Kurza zawrzało. Rozszalały się intrygi i – zgodnie z tradycją chadeków – zaczęło się kopanie dołków i wygryzanie. Podobnie jak kilkunastu jego poprzedników w historii ÖVP, 62-letni Reinhold Mitterlehner rychło miał dość i zrezygnował ze stanowisk szefa partii i wicekanclerza (kanclerzem był wtedy socjaldemokrata).

Sytuacja chadecji była podbramkowa: na gwałt potrzebna jej była osobowość zdolna odwrócić fatalny trend spadkowy w sondażach. Nie szukano długo: nie było wątpliwości, że na lidera najlepiej nadaje się młody, popularny i medialny szef dyplomacji.

Kurz nie czekał na taką okoliczność beczynnie, lecz świetnie się przygotował. A to, co się następnie wydarzyło, w powojennych dziejach austriackich chadeków było ewenementem. Politycznie wychowany w ÖVP i znający ją od podszewki, Kurz wiedział, że każdy lider partii jest zdany na łaskę i niełaskę „landowych książąt”, władających strukturami w krajach związkowych. Postawił więc ultimatum: przyjmę funkcję, jeśli dacie mi niepodzielną władzę.

Zaryzykował wiele i wygrał: na zjeździe delegaci wybrali go przewodniczącym ÖVP większością prawie 98 proc. głosów. Wkrótce potem (i zapewne nieprzypadkowo) rozpadła się czerwono-czarna koalicja, a 31-letni Kurz – stylizując się na „mesjasza” ÖVP – ze znanym już wigorem rzucił się w wir kampanii. Dyskretne zabiegi o poparcie przedsięwzięcia przyniosły rezultaty. Później wyszło na jaw, ➔

⇒ że ÖVP wydała na te wybory prawie dwa razy więcej, niż zezwalają przepisy. Chadey ruszyli do nich z nową nazwą (Lista Sebastiana Kurza – Nowa Partia Ludowa) oraz w nowej, turkusowej barwie. Na koniec wyprzedzili socjaldemokratyczną SPÖ, zdobywając 31,5 proc. głosów oraz przywilej utworzenia nowego austriackiego gabinetu.

W imię bezpieczeństwa

W grudniu 2017 r. Kurz ogłosił owoce zakończenia negocjacji z Wolnościową Partią Austrii. Znowu sensacja, bo tak młodego kanclerza jeszcze w historii Austrii nie było. Był za to już wcześniej rząd z udziałem FPÖ, wówczas kierowanej przez legendarnego populistę Jörga Haidera. Tamta koalicja ÖVP-FPÖ zostawiła po sobie wspomnienia licznych skandali, straty finansowe i poczucie upokorzenia unijnymi sankcjami. Teraz populistyczna prawica – pod przywództwem Heinza-Christiana Strachego – miała wrócić na salony, by wspólnie z chadekami przebudować państwo.

Kurz zapowiadał rządy po nowemu: dynamiczne i pragmatyczne, bez koalicyjnych swarów i bez *Proporzdemokratie* – osławionej austriackiej „zasady proporcji”, gdy przez powojenne dekady rządzące partie tradycyjnie dzieliły się wpływami we wszelkich możliwych instytucjach. Obiecywał wymieść spuściznę dziesiątków lat współwładzania „czerwonych”, modernizację państwa, wzmocnienie gospodarki, a nade wszystko bezpieczeństwo wewnętrzne i zachowanie tożsamości Austrii.

Powtarzane jak mantra hasła działały: popularność Kurza rosła, społeczeństwo poddawało się czarowi elokwentnego i charyzmatycznego polityka. Przy współpracy z partią Strachego Kurz umacniał fasadę perfekcji. Nakładając współpracownikom kaganiec (zwany *message control*) sprawił, że do mediów nie dostawało się nic, co mogło naruszyć wizerunek koalicyjnej harmonii. Kurz robił swoje, zostawiając FPÖ niezbyt szeroki margines swobody i tolerując „wybryki” partnera, który wystawiał się – nie bez przyczyny – na zarzuty ksenofobii, antysemityzmu i nazistowskich resentymentów.

Plon tych nieco ponad pięciu miesięcy turkusowo-niebieskiej koalicji budzi mieszane odczucia. Pilnie potrzebne reformy podatków, emerytur, służby zdrowia, wymiaru sprawiedliwości czy administra-

Ambitny i wciąż młody Sebastian Kurz ma w dłuższej perspektywie chrapkę na europejskie urzędy.

cji pozostały niezrealizowane. Dominowały mające zapewnić poklask symbole: redukcja wydatków na rynek pracy (zwłaszcza na kursy niemieckiego dla imigrantów); osobne klasy dla uczniów obcego pochodzenia; finansowe ulgi dla lepiej sytuowanych rodzin; indeksacja zasiłku rodzinnego dla pracujących w Austrii obywateli Unii (dostosowująca świadczenia do poziomu kosztów utrzymania w krajach zamieszkania ich dzieci – ten przepis bada Komisja Europejska); odrzucenie paktu ONZ w sprawie migracji; cięcia środków na integrację w budzie szkolnictwa; walka z politycznym islamem; zakaz noszenia chust przez muzułmańskie uczennice szkół podstawowych; obostrzenia dla beneficjentów pomocy socjalnej...

Obrońną ręką

A potem nastał maj 2019 r. i nagranie z Ibizy. Wtedy Kurz oświadczył, że już dość. Próbował ocalić rząd, stawiając ultimatum: wolnościowcy mieli utrzymać się w koalicji i przy władzy, ale za cenę usunięcia Strachego oraz swego „jastrzębia” – szefa MSW Herberta Kickla, regularnie wywołującego kontrowersje. Tym razem taka strategia nie zadziałała. W solidarności z Kicklem inni ministrowie z FPÖ złożyli dymisje, gabinet upadł. Nie powiodła się próba dalszego rządzenia przy pomocy dobranych samodzielnie przez Kurza ekspertów, którą storpedowała opozycja.

Sebastian Kurz uchodzi za wyjątkowego polityka. Nawet polityczni opo-nenci, krytyczni politolodzy i dziennikarze oceniają, że jak nikt inny potrafi wyczuwać trendy, strategicznie planować, komunikować i budować emocje, a nade wszystko własny wizerunek. Jednak ten kryzys pokazał, że zwiodły go pewność siebie i przekonanie, iż poradzi sobie zarówno z destrukcyjną siłą FPÖ, jak też z parlamentarną opozycją.

Pamiętne majowe wotum nieufności wobec „gabinetu ekspertów” to była kolejna sensacja: po raz pierwszy w historii Austrii parlament obalił rząd. Było więc zamieszanie i strach przez destabilizacją. W tej sytuacji Kurza zajmował głównie własny *image* i przyszła kampania. To nie on, lecz prezydent Alexander Van der Bellen zachował się na miarę męża stanu, uspokajając Austriaków, że konstytucja przewidywała taką sytuację, i że „wspólnie damy radę”.

Z tych zawirowań Kurz wyszedł jednak obronną ręką – w przedterminowych wyborach we wrześniu 2019 r. pomnożył szeregi zwolenników chadek, zdobywając 37,5 proc. głosów i znowu zajmując pierwsze miejsce. Jako cudowne dziecko autopromocji udowodnił, że w dzisiejszych czasach, zorientowanych na komunikację, bardziej od ideologii i efektów liczą się wizerunek i prezentacja.

Wrześniowe wybory przyniosły też inne niespodzianki. Na fali Ibiza-gate wolnościowcy stracili ponad jedną trzecią sympatyków i wycofali się do opozycji (niespodzianką nie była ich klęska, lecz jej skala). Osłabionym socjaldemokratom nie udało się wykorzystać Ibiza-gate i odwrócić negatywnego trendu (typowego zresztą dla europejskiej tradycyjnej lewicy): tracąc kolejnych sympatyków, za-trzymali się na poziomie 21 proc. poparcia. Wobec obopólnej awersji „czerwonych” i „turkusowych”, nie był to dobry punkt wyjścia do rozmów o wspólnym rządzeniu.

Nowe K.u.K.

Wrzesień 2019 r. przyniósł Austriakom jeszcze jedno zaskoczenie: drugim – obok Kurza i ÖVP – zwycięzcą okazała się partia Zielonych. W 2017 r. w ogóle nie dostali się oni do parlamentu, teraz jednak – na fali uwrażliwienia na sprawy klimatu – zdobyli prawie 14 proc. głosów, stając się dla Kurza atrakcyjnym kandydatem na przyszłego partnera.

Już od niemal 60 dni trwają więc intensywne negocjacje. Trwa też *message control* i choć w rozmowach uczestniczy aż setka osób, nie zdarzyły się przecieki do prasy. Są tylko informacje bezpośrednio od szefów. Sebastian Kurz (ÖVP) i Werner Kogler (Zieloni) – czyli „nowe K.u.K.”, jak określił to pewien dziennikarz, nawiązując do habsburskiej *belle époque* – powtarzają, że jest dobra atmosfera i orientacja na wynik, i że potrzeba czasu.

O ile mariaż chadeków z zielonymi tuż po wyborach wydawał się niemożliwy, o tyle wyniki aktualnych sondaży wskazują, że w społeczeństwie rośnie akceptacja, a nawet nadzieja na turkusowo-zieloną koalicję. Być może wynika ona także z przekonania, że choć arytmetycznie Kurz wciąż ma kilka opcji koalicyjnych, w praktyce nie wchodzi one w rachubę. Po Ibiza-gate niewyobrażalny jest sojusz z wolnościowcami – choć Kurz dzieli z nimi poglądy na migrację, integrację czy socjalną rolę państwa. Z kolei alians z „czerwonymi” oznaczałby koniec wizerunku Kurza jako reformatora, który chce zmieniać zgnusiałą *Pro-porzdemokratie*.

Pozostają zieloni – i gdzieś na horyzoncie nadzieja na legendę o pierwszym w Europie konserwatywnym szefie rządu, który zaprosił do niego ekologów. Legenda byłaby pomocna również dlatego, że – jak słyszymy – ambitny i wciąż młody Kurz ma w dłuższej perspektywie chrapkę na ważne europejskie urzędy.

Rozwiązanie pragmatyczne?

Różnice między chadecją i zielonymi są wyraźne. Kurz reprezentuje prawicę środka, zieloni zdecydowanie lewicują. W ÖVP liczą się struktury i posłuch – zieloni pielęgnują ideę demokracji oddolnej. Oba stronom komentatorzy przypisują jednak pragmatyzm i zdolność do kompromisu.

Pragmatyczne rozwiązanie mogłoby zaś wyglądać następująco: każdy otrzyma dziedziny najistotniejsze dla swego elektoratu – chadecy politykę gospodarczą, finanse i bezpieczeństwo, a zieloni ochronę środowiska i klimat. W innych kwestiach można się spotkać gdzieś pośrodku.

Wcześniejsze przykłady kilku austriackich krajów związkowych – Vorarlbergu, Salzburga, Tyrolu i Górnej Austrii – pokazują, że turkusowo-zielona współpraca nie tylko jest możliwa, ale przynosi nieźle rezultaty. O tym, czy Kurz i Kogler zdecydują się na podobny eksperyment w Wiedniu, przekonamy się wkrótce.

© BARBARA RADZIKOWSKA-KRYŚCZAK



ULA IDZIKOWSKA

Protestujący na praskim dworcu kolejowym z ulotkami z napisem „Dymisja!”, 10 grudnia 2019 r.

Václavák i milcząca reszta

ULA IDZIKOWSKA Z PRAGI

Ostatnie dni 2019 roku wielu Czechów spędzało na ulicach, by znów pokazać, że „chcą premiera, a nie łgarza”. Choć było jasne, że protesty nic nie dadzą, a premier cieszy się nadal dużą popularnością. Właściwie dlaczego?

NEPEČU, PROTESTUJU”. NA FACEBOOKU 9 tys. ludzi zachwycało się transparentem autorstwa pani Ruth Šormovej. Zamiast piec bożonarodzeniowe *cukroví*, we wtorek 10 grudnia pani Šormova poszła na praski Václavák, plac św. Wacława. Tak jak plus minus 50 tys. innych prażan, żądających tego dnia dymisji Andreja Babiša.

Wcześniej, podczas listopadowej akcji w parku Letna, stowarzyszenie Milion chwil dla demokracji ogłosiło wprawdzie, że ponowne protesty przeciw Babišowi odbędą się dopiero w styczniu. Ale w ostatnim momencie zmobilizowano ludzi wcześniej – to ze względu na audyt Komisji Europejskiej, który potwierdził konflikt interesów premiera.

„Andrej Babiš bezprawnie zagarnął pół miliona koron w dotacjach – wyśnia ulotka przygotowana przez Milion

chwil. – Ma zwrócić wszystko, co mu się nie należy!”. Unijne dotacje, o których mowa, trafiły do holdingu Agrofort, którego premier jest wciąż faktycznym właścicielem – choć formalnie w 2017 r. przekazał kontrolę nad firmą funduszowi po-wierniczemu.

„Nie jesteśmy ślepi” – w grudniowy wtorek nad tłumem na Václaváku unosi się czarny baner. 50 tys. watchdogów – strażników demokracji, jak sami się postrzegają – skanduje na przemian „Haňba, haňba!” oraz „Mame toho dost!”. Przewodniczący Miliona chwil Mikuláš Minář przypomina po raz kolejny, nad czym należy czuwać. Niezawisły wymiar sprawiedliwości i niezależne media to podstawy demokracji, którą trzeba strzec przed konfliktem interesów polityków i nadużywaniem władzy przez prezydenta Miloša Zemana.



⇒ Przesłanie ruchu Miliona chwil jest jasne: gdy któryś z polityków przekroczy jedną z tych czerwonych linii politycznego boiska, trzeba wyjść na ulice. – To mocny znak w kierunku polityków u władzy: jesteśmy tutaj i obserwujemy was – tłumaczy „Tygodnikowi” Sára Kláčko z zespołu Miliona chwil.

Nawet jeśli nie odejdzie

Mimo wszystko szansa na to, że Babiš ustąpi z urzędu, jest niewielka.

– Jednak, patrząc w dłuższej perspektywie, te protesty mogą coś zmienić – tak uważa w rozmowie z „Tygodnikiem” socjolog Martin Buchtík, dyrektor instytutu badań empirycznych STEM. – Poprzednie demonstracje zapobiegły już wprowadzeniu niedemokratycznych zmian. Takie zapobiegawcze akcje mogą stanowić przeciwwagę dla Babiša.

Również Matouš Pilnáček z Instytutu Socjologii czeskiej Akademii Nauk jest zdania, że to ma sens – takie, jak mówi, konsekwentne obnażanie niedemokratycznych tendencji. Oraz podkreślanie, że Czeši nie są ślepi. W rozmowie z „Tygodnikiem” Pilnáček przekonuje, że to może zmusić premiera do działania w sposób bardziej demokratyczny.

Bo na rezygnację Babiša rzeczywiście nie ma co liczyć. Premier powołuje się na to, że został demokratycznie wybrany. A poza tym: widziały gały, co brały... – Tak, wszyscy wiedzieli o jego komunistycznej przeszłości i przekrętach finansowych jeszcze przed wyborami. Babiš sam o tym przypomina i trzeba przyznać, że to dość silny argument – mówi Pilnáček. A jeśli wierzyć włoskiemu filozofowi politycznemu Josephowi de Maistre, „każdy naród ma taki rząd, na jaki zasługuje”.

Przecież wszyscy kradną...

Według sondażu przeprowadzonego w październiku 2019 r. przez STEM, premier wciąż pozostawał wtedy najpopularniejszym politykiem w kraju. – Większość Czechów widzi w nim efektywnego managera, silnego przywódcę – tłumaczy to Pilnáček.

Profesjonalne pijarowskie zaplecze Babiša dba o ten wizerunek. Martin Buchtík zwraca uwagę na fakt, że opowieść o premierze jako pragmatycznym polityku, który zarządza krajem jak swoją firmą, jest skrojona na miarę Czechów. „Nie przepadamy za pompacyj-

nymi historiami. Wszystko, co wiąże się z ideologią, traktowane jest z niedowierzaniem. Nie mamy mocnej historii o wielkich Węgrzech, krwawieniu Polski czy przebudzeniu się Słowacji. Nie żyjemy też żadnymi zapomnianymi ambicjami kolonialnych supermocarstw, takich jak Portugalia czy Belgia” – mówi Buchtík w wywiadzie dla portalu radia iRozhlas.

Historia Babiša padła na podatny grunt i w odpowiednim czasie. To jemu wielu Czechów przypisuje dobrą sytuację gospodarczą kraju i sprawne zarządzanie finansami publicznymi. A że czasem, przy okazji, parę milionów wylądowało mu w kieszeni...

– Zwolennicy Babiša są cyniczni – mówi Buchtík „Tygodnikowi”. – Żyją w przeświadczeniu, że wszyscy politycy kradną. A Babiš kradnie „tylko trochę”.

Jak tamte 50 mln koron na budowę centrum konferencyjnego Bocianie Gniazdo.

Większość nie lubi zmian

Protestujący na Václaváku tę aferę dobrze pamiętają – kilku demonstrantów niesie na plecach pluszowe bociany. Inni chwytają za krede, by zostawić Babišovi wiadomość: „Nie jesteśmy twoją firmą! Idź do domu!”.

Praskie ulice przypominają mozaikę prośb i grózb. Ale premiera to nie rusza. Poza tym, co zyskaliby Czeši, gdyby Babiš zrezygnował? „Obawiam się, że [jego] dymisja, mimo swej silnej symboliki, sama w sobie nie rozwiąże problemów dręczących nasze społeczeństwo” – komentowała socjolog Michaela Trtíková Vojtková w tygodniku „Respekt”. Jej zdaniem priorytety powinny być gdzie indziej: w przejściu na gospodarkę bezwęglową, walce z ubóstwem, stymulowaniu przystępnego i socjalnego mieszkalnictwa, stabilizacji szkolnictwa i służb socjalnych.

Ale na razie cała uwaga zaangażowanej mniejszości społeczeństwa skupia się na Babišu, tym ucieleśnieniu zakłamania i kręactwa.

– Często bywa tak, że symbol jest silniejszy od samego tematu – uważa Buchtík. – Po prostu, symbole jest łatwiej zrozumieć i prościej się również do nich odnieść. Weźmy np. zmiany klimatyczne, które dla wielu pozostają abstrakcją. Szwedzka aktywistka Greta Thunberg stała się twarzą, symbolem ruchu alarmi-



DAVID W. CERNY / REUTERS / FORUM

stów klimatycznych, którzy traktują ją jako ikonę, nowego proroka. W Czechach 80 proc. społeczeństwa wierzy w zmiany klimatyczne. Ale część stała się bardziej sceptyczna od momentu pojawienia się Gretty Thunberg. Po prostu, nie lubią jej jako osoby. To nie jest kwestia argumentów, których używa.

Z Babišem jest, zdaniem Buchtíka, podobnie: tu nie chodzi do końca o stan demokracji, ale bardziej o premiera, który wzbudza silne emocje. – Albo go lubisz, albo nie. Ale jedno trzeba przyznać: to właśnie przez Babiša ludzie wyszli na ulice.

Bo w Czechach to raczej sytuacja wyjątkowa. – Ludzie są konserwatywni. Nie lubią drastycznych zmian. Wolą, żeby rzeczy zostały po staremu – przypomina Buchtík.



Przypominające o aferze z budową centrum konferencyjnego bociany są symbolem ostatnich protestów. Na zdjęciu: demonstracja w Pradze, 17 grudnia 2019 r.

Jednak Sára Klačko z Miliona chwil uważa, że masowa mobilizacja to niezбитy dowód, iż Czesi się zmieniają.

Jak przełamać dystans

Socjolog Pilnáček wskazuje, że w ostatnich 30 latach w Czechach prawie nie było demonstracji: – Zwłaszcza o takiej skali i tak długotrwałych. Mówimy w dalszym ciągu o garstce społeczeństwa, ale to jego najbardziej aktywna część, która się zmobilizowała, aby wyrazić niezadowolanie.

Czy to zaangażowanie skończy się na udziale w demonstracjach i podpisywaniu petycji? Już podczas listopadowej akcji na Letnej lider Miliona chwil Mikuláš Minář namawiał protestujących do wstępowania do partii opozycyjnych. Teraz, w grudniu, również Jana Filipová zachę-

cała do zaangażowania się w politykę. Filipová zasłynęła tym, że odważyła się pozwać premiera, gdy ten insynuował, że protestujący w Letnej są opłacani. Sąd orzekł, iż premier jest winny Filipovej przeprosiny, ale Babiš od wyroku się odwołał; postępowanie trwa.

Filipová chce zarazić innych aktywną postawą obywatelską. Chce, by ludzie przestali być obojętni. Namawia też do udziału w wyborach. „Dopóki nie zmienimy partii i spektrum politycznego od dołu, będziemy kręcić się w miejscu” – mówiła na demonstracji.

Czy jej nawoływania odniosą jakiegokolwiek rezultaty? – Frekwencja wyborcza w Czechach jest raczej stabilna, od lat oscyluje w granicach 60 procent – mówi Pilnáček. Natomiast z badań wynika, że zdecydowana większość Czechów po-

strzega politykę krajową jako coś brudnego, od czego lepiej się dystansować.

Problem z alternatywą

Poparcie dla partii opozycyjnych od czasów Letnej bynajmniej nie wzrosło. Problem opozycji polega na tym, że jest rozdrobniona, podzielona przez stare i nowe konflikty. Do tej pory partie nie były w stanie efektywnie współpracować. Tymczasem zdaniem Minářa to jedyny sposób, aby przełamać „blok władzy”, jaki tworzą Babiš i wspierający go prezydent Zeman.

Ludzie chcą zmian, ale ktoś musi je zainicjować. Pojawiają się głosy, że tylko nowe ugrupowanie może przynieść świeży powiew w polityce. Milion chwil odpada: stowarzyszenie nie planuje wejścia w politykę partyjną. Choć niektórzy, jak socjolog Trtíkova Vojtkova, sugerują, ➔

⇒ że Milion chwil powinno to uczynić. Jednak Sára Klačko przypomina, że organizacja jednoczy ludzi ponad ich poglądami, dlatego musi pozostać apolityczna.

Alternatywa na scenie politycznej tak czy inaczej nie pojawi się z dnia na dzień. Zbudowanie nowej partii trwa, a protestujący chcą dymisji Babiša teraz. Kto mógłby wypełnić ewentualną lukę po jego odejściu? Z badań Instytutu Socjologii czeskiej Akademii Nauk wynikało, że dużym zaufaniem cieszy się Václav Klaus młodszy, syn byłego prezydenta. Jego skrajnie prawicowa partia Trzy Kolory istnieje zaledwie pół roku, a już zyskała 3,5 proc. poparcia.

Dla porównania, popularność najsilniejszej partii opozycji, Piratów, pozostała w miarę stabilna: między styczniem 2018 r. a październikiem 2019 r. wzrosła z 11,6 proc. do 13,3 proc. Przewodniczący Piratów, Ivan Bartoš, wciąż cieszy się sporym zaufaniem – wierzy mu co trzeci Czech. Ale w porównaniu z poprzednim badaniem wzrósł poziom nieufności: teraz ponad połowa respondentów ma wątpliwości co do Bartoša.

Charyzma jak Trumpa

Pilnáček twierdzi, że rosnącą popularność Václav Klaus młodszy zawdzięcza charyzmie à la Donald Trump: – Obaj mają podobny styl komunikacji. Mówią bez ogródek. I mówią to, co chcą, nie bacząc na polityczną poprawność. Tę klarowność niektórzy wyborcy odbierają jako szczerść.

Zdecydowane poglądy Klause juniora składają się na wizerunek silnego przywódcy. A to właśnie on zapewnia Babišovi nieustającą popularność.

Potrzebę „rządów silnej ręki” odczuwają zwłaszcza osoby starsze – tak wykazało badanie „Czeskie społeczeństwo po 30 latach”, przeprowadzone przez Czeskie Radio we współpracy z zespołem socjologów. „Znaczna część star-

szych wyborców jest dużo bardziej konserwatywna niż reszta populacji – mówił Buchtík w wywiadzie dla portalu iRozhlas. – Czują, że żyją w świecie o poluźnionych zasadach. Narasta w nich niepewność. Dlatego odczuwają potrzebę przywrócenia porządku w ciągle zmieniającym się świecie”. Również ponad połowa klasy uboższej i 39 proc. klasy średniej opowiada się w tym sondażu za silnym liderem – nawet gdyby „nie zawsze działał on zgodnie z ustalonymi zasadami” (tak brzmiało pytanie z sondażu).

Każdy w swojej „bublinie”

Można by się pokusić o stwierdzenie, że Babiš dotkliwie podzielił społeczeństwo. Z sondażu STEM wynika, że 52 proc. Czechów jest pozytywnie nastawionych do premiera, a 48 proc. deklaruje, że go nie trawi.

Brak dialogu między jednymi i drugimi to poważny problem dla spójności społecznej – tak uważa Buchtík. – Nawet jeśli nie przepadasz za Babišem, nie musi to automatycznie oznaczać, że nie lubisz jego wyborców. Lepiej postarać się zrozumieć, dlaczego ludzie na niego głosują. Może są rozczarowani poprzednim rządem? Może odnoszą wrażenie, że Babiš naprawdę interesuje się ich życiem – przekonuje socjolog.

Z kolei zdaniem Pilnáčka obie strony nie są w stanie okazać empatii ani zrozumieć myślenia drugiej strony, bo czytają różne gazety i oglądają różne telewizje: – Każdy żyje w swojej *bublinie* [bańce – red.]. Przeciwnicy Babiša czerpią informację z dziennika „Hospodářské noviny”, a zwolennicy premiera sięgają po „Mladá frontu DNES”.

Dodajmy, że ten drugi dziennik należy do spółki zależnej od koncernu Agrofert.

Poza tym Czesi, ogólnie rzecz biorąc, nie palą się do rozmów o polityce. – Większość jest raczej obojętna i rozczarowana – stwierdza Pilnáček. Badanie za-

inicjowane przez Czeskie Radio wykazało, że działania reprezentacji politycznej w ciągu ostatnich 30 lat postrzegane są jako szereg utraconych szans. „Na początku lat 90. politycy obiecali nam, że wkrótce dogonimy Niemcy. I patrz, do Niemiec nam wciąż daleko, a Słowacja depcze nam już po piętach” – mówił z kolei Buchtík w wywiadzie dla iRozhlas.

Z obecnej sytuacji politycznej zadowolony jest mniej więcej co piąty Czech, natomiast zaniepokojonych jest dwóch na pięciu obywateli – tak podaje praskie Centrum Badań Opinii Publicznej. Nie jest to rekord minionej dekady. W listopadzie 2012 r., przed upadkiem rządu Petra Nečasa (w związku z aferą korupcyjno-obyczajową: kochanka premiera miała zlecić wywiadowi wojskowemu podsłuchiwanie m.in. żony Nečasa), nastroje były dwa razy gorsze.

– Te prywatne skandale całkowicie zniesmaczyły czeską opinię publiczną. Afery Babiša też ciągle wychodzą na jaw. Ale to „tylko” pieniądze; jakieś dotacje z Unii, które Czechów tak znowu bardzo nie obchodzą. Wyborcy wciąż wierzą w Babišovą partię ANO [po czesku: Tak – red.], że będzie lepiej, i że jest lepiej. Dlatego na dymisję Babiša trzeba będzie poczekać do następnego kryzysu ekonomicznego! – stwierdza Pilnáček z gorzkim uśmiechem.

O przyszłość czeskiej demokracji socjolog Martin Buchtík jest raczej spokojny. Wskazuje, że nie nastąpiło dotąd żadne z działań, które mogłyby zagrażać demokratycznym instytucjom – jak zwiększenie władzy prezydenta, zamknięcie Senatu czy obsadzanie przez obóz władzy swoich popleczników w sądach. „I nic z tego się nie wydarzy – uspokajał Buchtík. – Czesi nie lubią zmian. Są proeuropejscy i trzymają się demokratycznej idei podziału władzy”.

I dlatego będą warczeć, gdy ktoś nadeptnie im na ogon. © ULA IDZIKOWSKA

TP

Kluby „TP” zapraszają na spotkania

KATOWICE, wtorek, 7 stycznia, godz. 18

„Czy w Katowicach potrzebny jest Klub »TP«?”.

Gośćmi będą Jarosław Makowski oraz Tomasz Golonka OP.

Miejsce: sala Benedyktynka Biblioteki Śląskiej (pl. Rady Europy 1, wejście od ul. Damrota).

WARSZAWA, czwartek, 9 stycznia, godz. 19

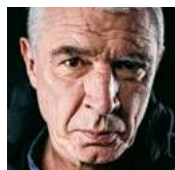
„Hej koleda, koleda!” – wspólne śpiewanie kołęd z chórem Kameleon. Miejsce: sala KIK (ul. Freta 20/24A).

ZIELONA GÓRA, środa, 8 stycznia, godz. 18

„Kościół wobec osób LGBT”. Gośćmi będą Andrzej Kuśmierski OP oraz Ignacy Dudkiewicz. Miejsce: Piekarnia Cichej Kobiety (ul. Fabryczna 13).

ANDRZEJ

Stasiuk: Brzemie



SIEDEMNAŚCIE KILOMETRÓW, DWADZIEŚCIA minut. Najpierw pod górę z Mareszką po prawej, która polega sobie niczym wieloryb pośród beskidzkich szczytów. Potem kawałek przez las, a jak się wyjeżdża na otwarte, to jest Magurycz, też po pra-

wej. Spod lasu w pogodne dni widać Tatry. Na skrzyżowaniu prosto, kawałek w dół i zaraz w prawo i znowu przez las do Gładyszowa, który leży sobie malowniczo między Wierchem a Popowymi Wierchami. Dość długa wieś, lecz przyjemna. Rozległa taka, z wielkim oddechem krajobrazowym na zachodzie. No ale my skręcamy akurat na południe.

Długi na dwa kilometry i prosty jak strzełił podjazd wjedzie nas skrajem potężnej doliny z wielkimi widokami od zachodu właśnie. A potem hyc, siodółko i zjeżdżamy w Zdyni, która jak wszystkie tutaj wioski grzecznie skupiła się przy drodze i nie zasłania nadmiernie piękną ziemią. A potem znów długa prosta i trzeba się pilnować, żeby nie sprawdzać możliwości auta, bo jedzie się jak po stole, domów po lewej i prawej jak na lekarstwo, a dolina przyjemnie się wypłaszcza i robi się spokojnie, i trochę uroczyscie, jakby krajobraz chciał nas o czymś uprzedzić. Po prawej Jaworzyna Konieczniańska i wieżyczka austrowęgierskiego cmentarza z I wojny, potem lekki łuk w prawo, porzucony budynek po lewej.

Oto nagle, w jednej sekundzie następuje kulminacja tej podróży: nie ma Polski. Dwadzieścia minut, siedemnaście kilometrów według Google Maps. Nie ma Polski. Przełącz o wdzięcznej nazwie Dujawa i Polski już nie ma. Jak nożem uciął. Znikła. Skończyła się. Wraz ze swoją przebogatą i bohaterską historią. Razem z tymi wszystkimi królami, chrztem w 996 roku, z dziejami oręża, Jagiełłą pod Grunwaldem, Batorym pod Pskowem oraz Cudem nad Wisłą. Nie ma. Pusto

jest. Nic nie jedzie. Nie ma ani Częstochowy, ani zaborów, ani dwudziestolecia międzywojennego. Latem w zagrodzie na odludziu pasie się białe bydło. Teraz na skraj lasu wychodzą jelenie. Widok jest wielki, większy nawet niż u nas i przepraszam, jeśli kogoś uraziłem. Skończyła się. Nie ma jej tutaj. I nawet niespecjalnie ktoś w jej stronę się wybiera. Ruchu samochodowego tyle, co kot napłakał, albo i tego nie. Dwa baraczki sobie stoją przy asfaltowym placu. Kiedyś można było w nich kupić taniej niż w Polsce polską wódkę.

Tak. Zawsze mnie zadziwia ten dziecinny cud siedemnastu kilometrów i dwadzieści minut. Jak w jakiejś ciuciubabce. Zamykasz na chwilę oczy, otwierasz i nie ma. Nie ma tego wszystkiego, bez czego – wydawałoby się – nie można żyć. Nie ma Odry i Nysy, nie ma Sejmu ani Senatu, nie ma na przykład Beaty Kempy i na przykład partii Razem. Robi się po prostu tak, jakby nic nie było. Ani prezesa, ani premiera, ani prezydenta samotrzeć brnących przez polszczyznę. Ani-ani. Ani czarnego golfa na podlaskich blachach wyprzedzającego cię na podwójnej ciągłej. Nie ma tych wszystkich niezwykłych oblicz na przydrożnych słupach nielitościwie niesprzątniętych, chociaż ich właściciele już naobiecowali ludowi, co tam lud sobie zapragnął. Nie ma nawet Roberta Kubicy.

Jedzie się przez Słowację z tym wieloznacznym uczuciem ulgi, ale i niepokoju. Wszystko zniknęło, jak nożem uciął, ale jednocześnie moje polskie serce lekko zamiera: więc co? Kreska na mapie, przełącz Dujawa i znikamy, jakby nas nie było? Słowacki pies z kulawą nogą nawet się za nami nie obejrzy? Tak wzdęci własnym istnieniem po siedemnastu kilometrach obracamy się w nicosć? Tak napęczniali od polskiego sensu zaraz za Dujawą, już we wsi Becherov, możemy liczyć najwyżej na zainteresowanie słowackiej policji, bo ograniczenie niby stoi, ale wieś jednak nieco z boku i w dole? Dwadzieścia minut i jakby nas nie było. Możemy policjantowi długo tłumaczyć, że odsiecz wiedeńska, że Częstochowska, Ostrobramska, że obronimy swoją energetykę węglową, ale on popatrzy na nas, jakby niczego nie rozumiał, i spokojnie wypisze *blok na pokutu*, czyli mandat. A jak nie mamy gotówki, to spokojnie schowa nasze polskie dokumenty do kieszeni i każe jechać do bankomatu w Bardejowie. To jest jakieś piętnaście kilometrów, ale przynajmniej w niedzielę sklepy są otwarte.

Okrutne jest brzemie polskiego losu.

©

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

Zapraszamy
na „Lekcje
czytania”



Ostatnie „Lekcje czytania” w 2019 roku odbyły się w poniedziałek 16 grudnia.

KATARZYNA KUBISIOWSKA odwiedziła I i II LO w Jaśle z wierszami „Bunt piętnastolatek” i „Non omnis moriar” Zuzanny Ginczanki.

MARCIN ŻYŁA czytał z uczniami z Liceum im. Piotra Michałowskiego w Krakowie utwór „Raga. Ujrzałem niewidzialny kontynent” Jeana-Marie Gustave'a Le Clézio.

MICHAŁ OLSZEWSKI w Zespole Szkół Elektrycznych nr 1 w Krakowie rozmawiał o języku polskiego rapu i „Zimie” Andrzeja Stasiuka.

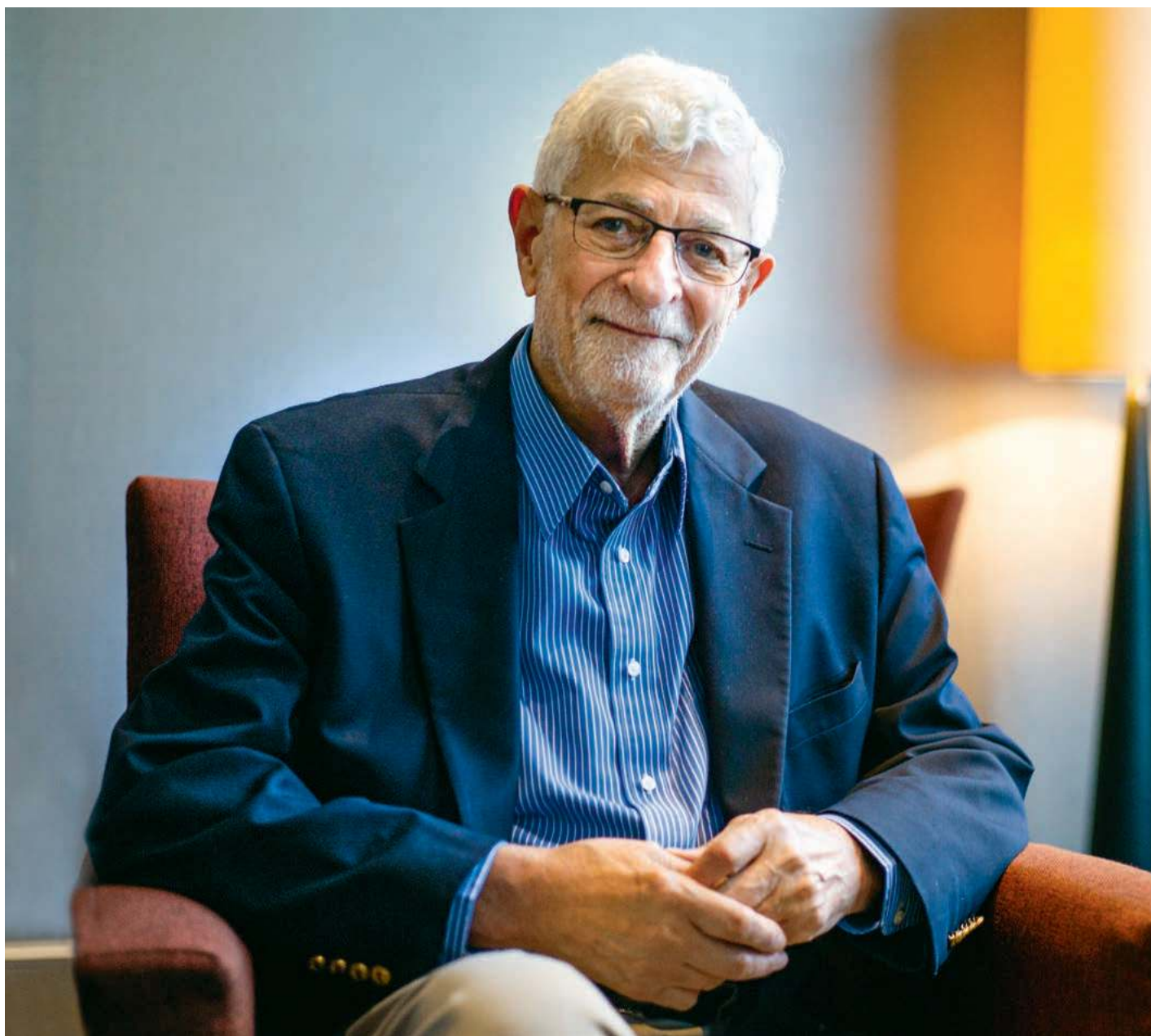
Wszystkim uczestnikom naszych „Lekcji...” życzymy znakomitego Nowego Roku!

Chcesz zorganizować u siebie „Lekcję czytania” – napisz: lekjeczytania@tygodnik.com.pl

Więcej o akcji na  / LekcjeCzytania



LECZENIE KRÓLIKIEM



VAMIK VOLKAN, PSYCHOANALITYK:

Największy lęk w grupach etnicznych, narodowych, religijnych i ideologicznych wzbudza obawa przed „zakażeniem” przez „innego”.

JUSTYNA DĄBROWSKA: O starości możemy porozmawiać?

VAMIK VOLKAN: Nigdy nie czułem się stary, aż do czasu, kiedy doznałem urazu kolana – od tamtej pory często mnie boli. Wygląda na to, że ciało po prostu przypomina mi o tym, że się starzeje. Teraz robi to już właściwie przez cały czas.

A kiedy zagląda Pan do środka, do swojego wnętrza, to ile Pan ma tam lat?

Trudno mi powiedzieć... Mój mózg cały czas pracuje na wysokich obrotach. Podróżuję, piszę książki i artykuły, wygłaszam wykłady na całym świecie. Niewiele się zastanawiam nad swoim wiekiem. Chyba że spotykam dzieci. Moja najmłodsza wnuczka ma teraz nieco ponad dwa lata. Widząc jej energię, zaczynam czuć się jednak bardzo stary.

O moim wieku przypomina mi jeszcze coś. Pochodzę z Cypru, tam chodziłem do liceum. W 1950 r. rozpocząłem studia medyczne w Turcji, a w 1957 r. wyjechałem do USA. Około ćwierć wieku temu zbudowaliśmy dom na Cyprze i razem z żoną spędzamy tam zwykle letnie miesiące. Lubiłem te wyjazdy również dlatego, że spotykałem się wtedy z moimi dawnymi kolegami z liceum. W ostatnich latach zdałem sobie sprawę z tego, że oni wszyscy powoli znikają. Tylko czterech jeszcze żyje. Dwóch ma alzheimera, jednemu wydaje się, że został na stare lata poetą, a czwarty mieszka w Kanadzie. To także przypomina, w jakim jestem wieku.

Jest Pan bardzo aktywny. Skąd ta energia?

Tak naprawdę nie wiem. Też się zastanawiałem, co mnie motywuje, żeby wciąż studiować psychologię grup etnicznych, narodowych, religijnych i politycznych. Jako psychoanalityk musiałem pochylić się nad pewnymi wydarzeniami, zwłaszcza z dzieciństwa, które leżą u podstaw mojej motywacji.

I co Pan odkrył?

Urodziłem się na Cyprze jako syn Turków. Ojciec był synem chłopca – spośród ośmiorga rodzeństwa jako jedyny zdobył wykształcenie i został nauczycielem w szkole podstawowej. Matka również była nauczycielką. Jej rodzina była znana i majątna, informacje o niej sięgają pięciu pokoleń wstecz. Imię Vamik otrzymałem po dziadku matki, który był *kadi* (sędzia mu-

zumański) w Nikozji, stolicy Cypru. Za jego życia Cypr był terytorium osmańskim. Mój pradziadek był ostatnim osmańskim *kadi* w Nikozji. W 1878 r. został usunięty z tego prestiżowego stanowiska, po tym jak sułtan osmański „użyty” wyspy Brytyjczykom i jej administratorem został brytyjski

gubernator. To wydarzenie wywarło wielki wpływ na dalsze losy mojej rodziny, ponieważ straciła nie tylko sławę, ale i bezpieczeństwo finansowe. Jeden z braci matki otrzymał imię słynnego dziadka, lecz zmarł młodo. Gdy urodziłem się w 1932 r., to mnie nazwali Vamik i w ten sposób nieświadomie wydelegowali do wykonania określonego zadania. Byłem „dzieckiem zastępczym”.

Jakiego zadania?

Przywrócenia rodzinie matki dobrego imienia i pozycji. Kiedy matka wychodziła za mąż za ojca, postawiła mu jeden warunek – że nigdy nie będzie prała. Nawiązała w ten sposób do niegdyś uprzywilejowanej pozycji swojej rodziny.

Gdy dorastałem, musiałem być najlepszy w całej klasie. Któregoś roku dostałem słabsze stopnie. Pamiętam, że przez całe tamto lato mama była przygnębiona. Ten nacisk, żebym był prymusem, zaczął się bardzo wcześnie.

Często mówi Pan, że ogromny wpływ na Pańskie życie wywarła wojna.

Kiedy się urodziłem, Cypr był już brytyjską kolonią. Mieszkało tam około 350 tys. osób. Dwie grupy etniczne, greccy chrześcijanie i mniej liczni tureccy muzułmanie, żyli obok siebie w tych samych miastach, miasteczkach i niektórych wsiach. Były też wsie albo całkowicie greckie, albo tureckie. Na wyspie przebywali również Ormianie i maronici. W miarę dorastania zrozumiałem, dlaczego „rdzenni” mieszkańcy wyspy tak bardzo podkreślali swoją greckość lub tureckość. To pozwalało im utrzymać poczucie własnej wartości i zachować więź z ojczyzną – odpowiednio Grecją lub Turcją. Zacząłem zdawać sobie coraz lepiej sprawę z wpływu historii na ludzką psychologię. A potem przyszła wojna.

Po ataku lotniczym nazistów w 1941 r. na Kretę wszyscy spodziewali się, że Cypr podzieli jej los. W naszym ogrodzie pod domem, na zlecenie ojca, wykopano bunkier. Wielokrotnie tam uciekaliśmy w dzień i w środku nocy, kiedy budziły nas syreny; wyspę bombardowały niemieckie i włoskie samoloty wojskowe. Czekaliśmy, aż syreny przestaną wyć, aż niebezpieczeństwo minie i wtedy wracaliśmy do łóżek. Racjonowano jedzenie, jedliśmy ciemny, pozbawiony smaku chleb. Uczyłem się, jak zakładać maskę przeciwgazową. Pewnego dnia byłem świadkiem tego, jak tuż nad moją szkołą podstawową, gdzie bawiłem się z innymi dziećmi, brytyjski myśliwiec zestrzelił włoski samolot wojskowy. Byłem przerażony. Latami przechowywałem mały kawałek szkła z wraku tego samolotu. Zachowując go – niejako kontrolując – zapewne usiłowałem zapanować nad moim dziecięcym lękiem przed utratą życia. Niemcy nigdy nie najechali na Cypr, ale nieustający strach przed tym, iż mogą to zrobić, uświadomił mi, że można patrzeć na świat jak na coś, co składa się z sojuszników i z wrogów.

Dlatego zaczął Pan się interesować psychologią grup?

Tak sądzę. Jest jeszcze trzecia opowieść, która również odegrała istotną rolę w tych zainteresowaniach. Podczas ostatnich dwóch lat studiów medycznych w Turcji dzieliłem pokój z innym, o dwa lata młodszym, cypryjskim Turkiem. Miał na imię Erol. Był dla mnie jak brat, którego nigdy nie

⇒ miałem. Kilka miesięcy po przyjeździe do USA otrzymałem list od ojca. W kopercie znalazłem wycinek z gazety ze zdjęciem Erola. Przeczytałem, że pojechał z Turcji na Cypr, by odwiedzić schorowaną matkę. Kiedy kupował dla niej lekarstwa w aptece, został siedmiokrotnie postrzelony przez cypryjskiego Greka – terrorystę. Członka organizacji walczącej przeciwko Brytyjczykom i postulującej zjednoczenie wyspy z Grecją. Cypryjscy Turcy chcieli wtedy, żeby wyspa została podzielona pomiędzy Greków i Turków. Między tymi dwiema grupami etnicznymi trwał śmiertelny konflikt. Grecki terrorysta, po to by sterroryzować odmienną grupę etniczną i w imię tożsamości grupowej, zamordował mądrego, młodego człowieka, który miał obiecującą przyszłość.

Podczas pierwszego roku mojego pobytu w USA byłem stażystą w chicagowskim szpitalu, w nowym otoczeniu, bez przyjaciół. Nie mogłem opłakać śmierci Erola. On zmarł, ja przeżyłem. Myślę, że poczucie winy tego, który ocalał, również przyczyniło się do mojego zainteresowania psychologią tożsamości grupowych.

Poczucie winy ocalałego motywuje?

Pewnie bywa różnie. Spójrzmy na ocalałych z Holocaustu. Niektórzy stali się bardzo aktywni i zrobili wiele dobrego, innym się nie udało. Czasami trauma popycha nas do zaangażowania się w pozytywne działania na rzecz ludzi. Ja czuję szczególną więź z sytuacjami konfliktowymi.

Dlaczego postanowił Pan zostać psychoanalitykiem?

Może dlatego, że chciałem zrozumieć, co oznacza być „dzieckiem zastępczym”? Byłem ciekaw, jak traumatyczne wydarzenia historyczne wpływają na organizację osobowości. Pozwolę sobie przytoczyć czwartą opowieść.

Kiedy miałem niecałe dwa lata, zostałem porwany przez cypryjską Greczynkę. Nie pamiętam tamtego zdarzenia, jednak gdy dorastałem, matka, dwie starsze siostry i babka nie raz z przerażeniem opowiadały mi tę historię. Matka w towarzystwie siostr i babci wybierała się ze mną na wycieczkę. Włożyły mnie do wózka i na chwilę zostawiły przy drzwiach wyjściowych, bo musiały po coś wrócić. Wychodząc zobaczyły pusty wózek. Ogarnęła je panika – matka zaczęła krzyczeć, sąsiedzi, zarówno Turcy, jak i Grecy ruszyli na poszukiwania. Pod koniec dnia znaleziono mnie przy budynkach starej elektrowni. Przypuszczam, że porywaczka miała problemy psychiczne. Uznała, że jestem „uroczy”, i porwała myśląc, iż będzie mogła mnie wychowywać. Pamiętam, że gdy słuchałem tej historii, za każdym razem skupiałem się na tym, że ta Greczynka mnie lubiła. Teraz zdaję sobie sprawę, iż miałem w sobie dziecięce pragnienie bycia chcianym przez osobę z innej grupy etnicznej. Podsumowując, bycie urodzonym na Cyprze, doświadczenie relacji pomiędzy różnymi grupami etnicznymi, mój dziecięcy lęk przed nazistami i inne opowieści przytoczone powyżej – były laboratorium, w którym wyrosło moje zaangażowanie w konflikty grupowe i pracę nad psychologią grupową.

Proszę powiedzieć więcej o tym poczuciu szczególnej więzi.

Kiedy się urodziłem, Albert Einstein miał 53 lata, a Zygmunt Freud 76. Rok później, w roku 1933, Einstein, który

mieszkał wówczas we Francji i był honorowym przewodniczącym żydowskiej organizacji mającej na celu ochronę Żydów przed nazistami, napisał list do prezesa rady ministrów Turcji. Poprosił w nim, by władze tureckie pozwoliły czterdziestu profesorom i doktorom z Niemiec kontynuować ich naukową i medyczną pracę: „Wyżej wspomniani nie mogli dalej praktykować w Niemczech w związku z obowiązującymi tam prawami”. Prośba Einsteina została przyjęta. Wiele lat później, gdy na Uniwersytecie w Ankarze studiowałem medycynę, niektórzy niemiecko-żydowscy profesorowie w dalszym ciągu tam wykładali. W ten sposób po raz pierwszy w życiu zetknąłem się z Żydami.

Na początku 1957 r. przybyłem do USA uzbrojony w swoje wykształcenie medyczne i 15 dolarów. Dostałem pracę w szpitalu. Mój wyjazd do USA był częścią zjawiska znanego jako „drenaż mózgów”. W owym czasie brakowało tam lekarzy i sprowadzano ich z innych części świata.

Co było dalej?

Podczas szkolenia psychiatrycznego prowadziłem terapię młodego mężczyzny żydowskiego pochodzenia, który przetrwał wojnę w Europie. W trakcie sesji bardzo płakał, jednocześnie nie wydając z siebie żadnego dźwięku. Widziałem łzy, ale nic nie słyszałem. To szczególne uczucie: obserwować, jak ktoś szlocha w ciszy. Z czasem dowiedziałem się, że jego rodzina w czasie Zagłady ukrywała się na strychu, a on musiał spać w komodzie. Któregoś dnia nazistowscy żołnierze zaczęli przetrząsać dom w poszukiwaniu Żydów. Chłopiec zaczął płakać, a ojciec przerażony, że ktoś go usłyszy, zakrył mu usta. Mój pacjent nie pamiętał tamtego zdarzenia, ale gdy dorastał, jego rodzina często do tego nawiązywała. Wyczułem, że ojciec musiał mieć ogromne poczucie winy i wstydu z tego powodu, że uciszył swoje dziecko, by ratować siebie i żonę. Praca z tamtym młodym mężczyzną związała mnie emocjonalnie z historią Holocaustu.

Może Pan o tym opowiedzieć jeszcze?

W tym czasie na Cyprze nasiliły się konflikty etniczne. W latach 1963-74 cypryjscy Turcy byli zmuszeni przez cypryjskich Greków do zamieszkania w wytyczonych enklawach zajmujących tylko 3 proc. powierzchni wyspy. Podczas gdy ja byłem bezpieczny, moja rodzina i przyjaciele na Cyprze byli uwięzieni. Ich sytuacja przypominała mi los Żydów w obozach koncentracyjnych. Wstydziałem się tak mówić, bo Holocaust był niewyobrażalną tragedią i nie wypadało go porównywać z losem niewielkiej grupy Turków, oni przecież posiadali ojczyznę, na której pomoc mogli liczyć. W 1974 r. na wyspę wkroczyła armia turecka i od tamtej pory Cypr pozostaje podzielony na dwie strefy: północna należy do Turcji, południowa do Grecji. Jak widać, sytuacje polityczne i wojny nieustająco na mnie wpływały.

Po ukończeniu szkolenia psychiatrycznego otrzymałem pracę w Cherry Hospital w Goldsboro, w Północnej Karolinie. W owym czasie pacjentami szpitala byli tam wyłącznie Afroamerykanie. Lekarzami z kolei byli sami biali, ale żaden z nas nie urodził się w USA.

Jak się Pan tam odnajdywał?

Jako młody człowiek jechałem do Ameryki po „złoto”. Nie chodziło mi o bogactwo materialne, ale o pragnienie rozwijania umysłu i działania na rzecz uniwersalnych wartości. Kiedy zacząłem pracę w Cherry Hospital, okazało się, że jestem w miejscu, w którym szarga się ludzką godność. Mogłem przyjrzeć się z bliska rasizmowi i wpływowi, jaki wywiera na ludzi.

Chciał Pan coś z tym zrobić?

Na początku przydzielono mnie do pracy w budynku zbudowanym na farmie nieopodal terenu szpitala. Rosły tam drzewa owocowe i warzywa, hodowano świny, kurczaki, indyki i krowy. Farma zaopatrywała szpital w mleko, jajka, mięso. Mieszkało tam około 50 młodych mężczyzn – naszych pacjentów. Pracowali przy zwierzętach, w ogrodach i zajmowali się drzewami owocowymi. Gdy pierwszy raz tam przyszedłem, zwróciłem uwagę, że wszyscy sprawiali wrażenie bardzo zdrowych fizycznie. Pomyślałem, że ta praca jest dla nich czymś w rodzaju terapii zajęciowej. Byłem zdumiony, gdy dostrzegłem białego Amerykanina, strażnika odpowiedzialnego za „Farm House”, który sprawował nadzór nad pacjentami. W rękę trzymał bat. Wyglądał jak poskramiacz lwów. Gdy przedstawiłem mu się jako nowy lekarz, nie zwrócił na mnie większej uwagi. Byłem nic nieznającym gościem na „jego plantacji”.

Zacząłem spotykać się z każdym z pacjentów na indywidualnych sesjach. Strażnikowi to nie przeszkadzało, o ile nie odciągałem jego pracowników od pracy na zbyt długo.

I co się okazało?

Zauważyłem, że niemal wszyscy pacjenci cierpią na to samo urojenie. Każdy uważał, że jest „Buckiem”. Nie miałem pojęcia, co to znaczy, ale wkrótce odkryłem, że kiedyś określano w ten sposób młodych niewolników, których zadaniem było zapładnianie niewolnic. Zdałem sobie sprawę, że to urojenie było zbiorowym mechanizmem adaptacyjnym. Ci pacjenci naprawdę czuli się tak, jakby żyli w czasach niewolnictwa i pracowali na plantacji pod butem i batem białego nadzorcy. Usiłowali przykryć swoją bezradność i upokorzenie „wierząc”, że zostali wybrani ze względu na swoją wartość seksualną – dla celów reprodukcyjnych. Obserwowałem coś w rodzaju odegrania historii amerykańskiej z czasów niewolnictwa.

W 1963 r. zmieniłem pracę i przyjechałem do Charlottesville w Wirginii, gdzie objąłem stanowisko wykładowcy na Wydziale Psychiatrii tamtejszego uniwersytetu. W tym mieście miał swoją siedzibę The Farmington Club. Ani Żydzi, ani czarni, ani Turcy nie mieli tam prawa wstępu. Wciąż stykałem się z rasizmem, choć mnie samego on nie dotknął. Szybko zostałem dyrektorem medycznym jednego ze szpitali uniwersyteckich, gdzie pracowałem aż do emerytury.

Kiedy się Pan zorientował, że nie chce poprzestać tylko na pracy z pacjentem?

19 listopada 1977 r. do Izraela przyjechał prezydent Egiptu, Anwar as-Sadat i podczas wizyty w Knesecie użył słynnego pojęcia „muru psychologicznego” między Izraelczykami i Arabami – muru, który, jak stwierdził, był przyczyną 70 proc. problemów między nimi. W odpowiedzi na to Ko-

mitet Psychiatrii i Spraw Zagranicznych Amerykańskiego Towarzystwa Psychiatrycznego zorganizował nieoficjalne spotkanie wpływowych Arabów i Izraelczyków, którzy potem przez sześć lat prowadzili ze sobą rozmowy mające na celu zburzenie tego „muru”. Byłem członkiem tego towarzystwa i brałem udział w rozmowach, a po tym doświadczeniu otworzyłem Center for the Study of Mind and Human Interaction w Szkole Medycznej Uniwersytetu w Wirginii. Zaprosiłem do współpracy psychoanalityków i innych specjalistów od zdrowia psychicznego, byłych dyplomatów, politologów, historyków, ekologa i językoznawcę.

VAMIK D. VOLKAN (ur. 1932 na Cyprze) jest emerytowanym profesorem psychiatrii na University of Virginia i Washington Psychoanalytic Institute. Był członkiem, a później przewodniczącym Komitetu Psychiatrii i Spraw Zagranicznych Amerykańskiego Towarzystwa Psychiatrycznego. Założył Centrum Studiów nad Umysłem i Interakcją Ludzką przy University of Virginia, zajmuje się kwestiami napięć etnicznych, rasizmu, tożsamości, terroryzmu, traumy społecznej, imigracji i żałoby. Sześciokrotnie był nominowany do Pokojowej Nagrody Nobla.

Czym się zajmowaliście?

Po tym, jak Michaił Gorbaczow zainicjował głośność i pierestrojkę, Międzynarodowe Towarzystwo Psychologii Politycznej (ISPP) w USA zaprosiło psychologów radzieckich na coroczny zjazd towarzystwa w New Jersey. Był rok 1987. To spotkanie doprowadziło do umowy między moim ośrodkiem a Instytutem Psychologii ZSRR. Zobowiązaliśmy się wtedy do poszukiwania sposobów na poprawę stosunków amerykańsko-sowieckich. W 1993 r. zaprosiłem Gorbaczowa do Charlottesville. Przyjechał, żeby wziąć udział w świętowaniu 250. rocznicy urodzin założyciela Uniwersytetu w Wirginii, trzeciego prezydenta Stanów Zjednoczonych, Thomasa Jeffersona. Później, wraz z zespołem z mojego Centrum odwiedziłem wiele skonfliktowanych regionów świata, organizowałem tam wieloletnie nieoficjalne rozmowy między przedstawicielami dużych grup.

Dobrze się Pan czuł ze swoją drugą profesją?

Na początku nie umiałem jej nazwać. Teraz nazwano ją „psychologią polityczną”. Wiele uniwersytetów ma dziś takie wydziały, ale na żadnym nie wykłada się tego, co robiliśmy. Żałuję, że tak niewiele uwagi poświęca się dziś rozumieniu stosunków międzynarodowych z perspektywy psychoanalitycznej. Dociekanie związków pomiędzy tym, co świadome i nieświadome, pomiędzy tym, co przeszłe i teraźniejsze, pomiędzy historią a psychologią dużych grup jest naprawdę ważne. Warto stawiać hipotezy, które biorą pod uwagę czynniki nieświadome. To poszerza rozumienie wydarzeń, które mają dziś miejsce w sferze społecznej, politycznej czy religijnej, pozwala lepiej rozumieć relacje między przywódcą a jego zwolennikami, pozwala w pogłębiony sposób przyglądać się konfliktom międzygrupowym.

Jak Pan rozumie obecny wzrost nacjonalizmu w tylu krajach?

⇒ Mam pewną hipotezę. Ma pani iPhone'a?

Mam.

Wystarczy, że wciśnie pani przycisk, i natychmiast może pani porozmawiać z kimś, kto jest w Chinach. Technologia wytwarza pomieszanie wokół tożsamości grupowych. Niezwykle postępy w technologiach przetwarzania obrazów i informacji sprawiły, że ludzie o różnych tożsamościach grupowych znacznie silniej oddziałują na siebie dziś niż kiedyś. Te zmiany zachodzą dziś w niespotykanym dotąd tempie i skali – i podnoszą poziom lęku.

Pacjenci w gabinetach psychoterapeutów coraz częściej wspominają o poczuciu zagubienia...

Słyszała pani na pewno, że genealogia genetyczna zdobywa ogromną popularność. Dzięki tym testom okazało się, że cypryjcy Turcy i cypryjcy Grecy mają bardzo podobne DNA. I choć Turków uczono, że ich przodkowie przybyli na Cypr z Centralnej Azji, to wyniki wielu z nich wskazywały na coś przeciwnego. Takie niespójności to duża konfuzja, uderzenie w tożsamość. Lęk nasila również aktualny kryzys migracyjny. Według raportu UNHCR liczba ludności zmuszonej do przesiedlenia wzrosła z 33,9 mln w 1997 r. do 65,6 mln w 2016 r., co stanowi najwyższy wynik od zakończenia II wojny światowej. A 24,5 mln z nich to uchodźcy. To przecież liczby trudne do wyobrażenia.

Największy lęk?

Największy lęk w dużych grupach etnicznych, narodowych, religijnych i ideologicznych wzbudza obawa przed „zakażeniem” przez „innego”. Jeśli ktoś ma poczucie, że nie potrafi ochronić swojej indywidualnej tożsamości przed takim zakażeniem – zgłasza na autorytarnego przywódcę, który będzie wzmacniał etniczne, narodowe, religijne i ideologiczne uczucia grupowe, wzmacniając poczucie tożsamości.

Zdarza się, że w danym społeczeństwie wiele osób – świadomie bądź nieświadomie – zaczyna obawiać się o swoją zbiorową tożsamość, a jakiś autorytarny przywódca, żeby pozostać przy władzy, z pomocą politycznej lub religijnej propagandy wzmacnia w tych ludziach poczucie niesprawiedliwości i krzywdy. To poczucie z kolei nasila paranoiczne wyobrażenia i wrogię uprzedzenia wobec „innego”. Następnie te uprzedzenia zaczynają obejmować tych współobywateli, którzy nie popierają owego przywódcy. Takie podziały występują dziś w wielu krajach.

Jestem z Charlottesville, pamięta pani, co się tam wydarzyło.

Młody faszysta wjechał samochodem w tłum protestujących antyfaszystów, zabił Heather Heyer i zranił 19 osób.

12 sierpnia 2017 r. w Charlottesville odbył się zjazd białych nacjonalistów, a jego uczestnicy, przybyli również z innych części USA, głosili rasistowskie i antysemickie hasła,

nosili nazistowskie i neonazistowskie symbole, przeciwstawiając się usunięciu pomnika Roberta E. Lee, jednego z dowódców sił Konfederacji w amerykańskiej wojnie domowej z lat 1861-65 [Jest uznawany za symbol walki o utrzymanie niewolnictwa i wyższości białej rasy – JD].

Prezydent Donald Trump potępił „przejawy nienawiści, bigoterii i przemocy z wielu stron” i odniósł się do „bardzo do-

brych ludzi po obu stronach”. Nie potępił wprost czynu zamachowca, a jego komentarz stanowi ilustrację podziału, o którym mówię. Wiem, z jak głębokimi podziałami mamy do czynienia w Turcji. Wielu intelektualistów i dziennikarzy tkwi w więzieniach, bo nie podzielali poglądów autorytarnej władzy.

Szczęśliwie Polska jest w Unii Europejskiej. Jeśli zabierze pani głos i wyrazi swój protest wobec władzy, nikt nie za-

mknie pani w więzieniu. Mam nadzieję, że uda się w Polsce ochronić wolność słowa.

Jest Pan dziś optymistą czy pesymistą?

Raczej pesymistą. Ludzki umysł bardzo powoli przystosowuje się do zmian, a dzisiejsze zmiany zachodzą nazbyt szybko. Podział na „my” i „oni” pomiędzy krajami i w ich obrębie się nasila.

Powiedział Pan kiedyś, że „życie jest pełne okrucieństw, ale można się nimi próbować bawić albo z ich powodu cierpieć”. Co to znaczy?

Tak powiedziałem? Podoba mi się! Po upadku Związku Radzieckiego zapraszaliśmy wpływowych estońskich i rosyjskich przedstawicieli na rozmowy, żeby próbować pomagać im rozwiązywać ich problemy. W drugim roku tych rozmów pewien delegat z Estonii zwrócił się do delegata z Rosji: „Wy, Rosjanie, jesteście jak słoń. My, Estończycy, jesteśmy jak królik. Nasz kraj jest mały. Jeśli królik zaprzyjaźni się ze słoniem, nie będzie bezpieczny. Będzie jeszcze bardziej zagrożony, bo słoń, nawet jeśli nie będzie agresywny, może przypadkiem na niego nadepnąć”. Uczestnicy zaczęli się bawić tą metaforą, przerzucać ją jak piłeczkę. Toksyczne uczucia uległy rozproszeniu, pojawił się śmiech, żarty. Zabawa umożliwiła poważną i opartą na realiach dyskusję. W rezultacie poszli do parlamentu i podpisali sześć porozumień. Och, gdybym robił takie rzeczy dla pieniędzy, byłbym dziś milionerem...

Myśli Pan czasem o końcu swojego życia?

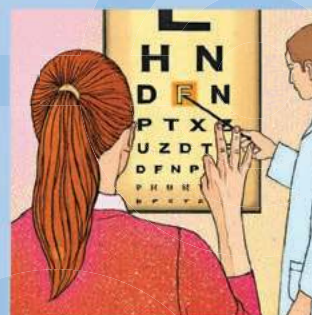
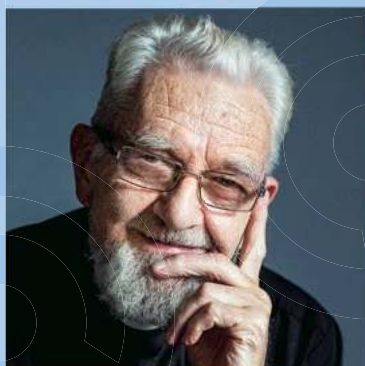
Niedawno przydarzyło mi się coś niezwykłego. Nasz dom w Charlottesville otacza las. Usiadłem o zmierzchu na tarasie i popatrzyłem na drzewa z nowymi liśćmi. Ptaki śpiewały, tuż przy mnie latała pszczoła, szukając czegoś między deskami domu. Poczułem coś bardzo silnego, czego nigdy wcześniej nie doświadczyłem. Miłość do natury. Naprawdę się nią napawałem, radowałem. I wtedy w mojej głowie pojawiła się myśl: gdy umrę i zostanę pochowany, stanę się po prostu częścią tego wszystkiego. Tak sądzę. I to jest niezwykle piękne.

© Rozmawiała JUSTYNA DĄBROWSKA

Przetł. CVETA DIMITROVA

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

Podkast Powszechny



Autorski podkast „Tygodnika Powszechnego”

Od jajka do kosmosu.
Od Hańby! do „Gry o tron”.
Od sztucznej inteligencji do Boga.
Od psychologii do polityki.
I dużo dalej.

A także o kryzysie klimatycznym,
życiu osób głuchych, religii, prawach
zwierząt, leczeniu niepłodności,
mniejszościach, literaturze,
także dla dzieci, i futbolu kobiet.
A nawet mężczyzn.

Zapraszają: Michał Kuźmiński,
Marta Filipiuk-Michniewicz,
Monika Ochędowska, Marcin Żyła.

weź, słuchaj!

powszech.net/podkast



DIABEŁ MORSKI

Wyruszyło ich dwustu siedemdziesięciu, wróciło osiemnastu:
500 lat temu wyprawa Ferdynanda Magellana
płynęła naokoło kuli ziemskiej.

MACIEJ MÜLLER

JEST PASKUDNY JAK OBRAZKI HERKULESA z tanich wydań mitologii dla dzieci. Albo jak powiększona do granic możliwości figurka z odpustowego straganu. 20-metrowy olbrzym z brązu byłby nagi, gdyby nie przepaska na biodrach i zębaty naszyjnik. W prawej ręce dzierży miecz o ostrzu niczym tasak, bok osłania tarczą. Stoi na plaży filipińskiej wyspy Mactan.

To Lapu-Lapu, król, o którym wiadomo tylko jedno – że zabił Ferdynanda Magellana. Bohater narodowy Filipin, gdzie o portugalskim odkrywcy wspomina się z niechęcią, i gdzie co roku odgrywa się inscenizację bitwy o Mactan.

Zatrute strzały

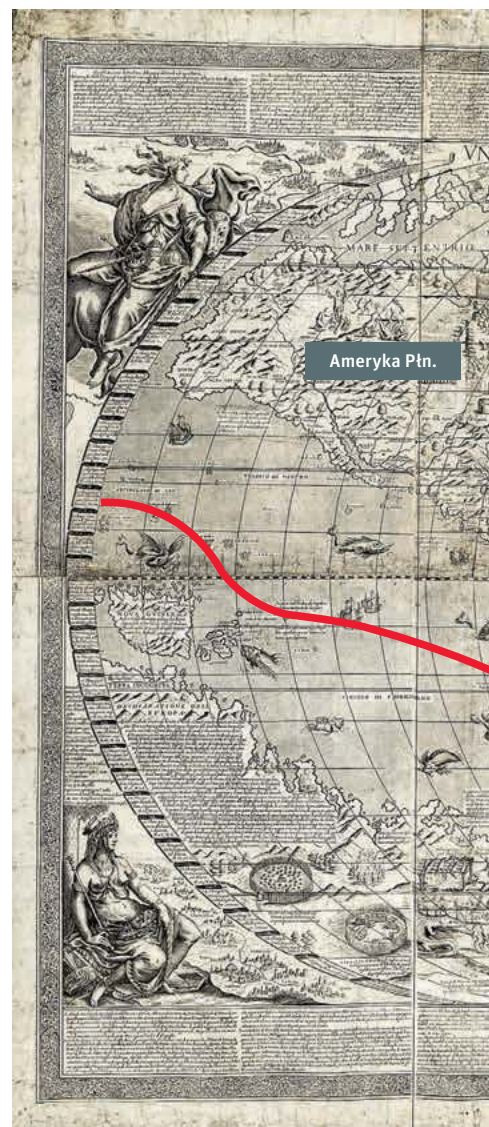
Pół tysiąca lat temu, w środku nocy 27 kwietnia 1521 r., do plaży zbliżało się kilkadziesiąt łodzi obsadzonych przez hiszpańsko-portugalską załogę Magellana i sprzymierzonych z nią wojowników z sąsiedniej wyspy Cebu.

W ostatnich miesiącach odkrywcy udało się przekonać Humabona, tamtejszego króla, do przyjęcia chrztu i zawarcia sojuszu z Hiszpanią; podobnie uczynili kolejni władcy sąsiednich wysp. Do czasu. Lapu-Lapu z Mactanu odmówił chrztu, a Magellan w odwecie wysłał grupę marynarzy, która spaliła jedną z jego wiosek. Decyzji króla to nie zmieniło, a Portugalczyk uznał, że czas na ekspedycję karną.

Wcześniej przechwalał się przed krajowcami, że jeden Europejczyk jest wart tyle, co stu tutejszych wojowników. Na Mactan wziął ze sobą tylko 60 swoich ludzi (11 pozostało w łodziach). Towarzyszyło mu wprawdzie tysiąc wojowników z Cebu, ale Portugalczyk zakazał im walczyć – mieli być tylko widzami jego triumfu. Tymczasem z lasu okalającego plażę wyszło – według przekazu Włocha Antonia Pigafetty, kronikarza wyprawy, który przeżył mającą nastąpić rzeź – 3 tysiące wojowników Lapu-Lapu.

Miejsce wybrane na desant okazało się fatalne: z wody wystawały skały, nie dało się podpłynąć, odziani w pancerze marynarze przez kilkaset metrów brnęli po płyciźnie do brzegu. Na wysiadających z łodzi ludzi Magellana krajowcy „rzucili się z przeraźliwie głośnymi okrzykami, atakując dwoma oddziałami nasze flanki, a jednym front” – pisał Pigafetta. Muszkieterzy i kusznicy oddawali salwę za salwą – niecelnie. Tymczasem Mactañczycy sięgnęli po łuki i na Europejczyków spadł deszcz strzał (w większości: zatrutych). Ci, którzy przedarli się do brzegu, zdołali nawet podpalić wioskę, ale zostali otoczeni i wybici bądź zepchnięci do morza.

Magellan, trafiony strzałą w nieosłonięte zbroją udo, wezwał do odwrotu. Rozgorzała walka wręcz. Portugalczyk powalił wielu wojowników, a „gdy on

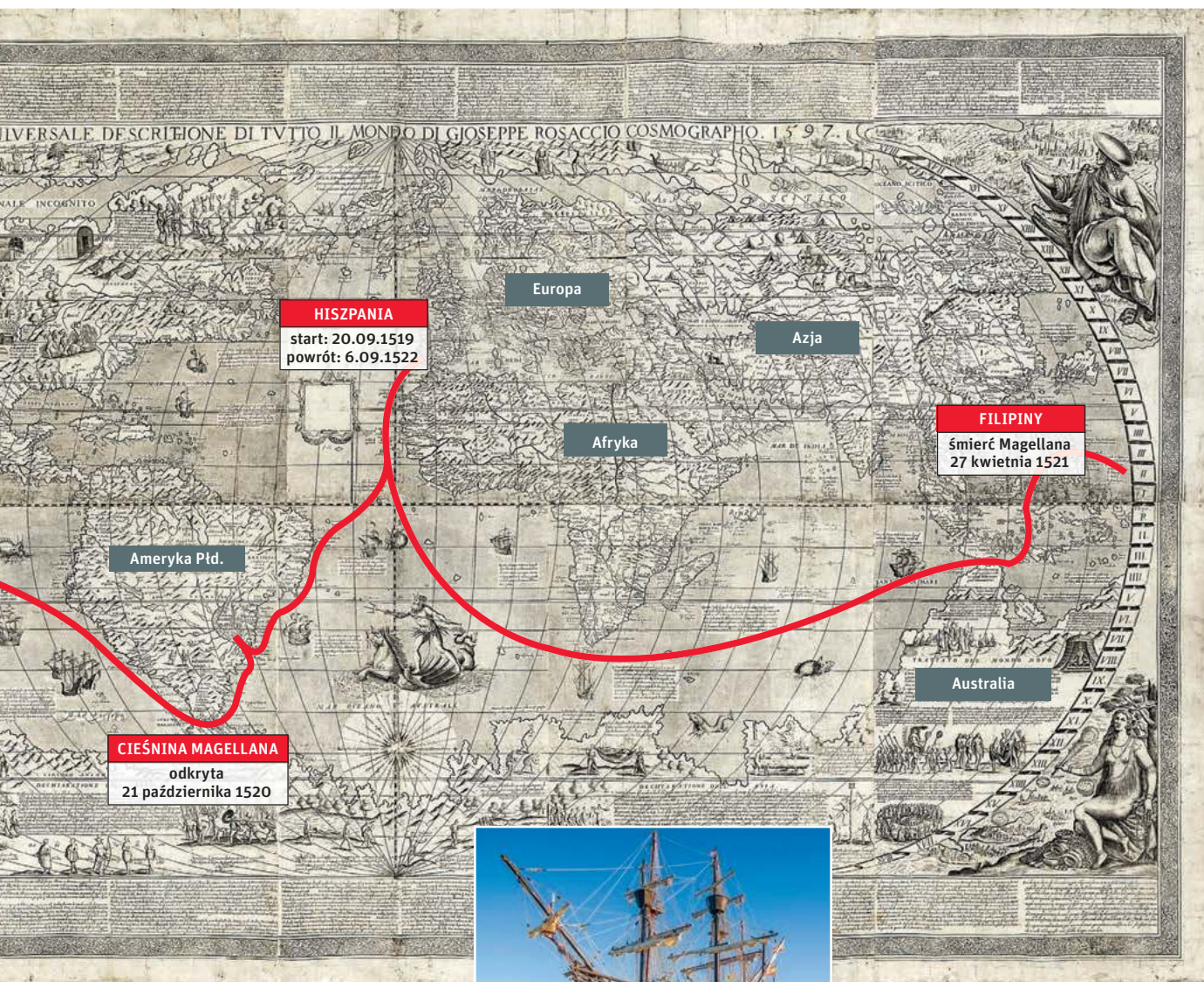


walczył, reszta z nas wycofała się na łódzie”. W końcu „padł twarzą w dół, a oni natychmiast rzucili się na niego ze swoimi żelaznymi i bambusowymi dzidami i ze swymi kordami”. Posiekanego ciała dowódcy nie udało się Europejczykom odzyskać – Lapu-Lapu nie odsprzedał go za żadną proponowaną cenę.

Zdrada

To nie był koniec klęsk, które spadły na Filipinach na europejskich marynarzy.

Dwaj oficerowie, obrani nowymi dowódcami, wbrew wyraźnemu zapisowi w testamencie Magellana nie zwrócili wolności jego niewolnikowi Enrique. Sam Magellan utrzymywał, że Enrique został porwany gdzieś w okolicach Wysp Korzennych. Jeśli to prawda, byłby pierwszym znanym z imienia człowiekiem, który opłynął świat wokół. Owe wyspy, znane już podówczas Portugal-



BIBLIOTEKA KONGRESU USA / EDWARD AUGUSTYN // ALAMY / BEW

czykom, to dzisiejsze indonezyjskie Moluki. Filipiny leżą na północny zachód od nich.

Nad niewolnikiem ciążyło przekleństwo kompetencji: znał język tutejszych plemion i służył wyprawie za tłumacza i posła. Usłyszał, że jeśli nie zechce wykonywać rozkazów, zostanie, jako niewolnik, wychłostany. Enrique wykradł się na ląd, poszedł do króla Cebu Humabona i razem uknuli zdradę.

Król, wciąż traktowany jak sojusznik, zaprosił oficerów na ucztę pożegnalną i wręczenie darów. Kronikarz Pigafetta obserwował przebieg wydarzeń z jednego ze statków. „Kiedy uczta miała się ku końcowi, z palmowego zagajnika wypadli uzbrojeni ludzie i zaatakowali zaproszonych, zabili 27 z nich”. Po czym wyprowadzili na brzeg starego oficera Juana Serrano „i powiedzieli, że wydadzą go za okupem. Starzec błagał naszych ludzi



Replika statku „Victoria” w St. Augustine na Florydzie.

Powyżej: trasa wyprawy Magellana na mapie świata z 1643 r.

słowami i łzami, aby okazali współczucie dla jego wieku i nie dopuścili, by dokonał żywota w rękach okrutnych barbarzyńców”. Jednak pozostało mu patrzeć, jak trzy hiszpańskie karaki podnoszą kotwice i odpływają. Tymczasem poddani Humabona wspięli się na wzgórze i obalili wzniesiony tam przez Magellana krzyż.

Kilka dni później zdziesiątkowana załoga podpaliła okręt „Concepción”. Ocalałych było zbyt niewiele, by zapewnić obsługę trzech statków. Na poszukiwanie Wysp Korzennych wyruszyły niedo-

bitki Armady Molukańskiej: „Trinidad” i „Victoria”.

Dwa lata wcześniej z Sewilli wypłynęło pięć statków. „Santiago” rozbił się na skałach jeszcze przed odnalezieniem przesmyku na Ocean Spokojny. „San Antonio” uciekł z powrotem do Hiszpanii, kiedy Magellan stracił go z oczu w labiryncie cieśniny nazywanej dzisiaj jego imieniem.

Dwaj królowie

„Człowieku, jest mi zupełnie obojętne, gdzie będziesz szukał szczęścia”. Król Portugalii Manuel I miał już serdecznie dość nachalnego – choć zasłużonego – oficera Fernão de Magalhães. Nie chciał ani podwyższyć mu pensji, ani zapoznać się z jego planami odnalezienia prowadzącej na zachód drogi do Wysp Korzennych.

Dzięki osiągnięciom Bartolomea Diaza (opłynął Przylądek Burz) i Vasca da Gamy →

→ (ten popłynął dalej, aż do Indii) Portugalia wyprzedziła Hiszpanię na drodze do opanowania światowego handlu korzeniami. Dotąd cynamon i goździki (stosowane nie tylko jako przyprawy, ale także jako ceniona przez aptekarzy podstawa lekarstw) przywozili do Europy arabscy kupcy. Nie zdradzając, skąd one pochodzą, opowiadając niestworzone historie o dalekich krainach zamieszkałych przez potwory – i dyktując niebotyczne ceny. Odkrycia portugalskich żeglarzy położyły temu kres: królewskie okręty w końcu wylądowały na wulkanicznym archipelagu Moluków i odtąd kursowały tam, opływając Afrykę i przecinając Ocean Indyjski.

Magalhães zapewniał króla, że ziemia odkryta przez Kolumba, a przez Amerigo Vespucciego opisana jako nowy kontynent, musi być przecięta przesmykiem. Wystarczy go znaleźć i nim przepłynąć, a potem pokonać nieduże Morze Południowe, by dopłynąć do Moluków od drugiej strony. Ale Manuel wysłał go do diabła, a oficer poniekąd to zrobił: rok później, w październiku 1517 r., przekroczył granicę z Kastylią i zaoferował swoje usługi królowi Karolowi Habsburgowi – największemu rywalowi Manuela.

Młody hiszpański monarcha przyjął go pod swoją opiekę jako Fernanda de Magallanesa, a w jego planach dostrzegł szansę na dośnięcie Portugalii w wyszczęgu o dochody z handlu korzennego. W 1494 r. władcy obu krajów podpisali układ w Tordesillas, dzielący świat na strefy wpływu. Wyprawa mogła dowieść, że Moluki leżą w obszarze przyznanym Hiszpanii. Karol chętnie też wysłuchał dostarczonych przez renegata morskich tajemnic Portugalii.

Król mianował Magellana kapitanem generalnym Armady Molukańskiej, obiecał pięć statków, dofinansowanie kosztów wyprawy i znalezienie sponsorów. Magellan pojął za żonę Beatriz de Barbosa, córkę wysokiego hiszpańskiego urzędnika, która wniosła mu w posagu 600 tys. marawedów – w całości zainwestowanych w sprzęt i załogę. Czekają go jeszcze wielomiesięczne przepychanki z Urzędem ds. Indii, odpowiedzialnym za politykę zamorską. Jego liczne komisje ograniczały Magellanowi liczbę zaciąganych Portugalczyków i narzucały kapitanowi. Sponsorzy negocjowali udział w spodziewanych zyskach, a biskup Burgos, szara eminencja kastylijskiego dworu, narzucił wyprawie

swojego siostrzeńca – a w istocie syna – niejakiego Juana de Cartagenę, jako generalnego intendenta. Formalnie podległy Magellanowi, w istocie uzyskał uprawnienia umożliwiające mu kwestionowanie rozkazów. Tymczasem portugalscy szpiedzy próbowali namówić Magellana do powrotu (niechybnie skończyłby w lochu lub stracił głowę),stawiali na jego życie i skłócali go z załogą oraz obsługą sewilskiego portu.

Wszystko na nic. 20 września 1519 r. pięć czarnych okrętów wylądowanych po brzegi suchym mieniem, sucharami, beczkami z winem, z 270-osobową załogą na pokładach, wypłynęło z Sewilli, przez Gwadalquivir, na Atlantyk.

Szemranie

Według rozkazu kapitana generalnego każdego wieczoru do admirałskiego statku, „Trinidadu”, miały podpływać kolejne okręty armady, a kapitanowie здаwać raport poprzedzony uroczystym pozdrowieniem: „Niech Bóg ma was w swej opiece, kapitanie generalny, kapitanie i dobry towarzyszu”.

Tego dnia, gdy przyszła kolej na „San Antonia”, Juan de Cartagena nie wyszedł sam, ale wysłał posła w randze kwatermistrza, który w dodatku urwał pozdrowienie na pierwszym „kapitanie”. Magellan zrugął Cartagenę, a ten odparł, że następnym razem do pozdrowień wyznaczyc chłopca okrętowego.

Hiszpańscy kapitanowie gardzili Magellanem jako Portugalczykiem i nie ufali mu za grosz, podejrzewając, że chce wydać armadę w ręce rodaków. Kapitan generalny nie dawał zresztą żadnych powodów do zaufania, nie informując ich o planach i nie tłumacząc obranego kursu. Podczas postoju na Wyspach Kanaryjskich doniesiono mu, że Manuel portugalski wysłał za nim floty pościgowe – Magellan jednak nie powiadomił o tym podwładnych, kazał natomiast przyjąć niezrozumiałe kursy na południe, wzdłuż wybrzeży afrykańskich. Nie tędy wiodła droga do Ameryki. Statki dopłynęły w rejon tropikalnych burz, które rzuciły armadę przez niemal dwa miesiące. Potem nastąpiła cisza morska. Kończyła się woda i suchary, załogi głodowały, a dowódca nadal nie tłumaczył się ze swoich decyzji. Kapitanowie i oficerowie szemrali.

Magellan tylko pogarszał swoją sytuację. Na pokładzie „Victorii” pierwszego oficera nakryto *in flagranti* z chłop-

cem okrętowym. Za akty homoseksualne prawo kastylijskie przewidywało śmierć, a Magellan postanowił po nie sięgnąć, mimo że dobrze wiedział, iż podczas długich morskich podróży często dochodzi do takich zdarzeń. Skazał oficera na śmierć: po kilku tygodniach został on na oczach całej załogi uduszony przez wyznaczonego kata. Chłopiec natomiast wypadł za burtę. Jedni mówili, że odebrał sobie życie, inni, że ktoś mu w tym pomógł.

Skazanie na śmierć Hiszpana przełało czarę goryczy. Tylko że makiaweliczny kapitan generalny świetnie zdawał sobie sprawę z nastrojów. Wezwał wszystkich kapitanów na pokład „Trinidadu” na naradę. Cartagena wygłosił filipikę pod adresem dowódcy, którą zakończył wypowiedzeniem posłuszeństwa. Wtem do kajuty wpadli oficerowie Magellana z rapierami w dłoniach. Cartagena krzyknął do Hiszpanów: „Panowie, zakłujcie go!”. Ale żaden z nich nie ruszył się z miejsca. Zastraszeni, zapewnili Magellana, że są na jego rozkazy.

A biskupiego syna Magellan osobiście zakuł w dyby.

Kula u nogi

Zaczerpnięta woda była słodka: to znowu nie cieśnina, tylko ujście rzeki...

Marynarze nauczyli się kosztować nabieraną zza burty wodę po pierwszej wielkiej pomyłce z ujściem La Platy. Armada płynęła wtedy wzdłuż wschodniego wybrzeża Ameryki Południowej, badając każdą zatoczkę i wcięcie: kolejne rozczarowania pogłębiały marazm i niezadowolenie.

W planach Magellana kryły się dwa błędne założenia, a to było pierwsze z nich: nikt nie przewidział, że przesmyk na Morze Południowe będzie znajdował się tak daleko na południu.

Tymczasem robiło się coraz zimniej, po oceanie pływały kawały lodu, a pokłady były tak śliskie, że kołysanie mogło łatwo doprowadzić do śmiertelnych wypadków. 31 marca 1520 r. armada zakotwiczyła w osłoniętym przez strome skały miejscu, które Magellan ochrzcił Portem św. Juliana. To tutaj doszło do ostatecznej próby sił.

Kapitan generalny ocenił, że aby przetrwać zimą, trzeba zmniejszyć ilość wydawanego dziennie jedzenia. Wśród załogi zawrząco. Tymczasem nadeszła Wielkanoc, Magellan nakazał odprawienie uroczystej mszy na wybrzeżu. Przy-

był na nią tylko jeden z kapitanów. To była potwarz.

Tej nocy ludzie Magellana przechwycili łódź, która usiłowała prześliznąć się w pobliżu burty „Trinidadu”. Obecni w niej ludzie przyznali, że są spiskowcami i przewożą informacje z okrętu na okręt. Magellan dowiedział się, że według planów przywódców buntu nie powinien dożyć poranka.

Bazą buntu był statek „Concepción” pod dowództwem kapitana Quesady. Posłuszni mu ludzie wdarli się na „San Antonio” i obezwładnili oficerów wiernych Magellanowi. Spisek objął też „Victorię”. Upojony sukcesem Quesada przysłał ządania: kapitan generalny ma zdać dowództwo na jego rzecz. Marynarze odąd będą dobrze traktowani i żywieni, a armada zawróci do Hiszpanii.

Magellan nie wpadł w panikę. Wysłał na „Victorię” pięciu marynarzy z listem do kapitana Mendozy z rozkazem zamełdowania się na „Trinidadzie”. Mendoza wrzucił zmięty papier do wody. Wtedy jeden z ludzi Magellana wyciągnął z luźnego rękawa sztylet i poderżnął mu gardło (potem dostał za to tuzin złotych monet). Tymczasem do „Victorii” przybiła druga łódź z „Trinidadu” z 15 ludźmi. Wdarli się na pokład, opanowali statek i wywiesili na maszcie flagę kapitana generalnego. Wtedy załoga „Santiago”, dotychczas zachowująca neutralność, publicznie poparła Magellana. Trzy posłuszne mu okręty zablokowały wyjście z zatoki.

W nocy Magellan wysłał jednego z marynarzy z misją specjalną: miał dopłynąć niezauważony do „Concepción” i odciąć kotwicę. Udało się – przerażony Quesada zbyt późno zorientował się, że jego statek dryfuje prosto na „Trinidad”. Kiedy wszedł w zasięg arkebuzów i kusz, Magellan dał rozkaz: „ognia” i „do abordażu”. Buntowników otoczono, a Quesadę uwięziono w ładowni. Widząc to, Cartagena z „San Antonio” się poddał.

Zemsta Magellana była długa, krwawa i straszna. Martwego już Mendozę skazał – za zdradę – na rozerwanie sznurami i wypatroszenie, zwłoki kazał też opłuć. Czterdziestu buntowników dostało wyroki śmierci; ocalili tylko dlatego, że bez nich armada nie popłynęłaby dalej. Astromoma floty San Martina poddano torturom na oczach wszystkich załóg: podciągano go na linach za ręce wykręcone do tyłu i gwałtownie opuszczano, potem do stóp przywiązano mu kule armatnie.

Sterroryzowana załoga
była gotowa na opłynięcie
świata bez względu na to, jak
miałby on być wielki.

**Taka była cena wielkich
odkryć geograficznych.**

Miał szczęście, bo przeżył – pilot Morales zmarł podczas męczarni. Niejaki de Molina, służący kapitana Quesady, przywódcy spisku, otrzymał diabelską alternatywę: albo zginie razem ze swoim panem, albo ocali życie, ścinając mu głowę. Po egzekucji bezgłowe ciało Quesady było wystawione na widok publiczny, dopóki nie zaczęło się rozkładać. Okrutny los spotkał też syna biskupa Burgos, Cartagenę, i jednego z kapelanów. Magellan kazał ich wysadzić na patagońskim wybrzeżu. Nikt nie wie, co się z nimi stało.

Odtąd załoga bała się Magellana bardziej niż węży morskich, lewiatanów, krawędzi świata i magnetycznej góry. Niczym żołnierze pruscy, bardziej drżeli przed własnym sierżantem niż przed wrogiem. Sterroryzowana załoga była gotowa na opłynięcie świata bez względu na to, jak miałby on być wielki.

Taka była cena wielkich odkryć geograficznych.

Patagonia

„Pewnego razu ujrzeliliśmy na morskim brzegu nagiego olbrzyma, który podskakiwał, tańczył i śpiewał, a śpiewając posypywał sobie głowę piaskiem i kurzem” – zapisał Włoch Pigafetta w kronice wyprawy podczas zimowego postoju w Porcie św. Juliana.

Nie było to pierwsze spotkanie załogi z mieszkańcami Ameryki Południowej, ale na pewno najbardziej osobliwe. Magellan kazał jednemu z marynarzy popłynąć na brzeg i naśladować Indianina. To mogła być misja samobójcza. Żeglarze wieczerami straszili się opowieściami o próbach eksploracji nieznanych wybrzeży, zakończonych napadami ludożerców.

Olbrzym okazał się łagodny i wyraźnie ucieszył się, kiedy marynarz zaczął nieporadnie naśladować jego taniec. Zgodził się – nakłaniany gestami – na odwiedzenie statku. Jeśli wierzyć Pigafettce, mierzył więcej niż 2 metry wzrostu. „Twarz

miął szeroką, obwiedzioną czerwoną farbą, wokół oczu żółte obwódki, a na policzkach miał wymalowane dwa serca. Jego pozbawiona włosów głowa była pomalowana na białą” – notował kronikarz. Odziany był w skóry „nader starannie zszyte”, w rękę dzierzył łuk i strzały, które „nie miały grotów z żelaza, lecz z małych, ostro obrobionych czarnych i białych kamyków”. Kapitan pokazał Indianinowi cuda wyposażenia okrętu, w tym lustro, którego olbrzym się przebraził, po czym obdarował go dzwoneczkami, grzebieniami i różańcem.

Wkrótce potem na plażę przybyli pobratymcy olbrzyma. Magellan nazwał ich Patagończykami. Pochodzenie tego słowa nie jest jasne. Być może chodzi o portugalskie *pata de cão* (psia łapa), co miałoby nawiązywać do skórzanych butów. Mogło też chodzić o hiszpańskie *patagón* (wielka stopa) i odnosić się do śladów pozostawianych przez mieszkańców. Najciekawszą hipotezę zaproponował pisarz i podróżnik Bruce Chatwin, który w latach 70. XX wieku rzucił pracę w londyńskiej gazecie, by wyruszyć do Patagonii. Według niego Magellan mógł zabrać na pokład wydaną w 1512 r. książkę o przygodach rycerza Primaleona. Bohater ów podczas jednej z podróży spotkał plemię dzikich ludzi, odzianych w skóry i żywiących się ludzkim mięsem. Prześladował ich potwór zwany Wielkim Patagonem, o psim pysku i kopytach jelenia. Primaleon pokonał go, uwięził i zawiózł w darze królowej.

Magellan postąpił podobnie: schwytał dwóch olbrzymów i zakuł ich w kajdany, tłumacząc, że to biżuteria. Indianie „ryknęli jak byki i donośnie wzywali na pomoc swego największego diabła, Setebosa”. Jeden uciekł, drugiego Magellan uwięził, a potem go ochrzcił, nadając imię Paweł. Chciał go ofiarować Karolowi Habsburgowi. Nieszczęsnego Indianina zabił skorbut podczas przeprawy przez Pacyfik.

Drugi błąd

Zgodnie z marynarskim zwyczajem zmarłych wyrzucano za burtę. Pigafetta zanotował, że ciała katolików tonęły z twarzą skierowaną ku niebu, a nie ochrzczonych jeńców z twarzą skierowaną ku morskiej otchłani.

Marynarzy zabijał brak odpowiedniego, zdrowego pożywienia. Zapasy mięsa zgniły i nie sposób było go przełknąć. Suchary, rojące się od długich tłustych

→ robaków i zasikane przez szczury, mieszano z wodą morską i gotowano – ale niewielu marynarzy było w stanie przełknąć tę wstrętą papkę. Słodką wodą cuchnęła tak, że wielu wołało umierać z pragnienia. Pigafetta pisał: „Jedliśmy wołowe skóry, owinięte na głównym maszcie. Były bardzo twarde od słońca, deszczów i wiatru. Moczyliśmy je przez kilka dni w morzu, a później piekliśmy w żarze. Jedliśmy też wióry z piłowanych desek oraz szczury”. Cena gryzonia sięgała pół talara od sztuki.

Marynarzom kiwały się i wypadały zęby, puchły dziąsła; na ciełe otwierały się blizny. Załoga marła, a ci, co żyli, przypominali chodzące trupy. Choroba dziwnym trafem nie dotykała oficerów – a konkretnie tych, którzy w Sewilli nabrali do swoich kajut przetworów owocowych. Sam Magellan raczył się regularnie konfiturą z pigwy.

Niestety Europejczycy nie potrafili skorzystać z doświadczeń portugalskich odkrywców drogi do Indii, cudownie zdrowiejących w arabskich portach po spożyciu kilku pomarańczy. Nadal wieziono, że chorobę powoduje smród dobiegający się z ładowni statków.

Armada odnalazła w końcu przesmyk na Morze Południowe. Czekala ją budząca grozę przeprawa przez labirynty odnóg cieśniny. 600 kilometrów takiej drogi było ponad wytrzymałość załogi: to wtedy zdezerterował „San Antonio”. Jego załoga dopłynęła do Sewilli w tym samym czasie, gdy armada wybierała nowe dowódcy po śmierci Magellana (podczas śledztwa kapitana generalnego tak obciążono winami, że gdyby wrócił, niechybnie skończyłby w lochu).

Po pokonaniu cieśniny armada, licząca już tylko trzy okręty, ruszyła przez Morze Południowe, aby – jak obiecywał dowódca – wkrótce przybić do Wysp Korzennych. To był drugi błąd Magellana. Żadne szacunki ani obliczenia nie wskazywały, by morze miało okazać się oceanem, i to aż tak potężnym. Statki podążały na północny zachód, pchane pasatem. Mijały tygodnie; któregoś dnia Magellan wyniósł z kajuty mapy, zmiął i wrzucił do oceanu, krzycząc: „Dlaczego Moluków nie ma tam, gdzie je zaznaczono?”. Z obliczeń kartografów wynikało, że dawno powinni być w Azji.

Wreszcie, 6 marca 1521 r., po ponad trzech miesiącach żeglugi przez morską

pustynię, z bocianiego gniazda „Victorii” rozległ się krzyk marynarza: „Ziemia!”.

Wyspy, do których dopłynęli, Magellan nazwał później Złodziejskimi. Kiedy tylko okręty zbliżyły się do brzegu, wokół nich zaroilo się od zwrotnych łódek. Krajowcy wskakiwali na pokład i porywali wszystko, co nie było przy-mocowane. Półżywi marynarze nie reagowali. Dzień później Magellan zebrał kilkudziesięciu, którzy byli się w stanie ruszać, i wysłał łodziami na ekspedycję karną. Spalili kilkadziesiąt domów i zabili siedmiu mieszkańców wyspy.

Niemniej tułaczka dobiegła końca. Flotylla odkrywała teraz kolejne wyspy, pełne słodkich źródeł, bananowców i zwierzyny. Marynarze dochodzili do zdrowia, a Magellan nadał archipelagowi imię św. Łazarza.

Nazwa się nie utrzymała. Dzisiaj wyspy te nazywamy Filipinami.

Herb

Przeciekającą „Victorię”, z dziurawymi masztami i dnem pożerany przez świdraki – ale z ładownią pełną cenniejszych od złota goździków – dostrzeżono u ujścia Gwadalkiwiru 6 września 1522 r. Załogą osiemnastu niedobitków dowodził Juan Sebastián Elcano, Bask, ongiś uczestnik buntu w Porcie św. Juliana. Tylko jego żelaznemu charakterowi marynarze zawdzięczali przebycie koszmarniej drogi przez Ocean Indyjski i wokół Afryki. Przetrawiali głód, szkorbut, szkwały, wymknęli się portugalskim okrętom pościgowym – i wrócili do Hiszpanii.

Mniej szczęścia miał „Trinidad”, którego załoga postanowiła z Wysp Korzennych wracać do domu przez Pacyfik. Statek, powstrzymany przez burzę, musiał zawrócić i wpadł w ręce Portugalczyków.

Elcano wkrótce potem otrzymał od króla herb szlachecki. Widniała na nim kula ziemiska i napis: „*Primus circumdedisti me*” (Pierwszy mnie okrążyłeś). Trzy lata później wrócił na morze. Wypłynął z drugą Armadą Molukańską z zadaniem powtórzenia drogi Magellana. W sierpniu 1526 r. pośrodku Oceanu Spokojnego powalił go szkorbut, a załoga pochowała jego ciało w morzu.

©© MACIEJ MÜLLER

Korzystałem z: Laurence Bergreen „Poza krawędź świata”, Paul Hermann „Pokażcie mi testament Adama”, Bruce Chatwin „W Patagonii”.

Pierwszy król ruchomych obrazków

BARTOSZ HLEBOWICZ

Na początku XX wieku w całych Stanach nie było drugiego takiego filmowego imperium. Stworzył je polsko-żydowsko-niemiecki geniusz biznesu.

PRZED HOLLYWOOD BYŁ LUBIN. Siegmund Lubin, „Piracki Król” z Filadelfii. A przed Lubinem był Lubszyński, Zygmunt Lubszyński. Z Wrocławia albo Poznania – nasz bohater lubił karmić dziennikarzy sprzecznymi informacjami. Albo z Szamotuł, jak podał w 1901 r., ubiegając się o obywatelstwo USA. Być może to on sprawił – bardziej niż ktokolwiek inny – że kino stało się rozrywką mas.

Krytycy pastwili się nad jego filmami. W historii o napadzie na pociąg i uwięzionej dziewczynie najbardziej interesujący – zdaniem recenzenta – był koń, na którym uciekała, a cała reszta była „niemożliwa i absurdalna”. Jednak on nic sobie z tego nie robił i z roku na rok produkował kolejne obrazy – i pomnażał zyski, bo na jego filmy do jego własnych sal kinowych waliły tłumy robotników, imigrantów i ludzi z ulicy, spragnionych taniej rozrywki.

Pirackie początki

Anegdota o współczesnych gwiazdach kina popularnego są śmiertelnie powtarzalne. Oto aktorzy i aktorki żenią się i rozwodzą, i to tyle razy, że przestaje to robić wrażenie. W czasach Lubina, na przełomie XIX i XX w., opowieści o ludziach kina były bardziej zajmujące.

Na przykład taka: na początku XX w. do studia Lubina przy Arch Street w Filadelfii przychodzi mężczyzna, który



Plakat do wyświetlanego podczas europejskiego tournée filmu „When the Earth Trembled” (1913).
Po prawej: promocyjne zdjęcie Zygmunta Lubina, 1913 r.



chce nabyć filmy z wytwórni naszego bohatera. Pomocnik Lubina, Fred Balshofer, wyświetla kilka klientowi. Gdy uruchamia pokaz „Podróż na Marsa”, kupiec podskakuje na krześle i krzyczy: „Wyłącz projektor!”. Balshofer i Lubin nie rozumieją, o co chodzi. „Chcicie, żebym kupił ten film?!”. „Dlaczego nie?” – rzuca Lubin. W odpowiedzi słyszy: „Bo to ja zrobiłem ten film! Jestem Georges Méliès z Paryża”.

Otóż Lubin, zanim zaczął produkować własne filmy, seryjnie kopiował (czytaj: kradł) filmy innych – Edisona, Méliès, Biographa czy francuskiej spółki Pathé – i sprzedawał jako własne. Rzekoma „Podróż na Marsa” była faktycznie słynną „Podróżą na Księżyc” francuskiego mistrza. Lubin zmienił tylko tytuł.

Gniewna reakcja Méliès’a rozbawiła Lubina, który nie myślał się tłumaczyć, lecz usiłował wyjaśnić niedosłemu klientowi, ile pracy wymagało od Balshofera zaciemnianie na każdej klatce filmu, przy pomocy pędzla z wielbłądziego włosia i czarnego tuszu, pięcioramiennej gwiazdki – znaku firmowego Méliès’a. Wściekły Francuz z trudem powstrzymał się od rękoczynów.

Żeby nie było wątpliwości: robieniem *dupes*, czyli „duplikowaniem” filmów zajmowali się wtedy także inni – nie wyłączając Edisona, giganta w branży. Ale Lubin był w tej dziedzinie tak systematyczny i beczelny, że zyskał przydomek „Króla Piratów”. „Zorientowanie się, że to

szemrany interes, nie wymagało wielkiej inteligencji, ale pan Lubin robił to, jakby to była najzwyczajniejsza w świecie i zupełnie legalna działalność” – wspominał Balshofer w książce „One Reel a Week” (Jedna rolka na tydzień).

Inna sprawa, że Georges Méliès nie mógł odwiedzić Lubina, bo nigdy nie postawił stopy w USA. W swej książce Balshofer pomylił go z jego bratem, Gastonem Mélièssem, który reprezentował (bezsukcesyjnie) interesy Georges’a w USA i sam produkował filmy (kieskie) z Indianami i kowbojami.

Od pucybuta...

Na świadectwie zgonu Lubina zapisano, że urodził się w 1851 r. Rok 1854 – tę datę wytłoczono na jego nagrobku na cmentarzu Beth Israel pod Atlantic City, gdzie zmarł w 1923 r. Z kolei jako pasażer statku do Ameryki w 1877 r. był zarejestrowany jako 32-latek. Z tego by wynikało, że urodził się w 1845 r. Być może – bo w kwestii wieku kłamał nagminnie.

Był trzecim synem Samuela i Rebekki Lubszyńskich, polskich Żydów z niemieckiego wtedy Wrocławia (albo Poznania). Rodzeństwa było pięcioro: czterech chłopców i dziewczynka. Musiał być mały, gdy rodzina przeniosła się do Berlina. Jego ojciec był świetnym okulistą, a Zygmunt z chęcią uczył się zawodu od ojca. Jednak w 1868 r. postanowił wyprawić się do Ameryki, aby – jak opowiadał później

– „wymieniać z Indianami pinezki i kolczyki na złoto”. Dotarł do Kalifornii, ale szybko wrócił do Niemiec – pierwsze zetknięcie ze Stanami (i Indianami) skorygowało jego „amerykański sen”, zresztą zapewne przez niego samego podkoloryzowany. W Niemczech, w Heidelbergu, ukończył studia z okulistyki.

Drugą próbę emigracji do Stanów, już skuteczną, podjął w 1876 r. Zmienił nazwisko na Lubin. Poznał Annie Abrams, Żydówkę z Hanoweru. Szybko się pobrali. „Był impulsywny, ambitny, gadatliwy, pragmatyczny, emocjonalny i niezmordowany. Ona była cicha, metodyczna, konserwatywna, ostrożna i – jak miał się szybko przekonać jej mąż – obdarzona żelazną wolą” – napisał Joseph Eckhardt, autor biografii Lubina.

Nasz bohater porzucił już marzenia o łatwym do zdobycia indiańskim złocie. Najpierw zamieszkali w Nowym Jorku, u jednej z siostr Annie. Zygmunt (teraz już Siegmund) zarabiał, sprzedając okulary. Klientów wyłuskiwał na ulicach. Szybko doszedł do wniosku, że lepsze szanse na zarobek znajdzie podczas licznych targów i wystaw w amerykańskich miastach.

Zjeżdżili z Annie całe Stany, ale nie podozowało im się lepiej. Wkrótce ona zaszła w ciążę. Zdarzało się, że Siegmund zostawił wykończoną nocną podróżą żonę na stacji, a sam, niezmordowany, szedł sprzedawać okulary. Przynajmniej udało mu się wreszcie sprzedać coś Indianom. Jak

→ po latach wspominała jego córka, któregoś razu, przyparty do muru brakiem gotówki, miał oddać im za parę groszy własne spodnie.

Własna firma

Gdy Annie urodziła, nie było mowy o dalszych podróżach. Osiedli w Filadelfii, gdzie zamieszkali w internacie, a Lubin prowadził handel obnośny, badając wzrok przechodniom i w ciągu 24 godzin sporządzając okulary.

Musiał być skutecznym biznesmenem, bo po kilku miesiącach rodzinie było stać na wynajęcie mieszkania za 85 dolarów miesięcznie przy 237 N. Eighth Street, w sercu miasta. Lubin okazał się specem od autoreklamy: wynajmował domokrażców do roznoszenia ulotek z informacją o jego usługach, płacił za dołączanie ich do programów teatralnych. Klienci wychodzili od niego z futerałami, na których złotą czcionką wygrawerowany był napis „Prof. S. Lubin, 237 N. 8th St.”.

Na świat przychodzą kolejne dzieci, a Siegmund pomnażał majątek, znowu wędrując po targach i oferując – poza asortymentem usług i produktów okulistycznych – także wymyśloną przez siebie maść do czyszczenia metali, którą nazwał „Putzpommade”. Rodzina przeniósła się na poddasze, a w dolnej części mieszkania Lubin urządził sklep i studio optyczne. Z czasem musiał wynająć kolejny lokal, w którym zatrudnił ok. 15 osób. Prócz tego w kilku miejscach, niedaleko swego sklepu, ustawił *penny arcades*: pudła z obrazkami, które widząc po wrzuceniu monety mógł oglądać, przykładając oko do specjalnego otworu.

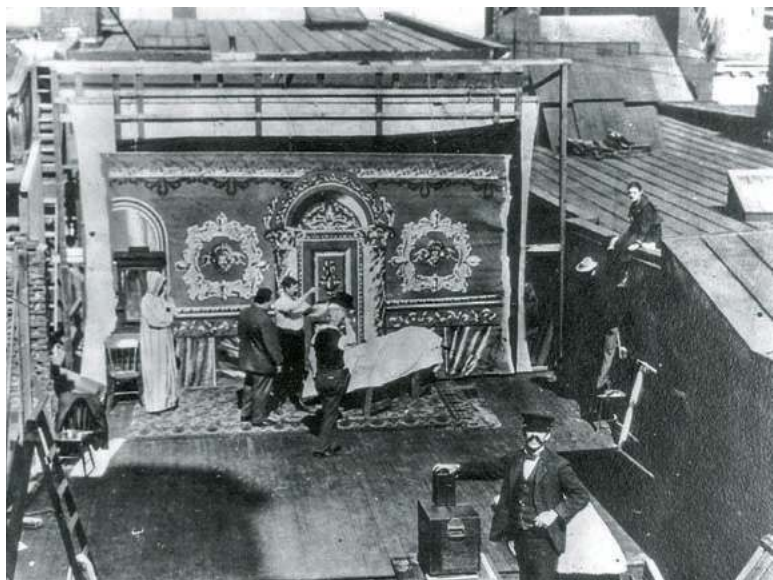
Pracownicy Lubina produkowali także tysiące pięknie ilustrowanych szklanych slajdów do wyświetlania na ścianach czy na ekranie oraz ich odmiany – slajdy muzyczne, służące jako ilustracje do popularnych wtedy wiktoriańskich ballad. W ten sposób publiczność słuchająca śpiewaka na żywo otrzymywała również muzyczne emocje, przełożone na język obrazów.

Zafascynowany optyką i urządzeniami technicznymi, Lubin nabył także aparat filmowy i założył ciemnię w piwnicy swego zakładu. Stąd niedaleko już było do zajęcia się ruchomymi obrazkami.

Wojna z Edisonem

Lubin miał nosa do nowinek technicznych – w ich odkrywaniu pomogły mu podróże po targach i wystawach w całych

Studio Lubina na dachu budynku, Filadelfia, 1899 r.



Stanach. W ten sposób, podczas Światowej Wystawy w Chicago w 1893 r., natknął się na projekcję prymitywnego filmu niejakiego Eadwearda Muybridge'a z ruszającymi się zwierzętami. Dwa lata później, na wystawie w Atlancie, ujrzał fantoskop Francisa Jenkina i Thomasa Armata – urządzenie do wyświetlania filmów.

Gdy drogi Armata i Jenkina się rozeszły, pierwszy sprzedał prawa do fantoskopu Edisonowi, drugi zaś sprzedał samo urządzenie Lubinowi. Wkrótce inżynierowie Edisona udoskonalili urządzenie Jenkina-Armata – do historii przeszło jako vitaskop. Jednocześnie Lubin ze swoim współpracownikiem Jackiem Frawleyem wypracowali nową wersję fantoskopu, nazywając ją cineographem.

Tak zaczęła się bezpardonowa i trwająca dekadę rywalizacja między dwoma bodaj najważniejszymi ojcami założycielami kina w USA: Thomasem Edisonem i Siegmundem Lubinem.

Edison, który poza vitaskopem miał w ręku patenty wcześniejszych modeli – kinetografu (maszyny do rejestrowania ruchomych obrazków) i kinetoskopu (urządzenia do odtwarzania filmów przez jedną osobę) – uważał, że każda kamera jest pochodną „jego” wynalazku, i że jeśli inni chcą robić filmy, to powinni płacić mu tantiemy. Oczywiście pozostali producenci mieli odmienne zdanie.

Lata walki sądowej kosztowały Lubina dziesiątki tysięcy dolarów. A gdy się w końcu poddał, odetchnął z ulgą – i z jeszcze większą energią zainwestował w swoje imperium filmowe i upowszechnienie kina, budując w 1910 r. wielkie studio w północnej Filadelfii,

okrzyknięte później Lubinville (Wioska Lubin) Produkcował w nim najpierw jeden film tygodniowo, potem dwa i więcej.

Bociany z papieru

Ale cofnijmy się jeszcze do początków.

Niezależnie od sporu z Edisonem, od 1896 r. Lubin rzucił się w wir eksperymentowania z cineographem. Kręcił filmy nawet na podwórku (filmując np. konia jedzącego siano), we własnym domu (jednym z pierwszych była walka jego córki z koleżanką na poduszki) albo w studiu, przewracając kartonowe miniatury domów, co było nieudaną próbą nakręcenia „dokumentu” z trzęsienia ziemi w San Francisco w 1906 r. (jednak potem wysłał tam ekipę, która nakręciła cenne ujęcia zrujnowanego miasta). Wtedy już miał kolejne studio w Filadelfii – oszklone, na dachu budynku przy 912 Arch Street. Oferowało więcej przestrzeni i światła.

Lubin i jego ludzie filmowali tańczących karłów, chińskich sztukmistrzów, tresowane psy, małpki i koźły. Widzowie mogli podziwiać papierowe bociany niosące dzieci-lalki i bohaterki więzione w lochach o papierowych drzwiach i płociennych ścianach.

Gdy w 1898 r. wybuchła wojna amerykańsko-hispańska, Lubin postanowił odtworzyć – w Filadelfii – starcie batalionu armii USA złożonego z Afroamerykanów z Hiszpanami na Kubie. Niestety, trzystu czarnoskórych filadelfijczyków przebranych za „bizonich żołnierzy” (tak czarnoskórych wojskowych nazywali Indianie, może ze względu na ich odwagę albo na krótkie kręcone włosy, przypominające grzywę bizona) napędziło stracha space-

rowiczom, którzy wezwali policję, psując całe przedsięwzięcie.

Rok wcześniej Lubin – miłośnik boksu – zaoferował widzom filmową „relację” z 14-rundowej walki między słynnymi pięściami, która odbyła się w Nevadzie. „Walka” odbyła się na platformie ułożonej w ogrodzie za jego domem. Stoczyli ją miejscowy zapaśnik i policjant, wynajęci jako aktorzy i udający bokserów Corbetta i Fitzsimmons. Za scenariusz posłużył opis walki w gazecie.

Popularyzator

Podobnie było z wieloma filmami powstającymi w studiu Lubina.

Często ich scenariuszami były gotowe filmy innych. Tak było ze słynnym „Napadem na ekspres” Edwina S. Portera z 1903 r., nakręconym dla Edisona – w następnym roku ukazał się nakręcony w studiu Lubina film o identycznym tytule (i z jego córką w roli głównej).

Nieraz Lubin sprzyjał niewybrednym gustom: w jego filmach były skandale i korupcja w wyższych sferach, antykobiecy dowcipy, popularne wtedy naśmiewanie się z Afroamerykanów, a także – kopulujące konie. W co drugim filmie obowiązkowy był pościg, nawet jeśli nie miał uzasadnienia w scenariuszu. Jednak gdy w 1907 r. Edison wyprodukował wyśmiewający Żydów film „Cohen’s Fire Sale” (Szalona wyprzedaż Cohena), Lubin odpowiedział serią pięciu ambitnych filmów krytykujących antysemityzm.

Bardziej niż scenariusze interesowały go technika i popularyzowanie kina. Na Wschodnim Wybrzeżu – od Cincinnati po Richmond – wybudował 15 sal kinowych i sieć wypożyczalni filmów, oferując właścicielom i dzierżawcom kin „co tydzień tysiąc nowych jednorolkowych filmów”. Eksperymentował też – nieudanie – z podkładaniem głosu do wyświetlanych filmów (wówczas niemych).

Lubinville i Betzwood

W 1907 r. zatrudniał już 150 osób. Gdy znękany walką z Edisonem musiał przystąpić do Trustu – związku potentatów podporządkowanych Edisonowi i zwalczających mniejszych niezależnych producentów – wartość jego kinowego imperium szacowano na 35-50 tys. dolarów (ówczesnych). Przed nim był tylko Edison, którego majątek oceniano na 100-150 tys. dolarów. Lubin był jedynym Żydem w anglosaskim towarzystwie Tru-

stu, które nie pozwalało mu o tym zapomnieć.

Zmuszony do podporządkowania się Edisonowi, sprzedaje wszystkie kina, unikając w ten sposób płacenia Edisonowi tantiem za używanie sprzętu i wyświetlanie filmów. Szybko gromadzi sumę 1,2 mln dolarów. Przeznacza ją na budowę największego i najnowocześniejszego studia filmowego na świecie (nazwanego Lubinville), a także na produkcję coraz ambitniejszych i coraz dłuższych filmów oraz na angaże lepszych aktorów i reżyserów.

Z tego okresu pochodzi anegdota, że Lubin lubił wykorzystywać przejeżdżające przez Lubinville pociągi do kręcenia scen ataków Indian. Pociąg wtedy stał, a obsługa dzwoniła na stację w Filadelfii: „Mamy opóźnienie. Zostaliśmy zaatakowani przez Indian Lubina. Znowu”.

W 1912 r. buduje kolejne studio: w Betzwood, w Valley Forge, na północ od Filadelfii. „Widziałem wszystkie wielkie studia w Europie i szczerze je podziwiałem – pisał dziennikarz z „Moving Picture World”. – Lubin przebijają największych i najlepszych we Włoszech i Francji. W indiańskich czasach powierzchnię ziemi w Pensylwanii mierzyło się odległością, jaką szybkobiegacz potrafił pokonać od świtu do zachodu. Tyle właśnie trzeba, by wskazać olbrzymi obszar [Betzwood]. Nie ma dziś producenta, który miałby lepsze warunki do robienia dobrych filmów. Mam na myśli nie tylko fantastyczną różnorodność naturalnego i sztucznego krajobrazu i wspaniałe widoki, ale też nadzwyczajną przejrzystość i czystość powietrza i krystaliczną wodę”.

W tym samym roku Lubin buduje studio w Jacksonville na Florydzie – tam pierwsze kroki stawia Babe Hardy, późniejszy Flap z popularnego duetu z Flipem (Stanem Laurelem). Również w 1912 r. zakłada lotne studio na Południowym Zachodzie, kierowane przez jednego z najpopularniejszych wtedy aktorów i reżyserów, dziś zapomnianego Romaine’a Fieldinga. To ekipa Fieldinga stworzy najciekawsze produkcje Lubina, z indiańskimi i meksykańskimi bohaterami. Wkrótce, w 1913 r., powstaje studio w Los Angeles, w którym pracuje Henry King (w przyszłości zasłynie filmami z Gregorym Peckiem i Tyrone’em Powerem).

W całych Stanach nie było drugiego takiego filmowego imperium.

Taśmy spadają z nieba

W czerwcu 1914 r. na Lubinville spada katastrofa. Z niewyjaśnionych przyczyn następuje eksplozja (rozwała sejfy z taśmami), a po niej seria wybuchów i pożar, który niszczy niemal cały dorobek Lubina. Siła wybuchu jest taka, że fragmenty płonących taśm z wyprodukowanymi przez niego filmami spadają z nieba. Ginią na zawsze prawie wszystkie filmy wyprodukowane przez Lubina, w tym najnowsze pełnometrażowe obrazy, a także najcenniejsze relacje z wydarzeń historycznych: wystąpienia prezydenta McKinleya, trzęsienia ziemi w San Francisco czy parady w Filadelfii po zwycięskiej wojnie z Hiszpanią.

Wkrótce nadchodzą kolejne ciosy: I wojna światowa, która zamyka przed producentami z USA europejskie rynki, a także upadek Trustu. Lubin reaguje na swój sposób, zwiększając liczbę nowych filmów. Ale czasy są już inne. Jego filmy przynoszą coraz mniejsze zyski, a utrzymanie kilkusetosobowej załogi w kilku studiach jest kosztowne. Ponadto na scenę wchodzi nowi młodzi producenci – w większości Żydzi: Samuel Goldwyn, Louis B. Mayer, Adolph Zukor, bracia Warner – z nowymi ideami i nową energią. No i jest gigant, D.W. Griffith, który swoimi (cóż, że rasistowskimi) „Narodzinami narodu” w 1915 r. rewolucjonizuje technikę opowiadania filmowego i odbiera publikę starym potentatom.

W 1915 r. Lubin jest na skraju bankructwa. Musi zamknąć studia w Jacksonville i zaraz potem w kalifornijskim Coronado. W międzyczasie produkuje jeszcze małe arcydzieło „The Great Divide”, ale w 1916 r. kredytobiorcy przejmują najważniejsze studia: Betzwood i Lubinville.

W następnym roku Lubin wraca do pracy w swoim starym sklepie optycznym. Tak kończy się epizod z dziejów kina niemego, kiedy za sprawą polsko-żydowsko-niemieckiego imigranta to Filadelfia była stolicą ruchomych obrazków.

Lubin umiera w Ventnor, w stanie New Jersey, w 1923 r.

Pamięć o nim i jego filmach kultywuje dziś college Blue Bell w hrabstwie Montgomery, mieszczący się na terenach dawnego Betzwood. Organizuje wykłady i pokazy tych filmów Lubina, które udało się ocalić i odrestaurować.

© BARTOSZ HLEBOWICZ

ZWIERZĘ ROKU

Jest najmniejsza,
a do tego musi żyć szybko.
Niektórzy mówią o niej
„ta jędza”.

ANNA GOC



RYJÓWKA MALUTKA ŻYJE ROK. MUSI SIĘ spieszyć.

– Nawet ich pani nie mogę pokazać. Takie są ruchliwe. Ile myśmy się za nimi nabiegali, by móc je poobserwować w naturalnych warunkach. Raz mi się tylko udało dłużej je widzieć. To było latem, miałem przerwę w pracy, więc znalazłem sobie miejsce na turzycowisku, gdzie teren podmokły, a roślinność wysoka – idealne warunki dla ryjówek. Patrzyłem przed siebie, nieoczekująco, kontemplacyjnie. I wie pani, zobaczyłem je: biegały po kępach turzyc, właściwie goniły się, przeganiały – mówi prof. Jan Taylor. – Jednak najwięcej dowiadujemy się o ryjówkach hodując je. Sprawdzaliśmy na przykład, jak się usamodzielniają. Małe najpierw żywią się mlekiem matki, potem stają się drapieżnikami. W trakcie tamtych badań zobaczyliśmy co prawda, że małe dopominają się mleka, a matka już ich unika, ale nie sądziliśmy, że tak to się może skończyć. Kolejnego dnia rano zaglądaliśmy do jednego terrarium – nie ma matki, do drugiego – wyparowała. Znaleźliśmy tylko ich zasuszone ogonki. Małe zjadły swoje matki.

Profesor po chwili: – Nie ma się co dziwić. Życie ryjówek jest wysoce ryzykowne.

Nim zdążę zadać pierwsze pytanie, profesor zapewnia: – Ryzyko życia jest najważniejsze, bez niego nie da się zrozumieć zwyczajów ryjówek.

Ryzyk jest kilka.

RYZYKO PIERWSZE: być najmniejszym

Gdy pytam o dwa gramy, które waży ryjówka malutka, profesor otwiera dłoń: – Muszę pani powiedzieć, że ilekroć trzymam coś tak małego, jestem zdumiony, że to żyje. Jeśli największym ssakiem Biebrzańskiego Parku Narodowego jest łoś, a ryjówka malutka najmniejszym, to możemy sobie wyobrazić, że w odcisku racic łośa mieszczą się na długość trzy ryjówki, licząc bez ogonów.

Ryjówka malutka rodzi się po trzytygodniowej ciąży. Jest nierozwinięta, waży około 0,2 grama, a przez jej cienką skórę widać narządy wewnętrzne. W pierwszym kalendarzowym roku życia jej ciężar waha się od 2 do 3,5 grama. Po pierwszej (i ostatniej dla niej) zimie przybiera na wadze, średnio do 4,5 grama.

W kategorii „najmniejszy ssak stałocielny w Polsce” – wygrywa. W konku-

rencji światowej staje na podium z żyjącą w południowej Europie i Azji oraz północnej Afryce dwugramową ryjówką etruską, a także występującym w południowo-wschodniej Azji nietoperzem – ryjkonosem malutkim (nie waży więcej niż dwa gramy). Jest też nieco tylko cięższa od najmniejszego ptaka, zamieszkującego Kubę kolibra hawańskiego (waży około 1,8 grama).

Prof. Jan Taylor ścisza głos: – I tu pojawia się pytanie: dlaczego nie ma jeszcze mniejszych ssaków? Przecież pod wieloma względami bycie mniejszym mogłoby się opłacać. Skoro najmniejsze ssaki stałocielne na świecie ważą około dwóch gramów, być może to jest granica fizjologiczna, która uniemożliwia ewolucję w stronę rozmiarów jeszcze mniejszych.

RYZYKO DRUGIE: być najmniejszym i radzić sobie z zadziwiająco wysoką przemianą materii

– To, że małe zwierzęta mają wysokie tempo metabolizmu, które jest przeliczane na ich masę ciała, nie jest zaskakujące – mówi Jan Taylor. – Ale jeśli porównamy pod tym względem ryjówki malutkie z innymi ssakami o zbliżonej masie ciała, okaże się, że podstawowe tempo metabolizmu ryjówek, czyli to, które służy utrzymaniu pracy narządów wewnętrznych, jest trzykrotnie wyższe od spodziewanego u ssaka o podobnej wadze. Równie szybko przemianę materii ma druga, nieco większa krajowa ryjówka – aksamitna.

Co to oznacza? Żeby przeżyć, ryjówka musi jeść. Nie może sobie pozwolić na głodowanie, bo w warunkach naturalnych nie gromadzi zapasów tłuszczu. – Obliczono, że ryjówka malutka może nie jeść maksymalnie przez 10 godzin, potem umiera – mówi profesor. – Zasypia na krótko i tylko wtedy, gdy jej żołądek jest wypełniony pokarmem. W praktyce szuka pokarmu przez całą dobę.

Ile zjada?

– Na dobę minimum tyle, ile sama waży – wylicza profesor. – Ale wystarczy, że jest w trakcie rozrodu, karmi małe albo spada temperatura otoczenia, wtedy zapotrzebowanie energetyczne znacząco wzrasta i ryjówka malutka potrzebuje nawet trzykrotnie więcej pokarmu, niż wynosi jej waga. Jej maksymalne tempo metabolizmu w niskich temperaturach jest zbliżone do tego, które osiąga koli-

ber w locie furkoczącym – gdy zawisa przy kwiatach – największym podejmowanym wysiłku, po którym odpoczywa. Ryjówka ma takie tempo metabolizmu przez całą dobę, nawet wtedy, gdy się nie porusza. To absolutny rekord.

Kosztowne w utrzymaniu są też narządy ryjówki, które wspomagają przemianę materii.

Weźmy serce.

Jan Taylor: – Maksymalne tętno ryjówki malutkiej to 1100 uderzeń na minutę, co daje 18 cykli skurcz-rozkurcz w ciągu sekundy. Serce ryjówki migocze tak szybko, że nasze oko nie jest w stanie tego ruchu zarejestrować. Mięsień sercowy osiąga pułap wydolności. Trzeba naprawdę dużo energii, by utrzymać narząd, który pracuje w takim tempie. To kolejny powód, by uznać, że ryjówki osiągnęły najwyższy pułap dla zwierzęcia stałocielnego.

Ale to nie wszystko. – Serce ssaków, niezależnie, czy mówimy o słońcu, czy myszy, zajmuje średnio 0,6 proc. ciała. Masa serca ryjówki jest ponad dwukrotnie większa: osiąga 1,4 proc. masy ciała. Dzięki temu ryjówki zwiększają ilość przepompowanej krwi – mówi profesor.

Na tym nie koniec. – Warto się przyjrzeć krwi ryjówek, a zwłaszcza hematokrytowi, czyli objętości krwinek czerwonych, odpowiedzialnych za przenoszenie tlenu, w stosunku do objętości całej krwi. Jeśli u ssaków hematokryt osiąga wartość około 40-45 proc., to u ryjówek – 55 proc. To oznacza, że ich krew ma większe możliwości przenoszenia tlenu. Jednocześnie jest gęstsza, bardziej lepka, trudniejsza do przepompowania przez serce. Tak więc serce ryjówki malutkiej nie dość, że jest większe, to też bardziej obciążone – opowiada Jan Taylor. – Dalsze zwiększanie hematokrytu byłoby niemożliwe.

Profesor waha się przez chwilę: – Muszę pani powiedzieć jeszcze o mitochondriach. To małe ciała, które są źródłem energii w komórkach. U ssaków zajmują nieco ponad 20 proc. objętości komórki, a resztę m.in. elementy odpowiadające za skurcz mięśni. Okazuje się, że w mięśniu sercowym ryjówek mitochondria zajmują 36 proc. objętości, dokładnie tyle samo, ile w komórkach mięśniowych poruszających skrzydła kolibra w trakcie lotu furkoczącego. Mamy więc do czynienia z kolejnym rekordem ewolucyjnym.

RYZIKO TRZECIE: być najmniejszym, mieć zadziwiająco wysoką przemianę materii i zimą nie hibernować

→ – Najdziwniejsze rzeczy zaczynają się dziać z ryjówką zimą – mówi Jan Taylor, przeczuwając, że na ten moment rozmowy czekałam.

Ryjówki są stałocieplne, to znaczy, że utrzymują wysoką i stałą temperaturę, niezależnie od warunków otoczenia. Wiele gryzoni, z którymi są mylone, potrafi wejść w tzw. torpor, czyli stan odętwienia pozwalający im przetrwać spadki temperatury. Inne ssaki, jak np. nietoperze, hibernują. Ryjówki nie potrafią, więc zimą są aktywne, także pod śniegiem. Jedyne, co mogą zrobić, to zwinąć się w kulkę, dzięki czemu tracą nieco mniej ciepła, lub możliwie najdłużej przebywać w dobrze izolowanym gnieździe.

– U ryjówek obserwujemy niezwykłą adaptację, którą od nazwiska jej odkrywcy, polskiego zoologa Augusta Dehnela pracującego w Białowieży, nazywamy „efektem Dehnela”. Otóż zimą ciało ryjówek, zarówno malutkiej, jak i aksamitnej, kurczy się. Ale nie jest to efekt ubytku tłuszczu, bo przecież ryjówki go nie gromadzą. Zmniejsza się masa ich ciała i jego długość – mówi Jan Taylor i wyjaśnia, co dzieje się w organizmie ryjówek.

Najpierw kręgosłup. – Między kręgami są dyski, a w ich centrum tzw. jądro miazdyste. Kiedy nadchodzi zima, jądro to spłaszcza się, staje się cieńsze, a znajdująca się wokół niego chrząstka ulega częściowej resorpcji, czyli rozpuszczeniu. Dzięki temu kręgi zbliżają się do siebie, kręgosłup się skraca, ciało staje się mniejsze.

Dalej głowa. – Zmniejsza się wysokość czaszki, średnio o 20 proc. Mózgoczaszka jest zbudowana z płaskich kości, które są połączone szwami. Kości te na szwach ulegają rozpuszczeniu, wtedy ich brzegi się schodzą, czaszka się zapada i spłaszcza – mówi prof. Taylor. – Gdybyśmy popatrzyli z profilu na czaszki ryjówek zimowej i letniej, to choć są one malutkie, wyraźnie widać, że ta należąca do ryjówek zimowej jest niższa i spłaszczona. O 20 proc. zmniejsza się też mózg. Jak do tego dochodzi? Nie wiadomo. Jedyne, co można powiedzieć, to że wyraźnie ubywa części podwzgórza, gdzie znajdują się komórki odpowiedzialne za orientację przestrzenną. Jak wiadomo, utrzymanie tkanki nerwowej



ARCHIWUM PRYWATNE

PROF. DR HAB. JAN R.E. TAYLOR

jest kierownikiem Katedry Ekologii Ewolucyjnej i Fizjologicznej na Wydziale Biologii Uniwersytetu w Białymstoku. Jego podstawowe zainteresowania naukowe to zagadnienia z zakresu ekologii fizjologicznej, a w szczególności energetyki ekologicznej. Bada budżety energetyczne i wydatki energetyczne ssaków i ptaków oraz związane z tym adaptacje. Tematami jego prac były pingwiny, alki, petrele, bociany, gryzonie, a także żaby. Szczególnie dużo czasu poświęca ryjówekom. Naukowo i emocjonalnie związany z doliną Biebrzy, jest kierownikiem stacji terenowej Wydziału Biologii UwB w Biebrzańskim Parku Narodowym.

jest bardzo kosztowne, obok serca to najbardziej wymagająca tkanka w organizmie ssaków. Nic więc dziwnego, że właśnie jej ryjówki pozbawiają się zimą. Badacze ryjówek z Instytutu Maxa Plancka, z którymi współpracujemy, sprawdzali, w jaki sposób zmniejszenie się tej części mózgu wpływa na zachowania ryjówek. Okazało się, że zimą tracą nieco pamięć przestrzenną.

Plusy są oczywiste: zmniejszenie się masy mózgu, także masy ciała i jego rozmiarów, to oszczędność, gdyż mniejsze zwierzę potrzebuje mniej pokarmu.

Gdy pytam o pozostałe narządy, profesor przyznaje, że one też się zmniejszają, choć nie ma badań pokazujących, jak do tego dochodzi.

Na koniec rozmowy o ryzyku życia Jan Taylor dodaje jeszcze jedną ciekawostkę: w zapisie kopalnym ryjówka malutka pojawiła się jako pierwszy gatunek. Ta, która – jak mogłoby się wydawać – ze względu na ryzyko życia powinna wymrzeć najszybciej, żyła we wczesnym pliocenie, około 5 milionów lat temu, i wciąż zasiedla Europę i Azję, aż do je-

ziora Bajkał. Jest pospolita w Polsce, choć jeśli już zostaje zaobserwowana, to jest zwykle mylona z myszą.

– Niech pani nie zwiedzie jej wygląd – przestrzega profesor. – Ryjówka z gryzoniami nie ma nic wspólnego. Jej najbliższym krewnym w naszej faunie jest kret. Nazwę zawdzięczając wydłużonemu, spiczastemu nosowi, choć dawniej najczęściej nazywano je sorkami. Łacińska nazwa ryjówek aksamitnej – *Sorex araneus*, wzięła się od pajaków (*Araneae*), które ponoć jadłowicie kasały. W rzeczywistości tylko dwa gatunki krajowych ryjówek – rzesorki – są jadłowite.

W krótkim ryjówkowym życiu niewiele spraw ma znaczenie: – Cele są dwa – mówi profesor – przeżyć zimę i zostawić potomstwo.

Wiadomo, że ryjówki muszą się spieszyć.

– Proszę to sobie wyobrazić: ma pani na urodzenie potomstwa jeden rok, jak ryjówka, albo dwadzieścia osiem lat, jak nocek rudy, ważący zaledwie siedem gramów nietoperz. Jest przecież oczywiste, że jedno może sobie pozwolić na życie niespieszne, a drugie nie – wyjaśnia Jan Taylor.

Ale by mówić o sukcesie rozrodczym, ryjówka malutka musi najpierw przetrwać zimę. Szacuje się, że od lata do końca zimy przeżywa co trzeci osobnik.

CEL PIERWSZY: przeżyć zimę

Najzimniejsze miesiące ryjówka malutka spędza między zamrożoną ziemią a śniegiem, wśród zaschniętych traw i ziół. Wtedy okazuje się, że jest terytorialna. – Żeby zrozumieć ich nastawienie, trzeba pamiętać, że przeżyją te, które będą miały pokarm – podkreśla profesor. – Terytoria poszczególnych ryjówek, każde o średnicy kilkudziesięciu metrów, nie zachodzą na siebie. Ale trudno tu mówić o przypadku. Ryjówki zabezpieczają swój teren i konkurują o niego między sobą. A widząc, że ktoś próbuje naruszyć ich prywatność, odpowiadają agresją. Zaczyna się bójka: ryjówki okładają się łapami, przepychają, próbują gryźć jedna drugą. Towarzyszą temu głośnie piski.

Gdy wszystko pójdzie zgodnie z planem i terytorium zostanie obronione, zaczynają polować. Żywią się drobnymi bezkręgowcami, larwami owadów, pajęczakami. Są szybkie i zwinne. Obeszłownienie ofiary nie jest dla nich żadnym problemem. – Obserwujemy to w na-

szym laboratorium. Karmimy ryjówki specjalną mieszanką mięsną, w skład której wchodzi między innymi serce wołowe, a dodatkowo są żywe owady: mączniki albo świerszcze. Przykład świerszcza jest dobry, bo choć to owad, który potrafi bardzo szybko skakać po terrarium, ryjówki wyłapują go od razu. Pochwycona ofiara zostaje następnie obezwładniona. Ryjówka przegryza znajdujące się w tylnej części głowy zwoje nerwowe, dzięki czemu świerszcz nie umiera, ale przestaje się ruszać – mówi Jan Taylor.

Jeśli nie potrafią zjeść ofiary od razu, przenoszą ją do spiżarni, której istnienie – w przypadku tak żarłocznego gatunku – nie powinno właściwie dziwić. Imponująco wyglądają żabie spiżarnie, którymi pochwalili się może rzesorek rzececzek, krewna ryjówki malutkiej, nieco od niej większa, bo ważąca nawet 20 gramów, polująca w wodzie. – Ma orzęsione łapy, które działają jak wiosła. Nurkując, potrafi wytrzymać pod wodą nawet 20 sekund, zbiera z dna płytkich zbiorników głównie bezkręgowce. Niewielki rzesorek jest w stanie obezwładnić kilka razy większą od siebie żabę. Kąsa ofiarę w głowę i jej okolice, a zawierająca jad ślina rzesorka paraliżuje ofiarę. W ten sposób powstaje żabia spiżarnia. Jego ukąszenia dla człowieka nie są groźne, bo nasza masa ciała jest większa. U kolegi, badacza rzesorka, który został przez niego pogryziony, skończyło się tylko bólem głowy – zapewnia profesor.

Kto jest dla ryjówek zagrożeniem? – Generalnie nie mają za wielu wrogów. Ryjówka to dla dużego ssaka niewielki kąsek. Poza tym, większe ssaki unikają ich ze względu na gruczoły piżmowe i dość nieprzyjemny zapach, który się z nich wydobywa. Znajdujemy więc dość często martwe ryjówki, napoczęte i niedojedzone przez inne ssaki – mówi Jan Taylor. – Dla ptaków, które nie kierują się węchem, ryjówki są trudne do złapania, zimą żyjąc pod warstwą śniegu, a latem wśród gęstej roślinności i w norach gryzoni.

CEL DRUGI: zostawić potomstwo

Po zimie masa mózgu ryjówek się zwiększa, choć nie do poziomu wyjściowego. Osiągają dojrzałość płciową.

– Zdarzają się bardzo rzadkie przypadki ryjówek, które decydują się na ciążę przed jedyną zimą ich życia. Wtedy zwykle jej nie przeżywają, co pokazuje, jak duże są dla nich koszty rozrodu.

Serce ryjówki migocze tak szybko,

że nasze oko nie jest w stanie tego ruchu zarejestrować. Osiąga pułap wydolności.

– Skoro czasu mało, a dbałość o potomstwo tak ważna, to być może mają jakieś strategie zalotów? – pytam.

– Zalotów? – Jan Taylor patrzy na mnie przez chwilę: – O żadnych zalotach nie ma mowy. Samce są dosyć brutalne. Przytrzymują samice zębami za skórę na grzbiecie, i je zapładniają. Wśród tych zwierząt delikatności się pani nie doszuka.

Dalszy scenariusz jest przewidywalny. Samiec po zapłodnieniu jednej samicy natychmiast szuka następnej. Nie bierze udziału w wychowaniu. W jego interesie jest jedno: zostawić jak najwięcej potomstwa. Jego strategie są proste: szukać samicy na małym, znanym terenie albo wyruszyć w nieznanne.

W tym samym czasie samica zabiera się za przygotowanie gniazda. Trudne do znalezienia w przyrodzie gniazda ryjówek są w kształcie kuli z bocznym wejściem. Dobrą izolację zapewniają suszone źdźbła i mech. Samice ryjówki malutkiej umieszczają je zwykle pod zwalonymi pniami lub spróchniałymi pieńkami.

Pierwsze młode pojawiają się w maju lub czerwcu. Ryjówka rodzi trzy lub cztery razy w swoim życiu, w miocie jest od 5 do 7 młodych. – Małe szybko rosną, potrzebują nieustannie mleka. Samica ryjówki wygląda wtedy jak mleczna fabryka – mówi profesor.

– Matka lubi swoje dzieci? – pytam.

– To zależy od etapu. Na początku, kiedy młode są nieporadne, samica robi wszystko, by je ochronić: ogrzewa ciepłotą własnego ciała, karmi mlekiem, a nawet, jeśli trzeba, przenosi w bezpieczniejsze miejsce. Potem ta relacja zaczyna się odwracać. Młode są coraz większe, zaczynają szukać stałego pokarmu, stają się niezależne, ale wciąż domagają się opieki matki. Zaczyna się konflikt znany wśród wielu gatunków: dla samicy bardziej opłacalne staje się inwestowanie w nowe potomstwo, a w interesie potomstwa jest, by samica troszczyła się o nie jak najdłużej.

– Co ona z tego wszystkiego ma?

– Zostawia po sobie potomstwo. Tak jest zaprogramowana. Choć owszem, przy tak wysokim ryzyku życia, kilkukrotny połów zmniejsza możliwości przeżycia samicy.

Niedługo po wydaniu potomstwa, jesienią, w zaroślach i na leśnych ścieżkach można znaleźć martwe ryjówki.

■ ■ ■

Po naszym spotkaniu prof. Jan Taylor dosłał skany książki Petera Crowcrofta „The Life of the Shrew”, wydanej w Londynie w 1957 r. Crowcroft prowadził w latach 50. półamatorskie obserwacje ryjówek, które trzymał w niewoli. We wstępie autorstwa Maurice’a Burтона można znaleźć między innymi opis przesądów związanych z ryjówkami. Autor zauważa, że żadnemu innemu ssakowi w Wielkiej Brytanii nie zostały przypisane tak nikczemne cechy. *Shrew*, czyli złośnica, ta sama, która pojawia się w tytule Szekspirowskiego „Poskromienia złośnicy” („The Taming of the Shrew”), była obiektem licznych brytyjskich legend.

Ich najczęstsza sceneria to wieś. Z cytowanych przez Burтона dzieł XV- i XVI-wiecznych autorów wynika, że żywa ryjówka, nazywana bestią i karłowatą złośnicą, była źródłem nieszczęść. Podkreślano jej łajdacki i jędzowaty charakter, a także niezwykłą przebiegłość i spryt. Zgodnie z jednym z przesądów jej pojawienie się w gospodarstwie miało wywoływać choroby wśród trzody, które mogły się przenieść także na domowników. Angielscy wieśniacy mieli jednak na nią swoje sposoby: była nią śmierć głodowa. Otóż należało złapać ryjówkę, znaleźć jej jesion, wywiercić w nim niewielką dziurę (w końcu i bestia jest niewielkich rozmiarów), a następnie zamknąć w niej złapaną ryjówkę. Jak można się domyślać, śmierć głodowa następowała dość szybko. Był to jedyny sposób na zdjęcie uroku rzuczonego na zwierzęta w tej wsi. Ponadto jesion zyskiwał niezwykle właściwości: przyprowadzano pod niego chore dzieci, a jego gałęzie zanoszono do domów, wierząc, że mają uzdrawiającą moc.

W jednym z ostatnich maili prof. Taylor pisze: „Wyczuwam, że wiele Pani pytań miało na celu »ocieplenie« wizerunku ryjówek. Obawiam się, że będzie to trudne. Nie mają one specjalnego »życia rodzinnego«, są terytorialnymi, drapieżnymi, żarłocznymi samotnikami”.

© © ANNA GOC

Szachy bez królowej

ŁUKASZ JACH, ŁUKASZ ŁAMŻA

Do siedzącego w zadymionym biurze detektywa przychodzi klientka i zleca mu rozwiązanie szachowej zagadki. Nie chodzi jednak o to, by dać mata w trzech ruchach. Pytanie brzmi: gdzie się podziały szachistki?

PRZEWAGA MĘŻCZYZN NAD KOBIETAMI jest w szachach gigantyczna. Na aktualnej, grudniowej liście stu najlepszych szachistów świata rankingu Międzynarodowej Federacji Szachowej (FIDE) znajduje się tylko jedna kobieta, zajmująca na dodatek 79. pozycję. W pierwszej setce najlepszych polskich graczy znajdują się trzy kobiety. Z danych FIDE wynika również, że kobiety stanowią jedynie około 10 proc. liczby zawodników notowanych w rankingu, a ich odsetek wśród graczy posiadających któryś z niezależnych od płci tytułów mistrzowskich wynosi około 1 proc. Mało jest sfer ludzkiej aktywności, w których występowałyby tak potężna dysproporcja płciowa.

Za demonstrację niech posłuży choćby fakt, że na liście 500 największych firm świata Standard and Poor's (tzw. „S&P 500”) udział kobiet w stanowiskach kierowniczych to 25 proc. – a trudno jest wyobrazić sobie środowisko wymagające od kobiet większego uporu, determinacji i walki ze stereotypami niż zarządy wielkich firm. Jeszcze dekadę temu odsetek ten wynosił 15 proc., a 20 lat temu był, jak się szacuje, jeszcze dwukrotnie mniejszy. Kobiety musiały w ciągu ostatnich dekad z trudem zdobywać sobie miejsce w tym prestiżowym gronie. Więc skąd ich nieobecność w gronie mistrzów szachownic?

Statystyki te mogłyby stanowić treść czarnego snu rzeczników płciowego egalitaryzmu, a oliwy do ognia dolewają związane z szachami aspekty wizerunkowe. Gra ta ma bowiem status wzorca „czystych” problemów decyzyjnych: zasady gry są znane i racjonalne, a obie strony mają pełen dostęp do informacji o sytuacji na planszy. Jeśli dodać do tego istniejące zbiory zapisów przebiegu wszystkich znaczących partii oraz nota-

cję pozwalającą prześledzić znaczenie poszczególnych ruchów, nie powinno dziwić, że szachy bywają określane mianem „muszki owocowej rozumowania”. Umiejętności szachowe wiążą się w powszechnym mniemaniu z wysokimi kwalifikacjami intelektualnymi. Szachy przedstawia się ponadto jako sport, który szczególnie równo traktuje swoich adeptów – aby je uprawiać, wystarczy w zasadzie jedynie znajomość zasad. Nie potrzeba specjalistycznej odzieży, nie liczy się zręczność, wielkość czy masa zawodników, a zmysły niezbędne są o tyle, o ile umożliwiają one zawodnikowi orientację w aktualnym położeniu figur. Nie istnieją tu również bariery wiekowe, ani – właśnie – płciowe. Przy szachownicy może usiąść dosłownie każdy i każdy w chwili rozpoczęcia partii ma równe szanse.

Wróćmy więc do pytania: dlaczego w gronie setki najlepszych graczy w szachy jest tylko jedna kobieta? To, co powiedziano do tej pory, mogłoby doprowadzić leniwego detektywa do konkluzji, że mężczyźni są po prostu „lepsi”. Tak lapidarna odpowiedź zapewne nie zadowoliłaby jednak ani dobrego badacza zagadek, ani tym bardziej jego zleceniodawcy. Musimy wejść głębiej.

Jakość z ilości

Zacznijmy od próby wyjaśnienia o czymś statystycznym charakterze. Skoro w szachy gra ogólnie więcej mężczyzn – a czemu tak jest, zastanowimy się później – to może z tego wynika, czysto ilościowo, ich dominacja w gronie arcymistrzów? Tak sformułowane pytanie zadała grupa badawcza M. Bilalica, psychologa i szachisty.

Powszechnie stosowany do określania pozycji szachistów ranking ELO ma rozkład określany w statystyce jako normalny, ze średnią wynoszącą 1500 punk-

tów i odchyleniem standardowym – którym mierzy się „rozrzut” wartości – równym 200 punktów. Dla rozkładu normalnego wewnątrz „pierwszego” odchylenia (czyli tutaj: w przedziale 1300-1700) mieści się ok. 70 proc. przypadków. „Drugie” odchylenie (1100-1900) obejmuje już 96 proc. populacji, co oznacza, że na jego „górnym skrzydle”, czyli powyżej 1900 punktów, mieści się już tylko dwa procent graczy. Wynik powyżej trzeciego odchylenia ma już 0,15 proc. populacji, czyli jedna osoba na siedemset. Zdobycie szachowego arcymistrza wiąże się z uzyskaniem zwykłe około 2500 punktów – to rezultat przewyższający średnią o aż pięć odchyłeń.

Zawodnicy z pierwszej światowej setki mają od 2650 do 2872 punktów ELO, co oznacza, że są one odległe od średniej o pięć, sześć czy nawet siedem odchyłeń standardowych! Gdyby porównać to z inteligencją ogólną, również mającą rozkład normalny, oznaczałoby to wartość zbyt wysoką, aby wykryć ją za pomocą któregoś ze standardowo stosowanych narzędzi. Najlepsi szachiści świata to więc przypadki naprawdę... bardzo nietypowe – co powinno zapalić w głowie statystyka lampkę ostrzegawczą. Statystyki są tym solidniejsze, im bardziej typowe i liczne przypadki się nimi analizuje.

Sucha matematyka mówi przykładowo, że prawdopodobieństwo znalezienia osoby mającej w rankingu ELO wynik powyżej 2800 wynosi mniej więcej jak jeden do 20 miliardów. Nawet gdyby więc zajrzeć w każdy zakątek Ziemi, nie powinniśmy znaleźć nikogo tak uzdolnionego. Ranking FIDE wymienia zaś obecnie trzy osoby o tak wysokim wyniku. Jest jasne, że to, co dzieje się na „skrzydłach” rozkładów statystycznych, wymaga nieco głębszej i mądrzejszej analizy niż przeliczenie kilku parametrów. Zresztą, nawet gdybyśmy się uparli, że tak duży udział mężczyzn w gronie arcymistrzów wynika wyłącznie z większego udziału mężczyzn w gronie szachistów jako takich, wciąż otwarte jest pytanie: dlaczego? Czy jest w szachach coś, co przemawia silniej do mężczyzn niż do kobiet?

Skąd się biorą szachiści?

Zacznijmy od dzieciństwa. W badaniu, którego wyniki opublikowano jakiś czas temu na łamach „Personality and Individual Differences”, porównano cechy



YVONNE HENSEY / GETTY IMAGES

Arcymistrzyni Judit Polgár przez 26 lat zajmowała pierwsze miejsce wśród kobiet w rankingu Międzynarodowej Federacji Szachowej. Na zdjęciu w Nowym Jorku, 1992 r.

osobowości grających w szachy dzieci w wieku 8-11 lat z dziećmi niegrającymi w szachy, ale uczęszczającymi do tych samych szkół. Obok innych cech psychologicznych, jak większa otwartość na doświadczenie, u dzieci grających w szachy odnotowano również niższy poziom ugodowości. Co oznacza obniżona wartość tej zmiennej? M.in. silniejszą skłonność do wchodzenia w konflikty i niższą motywację do unikania sprzeczek. Szachy

są zaś, jak wiele innych sportów, walką *par excellence* (chodzi w nich jednak o to, aby zaatakować i pokonać przeciwnika), wywodząc się zresztą prawdopodobnie z indyjskiej gry wojennej czaturanga. Dalekim echem tego wojskowego charakteru jest wyrażenie „szach mat”, oznaczające z perskiego „król zginął”.

Rzecz w tym, że zarówno chłopcy, jak i dorośli mężczyźni charakteryzują się zasadniczo niższym poziomem ugo-

wości niż kobiety. Być może zatem niska ugodowość stanowi rodzaj filtra – mężczyźni częściej od kobiet pozostaną przy szachach, ponieważ statystycznie częściej będzie im odpowiadał ich konfrontacyjny charakter.

Gdy mowa o szachach, innym oczywistym „podejrzanym” spośród zmiennych psychologicznych jest inteligencja. Sprawa nie jest jednak prosta. Z przeprowadzonego przez zespół A.P. Burgoyne’a systematycznego przeglądu wcześniej opublikowanych badań dotyczących związków inteligencji z umiejętnościami szachowymi wynika co prawda, że są one ze sobą dodatnio powiązane, jednak zarysowują się silniej u dzieci i młodzieży niż u osób dorosłych oraz silniej u graczy nieposiadających szachowego rankingu niż u klasyfikowanych zawodników. Wygląda więc na to, że ranking FIDE nie daje się w prosty sposób „przetłumaczyć” na ranking IQ, zwłaszcza w swoich górnych rejonach.

A może kluczem do rozwiązania zagadki jest trójkąt: praktyka – zadowolenie – motywacja? A.L. Vermeer ze współpracownikami zwrócili uwagę na element życia zawodnika jeszcze ważniejszy od samych zawodów – długotrwałe treningi, w trakcie których trzeba zmusić się do wielokrotnego wykonywania tych samych czynności. Znaczącą rolę odgrywa tu testosteron, którego stężenie jest u mężczyzn wielokrotnie wyższe niż u kobiet. Testosteron, wpływając na działanie mózgowego układu nagrody, może z jednej strony podwyższać poczucie zadowolenia wynikającego z wykonywania określonej czynności, z drugiej zaś sprawiać, że większa liczba aktywności będzie wydawała się „warta świeczki”.

I to jednak nie doprowadza nas niestety do szybkiego rozwiązania zagadki szachów. Regularne, długotrwałe, żmudne ćwiczenia są oczywiście nie do uniknięcia, jeśli chce się osiągnąć poziom mistrzowski w jakiegokolwiek dziedzinie życia. W tym kontekście często wymienia się koncepcję A. Ericssona, która jest popularnie znana jako „reguła 10 tysięcy godzin”: tyle właśnie czasu poświęconego na dowolną aktywność miałyby uczynić z każdego człowieka eksperta. Badania pokazują jednak, że choć rola czasu poświęcanego na praktykę jest ważna w takich obszarach jak gry, muzyka czy sport, to jednak nie ma ona decydującego znaczenia.

Czy to już obsesja?

→ Do podobnych wniosków doszli D.Z. Hambrick i współpracownicy, którzy skupili się już wyłącznie na grze w szachy. Z jednej strony potwierdzili oczywistą diagnozę, że w miarę wzrostu doświadczenia rośnie statystycznie siła gry: szachiści na poziomie *intermediate* przeznaczali na trenowanie przeciętnie około 3100 godzin, eksperci około 5600 godzin, a mistrzowie ponad 10 tys. godzin. Z drugiej zaś strony odnotowali potężne różnice pomiędzy poszczególnymi osobami grającymi na tym samym poziomie – jeden z mistrzów praktykował mniej niż 1000 godzin, podczas gdy inny ponad 24 tys. godzin. R.W. Howard w swoim badaniu na temat wybitnych szachistek z rodziny Polgár zauważył, że ich życie już od dzieciństwa podporządkowane było temu sportowi, jednak najlepsza z nich (Judit Polgár, uważana powszechnie za najlepszą szachistkę w historii; w szczycie formy zajmowała ósmą lokatę w światowym rankingu FIDE) nie była jednocześnie tą, która na trenowanie poświęciła najwięcej czasu.

Być może jednak liczy się wytrwałość innego typu? Howard prześledził również kariery 340 kobiet i 3132 mężczyzn, którzy debiutowali na szachowej liście rankingowej w okresie 1985-89. Spośród tej grupy po 1999 r. aktywnych było wciąż blisko 67 proc. mężczyzn, ale jedynie niespełna 39 proc. kobiet. Choć kobiety debiutowały na listach w młodszych wiekach, to przeciętnie rozgrywały znacznie mniej turniejowych partii niż mężczyźni. O ile przeciętna liczba gier wynosiła w ich przypadku 68 partii, o tyle jej wartość w grupie mężczyzn wynosiła 104. Różnice są jeszcze bardziej widoczne w setce najlepszych graczy każdej płci – u kobiet wyniosła ona 303 rozgrywki, u mężczyzn zaś aż 937! Sam autor badania wymienia kilka możliwych wyjaśnień, m.in. wyższą w przypadku mężczyzn tendencję do ulegania obsesji na punkcie jednej rzeczy, odsuwającej na dalszy plan inne sprawy i zainteresowania.

Wyższa skłonność mężczyzn do wieloletniego oddawania się szachom może mieć też związek z nieco innymi preferencjami poznawczymi. R. Su i współpracownicy przeprowadzili szereg badań pokazujących, że mężczyźni wykazują statystycznie silniejsze od kobiet zainteresowanie obiektami nieożywionymi i mechanizmami (w przeciwieństwie do

W gronie stu najlepszych szachistów na świecie znajduje się tylko jedna kobieta, Chinka Hou Yifan.

osób i relacji międzyludzkich), a także mają silniejszą skłonność do systematyzacji (w przeciwieństwie do empatyzacji). Zdaniem S. Barona-Cohana w populacji ludzi występuje siedem poziomów systematyzacji, a im bliżej bieguna wartości skrajnie wysokich, tym bardziej szala proporcji płciowych przechyla się na stronę mężczyzn. Wedle tej teorii skrajnym przejawem systematyzacji są objawy typowe dla zaburzeń ze spektrum autyzmu, takich jak zespół Aspergera. Z jednej strony wiąza się one z silnym, wręcz obsesyjnym zainteresowaniem wąską dziedziną i trudnością w nawiązywaniu relacji międzyludzkich, a z drugiej występują wyraźnie częściej u mężczyzn niż u kobiet. Nie da się zaś ukryć, że przesiadywanie godzinami przy szachownicy, dzień po dniu, rok za rokiem, a także wkuwanie na pamięć setek otwarć szachowych – bez czego nie da się już dzisiaj uprawiać profesjonalnie tego sportu – wymaga specyficznej umysłowości.

A może jednak wojna płci?

Kolejny z tropów wiedzy do kwestii związanych ze stereotypami płciowymi. Choć szachy przedstawiane są jako gra o bardzo egalitarnym charakterze, bez trudu można odnaleźć wypowiedzi wybitnych szachistów, które trudno określić inaczej niż jako po prostu seksistowskie. Znany z dosadnego języka Bobby Fischer w 1963 r. powiedział tak: „[Kobiety] fatalnie grają w szachy. Są chyba po prostu nie dość bystre. Myślę, że nie powinny zajmować się sprawami intelektu i zostać w domu”.

We współczesnej psychologii mówi się o zjawisku zagrożenia stereotypem, będącym w praktyce czymś w stylu „samośpełniającej się przepowiedni”. Człowiek, któremu przypomni się negatywny stereotyp związany z którąś z jego cech (płcią, rasą, wiekiem), wypada gorzej w odpowiednim teście umiejętności. Wynika to jednak nie z faktycznie niższych

kompetencji, ale stanu psychicznego wywołanego przez konfrontację ze stereotypem. W szachach jest to o tyle istotne, że istnieje w nich możliwość bezpośredniej rywalizacji kobiet i mężczyzn w turniejach mieszanych. Czyżby więc mężczyźni onieśmielali kobiety w czasie rozgrywek?

Badania pokazują coś przeciwnego. T. Stafford poddał analizie wyniki ponad 5,5 mln partii zawodników notowanych w rankingu FIDE, szczególną uwagę zwracając na rozgrywki „mieszane”. Okazało się, że kobiety w pojedynkach z mężczyznami uzyskiwały wyniki lepsze, niż można byłoby oczekiwać na podstawie pozycji w rankingu. Efekt ten nie był silny, ale statystycznie istotny. Co ciekawe, niewykluczone, że przeciwko mężczyznom obracały się właśnie stereotypy płciowe. Stafford sugeruje, że mężczyźni w pojedynkach z kobietami mogą bardziej obawiać się przegranej i konfrontacji z etykietą „pokonanego przez kobietę”, co prowadzi do swego rodzaju „zdławienia” (*choking*) ich pełnego potencjału.

Rezultaty wskazujące, że szachiści grają nieco inaczej, gdy pojedynkują się z szachistkami, uzyskali również C. Gerdes i P. Gränsmark. Badacze ci poprosili najpierw ośmiorgo wysoko notowanych szachistów o określenie, czy dane otwarcie partii szachów jest ich zdaniem raczej agresywne, czy raczej bezpieczne i „solidne”. Następnie w oparciu o zapisy milionów partii sprawdzili, jakiego rodzaju otwarcie używają gracze ze względu na płć przeciwnika. Choć efekt ten był dość słaby, badacze wykazali, że zarówno mężczyźni, jak i kobiety (choć mężczyźni w większym stopniu) częściej wybierali agresywne otwarcia, gdy siadali naprzeciwko kobiety. Co jednak najistotniejsze, partie wygrywane były częściej po otwarciu „nieagresywnym”. Także i te wyniki wskazują więc, że ze względu na stereotypy płć powinna szachistkom raczej pomagać, niż przeszkadzać.

Nieco inna plansza

A co z innymi grami rozgrywanymi się przy planszy? Na łamach „Psychological Science” ukazał się niedawno artykuł autorstwa J.H. Moxleya i współpracowników, dotyczący wyników uzyskiwanych przez mężczyzn i kobiety z USA podczas krajowych mistrzostw w scrabble. Co ważne, w odróżnieniu od szachów, w scrabble gra w USA więcej kobiet niż mężczyzn, jednak od wielu lat to wła-

śnie mężczyźni zostają mistrzami w tej grze. Rzut oka na stronę North America Scrabble Players Association (NASPA) pokazuje, że lista rankingowa najlepszych amerykańskich scrabblistów rzeczywiście zdominowana jest przez mężczyzn.

Co decyduje więc o wynikach uzyskiwanych w tej grze? Zespół Moxleya odnotował, że mężczyźni poświęcają więcej czasu niż kobiety na samodzielne ćwiczenie swoich zdolności, a jeśli uwzględnić osobiste zaangażowanie w tę aktywność, to siła związku pomiędzy płcią a wynikami w grze znacznie się obniża. Bazując na danych pochodzących od uczestników mistrzostw w 2008 r., badaczom udało się uzyskać model, w którym przy uwzględnieniu takich zmiennych, jak rozpoczęcie gry w młodszym wieku, rozpoczęcie gry turniejowej w młodszym wieku, starszy wiek i czas poświęcany na samodzielne ćwiczenie, związek pomiędzy płcią a liczbą punktów w rankingach nie jest już istotny.

Może więc w przypadku gry w scrabble wyjaśnienie tkwi w innym sposobie kierowania karierą przez scrabblistki?

Z badań tych wynikało również, że kobiety grały w scrabble częściej niż mężczyźni poza turniejami, a także, że gra pozaturniejowa dawała im większą radość niż mężczyznom. W przypadku mężczyzn występują zaś silniejsze niż u kobiet tendencje do obsesyjnego oddawania się pasji, a także wyższy poziom przyjemności czerpanej z samodzielnego ćwiczenia. Czyżby więc do osiągnięcia mistrzostwa potrzebne jest przekonanie, że szachy czy scrabble to sprawa życia i śmierci, godna największych poświęceń? Niech czytający te słowa sami oceniają, jak się do tego ustosunkować.

Jakieś praktyczne wnioski?

Uczciwy detektyw musiałby w tym momencie przyznać, że sprawa jest bardzo złożona i trudno wskazać w niej jednego winnego. To nie jest tak, że zabił lokaj i kropka. Odpowiedzialność rozkłada się prawdopodobnie pomiędzy kilkoma głównymi podejrzanymi. Pojawia się oczywiście pytanie, czy chcemy i czy da się coś z tą dysproporcją zrobić? O ile trudno dyskutować ze statystykami na

temat stopnia ugodowości albo obsesyjnego zainteresowania obiektami nieożywionymi, to kwestie dotyczące wytrwałości w treningu albo ścieżek rozwoju kariery poddają się modelowaniu. Przypuszczając już, że chcemy to zrobić: czy dałoby się sprawić, aby potencjał intelektualny tkwiący w szachistkach znalazł lepsze odzwierciedlenie w pierwszej setce?

Nawet i to pytanie prowadzi jednak tylko do kolejnych zagadek. Jak bowiem wskazywali w swoim raporcie z 2010 r. Gerdes i Gränsmark, odsetek kobiet wśród profesjonalnych szachistów na początku XXI wieku był najniższy w tych regionach świata, w których największą wagę przywiązuje się do równości płci. W Azji Wschodniej wynosił on 17 proc., w krajach byłego Związku Radzieckiego 15 proc., w Europie Wschodniej 10 proc.; w USA było to 6 proc., w Europie Zachodniej 5 proc., a w krajach skandynawskich, które podawane są wręcz jako wzór do naśladowania, gdy mowa o równych szansach obu płci – zaledwie 4 proc. I co teraz?

©© ŁUKASZ JACH, ŁUKASZ ŁAMŻA

REKLAMA



ZACZNIJ NOWY ROK Z KARNETEM VIP!

SPRAW PREZENT SOBIE I KOMUŚ BLISKIEMU
I KORZYSTAJCIE ZE WSZYSTKICH STREF AQUAPARKU
PRZEZ ~~3 MIESIĄCE~~ 4 MIESIĄCE ZA 450 ZŁ!

baseny / sauny / fitness / siłownia

aquapark.wroc.pl

**ŁAP
OKAZJĘ!**
oferta ważna
10.12-15.01

TYGODNIK POWSZECHNY

Szanowni i Drodzy Państwo, Czytelnicy i Przyjaciele „TP”,
Proszę przyjąć płynące spod „Tygodnikowej” choinki na Wiślniej 12
najserdeczniejsze życzenia obfitości wszelkiego dobra, radości,
powodzenia i wszystkiego co najlepsze w rozpoczynającym się
Nowym Roku 2020.

Do życzeń pragnę dołączyć wyrazy
wdzięczności za wsparcie naszej fundacji
w mijającym roku 2019: za rekordowy 1%
podatku, za hojne darowizny, za wolontariat
i za wszelką udzielaną nam pomoc. Dzięki
Państwa życzliwości, zaufaniu i systema-
tycznej pomocy nasza fundacja wypełnia
swoje statutowe powinności: czuwa nad
działalnością i rozwojem „TP”, współwyda-
je magazyn literacki „Książki w Tygodniku”
oraz inne dodatki i wydania specjalne, or-
ganizuje festiwale Conrad i Copernicus oraz
akcję „Lekcje Czytania”, prowadzi produkcje
multimedialne: „Wielkie Pytania na Nowo”
i „Podkast Powszechny”, a także realizu-
je film dokumentalny pt. „xABo” (portret
Redaktora Seniora „TP”), którego pokaz
uświetni przyszłoroczne 75-lecie pisma.

Gorąco zachęcamy Państwa do regularnej
lektury „Tygodnika”, czy to na papierze,
czy na komputerze, tablecie lub smartfonie,
na których wkrótce serwis internetowy

TygodnikPowszechny.pl ukaże się – dzięki
wspaniałomyślności naszych Darczyńców
– w nowej, przyjaznej odsłonie. Serdecznie
zapraszamy Państwa na przyszłorocz-
ne festiwale: majowego Copernicusa
i październikowego Conrada. Będziemy
też zaszczytzeni, jeśli zechcą nam Państwo
towarzyszyć w marcu podczas obchodów
75-lecia „Tygodnika” i w sierpniu – przy
wręczaniu Medali św. Jerzego A.D. 2020.

Z wyrazami szacunku



ALEKSANDER KARDYŚ
PREZES ZARZĄDU
FUNDACJI TYGODNIKA POWSZECHNEGO

Kraków, 31 grudnia 2019 r.

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

**DODATEK
SPECJALNY**
„TP” 1-2/2020

WROCŁAW

MIASTO OLGI TOKARCZUK





Olga Tokarczuk i książę Daniel na bankiecie noblowskim, 10 grudnia 2019 r.

Moda męska i fryzura damska

IREK GRIN

Bardzo dużo już napisano o tygodniu noblowskim. Większość z tych opowieści snują ludzie, których w Sztokholmie nie było, a ich wiedza jest pożyczona bez zgody właściciela.

Tezy, które w tych bełkotliwych gawędach się stawia, wyprzedzają rzeczywistość – w rzeczy samej ją kreują, same się zgrabnie udowadniają poprzez zestawienia wydarzeń ze sobą niepowiązanych i słów wypowiedzianych w różnych, odległych od siebie kontekstach i sytuacjach.

Próba prostowania wszystkich tych głupstw zajęłaby kawał życia, więc nie będę się do nich detalicznie odnosił. Zresztą, bez mała profetycznie, do tak zaprojektowanego i powszechnie akceptowanego świata informacji odnosi się na jednym ze swoich poziomów mowa noblistki, której wysłuchałem na Akademii Szwedzkiej wraz z wieloletnią grupą szczęściarzy. Towarzyszył temu ten rodzaj skupienia, który do tej pory znałem tylko z reakcji dzieci na głośną lekturę bajki. Nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że wszyscy na sali rozumieją po polsku, że podnoszą głowy znad wydrukowanych tłumaczeń, pozwalając autorce słyszanych słów porwać się do świata jej wyobraźni i języka. Byliśmy świadkami powstawania jednego z najważniejszych tekstów polskiej kultury i – jak dzisiaj wiemy – jednego z tych wykładów noblowskich, które wywarły największe wrażenie na czytelnikach i słuchaczach z całego świata.

Dlatego potem nie robił już na nas wrażenia król, książę i księżęta, dziesiątki kelnerów ani sztuczne ognie na deserach. Oprawa w ogóle była dużo skromniejsza, niż to pokazywano w mediach. Uczestniczyliśmy bowiem w wydarzeniu niezwykłym, ale nie z powodu tego, jak ono przebiegało, lecz dlatego, że po 23 latach polska literatura, polska wybitna pisarka i polska kultura znowu znalazły się w centrum zainteresowania całego świata. I bardziej jeszcze niż wtedy się znalazła, bo w czasach przed internetem wszystkiego było mniej. Byliśmy dumni i szczęśliwi.

Ale może Państwo oczekują naocznego świadectwa rzeczy doczesnych, a nie ogólnych, zaokrąglonych refleksji metafizycznie oczywistych? Jeśli tak, proszę: w Sztokholmie spotkałem wielu mężczyzn, którzy na co dzień nie przykładają nadmiernej wagi do ubioru, a którzy karnie przebierali się trzy razy dziennie i dużo na ten temat z zaskakującym znanstwem mieli do powiedzenia. Specjalnie o frakach się dużo i kompetentnie mówiło.

A czy noblistka faktycznie rozmawiała z królem w czasie bankietu o polowaniach i złu, które wyrządzają? Owszem. Nie zazdroścąc królowi-myśliwemu tej rozmowy. Czy z rozmowy pisarki z inną dredziarą – panią minister kultury Szwecji – wynikało coś przełomowego, coś symbolicznego, coś wyjątkowego? Tak. Przyjrzyjcie się uważnie nowej fryzurze autorki. ©

„Czuły narrator”

FRAGMENT MOWY NOBLOWSKIEJ **OLGI TOKARCZUK**

Nie chcę szkicować tu jakiejś całościowej wizji kryzysu opowieści o świecie. Często jednak doskwiera mi poczucie, że światu czegoś brakuje. Że doświadczając go przez szyby ekranów, przez aplikacje, staje się jakiś nierealny, daleki, dwuwymiarowy, dziwnie nieokreślony, mimo że dotarcie do każdej konkretnej informacji jest zdumiewająco łatwe.

Męczące „ktoś”, „coś”, „gdzieś”, „kiedyś” może dziś być bardziej niebezpieczne niż wygłaszane z absolutną pewnością bardzo konkretne i określone idee – Ziemia jest płaska, szczepionki zabijają, ocieplenie klimatyczne jest bzdurą, a demokracja w wielu krajach nie jest zagrożona. „Gdzieś” toną „jacyś” ludzie, próbujący przepłynąć przez morze. „Gdzieś” od „jakiegoś” czasu trwa „jakaś” wojna.

W natłoku informacji pojedyncze przekazy tracą kontury, rozwiewają się w naszej pamięci i stają się nierealne, znikają. Zalew obrazów przemocy, głupoty, okrucieństwa, mowy nienawiści, rozpaczliwie równoważone są przez wszelkie „dobre wiadomości”, ale nie są one w stanie ujarzmić dojmującego wrażenia, które trudno jest nawet zwerbalizować: coś jest ze światem nie tak. To poczucie, zarezerwowane kiedyś tylko dla neurotycznych poetów, dziś staje się epidemią nieokreśloności, sączącym się zewsząd niepokojem.

Literatura jest jedną z niewielu dziedzin, które próbują nas przytrzymać przy konkretności świata, ponieważ ze swej natury jest zawsze „psychologiczna”. Skupia się bowiem na wewnętrznych racjach i motywach postaci, ujawnia ich doświadczenie,

w żaden inny sposób niedostępne dla drugiego człowieka, lub zwyczajnie prowokuje czytelnika do psychologicznej interpretacji ich zachowań.

Tylko literatura jest w stanie pozwolić nam wejść głęboko w życie drugiego istoty, rozumieć jej rację, dzielić jej uczucia, przeżyć jej los. Opowieść zawsze zatacza kręgi wokół sensu. Nawet jeżeli nie wyraża tego wprost, nawet kiedy programowo odżegnuje się od poszukiwania znaczenia, skupiając się na formie, na eksperymencie, kiedy dokonuje formalnej rebelii, poszukując nowych środków wyrazu.

Czytając nawet najbardziej behawiorystycznie i oszczędnie napisaną opowieść, nie potrafimy powstrzymać się od pytań: „Dlaczego tak się dzieje?”, „Co to znaczy?”, „Jaki jest tego sens?”, „Do czego to prowadzi?”. Możliwe jest nawet, że nasz umysł wyewoluował ku opowieści jako procesowi nadawania sensu milionom bodźców, które nas otaczają, i nawet podczas snu wciąż bezustannie i niezmordowanie snuje swoje narracje.

Opowieść jest więc porządkowaniem w czasie nieskończonej ilości informacji, ustalając ich związki z przeszłością, teraźniejszością i przyszłością, odkrywaniem ich powtarzalności i układaniem ich w kategoriach przyczyny i skutku. Biorą w tej pracy udział i rozum, i emocje. Nic dziwnego, że jednym z najwcześniejszych odkryć dokonanych przez opowieści było fatum, które oprócz tego, że jawiło się zawsze ludziom jako przerażające i nieulodźkie, wprowadzało jednak w rzeczywistość porządek i niezmienność. ©



Świetny czas dla literatury

JACEK SUTRYK, PREZYDENT WROCŁAWIA:

**Cieszę się, gdy Olga Tokarczuk mówi
o powrocie do domu i ma wtedy na myśli Wrocław.**

Co Pan poczuł na wieść, że honorowa obywatelka Wrocławia otrzymała Nagrodę Nobla?

JACEK SUTRYK: To przede wszystkim powód do dumy – nie tylko dla wrocławianek i wrocławian, ale również dla wszystkich Polaków. Choć rzeczywiście to wielkie szczęście mojego Wrocławia, że ta wybitna pisarka właśnie to miasto uznała za symbol równości, wolności i otwartości. Oraz że zapragnęła spędzić tu dużą część swojego życia.

Nasza noblistka to nie tylko świetne pióro, ale też postać łącząca ludzi w duchu jedności.

Olę cenię nie tylko jako najwyższej światowej klasy pisarkę, ale też jako wyjątkowego człowieka i specjalistkę od „uwspólniania”, która nieustannie apeluje i tłumaczy, że słowa mają znaczenie, a występowanie przeciw drugiemu

człowiekowi prowadzi do rzeczy strasznych, czasem wręcz do zagłady. Liczba języków, na które twórczość naszej noblistki została już przełożona, dowodzi, że jej sposób myślenia o świecie przekracza nie tylko granice miast i regionów, ale też krajów i kontynentów. Że to twórczość o zasięgu globalnym i uniwersalnym. Ale jedno chcę podkreślić – otóż absolutnie nie zamierzam przypisywać Wrocławowi jakichkolwiek zasług w tym wielkim, osobistym sukcesie autorki. Po prostu cieszę się niezwykle, gdy mówi o powrocie do domu i ma wtedy na myśli Wrocław. I że właśnie u nas znajduje miejsce przyjazne powstawaniu rzeczy pięknych i mądrych.

W jaki sposób miasto zamierza docenić swoją wybitną obywatelkę?

Myśmy doceniali Olę już długo przed tym, zanim zrobił to Komitet Noblow-

ski. Ogromnie się też cieszę, że pierwszy tytuł honorowego obywatela naszego miasta, który przyznałem po objęciu stanowiska prezydenta, miałem honor wręczyć właśnie Oldze. Pięknie wtedy o nas mówiła, podkreślając, że nie ma już we Wrocławiu pustych miejsc po zniszczonych w czasie wojny domach i ulicach. Zwróciła też uwagę, że nasze miasto ufundowano na wielkim historycznym paradoksie, bo „obwołane twierdzą i skazane na zagładę przez swoich niemieckich obrońców, zostało z miłością odbudowane rękami przybyszów, imigrantów, nowych osiedleńców”. Olga nie ukrywa, że jest federalistką i regionalistką, wierzy w Europę zjednoczonych regionów, silną swoją różnorodnością – a ja ten światopogląd podzielam. Cieszę się również, gdy opowiada o wyjątkowości Wrocławia, gdzie, zresztą jak na całym Dolnym Śląsku, dokonała się

Transmisja wręczenia Nagrody Nobla
Oldze Tokarczuk na wrocławskim Rynku,
10 grudnia 2019 r.

niespotykana w skali Starego Kontynentu niemal całkowita wymiana ludności po II wojnie światowej. To faktycznie globalny ewenement. A wracając do pytania – nie mamy we Wrocławiu bardziej prestiżowego wyróżnienia od tytułu honorowego obywatela miasta. To jest szczyt przeznaczony dla największych, najmądrzejszych i najbardziej zasłużonych. Choć gdybym miał w rękę jeszcze cenniejsze narzędzia, w tym wypadku nie zawahałbym się ani chwili, by ich użyć.

Sam tytuł to jednak nie wszystko, bo przecież noblistka, przy wsparciu miasta, tworzy tutaj Fundację.

To prawda, czerwcowe wyróżnienie porównałbym do przeżycia duchowego, emocjonalnego i zwyczajnie ludzkiego. To było oddanie honorów. Natomiast Fundacja to przedsięwzięcie konkretne, nastawione na działanie – które, na co zwracam nieustannie uwagę, przyniesie profity całemu miastu. Gorąco w to wierzę. Na ten cel przeznaczaliśmy willę Marii i Tymoteusza Karpowiczów. Fundacja ma się zajmować działalnością kulturalną i artystyczną, ale też projektami ekologicznymi, promującymi równe traktowanie oraz wspierającymi rozwój społeczeństwa obywatelskiego. A to przecież codzienne priorytety Wrocławia, których znaczenia dowodziłem już w swojej kampanii wyborczej. W swojej ostatniej woli Tymoteusz Karpowicz pragnął, aby jego dom służył literaturze i mieszkańcom miasta – a my to życzenie właśnie spełniamy.

Olga Tokarczuk zdecydowała się przeznaczyć na działalność Fundacji 350 tysięcy złotych z Nagrody Nobla.

Tak, to piękny gest, pokazujący, że się z tym projektem utożsamia i uznaje go za niezwykle potrzebny. Miasto Wrocław każdego roku przeznaczy na projekty realizowane przez Fundację około 200 tysięcy złotych. Jestem pewien, że skorzysta na tym wielu uznanych artystów, ale również ci, którzy o swoją pozycję dopiero walczą. Dzięki przyznawanym stypendiom będą mogli poświęcić się bez reszty swojej pasji.

W radzie programowej zasiadli też reżyserka Agnieszka Holland oraz Ireneusz Grin, dyrektor Wrocławskiego Domu Literatury, instytucji, która stanie się partnerem Fundacji.

Jestem przekonany, że Krzyka 29 będzie jednym z najlepszych adresów literackich w Polsce. A w tym miejscu nie mogę nie wspomnieć, że to właśnie zespół Wrocławskiego Domu Literatury stoi za napisaniem zwycięskiej aplikacji do Sieci Miast Kreatywnych UNESCO. Mamy teraz we Wrocławiu świetny czas dla literatury. Audrey Azoulay, dyrektor generalny UNESCO, gdy uzasadniała kilka tygodni temu zwycięstwo Wrocławia, powiedziała, że takie miasta czynią kulturę filarem, a nie dodatkiem do swoich strategii. To ważne. Z polskich miast jeszcze tylko Kraków cieszy się tytułem Miasta Literatury UNESCO. Ale, podkreślę raz jeszcze, Fundacja nie będzie się zajmować wyłącznie literaturą. Zamierzamy również mierzyć się z bieżącymi wyzwaniami, przed którymi stoją Polska i świat. Ekologia, ochrona środowiska, humanitarne traktowanie zwierząt, promocja społeczeństwa obywatelskiego, wspieranie rozwoju organizacji pozarządowych, idea wolontariatu, prawa człowieka, wolność słowa, przeciwdziałanie dyskryminacji – z pewnością pracy nam nie zabraknie. Jednak wspólnie z Olgą Tokarczuk na pewno damy radę. ©



Prezydent Wrocławia Jacek Sutryk wręczający Oldze Tokarczuk honorowe obywatelstwo miasta

Miasto odbudowane z miłości

Jeżeli mamy jakieś wewnętrzne mapy przestrzeni uznawanej za swoją, to z pewnością moja mapa przedstawia Dolny Śląsk. Mieszkam we Wrocławiu od 13 lat, ale i przedtem zatrzymywałam się tu na dłużej lub krócej. Kiedy po maturze z małego miasteczka na Opolszczyźnie wybierałam się w świat, już wtedy naturalne ciążenie Wrocławia z jego awangardą artystyczną i potężnym ośrodkiem akademickim, mnóstwem przyjaciół, którzy wybrali tu studia, a także poczucie bliskości, umieszczało mnie w orbicie tego miasta. (...)

Jestem federalistką i regionalistką, wierzę w Europę zjednoczonych regionów i marzy mi się Rzeczpospolita zdecentralizowana, silna swoją różnorodnością. Wierzę też w ruchomy układ różnych warstw naszej tożsamości, które się nie eliminują, lecz wzajemnie dopełniają. Można być jednocześnie Europejką, Polką i Dolnoślązaczką, a także wrocławianką. (...)

Historia i specyfika tego miasta nieustannie mnie fascynuje i inspiruje. W losach moich wrocławskich i dolnośląskich współobywateli śledzę losy mojej własnej rodziny i podziwiam umiejętność budowania społeczeństwa od nowa, choćby na gruzach i pustych placach. Wrocław to dla mnie odwaga osadników, pionierski dar asymilacji do nowych warunków, otwartość na to, co inne, rozumienie historii jako nieustającego kontinuum, a także pewna wschodnia pogoda ducha i gościnność. Jest dla mnie przywilejem, że mogę tu mieszkać i pracować.

Stałam się honorową obywatelką jednego z najpiękniejszych, najważniejszych miast w Europie, miasta światowego i w świecie rozpoznawalnego. Traktuję ten tytuł z dumą jako wielki zaszczyt i jednocześnie pisarski obowiązek. ©

Fragmenty przemówienia Olgi Tokarczuk z uroczystości nadania jej honorowego obywatelstwa Wrocławia, 24 czerwca 2019 r.

SKOK W NOWY ROK

JUSTYNA BARGIELSKA, PISARKA:

Mój stały czytelnik zapytał,
czy chciałabym skoczyć
ze spadochronem. Na urodziny
dostałam od niego voucher.

Godność kobiety
nie pozwalała mi się
wycofać.



KATARZYNA KUBISIOWSKA: 40 minut jedzie się do Ciebie z Dworca Centralnego. Co robisz w czasie tak długiej podróży tramwajem?

JUSTYNA BARGIELSKA: Denerwuję się tym, co może się wydarzyć. Na przykład, że może wsiąść raper, zacząć rapować, wokół niego zrobi się pusto, więc koło mnie gęsto. A to jest tylko połowa problemu, druga połowa jest taka, że jeżeli wokół rapera zrobi się pusto, to ja uznam, że ktoś musi stać przy nim.

Staniesz?

Stanę. W siedemnastce, w tramwaju, którym jechałaś, zdarzyła mi się ostatnio taka sytuacja: zaawansowana w wieku pani miała wysiąść przed Wisłą, ale nie zauważyła rzeki i przejechała swój przystanek. Było zimno, ona w crocsach. Co robić? Wszyscy mają swoje zajęcia, a ja, jako poetka, nie mam żadnych, więc idę z tą panią tam, gdzie się wybierała, czyli do spółdzielni mieszkaniowej Młociny. I cały dzień z głowy, bo jak ona zapłaciła rachunki, to ja przecież nie zostawię tej kobiety w crocsach samej, tylko odwiozę do domu, który okazało się, jest przy kinie Femina. Cała wyprawa, a emocji stanowczo za dużo.

Ta pani powiedziała mi, że mieszka ze sparaliżowanym synem i że rzadko ktoś ich odwiedza.

Ja już nie lubię wchodzić w cudze życie.

Bo obciążające?

Bo wiem, na czym polega odpowiedzialność i że nie ma dobrego momentu, by ją ukrócić. Nie da się powiedzieć: ta odpowiedzialność nie jest już moją odpowiedzialnością. A jeżeli to powiesz, narażasz się na wyrzuty sumienia, które też nie są komfortowe. Dlatego dziś cudze życie zostawiam innym.

JUSTYNA BARGIELSKA (ur. 1977) jest poetką i prozaiczką. Laureatka m.in. Nagrody Literackiej Gdynia (dwukrotnie) i Konkursu Literackiego Polskiego Towarzystwa Wydawców Książek. Nominowana m.in. do Warszawskiej Nagrody Literackiej, Nagrody im. Wisławy Szymborskiej, Paszportu „Polityki”, Silesiusa, Gryfii oraz nagrody Nike (trzykrotnie). Ostatnio nakładem wydawnictwa Wolno ukazał się jej tom „Dziecko z darów”.

A miejsca? Tu, gdzie mieszkasz – północne obrzeża Warszawy – to Twoje miejsce na ziemi?

Nawet ostatnio myślałam, że chyba lubi mnie ten Tarchomin. Po czym to poznać? Po tym, że punkty na mapie są dla mnie ważne, że jestem z nimi emocjonalnie związana. W Tarchominie jest stara fabryka domów, chodzę tam dość często, ponieważ czytałam na grupie facebookowej, że to jest świetne miejsce na urbex, czyli eksplorację ruin w mieście. Jest kościół pod wezwaniem Najświętszej Marii Panny Matki Bożej Pięknej Miłości. Jest szkoła moich dzieci, w której spędzałam dużo czasu. Np. dzisiaj tam byłam, niosłam kartki świąteczne mojemu synowi cierpiącemu na sklerozę nastolatków. Kupiłam ich pięć i mówię Jurkowi, żeby wziął jedną, a resztę rozdał dzieciom, które też o nich zapomniały.

Lubiłam też Żabkę, ale przestałam, bo zmienił się właściciel, a wraz z nim personel. W poprzednim personelu była pani Urszula, z którą zaprzyjaźniłam się i która wystąpiła w kręconym o mnie filmie dokumentalnym – siedziała przy tym stole w kuchni, przy którym my teraz, i czytała fragment mojej książki „Obie”.

No i nasz las, za osiedlem, do którego wróciły dziki. Są też w nim śmieci, ale pracujemy, by ich nie było. Chodzę tam z psem. I spotykam ludzi z psami – to jest towarzystwo, które ma czas, by się żyć. Z jednym panem widzę się codziennie rano, na szczęcie nasze psy się lubią i dogadują, więc my siłą rzeczy też musieliśmy się zacząć dogadywać.

I o czym rozmawiacie?

Wczoraj, ponieważ była niedziela, rozmawialiśmy z panem Andrzejem godzinę o tym, jak on będzie wieszał żyrandol. Pan Andrzej został sam z żoną w dużym domu i żona urządziła ostatnio maraton zamawiania żyrandoli: zamówiła jeden, on zamontował, żonie się nie spodobał, odkręciła, odesłała, zamówiła drugi i kolejny, i właśnie wczoraj było montowanie szóstego żyrandola. A dzisiaj wpadłam do lasu z psem, spotkałam pana Andrzeja z psem, ja tylko rzuciłam: „żyrandol?”, on powiedział: „zostaje”. Jest komitywa, jest rodzaj bliskości.

A miejsce w domu, gdzie pracujesz?

W przedpokoju stoi moje biurko. Zobacz: tu leżą wspólne – moje i córki

– kosmetyki, tu jest pasta do butów syna, tu książki, tu pudełko po ciastkach...

Dzieci mają pokoje, mąż ma pokój, a mój własny pokój to jest biurko, przy którym staram się nie tkwić za bardzo, bo to jednak ciąg komunikacyjny – chodzi się do łazienki i do kuchni.

To gdzie piszesz?

Teraz w Legionowie. To pierwsze większe miasto na północ od Warszawy, 10 km stąd, pociągami sześć, siedem minut. Moja koleżanka ma tam puste mieszkanie. Pomalowałyśmy je razem po śmierci jej męża i ona poczuła, że może mi tę przestrzeń udostępnić. Więc siedzę sobie w tym pustym mieszkaniu, laptop trzymam w kuchni na stole, bo innego nie ma.

I nad czym tak pracujesz?

Nad różnymi, często bieżącymi rzeczami. Ostatnią większą sprawą była sztuka „Szałwia, rozmaryn, tymianek, zdechła mysz”. Została opublikowana w grudniowym numerze „Dialogu”, pisaną na podstawie mojego doświadczenia bycia wolontariuszką w Ośrodku Opieki Społecznej dla Osób Starszych i Niepełnych.

Zgłosiłam się tam dwa lata temu. Pod opiekę przydzielono mi panią, która mało się ruszała ze względu na pęknięty kręgosłup. Przynosiłam jej ciastka, raz przyniosłam „Tygodnik Powszechny”, ale dla niej była za mała czcionka, kilka razy tygodnik „Idziemy”. Przyniosłam okulary stare, po znajomych, lecz wszystkie nie dobre.

Ta pani na moich oczach pograżała się w coraz większej demencji, tak naprawdę nie wiem, jakim była człowiekiem. Poznałam ją w sytuacji rodzinnej, kiedy nie miała absolutnie nikogo, wszyscy zmarli dawno temu, także ukraińska żona jej bratanka. I prędko dowiedziałam się, że nigdy nie było ukraińskiej żony bratanka, ona była wymysłem jej wyobraźni. Ale pewne rzeczy wyglądały na prawdziwe, zgodne z jej życiorysem. Opowiadała o tym, że nie mogła mieć dzieci ze względu na chorobę wątroby.

Wiesz, gdy jesteś w takim ośrodku, nie zastanawiasz się nad tym, czy to, co ci mówią, jest prawdą. Po prostu jesteś tam, siedzisz, robisz to, robisz tamto, zagadasz do salowej, ale wiadomo, że jak przyjdzieś za tydzień, to nikt cię może nie pamiętać.

→ Ta pani Cię pamiętała?

Czasem pamiętała, czasem nie. Czasem jej sąsiadka z pokoju mówiła: „O, przyszedł nasz aniołek”. Ale jak ma na imię? To już jest skomplikowana sytuacja.

Nie przeszkadzało mi to. Sądję, że tak samo skończę – w naszych czasach standardem jest rodzaj demencji, mało kogo to omija.

Dlaczego tam poszłaś?

Byłam przekonana, że nic się nie dzieje w moim życiu, co mogłoby dla niego stanowić sprawiedliwienie.

Słucham!?

Miałam poczucie, że jest mi za dobrze, że jestem znowu zdrowa... Dzieci są zdrowe, rosną jak na drożdżach, mąż też zdrowy i ma pracę. A ja siedzę w domu, niewielu ludzi czeka na moje pisanie, mało jestem przydatna.

Więc chodziłam do tego ośrodka przez jakiś czas. I w pewnym momencie przestałam – poczułam, że nie jestem tam potrzebna, bo te panie właściwie mnie nie pamiętały, widziałam, że przestają im pomagać w jakikolwiek sposób. Zbiegło się to też z kolejnym moim epizodem depresji koszmarniej: niewychodzeniem z domu, braniem leków i wymiotowaniem po nich.

Depresja to choroba naszego pokolenia.

Nie chcę brać leków na stałe. W Londynie zrobiono badania, które pokazują, że w Tamizie jest dokładnie tyle samo kokainy w rybach, które złowisz, co różnych antydepresantów. To nie pozostaje bez wpływu na sytuację zwierząt: rozród, genetykę, w ogóle ich dobrostan. Gdy pomyślę, że do końca życia miałabym przyjmować niesamowite ilości chemii tylko po to, by chronić się przed złym nastrojem, lecz jednocześnie dokładać się tym do zanieczyszczenia środowiska, to leki po prostu przestałyby na mnie działać.

Uh, Justyna...

Za pierwszym razem, kiedy bałam się wyjść z domu, bo wszystko, co na zewnątrz, mnie przerażało, mąż zabrał mnie do lekarza. A pan doktor powiedział, że jest to umiarkowane zaburzenie depresyjne ze stanami lękowymi i że wylecymy to szybciej. Rzeczywiście bardzo mi wtedy pomogły przepisane leki, tyle że kilka lat później zaczęłam choro-

Mam potrzebę świadomego kształtowania wszystkiego,

sama nie wiem,
czy to nie jest przeszkoda.

wać dosłownie na wszystko. Pani neurolog powiedziała: „Nie chcę pani straszyć, ale to może być stwardnienie rozsiane” i zleciła masę badań, w tym rezonans magnetyczny, którego wynik był w porządku. Pani doktor wtedy powiedziała: „A czy pani myślała, że to może być maska depresji?”. I dała mi jakiś antydepresant, który oczywiście zadziałał w dwa tygodnie, wszystko przestało mnie boleć i przestałam mdleć na ulicach. Od tej pory wiem, że nie ma co: jak się dzieje coś złego, to trzeba iść i poprosić o pomoc.

A, jeszcze mam teraz cudowną panią doktor, chodzę do niej, by podtrzymać efekty leczenia. Ona należy do tych osób, które mają dar widzenia w ludziach spraw najważniejszych. Widzę, że do wizyty jest przygotowana, pamięta z mojego życia szczegóły, które sprawiają, że mam do niej zaufanie. Bo można zapamiętać, ile dzieci ma pacjentka albo w jakim wieku jest jej mąż, lecz ona zapamiętuje zupełnie coś innego: błahie historie z dzieciństwa, które jej opowiedziałam. Wiem, że dla niej jestem kimś ważnym.

Twój skok ze spadochronem był po to, by psychicznie się hartować?

To był prezent od mojego czytelnika, którego znam od dawna i który po każdej książce pisze do mnie. Dzieli się refleksjami, także krytycznymi, więc mu ufam. Kiedyś mnie zapytał, czy chciałabym skoczyć ze spadochronem. Odpowiedziałam: „Może bym i skoczyła, dlaczego nie?”. I na urodziny dostałam voucher na cały pakiet, czyli na szkolenie, skok, nagranie tego na filmie i zrobienie miliona zdjęć. Jeśli on kupił voucher, to już nie miałam wyjścia – godność kobiety nie pozwalała mi się wycofać. I umówiłam się na skok.

Strach?

Tylko do momentu startu, potem minął całkowicie.

I?

Ten skok przypomniał mi pracę mózgu w stanie *flow* – tak jest, kiedy jesteś we właściwym miejscu, robisz to, co masz robić, jesteś przygotowana szkoleniowo i psychicznie – po prostu wyskakujesz i ratujesz swoje życie, przeżywasz maksymalnie to, co się dzieje.

Gdy byłam młodsza i pisałam wiersze, wtedy częściej zdarzała mi się taka sytuacja *flow* – że jestem dokładnie w tym miejscu, w którym powinnam być, robię dokładnie to, co powinnam, do czego jestem stworzona na miarę moich możliwości.

A dziś?

Gdy pisanie stało się moim zawodem, ten stan zdarza się coraz rzadziej... Po skoku próbowałam odtworzyć ten *flow* właśnie w pracy, ale nie przychodzi tak łatwo.

Teraz jaki masz czas w życiu?

Cezurę w nim stanowi to, co wydarzyło się w ostatnie wakacje: dzieci mnie przerosły. I to dość konkretnie: o pół głowy. Ja mam 174 cm wzrostu, a moje dzieci mają 13 i 11 lat. I jednocześnie w wakacje wyszedł mój tom „Dziecko z darów”, który widzę jako elegię dla mojego macierzyństwa, widzę, że zakończył się w nim pewien etap, który trwał długo i był satysfakcjonujący. Wraz z ich wzrostem jestem im coraz mniej potrzebna. Tak, wiem, że jeszcze będę im potrzebna przez co najmniej 10 lat, jeżeli nie więcej, ale to już jest inny rodzaj bycia potrzebną, zupełnie inaczej angażujący. Teraz muszę tylko pilnować, by nie wejść im w drogę, by im nie przeszkadzać.

Jaka matka nie wchodzi w drogę dorastającym dzieciom?

Córka dostawała absolutnej wścieklizny, kiedy wchodziłam z nią w polemiczny ton. Wydawało mi się, że na tym też polega rola rodzica: jak dziecko ci coś mówi, to ty próbujesz mu pokazać inny punkt widzenia. A córka powiedziała, że nie mogę kwestionować wszystkiego, co ona twierdzi. Że ją boli, gdy mówię: „Czy myślałaś o tym w inny sposób, może w ogóle nie masz racji?”.

Od dłuższego czasu pilnuję się, by córce tego nie mówić. Dużo mnie to kosztuje, jest we mnie silny nawyk, by każdą sytuację, zwłaszcza budzącą żywe emocje, dokładnie zbadać z rozmaitych perspektyw. Ale to akurat mojej córce nie pomoże.



Aeroklub Strzelce Małe, 27 października 2019 r.

A co pomoże?

Gdy ją przytulę, poklepię, powiem: „Rosa, dasz radę”. Ona tak woli. A syn po prostu nie chce ze mną rozmawiać. Jeszcze chwilę temu przychodził i prosił, by mu zrobić masaż pleców. Teraz wydaje się, że masaż pleców zrobiony przez matkę to jest najgorsze, co go może spotkać. I muszę to uszanować. Będą coś chcieli, to przyjdą.

Jest taki wiersz w tej książce o tym, jak postępować z dziećmi...

Chodzi o „moje dzieci, kiedy mówią sorry”? Dwa ostatnie wersy brzmią: „biorę ich winę na siebie, wyciągam ją, wycieram, / całuję, całuję i wrzucam z powrotem”.

Jedyna rzecz, którą mogę teraz zrobić, to: radźcie sobie, a ja będę tutaj siedziała na tym brzegu, włosy będą mi siwiały, zęby wypadają, ale przynajmniej tu będę. I jednocześnie sądzę, że etap świeżo osieroczonej matki też się skończy. Tylko pytanie, czym się skończy. Bo dzieci już nie będą się tak często pojawiać w tym, co piszę.

Co je zastąpi?

Pewnie starość. Z Jurkiem Jarniewiczem przetłumaczyliśmy niedawno „Dodał dobrze”, tomik Ursuli Le Guin, który ukończyła tuż przed śmiercią, w 2018 r.

Dało mi to ogromną inspirację do myślenia o starości, do tego, by spróbować już teraz ją oswajać.

Bo starości bałam się od zawsze. Że nie będę rozpoznawać się w tej starej osobie, będę na nią patrzyła i nie będę mogła zrozumieć, jaki jest mój związek z jej ciałem i obniżeniem intelektu. Tego boję się najbardziej. Bo, że nikt się mną nie zaopiekuje, że może umrę w pustym mieszkaniu, to nie bardzo mnie przeraża – akurat wierzę w społeczeństwo, w rodzinę, w większe grupy. Tyle że po co mi szklanka wody podawana przez dzieci, jeżeli ja na starość nie będę w stanie wytrzymać sama z sobą?

Co robisz z tym strachem?

Gdy pisałam wspomnianą sztukę, prowadziłam rozmowy ze starszymi ode mnie o mniej więcej 20 lat kobietami. I one mi dały takie poczucie pewności, że te następne dwie dekady to jeszcze jest nic, bo one cały czas się czują tymi samymi kobietami, którymi były w wieku lat dwudziestu, tylko zyskują na różnych rzeczach – są spokojniejsze i bardziej zdystansowane. Jeżeli sześćdziesięciolatki się tak czują, to dlaczego nie miałyby się tak czuć osiemdziesięciolatki?

Kobiety pokazały mi kierunek, w jakim można starość odczarowywać. I nie

powiedziały, że wszystko będzie dobrze. Powiedziały: „Rób, co możesz, dbaj o zęby, dbaj o resztę ciała, dbaj o mózg, dbaj o wszystko, a może będzie dobrze”. Paradoksalnie taki komunikat budzi we mnie większe zaufanie, niż jakby mi ktoś tłumaczył, że dusza jest ważna, że siła kobiety, że możesz być gruba i szczerbata, a i tak będzie wspaniale.

To zgubne przekonanie.

Dla mnie ważną starszą kobietą będzie każda, która jak matka wykaże troskę w stosunku do mnie. Bardzo ważna była wspomniana pani Ula z Żabki, która o mnie wiedziała wszystko i troszczyła się o wszystko. Pani Ula jest wyższa od nas obu, była kiedyś siatkarką, teraz jest archiwistką... Miałam taki czas, w którym, by zasłużyć na zainteresowanie pani Uli, ciągle kupowałam za duże buty i za duże kurtki, które potem za ułomek jej odsprzedawałam, co było absurdem, bo ona i tak by mnie lubiła. Wtedy najbardziej się do pani Uli zbliżyłam, a potem ona niestety zniknęła.

Nastąpiła jeszcze jakaś zmiana w Twoim życiu?

Miałam dużo większe prokreacyjne plany, niż mi się udało zrealizować. Po prostu chciałam mieć dużo dzieci. I to ➔

→ był okropny moment, kiedy sobie uświadomiłam, że więcej dzieci mieć nie będę.

Poczułam wtedy, że to początek śmierci, że jestem po drugiej stronie. I to w moim przypadku nie chodzi o biologię, tylko kwestię ustawień społecznych i sytuacji, na które nie mam wpływu. Ta świadomość wiele zmieniła w moim życiu.

Co zmieniła?

Kiedys wierzyłam w to, że nie warto mówić „nigdy”. A teraz pojęłam, że są sytuacje, w których możesz powiedzieć „nigdy”. Pewne rzeczy w życiu się już nie wydarzą.

Przyszłość się wydarza. Jak ją widzisz?

Przede wszystkim widzę jej bardzo dużo przed sobą. Ale najpierw powiem o przeszłości. Gdy patrzę w przeszłość, to widzę tam miasto o gęstej zabudowie i jednocześnie widzę dżunglę. W przeszłości jest wszystko, i to jest bardzo piękne – czasami straszne, czasami mroczne.

Gdy patrzę w przyszłość, to widzę pole śniegu ciągnące się po horyzont. Nie ma powodu, dla którego nie miałabym na tym polu śniegu postawić miasta czy obsadzić go oleandrami. Mogę to zrobić, tylko musiałabym się pozbyć ogromnej ilości przesądów związanych z tym, że to już jest właśnie ta druga połowa życia, że teraz będzie tylko trudniej, ciężiej, że ciało nie będzie funkcjonowało, jak należy, że do tej pory wjeżdżałam na górę, a teraz z niej zjeżdżam. Muszę popracować z tym myśleniem, by nie widzieć tego jako pole śniegu, tylko może bardziej jako ugór, na którym się sady – puste pole, które dostałam i mogę z nim zrobić, co chcę.

Mam potrzebę świadomego kształtowania wszystkiego, sama nie wiem, czy to nie jest przeszkoda. Chciałabym to zrobić dobrze od początku do końca w sposób przemyślany. I nie chciałabym dojść do punktu, w którym moja wygoda będzie absolutnym priorytetem, że jeżeli jej nie będzie, to będzie dla mnie równoznaczne z chorobą, patologią, ze śmiercią. To rezygnowanie z jakiejś części wygody utrzymuje nas w młodości, w gotowości na życie.

© Rozmawiała

KATARZYNA KUBISIOWSKA

Floryan, słowiański przyjaciel

MAGDA HEYDEL

Oto jak świetna pisarka Katherine Mansfield doszła do przekonania o wielkości dzieła Stanisława Wyspiańskiego i egzaltacji dla Sprawy. Egzaltacji – dodajmy – absolutnie obcej jej wspaniałej prozie.

30 SIERPNIA 1940 r., W TRAKCIE swojej słynnej rowerowej wędrówki po petainowskiej Francji, Andrzej Bobkowski i jego towarzysz Tadzio układają sobie liczącą 570 kilometrów trasę wybrzeżem Morza Śródziemnego z Carcassonne do Nicei. „W Bandol – zaznacza Bobkowski – zajadę do willi »Pauline« odwiedzić cię Katarzyny Mansfield”. Docierają tam 10 września. „Zostawiam Tadzia z rowerem obok portu – czytamy notatkę pisarza-cyklisty – a sam idę z wizytą do Madame Allegre. Jestem w stroju trochę niewizytowym, bo w szortach i w koszulce, ale to trudno (...) Serce bije mi tak, jakbym czekał, że otworzy mi sama Katarzyna Mansfield”.

Biała plama

Kim jest owa Katarzyna, do której cienia z takimi emocjami pielgrzymował Bobkowski? Podziwiana przez niego pisarka, choć zaliczana do grona najważniejszych autorów anglojęzycznego modernizmu i uznawana za twórczynię nowoczesnej formy opowiadania, nie cieszy się obecnie zbyt wielką popularnością w Polsce. Bobkowski tymczasem znał jej twórczość dzięki licznym przekładom, które wydawano u nas w latach 30. XX w. Nie było wówczas jeszcze tłumaczeń Virginii Woolf ani Jamesa Joyce’a, ale jej dzieło i życie wzbudzały już w Polsce szerokie dyskusje krytyczne.

Bobkowski był entuzjastycznym admiratorem twórczości Mansfield. „Dużo dałbym teraz za jej »Listy«” – wzdycha planując wizytę w Bandol, a kiedy już siedzi przy stoliku, przy którym Mansfield siedziała w 1915 r., zastanawia się: „Czy potrafiłbym ten widok stąd opi-

sać tak prosto i naturalnie jak ona? Dobra prawdziwa proza jest jak suknia od Paquin lub Molyneaux: niby nic, a jest w tym wszystko. Coś zupełnie nieuchwytnego. To są odbezpieczone granaty, które autor daje czytelnikowi, którymi go wypycha, aby wybuchły w nim. Czym dłużej eksplodują, tym pisarz większy. Wszelkie wspaniałe eksplozje wokół czytającego mogą być wspaniałe, mogą na chwilę ogłuszyć, ale w końcu nie zostaje z nich wiele”.

Katherine Mansfield – pod tym nazwiskiem zapisała się w historii literatury XX wieku – urodziła się w Nowej Zelandii w 1888 r. jako Kathleen Beauchamp. Planowała karierę wiolonczelistki. W 1903 r. wyjechała do szkoły do Londynu, dokąd powróciła w 1907 r. po krótkim pobycie w domu, by resztę życia spędzić w Europie, między Anglią a uzdrowiskami, zwłaszcza na południu Francji, gdzie usiłowała ratować nadszarpnięte przez gruźlicę zdrowie. Zmarła we Francji w 1923 r., pozostawwszy po sobie pięć tomów mistrzowskich opowiadań oraz bogatą korespondencję i dzienniki. Jej spuścizna pozostała w rękach męża, Johna Middletona Murry’ego, który spełnił wobec niej rolę edytora, cenzora i menadżera. Listy, które czytał Bobkowski, zostały zredagowane przez Murry’ego.

Uznawane obecnie za jedno z najważniejszych osiągnięć nowoczesnej prozy, a także dokument odważnego życia kobiety z początku XX wieku, gotowej przekraczać konwenanse, by samodzielnie decydować o swoim losie, dzieła Mansfield doczekały się nie tylko licznych wydań i grona zagorzałych wielbicieli, ale także całej biblioteki opraco-



Portret Katherine Mansfield namalowany przez Anne Estelle Rice

wań krytycznych, w tym dwóch biografii. W dobrze przebadanym życiorysie Mansfield istnieje jednak okres, o którym wiadomo bardzo niewiele, ponieważ pisarka postarała się o zniszczenie pochodzących z tego czasu dokumentów. Co ciekawe, wydarzenia tego okresu – mowa o roku 1909 – mają związek z Krakowem. Nie wykluczone, że właśnie one przyczyniły się do niezwyklej popularności pisarki w przedwojennej Polsce.

Przystojny, elokwentny, aspirujący

Wiosną 1909 r. dwudziestoletnia Mansfield znalazła się w Bawarii, w uzdrowisku Bad Wörishofen, dokąd zawiozła ją matka, która w tym celu przyjechała z Nowej Zelandii. Pani Beauchamp, zaniepokojona i zgorzciona opowieściami o złym prowadzeniu się córki w Londy-

nie, postanowiła zafundować jej pobyt w ośrodku wodolecznictwa metodą księżdz Kneippa, a przy okazji ją wydziedziczyć.

Niedługo po odejście matki Katherine straciła dziecko, owoc nieudanego związku w Londynie. Pozostała jednak nadal w Bad Wörishofen w pensjonacie Müller. Pobyt, który trwał do grudnia, umiliło jej poznanie grupki młodych literatów z Europy Środkowej, wśród których znalazł się przystojny i elokwentny, aspirujący tłumacz i pisarz, Floryan Sobieniowski. Romans, który ich rychło połączył, miał wymiar osobisty, ale także literacki. Ze względu na brak źródeł nie jest łatwo odtworzyć jego szczegóły. Wiadomo, że planowali wspólny wyjazd do Paryża, a potem ślub, ale związek urywa się pod koniec roku. Wiadomo, że w styczniu 1910 r. Katherine przestała

odpowiadać na listy Floryana, który pisał z Paryża o planach wynajęcia mieszkania, a na jej milczenie reagował w tonie coraz bardziej dramatycznym, wyznając jej miłość.

Biografka Mansfield, Claire Tomalin, próbując wyjaśnić przyczyny nagłego zerwania, sugeruje, że miały one charakter medyczny. Od końca 1909 r. Katherine chorowała: Sobieniowski przypuszczałnie zaraził ją gonokokami, których leczenie przed pojawieniem się sulfamidów nie było łatwe, a dla kobiet dodatkowo silnie obciążone psychicznie, ponieważ przyznanie się do objawów łączyło się z oskarżeniem o rozwiązłość. Infekcje, jakich w wyniku zakażenia stale doświadczała Katherine, przypuszczałnie ułatwiły rozwój gruźlicy, która była przyczyną jej przedwczesnej śmierci. Tyle na razie o wątkach osobistych.

Pora na wymiar literacki romansu Mansfield z Sobieniowskim, który musiał być niezwykle intensywną osobowością. Po pierwsze zainteresował ją twórczością Czechowa, co miało zasadniczy wpływ na rozwój jej własnej sztuki pisarskiej. Przedstawił się jej także jako bliski przyjaciel Stanisława Wyspiańskiego – co przypuszczałnie nie było prawdą, choć najpewniej poznał Wyspiańskiego w trakcie studiów polonistycznych na Uniwersytecie Jagiellońskim – i przekazał swojej młodej przyjaciółce fascynację dziełem autora „Wesela”. Opowieści o Wyspiańskim, którego pogrzeb miał miejsce tylko dwa lata wcześniej, o jego wielkich teatralnych wizjach oraz dziełach plastycznych, zwłaszcza witrażach, skąpane w postromantycznych interpretacjach i powiązane z wątkiem nadziei na odzyskanie przez Polskę niepodległości, musiały w spokojnym i pewnie nudnawym otoczeniu bawarskiego uzdrowiska robić na Mansfield wielkie wrażenie.

Sobieniowski streszczał jej dramaty Wyspiańskiego i namawiał do tłumaczenia ich na angielski z wersji niemieckich. W jednym z nielicznych listów, jakie przetrwały z tego okresu, Katherine dziękuje swojej młodszej siostrze za prezent: słownik języka polskiego. I choć nie należy sądzić, by zdołała nauczyć się języka (na pewno nie doszło do tłumaczenia dramatów), to w jej twórczości pozostał ślad tych zainteresowań: napisane wówczas wiersze „To Stanisław Wyspiański” oraz „To God the Father”, prawdopodobnie

→ zainspirowany witrażem Wyspiańskiego z krakowskiego kościoła Franciszkanów.

Badaczka twórczości Mansfield, Gerri Kimber, na podstawie badań archiwalnych wysnuwa wniosek, że późną jesienią 1909 r. oboje mogli przyjechać do Krakowa, by Katherine zobaczyła artystyczne realizacje Wyspiańskiego. Czy tak było, czy nie, do końca nie wiadomo, nie ma bowiem dokumentów, które potwierdziłyby te przypuszczenia. Pozostały wiersze – prócz dwu wspomnianych, kilka liryków miłosnych kierowanych do Sobieniowskiego, w tym portret zadumanego kochanka – „Floryan Nachdeklich”.

Lud Maorysków i zmarła Polska

Najbardziej uderzającym dowodem na obudzoną przez Sobieniowskiego fascynację Wyspiańskim jest wiersz „To Stanisław Wyspiański”, w którym poetka zwraca się do niego jako przedstawicielka małej odległej wyspy, która także, podobnie jak Polska, poddana jest uciskowi i niewoli. Wiersz został opublikowany dopiero po śmierci autorki w 1938 r., ale jego przekład na polski – dokonany oczywiście przez samego Sobieniowskiego – ukazał się drukiem już w 1910 r., w dodatku literackim „Gazety Poniedziałkowej”. Tłumacz opatrzył go komentarzem, w którym prezentuje postać Mansfield oraz roztacza perspektywę roli, jaką owa żarliwa poetka – która jest na razie tylko „głosem jednostki” – może odegrać dla polskiej sprawy w świecie.

Trzeba to powiedzieć wprost: zarówno przekład, jak i komentarz jest kuriozalny pod względem wierności tekstowi i faktom oraz kolonialnych stereotypów, jakimi posługuje się tłumacz. Mansfield zostaje przedstawiona jako „młoda pisarka angielska, Irlandka z pochodzenia, o nazwisku francuskim”, która „za ojczyznę swoją uważa Nową Zelandię”, gdzie miała okazję obcować „z bujną i pierwotną przyrodą” oraz „dzikiem, tubylczym plemieniem Maorysków”. Sobieniowski przypisuje jej nieistniejące utwory, a kończy mocną interpretacją wiersza: „uderzyć winna kryjąca się w treści myśl, że jest, że istnieje jedna, wspólna całej ludzkości mowa, zrozumiała pod każdą szerokością i długością geograficzną – mowa Czynu”.

„Czyn” ów rzeczywiście pojawia się w kulminacyjnym miejscu wiersza. Choć prosty lud Nowej Zelandii, który



Katherine Mansfield, 1914 r.

zgrubiałymi rękami pracuje na roli, nie pojmie mistycznego przesłania artysty, to jednak:

*(...) twoje czyny – czyny twoje,
Mistrzu! w nich my do Ciebie należym*

–
*Mistrzu! myśmy tam jako dzieci –
i bojaźń święta nas ogarnia przed
walką Olbrzymia,
Jakże żywy wstąpiłeś do grobu i bój
stoczyłeś zwycięski ze śmiercią;
Daleś świadectwo prawdziwe, że
w żyłach Zmarłej – czerwonej krwi
żywe strumienie –
Własnymi ramionymi wzwyż
podźwignąłeś Zmarłą –
I ukazałeś ją oczom całego Ludu!*

Utrzymany konsekwentnie w cudownie wzmożonej młodopolskiej dykcji wiersz Mansfield w przekładzie Sobieniowskiego jest zapisem wzniosłej egzaltacji, a obraz zstępującego w grób Wyspiańskiego herosa, którego czyn (o czym w dalszej części wiersza) większy jest od czynu Nazarejczyka, w 1910 r. musiał wzruszać, choć po 110 latach kojarzy się raczej z wizjami rodem z historii o żywych trupach. Tym bardziej że tam, gdzie u Sobieniowskiego mamy „czyn” (ang. *deed*), u Mansfield mamy „zmarłych” (ang. *dead*); tam, gdzie u niego jest „Zmarła” (*dead*), u niej jest „Śmierć” (*Death*). Poetka mówi: żywi pracują na roli, zmarli należą

do świata Wyspiańskiego, który zмага się ze Śmiercią; tłumacz przepisuje: choć pracujemy na roli, to w czynach twych, o Wyspiański, należymy do ciebie, który podźwignąłeś Zmarłą (należy się chyba domyślać: Polskę).

Czy różnica między oryginałem a przekładem wynika z niedoczytania przez tłumacza pisma poetki (litera „a” i „e” są podobne, „th” na końcu wyrazu łatwo pomylić z „d”), czy może z błędów przy jego przepisywaniu – nie dojdziemy bez studiów nad rękopisami. Nie to jest jednak najistotniejsze. Bez względu na techniczną stronę tego błędu, Sobieniowski niewątpliwie zawłaszczył wiersz Mansfield oraz wprzął go we własne wyobrażenie o wielkości Wyspiańskiego i jego fundamentalnej roli w dziejach narodu polskiego. Ale przecież nie należy go za to potępiać: wszak sam był inicjatorem powstania utworu, to od niego właśnie – czy to w Bad Wörishofen, czy w Krakowie – Katherine Mansfield dowiedziała się o Wyspiańskim, od niego przejęła przekonanie o wielkości i mocy jego dzieła z egzaltacją dla Sprawy. Egzaltacją – trzeba dodać – absolutnie obcą jej wspinał się prozie.

W Londynie

Floryan powrócił do Polski w 1911 r. i zasłynął jako tłumacz poezji Walta Whitmana. To z kolei inspiracja pochodząca od Katherine, która była wówczas pod wpływem tego twórcy, czego dowodem jest m.in. rozlewna fraza wiersza o Wyspiańskim. Już w 1912 r. Sobieniowski znalazł się w Londynie i odnowił kontakt z Mansfield, co było dość kłopotliwe dla niej i jej partnera (później męża) Murry’ego, który notował: „Nagle zjawił się w Anglii słowiański przyjaciel Mansfield i bez grosza przy duszy przyszedł do nas, z dwoma wielkimi kuframi pełnymi książek i rękopisów (...) Ugościliśmy go, choć obciążał zarówno naszą kieszeń, jak i ducha. W ponure jesienne wieczory dom rozbrzmiewał jego tęsknymi słowiańskimi pieśniami, a nas znowu ogarniało poczucie nietrwałości wszystkiego, co ludzkie i piękne”.

Skuteczność słowiańskiego przyjaciela musiała jednak być dość duża, bo już w 1912 r. pełnił funkcję „polskiego korespondenta” w redagowanym przez Murry’ego piśmie „Rhythm” (co prawda niewiele z tego wynikało, np. planowany numer poświęcony Wyspiańskiemu ni-

gdy się nie ukazał), a od roku 1913 rozpoczął karierę tłumacza dramatów. Wszedł w kontakt z George'em Bernardem Shawem i niebawem zyskał wyłączne prawa do tłumaczeń jego sztuk na polski – choć od początku towarzyszyła temu dyskusja nad jakością i wiernością. Tym niemniej „Pigmalion” Shawa został wystawiony w Warszawie już w 1913 r. Sobieniowski mieszkał w Londynie do 1931 r., lata wojny spędził w kraju, a w 1945 r. objął na krótko obowiązki attaché kulturalnego przy ambasadzie w Londynie. Niebawem wrócił do Polski, zamieszkał w Podkowie Leśnej i nadal zajmował się tłumaczeniami dla teatru.

W 1959 r., na kilka lat przed śmiercią, powrócił do wspomnień o Katherine Mansfield. Być może zainspirowany opublikowanym wówczas ponownym przekładem wiersza „Do Stanisława Wyspiańskiego” pióra Beaty Obertyńskiej oraz szkicem o pisarce autorstwa Wiktora Wintrauba, po 50 latach ponownie wydrukował swoje tłumaczenie z 1910 r., uzupełniwszy je nowym komentarzem, w którym wyraźniej podkreślił własną inspirującą rolę. Poza tym opublikował także przekład opowiadania Mansfield „Pan Baron”, pochodzącego z jej bawarskiego tomu „In a German Pension”. Ten oszczędny, satyryczny utwór, prezentujący pewną charakterystyczną postać, wzbudzającą wśród kuracjuszy respekt i zdumienie, nie ma nic wspólnego z mistycznymi nastrojami wiersza o Wyspiańskim. Narratorkę opowiadania łączy z Baronem krótka i niewiele znacząca wspólna chwila. Następnego dnia Baron znika. „*Sic transit gloria Germani mundi*” – komentuje narratorka. Bardzo kuszące jest zobaczyć w tajemniczym Baronie pewnego Polaka.

Czy Katherine Mansfield odwiedziła Kraków w 1909 r.? Czy miała okazję 110 lat temu na własne oczy podziwiać witraże Wyspiańskiego i przechadzać się jego śladami pod rękę z Floryanem Sobieniowskim? Przypuszczalnie nigdy się tego nie dowiemy na pewno. W 1920 r. Mansfield zapłaciła swojemu słowiańskiemu przyjacielowi 40 funtów (odpowiednik ok. 3 tys. obecnych funtów) za listy, które wysyłała do niego w okresie ich związku. Następnie je spaliła.

© MAGDA HEYDEL



ARCHIWUM RODZINNE

Uważność

Odszedł Stanisław Kasprzysiak

ADAM ZAGAJEWSKI

BYWALCY KRAKOWSKICH KSIĘGARŃ znali tę sylwetkę: starszy pan noszący zieloną, quasi-wojskową kurtkę, krótko ostrzyżony, z chlebakiem zarzuconym na ramię (nigdy nie zamienił go na wszechobecny teraz plecak). Przez długie lata, a nawet dziesięciolecia, wydawało się, że Stanisław Kasprzysiak, rocznik 1931, nie podlega działaniu czasu.

Studiował architekturę na Politechnice Krakowskiej (na jednym roku z Januszem Majewskim, reżyserem filmowym, z którym połączyła go trwająca całe życie przyjaźń). Nie wykonywał jednak zawodu architekta – przez wiele lat pracował we Włoszech jako rysownik towarzyszący ekipie archeologicznej. Jego prace – znakomite – można oglądać w paru muzeach włoskich.

Debiutował powieścią „Raz na kilka lat”, o której bardzo pochlebnie wyraził się wielki krytyk, Jerzy Stempowski – w roku 1964. Pisał też i publikował wiersze. Zdedydował jednak, że jego li-

terackim powołaniem będzie praca tłumacza – z języka włoskiego, który poznał doskonale podczas wielomiesięcznych pobytów w Italii.

Tłumaczył wielu znamienitych autorów, nie sposób wymienić wszystkich – Leopardi, Pirandello, D'Annunzio, Lampedusa, a wśród współczesnych Nicola Chiaromonte, Guido Ceronetti, Cesare Pavese, Roberto Calasso – ale także Andrea Camilleri, autor popularnych powieści kryminalnych.

Był człowiekiem (czytelnikiem, rozmówcą, przyjacielem) niezwykle skupionym i uważnym. To go wyróżniało, zwłaszcza że żyjemy w epoce powszechnego rozproszenia uwagi.

Mówimy o kimś, że jest (był) tłumaczem, i czujemy, że w naszym języku samo to określenie ma w sobie coś pomniejszającego, służebnego. Stanisław Kasprzysiak był jednak kimś wybitnym, chociaż jego skromność sprawiała, że mogli o tym wiedzieć tylko jego bliscy, tylko rodzina i przyjaciele.

Był humanistą, wydarzenia i książki osądzał nie kierując się nigdy modą, nastrojem, kaprysem chwili, tylko wizją całości ludzkich spraw. Miał w sobie prawosć, której nigdy nie wystawiał na pokaz.

Przyjaźniliśmy się od wielu lat, wiadomość o jego śmierci 9 grudnia zasmuciła mnie głęboko. Już nigdy nie spotkamy się w krakowskiej kawiarni nad kieliszkiem pinot grigio.

©



Pierwszy „Batman” autorstwa Boba Kane’a i Billa Fingera, 1939 r.

Dwie Twarze, Brzuchomówca, Strach na Wróble... Bez nich nie byłoby Batmana.

Znaki pokuty

Zamaskowani bohaterowie w przyciasnych kostiumach – Spider-Man, Wolverine, Superman – stali się odpowiednikami bohaterów z poematów rycerskich. Jednak o ile dawni bohaterowie, jak król Artur czy Robin Hood, wydają się grubo ciosani, o tyle ci komiksowi stali się postaciami skomplikowanymi wewnętrznie, balansującymi na krawędzi dobra i zła, z dramatem wpisanym w życie. Kolorowe historyjki obrazkowe ewoluowały od kilkustronicowych lekkich przypowieści o wyższości dobra nad złem do odwołujących się do świata literatury i filmu psychologicznych powieści graficznych. Batman miał do nich wyjątkowe szczęście.

„Zabójczy żart” Alana Moore’a i Briana Bollanda z 1988 r. pokazał, jak płynna jest granica między samozwańczym mścicielem a psychopatycznym mordercą. Przełożenie tej powieści graficznej na film animowany dla dorosłych w 2016 r. jedynie uwiarygodniało stwierdzenie, że „Zabójczy żart” jest tym dla kultury masowej, czym książka Hannah Arendt „Eichmann w Jerozolimie” dla współczesnej humanistyki. Obydwa tytuły rozważają – w sposób sobie właściwy – jakie jest uzasadnienie dla popełnianego zła. Zbrodniarze wojenni powiedzą: „Wykonywaliśmy rozkazy”, Joker odpowie: „Miałem złý dzień”.

Dlaczego zostaje się superbohaterem? Bo pamięta się rzeczy, których się nie zrobiło, ponieważ zrobić się nie dało (młody Bruce Wayne jest bezradnym świadkiem napadu na swoją rodzinę i śmierci rodziców – tak rodzi się Batman), albo rzeczy, których nie chciało się zrobić (młody Peter Parker nie powstrzymał rabusia, który później zabił jego wujka – to historia Spider-Mana). Pamięta się i pragnie się odpokutować. Ale się nie da. Choć inni mówią, że dług

Lot w noc

MARCIN CIELECKI

Jubilat Batman na tle innych trykociarzy zawsze się wyróżniał. Bez super mocy z nadatkiem pozaziemskiego pochodzenia. I tragiczny.

BRUCE WAYNE UDaje, że znów dał się zaskoczyć. Siedział zamyślony w swojej rezydencji lub prowadził kolejne biznesowe spotkanie w Wayne En-

terprises – czyli udawał, że potrafi żyć normalnym życiem – gdy dostrzegł połyskujący na niebie bat-sygnal. Znak, że komisarz Jim Gordon już czeka na niego na dachu budynku policji w Gotham City. Joker właśnie uciekł z Arkham Asylum, zatem zaraz spadnie deszcz, czas ruszać... Przerabiamy te sceny w kolejnych wersjach od 80 lat.

Batman – zamaskowany bohater, wzorowany na Zorro, pojawił się po raz pierwszy na łamach komiksów Boba Kane’a i Billa Fingera w roku 1939. Ot, przeciętne historyjki obrazkowe, w których tam, gdzie policja nie może, tam Nietoperz dotrze. Pojawiają się coraz to nowi przeciwnicy. W 1940 r. debiutuje Joker, w tym samym Kobieta-Kot, rok później Pingwin, a w kolejce czekać już będą

został już skreślony, bohater wie, że tak nie jest. Jego strój, imię, metody działania to znaki pokuty właśnie.

Bohater działa, bo życie uczyniło go kimś innym. Działa, bo próbuje zrozumieć samego siebie (nie świat, gdyż ten zdradził). Stawanie się bohaterem to szukanie ducha opiekuńczego, przewodnika. Im bardziej archaicznego, pierwotnego, zwierzęcego – tym lepiej. Nietoperza albo pajaka. Jest naznaczony wewnętrznym konfliktem, jak Wolverine (Rosomak) – mutant z wysuwanymi szponami o dzi kim, wręcz zwierzęcym charakterze. Opowieść o bohaterze w trykocie jest wielką opowieścią o braku równowagi. Jeśli odnosi się sukces w życiu prywatnym, przegrywa się w życiu zamaskowanym. Na pytanie „Kim właściwie jestem?” odpowiedź, której sobie udziela bohater – na przemian zdejmując cywilne ubranie i zakładając maskę – nigdy nie jest wystarczająca.

Nietoperz jest jakiś inny

Batman na tle innych trykociarzy zawsze się wyróżniał. Bez super mocy i to z nadatkiem pozaziemskiego pochodzenia. Posiadał zmysł detektywistyczny, nie tylko twarde pięści. Z czasem postać zamaskowanego mściciela została wzbogacona o mocny rys psychologiczny. Kolejne odsłony ukazywały postać rozdartą wewnątrz, zderzaną przez pragnienie zemsty na oprawcach, a jednocześnie kontrolującą swój gniew. Prowadził mordczy trening sztuk walki, badania naukowe, i był postacią tragiczną.

Przeciwnicy mówią o nim więcej niż on sam o motywach swoich działań. Joker, główny adwersarz, rzuca wprost wyzwanie: jesteś tak samo obłąkany jak ja. Trudno się z tym nie zgodzić. Inny przeciwnik, Dwie Twarze (pseudonim zarówno od zniszczonej części twarzy, jak od rozdwojenia jaźni), zdaje się być krzywym odbiciem Bruce’a Wayne’a: „Czyż nie jesteśmy do siebie podobni?”. Walka w świecie Batmana rozgrywa się raczej na płaszczyźnie duchowej i psychologicznej niż na poziomie nagiej przemocy.

Motywy napędzającym Batmana do maskarady w imię sprawiedliwości jest z jednej strony pragnienie zemsty, a z drugiej beznadzieja wobec przemocy: daremne „to się nie może powtórzyć!”. Narzucone sobie wysokie wymagania działania – bez broni palnej i bez ofiar śmier-

telnych – sprawiają, że w miejskiej dżungli Batman staje się błędnym rycerzem, jedynym przestrzegającym reguł.

Motyw zemsty wynikającej z przysięgi złożonej na grobie rodziców, ciężaru, którego dziecko nie jest w stanie udźwignąć, nieustannie znajduje w nas żywy odzew. Dlatego szczególnie interesująco wydają te próby, które chcą pogłębić traumatyczne doświadczenie Bruce’a Wayne’a lub zaproponować własną, alternatywną wizję powstania Batmana.

W powieści graficznej „Batman. Ziemia Jeden” Geoff Johns i Gary Frank przekonują, że winę za śmierć swoich rodziców pośrednio ponosi sam Bruce. Gdyby nie jego buńczuczne zachowanie i opryskliwe odzywki, bandyta zapewne nie zwróciłby na nich uwagi. Jeszcze dalej idzie „Rycerz zemsty” Briana Azzarella i Eduarda Rissa z 2011 r. wchodzący w skład komiksowego crossoveru „Flashpoint”. W tej alternatywnej wersji Batmanem zostaje Thomas Wayne, który mści śmierć swojego syna, Bruce’a. Staruszek Batman nie waha się używać broni palnej ani zabijać przeciwników. Jokerem w tej przewrotnej wersji zostaje Martha Wayne, matka Bruce’a, niepotrafiąca pogodzić się ze stratą pierworodnego i osuwająca się w szaleństwo. Podobnym tropem podąża Sean Murphy, który w wydawanym na przełomie 2017 i 2018 r. „Białym Rycerzu” przedstawił losy Nietoperza zdążającego w stronę choroby psychicznej. W konsekwencji staje się psychopatycznym przestępcą. Wtedy z kolei Joker zaczyna zdrowieć i brać odpowiedzialność za Gotham...

Te wątki rozpisane na powieści graficzne wnikają głęboko w sytuację osoby pogrążonej w traumie.

Aż 80 lat zemsty? Czy po tak długoletniej traumie postać nie zasłużyła wreszcie na szczęście? Ciekawe rozwiązanie przedstawił ostatnio Tom King w swojej wersji przegód Batmana. Doprowadza do sytuacji, gdy Batman zdziera maskę i oświadcza się Kobiecie-Kocie. Czy odbiorcy Mrocznego Rycerza są jednak gotowi na ukojenie jego duszy? I czy Batman bez swojego cierpienia może być jeszcze skuteczny i wiarygodny na ulicach Gotham?

Niewidzialna ręka

80 lat zgłębiania traumy, cedzenia przez zęby słów przysięgi, której żadne dziecko nie powinno nigdy wypowiedzieć. Bat-

man, bohater naszych neurotycznych czasów. Ale Joker, jego przeciwieństwo, zdaje się być równie silnym symbolem inspirującym kolejnych szaleńców. W styczniu 2009 r. w Belgii Kim de Gelder, z twarzą pomalowaną na wzór komiksowego Jokera, wkracza do złobka i zabija nożem dwoje dzieci i rani 13 kolejnych. 20 lipca 2012 r. James Holmes (Aurora, USA) zabił na premierze filmu „Mroczny Rycerz powstaje” 12 osób i 58 zranił. Wyjaśnienia zatrzymanych i osadzonych w więzieniu są bełkotliwe. Na pytanie o przyczynę zbrodniczych czynów otrzymujemy milczenie lub śmiech, stylizowany na obłąd.

Żaden inny bohater powieści graficznych nie ma przeciwników, którzy inspirują przestępców w świecie realnym. Nie słyszymy o czynach samozwańczego Kingpina, Lexa Luthora, Darksida czy Dr. Octopusa. To Joker pociąga umysły skrzywdzonych i poranionych ludzi. W neurotycznej i płynnej nowoczesności uciekają przed bólem i odpowiedzialnością w obłąkany śmiech.

Ale czy ktoś chce stać się jak Batman? W 2011 r. powstał film dokumentalny „Superheros”. Jego reżyser, Michael Barnett, przedstawił kilkoro Amerykanów, którzy po zmroku wdziewiają przebrania – stare hełmy, skórzane pasy, fantastyczne maski, hokejowe ochraniacze – i wyruszają w noc. Patrolują parki, udzielają pobitym pierwszej niezbędnej pomocy, informują napotkanych bezdomnych, gdzie mogą otrzymać pomoc. Są zaangażowani w to, co robią. Nie wchodzą w konflikt z policją, nie używają broni palnej, nie łamią prawa. Przebierańcy z pozytywną szajbą, są tam, gdzie policja nie zawsze dociera – gdyż jest zajęta chwytaniem prawdziwego Jokera.

Bob Kane i Billy Finger stworzyli postać, w której zamknęło się doświadczenie niezawinionego bólu, palącego poczucia odwetu i ciągłej walki wewnętrznej, aby nie osunąć się w mrok, który w nas czyha.

Joker właśnie uciekł z Arkham Asylum, Batman wyjeżdża ze swej jaskini. Pada deszcz, więc zaraz rozpocznie się obłąkany taniec na dachach Gotham.

© MARCIN CIELECKI

Autor (ur. 1979) jest nauczycielem historii w I LO w Olsztynie. Autor zbioru esejów „Miasto wewnętrzne” oraz książek poetyckich „Ostatnie Królestwo” i „Czas przycinania winnic”.



GIUSTI / MATERIAŁY PRASOWE

Liv Lisa Fries w serialu „Babylon Berlin” (2017)

Dekada opowieści

JAKUB MAJMUREK

Mieliśmy przywilej życia w czasach obfitości świetnej telewizyjnej treści. Czasami tak wielkiej, że można było mówić o kłęsce urodzaju.

PIERWSZE DWIE DEKADY XXI WIEKU z pewnością należą do seriali. Ich wpływ na sposoby opowiadania (i przez to też rozumienia) świata jest rewolucyjny – przyznała w swoim wykładzie noblowskim Olga Tokarczuk. Za sprawą „Rodziny Soprano” (1999–2007, HBO), „Prawa ulicy” (2002–08, HBO) czy „Mad Men” (2007–15, dostępny na Netflixie) seriale zyskały niespotykany wcześniej artystyczny prestiż. Stały się centralnymi dla swoich czasów tekstami kultury, odbiciem problemów zachodnich społeczeństw początku wieku czy nawet nową, dominującą formą, sposobem, w jaki opowiadamy sobie świat.

Jednocześnie między pierwszą a drugą dekadą tego złotego wieku seriali zachodzą znaczące różnice. Seriale i w ogóle telewizyjną produkcję ostatnich 10 lat kształtowały cztery zjawiska nieobecne

lub ledwie widoczne w poprzedniej dekadzie: bardzo wysoka podaż jakościowej produkcji; ekspansja platform streamingowych; kształtowanie się globalnego rynku telewizyjnego; wreszcie podążająca za tymi wszystkimi zjawiskami fragmentaryzacja widowni.

Te zmiany widać doskonale na przykładzie jednego z najważniejszych seriali tej dekady „Gry o tron” (2011–19, HBO). Serial korzeniami tkwi w produkcjach HBO z początku wieku. Bierze na warsztat konwencję *fantasy* w podobny sposób, w jaki „Rodzina Soprano” brała film gangsterski, a „Deadwood” (2004–06) western. Świat „Gry o tron” znajduje się w głębokim politycznym i społecznym kryzysie, życiu na kontynencie Westeros grozi zagałda, wszelkie pewniki, drogowskazy i zasady, jakimi kierowały się poprzednie pokolenia, wymagają co najmniej głębo-

kiej weryfikacji. Wrzuceni w ten świat bohaterowie tracą poczucie sensu, kierunku, granic – w zasadzie każdy z nich naznaczony jest głęboką moralną ambiwalencją, podobnie jak gangsterzy z załogi Tony’ego.

A jednocześnie „Gra o tron” stała się pierwszym serialem oglądanym na całym globie – w pierwszej dekadzie XXI w. trudno to było sobie wyobrazić. Skala internetowego piractwa wymusiła na HBO ruchy zapewniające fanom na całym świecie dostęp do filmu w tym samym czasie, co w Stanach – najpierw za sprawą porozumień z lokalnymi nadawcami, następnie za pośrednictwem platformy streamingowej stacji.

„Gra” okazała się też chyba ostatnim serialem, który oglądali i o którym rozmawiali niemal wszyscy. Na jej tle krajo-braz telewizyjny ulegał coraz dalszej fragmentaryzacji, dzieląc się na wyspecjalizowane nisze.

W 2015 r. prezes płatnej telewizji kablowej FX, John Landgraf, stwierdził, że żyjemy w epoce szczytu telewizyjnej produkcji (*peak TV*), gdzie wysokich jakościowo treści jest tak wiele, że o widownię coraz trudniej nawet najlepszym produkcjom. W tej sytuacji wyprodukowanie czegoś, co jak „Gra o tron” będzie powszechnym

punktem odniesienia dla widzów i krytyków, staje się niemal niemożliwe.

Co zmienia streaming

Jak podaje „Hollywood Reporter”, w 2018 r. w Stanach wyemitowano 495 seriali i miniseriali. I to nie licząc produkcji adresowanych do dzieci. W tym roku najpewniej będzie ich jeszcze więcej – w pierwszej połowie roku wyemitowano już 322. Nawet jeśli wiele z nich to kolejne sezony trwających od dawna produkcji, liczba jest imponująca – prawie dziesięć premier w tygodniu. Choćby dobra była tylko co piąta z nich, to i tak trudno nadążyć za każdą wartościową treścią.

Co napędza ten szal? Ważnym czynnikiem są zmiany, jakie telewizji przyniósł internet, a zwłaszcza powstanie platform streamingowych, jak Netflix. Firma z Kalifornii w poprzedniej dekadzie zarabiała głównie na wypożyczaniu przez internet płyt DVD z filmami. W porę zauważyła jednak, że płyty to pieśń przeszłości, a dominującą formą dostępu do filmów i seriali stanie się *streaming*. W 2011 r. miała niecałe 50 mln abonentów. Dziś, dostępna niemal na całym świecie, potroiła ich liczbę.

W 2012 r., wraz z premierą „House of Cards”, Netflix wkracza do gry nie tylko jako dystrybutor audiowizualnych treści, lecz także jako ich producent. Teraz szykuje nie tylko seriale, ale i filmy. *Streaming* staje się dziedziną, gdzie do konkurencji stają największe gracje. Tu od dawna działa Amazon ze swoją dostępną też w Polsce platformą Amazon Prime Video. Swoją platformę, Disney+, uruchomił w listopadzie tego roku Disney. Każda z nich, by przyciągnąć widzów, musi inwestować we własne treści.

Streaming nie tylko napędza podaż, ale także zmienia sposób, w jaki odbieramy telewizyjne treści. Przede wszystkim uwalnia widza od dyktatury ramówki. Netflix, wprowadzając standard udostępniania od razu całych sezonów seriali, pomógł stworzyć fenomen zwany *binge-watching* – oglądania serialu po kilka odcinków naraz, czasem nawet całości cyklu za jednym podejściem.

Klasyczna telewizja była medium rodzinnym, oglądanym zbiorowo, często w tle innych czynności. *Streaming* tworzy inny rodzaj odbioru: bardziej skupiony i zindywidualizowany.

Dwukierunkowa globalizacja

Streaming sprzyja też globalizacji serialowego rynku. Treści wrzucane na Netfliksa czy Amazona często są jednocześnie dostępne niemal na całym świecie. Ta globalizacja nie jest jednak jednokierunkowa. Nie tylko tworzy globalny rynek dla amerykańskich produkcji, ale daje też szansę na zaistnienie w globalnej przestrzeni treściom z innych obszarów kulturowych. W Polsce pierwszą taką próbą był serial „1983” (2018), thriller przedstawiający historię alternatywną, w której w Polsce roku 2003 ciągle trwa komunizm – zreformowany na wzór chiński. Miał w Polsce raczej średnią prasę. Podobnie jak wiele innych takich regionalnych produkcji Netfliksa. Najciekawszą z nich wydaje się brazylijska dystopia „3%” (2016) – obraz świata przyszłości podzielonego między żyjącą w bajecznej zamożności wyspę a kontynent stanowiący jedną wielką fawelę.

Widać też wyraźnie, że poszczególne narodowe telewizje szukały w tej dekadzie swojej formuły jakościowej produkcji. Najwybitniejszym artystycznie efektem tych poszukiwań jest niemiecki „Babylon Berlin” (2017, w Polsce dostępny na HBO Go). Osadzony w ostatnich latach Republiki Weimarskiej serial to nie tylko bardzo stylowe kino *noir*, ale także nośna polityczna alegoria. „Babylon Berlin” nie może zabraknąć w żadnej dziesiątce najważniejszych seriali dekady – w poprzedniej zapewniłyby ją wyłącznie amerykańskie produkcje.

Telewizja reżyserów

Także polskie „Ślepnąc od świateł” (HBO) należy uznać za udaną artystycznie próbę jakościowej produkcji w lokalnym wariancie. Serial narodził się ze spotkania dwóch talentów: pisarza Jakuba Żulczyka i reżysera Krzysztofa Skoniecznego. Skonieczny nadał serialowi bardzo wyrazistą autorską wizję – co znów wpisuje się w pewną charakterystyczną dla tej dekady tendencję.

Telewizja z okresu 2000-09 była przede wszystkim telewizją scenarzystów i koordynujących ich pracę showrunnerów. Seriale takie jak „Prawo ulicy” często były sprzedawane widzowi jako „audiowizualna powieść w odcinkach” – oferować miały przede wszystkim interesującą narrację, nie reżyserką wizję. Reżyser był w nich człowiekiem do wynajęcia, wykonującym techniczną pracę na planie.

W tej dekadzie pojawia się jednak nowy fenomen: „seriali reżyserskich”, przyciągających widza nie tylko opowiadaniem, ale też inscenizacją, obrazem, filmową wizją. Takich, gdzie reżyser jest autorem co najmniej na równi ze scenarzystami.

Fenomen „serialu reżyserskiego” wiąże się z wejściem do telewizji twórców z wyrobioną pozycją w kinie artystycznym, jak Steven Soderbergh, który dla HBO nakręcił bardzo ciekawy kryminał „Mozzaika” (2018) – udostępniony jednocześnie jako serial i interaktywna aplikacja na smartfona. Swoją przystań w telewizji znaleźli twórcy *mumblecore* – jednego z najbardziej ożywczych nurtów amerykańskiego kina niezależnego początku wieku. Jego twórcy – jak Joe Swanberg – kręcili tanie filmy. Angażując znajomych, często samemu stając przed i za kamerą, opowiadali o swoich problemach z życiem, pracą, relacjami. Swanberg trochę wyglądając tę estetykę bardzo udanie przeniósł ją do telewizji. Nakręcony, napisany i zmontowany przez niego dla Netfliksa projekt „Easy” (2016-19) daje pełen empatii, naznaczony melancholijnym, czasem lekko absurdalnym humorem, portret grupy zbliżających się do czterdziestki mieszkańców Chicago i okolic.

Najbardziej spektakularnym wejściem reżysera do telewizji było nowe „Miasteczko Twin Peaks” (2017, w Polsce HBO Go) Davida Lyncha. W przeciwieństwie do „Miasteczko Twin Peaks” z lat 90, Lynch stanął tu za kamerą w każdym odcinku. Miał pełną, autorską kontrolę nad produkcją. Redakcja miesięcznika „Cahiers du Cinéma” uznała, że „Twin Peaks” to nie tyle serial, co trwający prawie 18 godzin film: i to najlepszy z całej światowej produkcji w latach 2010-19.

Faktycznie Lynch przynosi z kina do telewizji estetykę, jaka nie była tam wcześniej obecna: autorskiego, modernistycznego kina artystycznego z jego dramatyzacją, wizyjnością, pretekstową fabułą. Najbardziej niezwykle jest pod tym względem ósmy odcinek serialu. Po krótkiej ekspozycji wszystkie wątki z poprzednich odcinków zostają zawieszane, a zamiast normalnej narracji otrzymujemy blisko godzinna, oniryczna wizja z „Trenem ofiarom Hiroszimy” Penderickiego w tle.

(Anty)utopia na małym ekranie

W poprzedniej dekadzie trudno byłoby sobie wyobrazić wizję Lyncha. Idiomem →

→ telewizji jakościowej był wtedy realistyczny, epicki dramat o antybohaterze w typie Tony'ego Soprano. Co w obecnej dekadzie było dominującą narracją telewizyjną? Dystopia. Tak jak pierwszą dekadę XXI w. zdefiniowała „Rodzina Soprano”, tak drugą „Czarne lustro” (2011) – brytyjska produkcja, która ustawiła telewizyjną wyobraźnię nowej epoki.

Telewizja ostatnich lat pełna jest obrazów bliskiej nam przyszłości, która niewiele różniąc się od znanej nam rzeczywistości, niepostrzeżenie zmienia się w koszmar: rosną nierówności społeczne oraz władza aparatów kontroli i nadzoru; z demokracji wyparuje wszelka istotna treść, a ludność utrzymuje w posłuszeństwie ogłupiająca rozrywka, miraż sukcesu lub farmaceutyki.

Telewizyjne narracje szukają dróg wyjścia z tej dystopijnej rzeczywistości. W „Rok za rokiem” (2019, w Polsce HBO Go) władza populistycznej polityczki zmieniającej brytyjską demokrację w miękką, sprzężoną z biznesem totalitaryzm, kończy się w wyniku udanego ludowego buntu. W drugim sezonie „Westworld” (HBO) zamęczane ku rozrywce gości androidy przeprowadzają skuteczną rewoltę. Wszystkie te figury przełamania dystopii wypadają jednak słabo, znacznie mniej przekonująco niż obrazy osuwania się świata w katastrofę. Być może najważniejszym wyzwaniem telewizji – i w ogóle kultury – przyszłej dekady będzie otwarcie nowej, utopijnej wyobraźni.

Problem utopii/dystopii pojawia się też w odniesieniu do rozwoju medium.

Jedni, patrząc na mnogość treści i udostępniających ich platform, widzą utopię telewizji zdolnej docierać do widzów z coraz bardziej osobistym, autorskim, niszowym (w dobrym tego słowa znaczeniu) przekazem. Inni widzą tu dystopijną kulturę, gdzie treści jest tak dużo, że żadna nie może stać się społecznie istotna, a publiczność podzielona jest na szczelnie zamknięte bańki, do których treści dostarcza algorytm pilnujący, by nic nie zakłóciło nam odbiorczego komfortu. Jak będzie, przekonamy się za co najmniej dekadę.

© JAKUB MAJMUREK



GUY FERRANDIS / MAT. PRASOWE

Kadr z filmu „Oficer i szpieg”

Pożegnanie z epoką

ANITA PIOTROWSKA

Słowo „oskarżam” przylgnęło do Romana Polańskiego. Jego najnowszy film nie jest, na szczęście, mową adwokacką we własnej sprawie.

BYŁOBY Z GRUNTU NIESMACZNE, GDYBY reżyser wykorzystał przypadek Alfreda Dreyfusa, zagranego przez Louisa Garrela – ikonę francuskiego kina i syna słynnego reżysera – w swoich prywatnych interesach. „Oficer i szpieg” to dzieło bardzo powściągliwe także w sposobie opowiadania. Wystrzega się też nut typowo męczeńskich. Zamiast tego odtwarza wydarzenia, głównie zakulisowe, które doprowadziły do skazania, a następnie zrehabilitowania francuskiego oficera.

Efekt wydawać się może za mało polityczny, zważywszy wrzenie, jakie wywołała ta sprawa w życiu ówczesnej Francji, oraz podziały, jakie się wtedy zaostrzyły. Polańskiemu bardziej zależy na stronie proceduralnej owych zdarzeń. Dzień po dniu, kawałek po kawałku, niczym cierpliwy oficer śledczy sklejający w całość podarty list, scenarzysta i pisarz Robert Har-

ris („Autor widmo”) wydobywa na światło dzienne okoliczności procesu. Pierwsze skrzypce oddaje postaci podpułkownika Georges’a Picquarta (Jean Dujardin), który przeprowadza własne śledztwo mające dowieść niewinności Dreyfusa. Jak w każdym dramacie sądowym, są tu momenty porywające i te zatopione w prawniczej rutynie. Twórcy starają się jednak, żebyśmy na dobre nie ugrzęźli w szarych tekturowych teczkach, zapisanych gęstym, acz beznamiętnym pismem.

Ta historia fascynowała filmowców niemal od momentu, kiedy się naocznie rozegrała, czyli od samych narodzin kinematografu – wystarczy wspomnieć film Georges’a Mélièsa, przywoływany we wszystkich podręcznikach historii kina. Jego „Sprawa Dreyfusa” powstała w roku 1899, a więc dokładnie wtedy, gdy prezydent Francji unieważnił wyrok ciążyący na oficerze artylerii.

Sto dwadzieścia lat później Harris i Polański biorą na warsztat całą teatralność tej historii, stąd też jej zawieszenie na słowie. Poza nielicznymi scenami plenerowymi: jakieś śniadanie na trawie, otwierająca film publiczna degradacja oficera na dziedzińcu paryskiej Szkoły Wojskowej czy migawki z Wyspy Diabelskiej, gdzie domniemany szpieg odsiaduje dożywocie, zamknięci jesteśmy w dusznych, przeładowanych pomieszczeniach: w gabinetach, salach sądowych, to znów w dekadentckich lokalach obsiadłych przez tajniaków. Lecz choć z wielu kadrów wзира Manet, Cézanne czy Toulouse-Lautrec, stanowi to tylko ozdobny sztafaż. W „Oficerze i szpiegu” rządzi sztywny świat wojskowości i wywiadu, który spycha na dalszy plan wszelkie uroki, namiętności i emocje.

Polański żegna się bez żalu z *belle époque* – w obiektywie Pawła Edelmana trochę przykurzoną, ciężką, ciemną i groźnie wąsatą. Tymczasem w wybijającej marszowy rytm muzyce Alexandre’a Desplata słyhać jeszcze groźniejsze pomruki wieku XX. Widzimy, jak nowoczesne narzędzia komunikacji – fotografia czy telefon – stają się jednocześnie narzędziami zbiorowej inwigilacji. Policyjny grafolog Alphonse Bertillon (w tej roli Mathieu Amalric) prowadzi na kryminalistach prekursorskie badania antropometryczne. Za chwilę wszystkie te metody i wynalazki odegrają swoją rolę w wielkich projektach totalitarnych. Ale rośnie także rola środków masowego przekazu, na razie papierowych. Gazeta codzienna z listem „J’Accuse...” autorstwa Émile’a Zoli ujawnia nazwiska tych, którzy wzięli udział w preparowaniu dowodów przeciwko Dreyfusowi, co doprowadza do rewizji procesu, lecz wcześniej na ławie oskarżonych sadza sygnalistów. W odbywającej się na ekranie dyskusji na temat różnicy pomiędzy kopią a fałszywką słyhać zapowiedź nie tylko stalinowskich czy hitlerowskich socjotechnik, ale i dobrze nam znanej epoki fake-newsowej.

Męski, umundurowany świat „Oficera i szpiega” przynosi zarazem ostrzeżenie przed nowymi wcieleniami Wielkiego Brata i bezkrytycznym zaufaniem do różnego kalibru „teczek”. Dziś otwieranie prywatnych listów nad palnikiem czy przeczesywanie koszy na śmieci

w celu znalezienia „haka” coraz częściej przybiera postać niewidzialnej kontroli nad Big Data, o wiele skuteczniejszej i bardziej demonicznej. U Polańskiego dotyczy ona przede wszystkim grup mniejszościowych: Żydów i homoseksualistów, stanowiących najłatwiejszy obiekt w prowokowaniu politycznych „polowań na czarownice”, w wężeniu różnej maści spisków i zrad. Jest wreszcie „Oficer...” opowieścią o odzyskanym honorze. Obecnie to staroświeckie słowo coraz częściej bywa myłone z medialnym wizerunkiem, przez co również pojęcie zniesławienia nabrało zupełnie innego wydźwięku. Co ciekawe, desperacka walka Picquarta, Zoli czy dziennikarzy pisma „L’Aurore” toczy się nie o uwolnienie Dreyfusa, co o jego honor właśnie, o zdjęcie odium hańby i przywrócenie rangi oficerskiej rzekomemu szpiegowi.

Wymowne, że pułkownik Jean Sandherr, czyli jeden z tych, którzy zapoczątkowali ową nagonkę w ramach wielkiej akcji inwigilacyjnej mającej chronić kraj przed obcym wywiadem, prawie na naszych oczach umiera zarażony syfilisem. To nie on, lecz Alfred Dreyfus będzie dowodził oddziałami przeciw niemieckiej armii podczas I wojny światowej. Wypada zatem potraktować film Polańskiego również jako rozprawę na temat tego, czym jest patriotyzm i komu przysługuje miano „prawdziwego Francuza” czy „prawdziwego Polaka”. W tym sensie ów chłodny, przegadany, rozmyślnie nieefektywny film można uznać do pewnego stopnia za kontynuację „Pianisty” – historii polskiego Żyda, któremu wielu odmawiało polskości i któremu granie Szopena uratowało kiedyś życie. ©

OFICER I SZPIEG (*J’accuse*) – reż. Roman Polański. Prod. Francja/Włochy 2019. Dystryb. Gutek Film.



Kraków goszczą dziennikarzy „Tygodnika Powszechnego”.

Słuchaj nas w Małopolsce:

Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM

Krynica Zdrój – 102,1 FM

Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM

Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM

Gorlice – 97,4 FM | www.radiokrakow.pl

Co wtorek o godz. 14.30
na antenie Radia

WARTO ZOBACZYĆ W TV [4 – 17 I]

1. Cała prawda o Szekspirze



Dramat, reż. Kenneth Branagh, Wielka Brytania 2018, Cinemax, 5 I, 20.00, 6 I, 12.00, 7 I, 20.00, 10 I, 21.35, 11 I, 14.30

Wbrew obiecującemu tytułowi nowy film specjalisty od adaptacji szekspirowskich nie przynosi rewelacji na temat biografii czy twórczości mistrza ze Stratfordu. Skupia się bardziej na jego sytuacji rodzinnej i społecznej w schyłkowym okresie życia. Obok Branagha występuje także Judi Dench czy Ian McKellen.

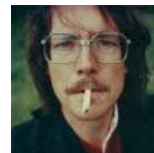
2. Królowa Kier



Dramat, reż. May el-Toukhy, Dania / Szwecja 2019, Cinema Przepisując kobiecie rolę seksualnej drapieżniczki, film idzie pod prąd nie

tylko statystyk, ale i stereotypowym wyobrażeniem. Fenomenalna Trine Dyrholm wciela się w postać szanowanej prawniczki, która uwodzi nieletniego pasierba i manipuluje otoczeniem. Efektem jest gęsty od pytań thriller psychologiczny.

3. Peter Handke – las o zmroku



Dokumentalny, reż. Corinna Belz, Niemcy 2016, nc+ GO Jak wygląda z bliska życie austriackiego noblisty? Podczas samot-

nych spacerów, czyszczenia grzybów czy... haftowania serwetki w swym paryskim domu Handke opowiada o pisarskim warsztacie i specyficznej wrażliwości, o politycznym zaangażowaniu i cenie, jaką płaci się za głośno wypowiadanie kontrowersyjnych sądów.

4. Bracia Sisters



Western, reż. Jacques Audiard, Francja / Hiszpania / USA / Rumunia 2018, CHILL, Canal+ vod Francuski twórca („Pro-

rok”, „Imigranci”) bierze na warsztat najbardziej amerykański spośród gatunków filmowych. XIX-wieczna gorączka złota jest tu scenerią dla brutalnej przypowieści o lojalności i chciwości, fatalistycznej i zaskakującej jednocześnie. W tytułowych rolach John C. Reilly i Joaquin Phoenix.

JAN

Klata:

Reszta jest sylwestrem



O „PATOINTELIGENCJI” RACZYŁO SIĘ WYRA-
zić już person multum, co najmniej tyle,
ile odśton teledysku – może i dobrze, prze-
cież zapewne nawet wypowiadający się
podmiot liryczny tego chciał, i oby go sy-
tuacja nie przerosła. Przerosła recenzen-

tów, zwłaszcza w TVP (co mnie nie dziwi) oraz w mediach
społecznościowych (których to mediów popularność mnie
dziwi). Padają mocne słowa, padają, by odbić się echem. Kry-
styna Pawłowicz dorzuciła trzy grosze (reszty nie trzeba), nie-
oceniona pani Ogórek ujawniła zaś, że gdy na „domowej gieł-
dzie szkół” pojawiła się nazwa Batory, pani Ogórek rzuciła się
rejtaniem, zagradzając drogę uczennicy Ogórkównie.

Myślę, że Batory się po tym rejtanie podniesie, chciałem
tylko nadmienić, że ja – nie chwając się – również kiedyś roz-
ważałem różne opcje, np. reprezentowanie Polski na igrzy-

skach olimpijskich w biegu maratońskim, ale usłyszałem „ka-
tegoryczny ton sprzeciwu” ze strony domowników, którzy
wytłumaczyli mi, że jest za dużo dopingu w sporcie. Nie jadę
więc na tę patoolimpiadę, nie pobiegnę i już, niech tam sobie
Kenijczycy wygrywają i się cieszą. Obejdę się bez medalu.

Prawa strona internetów oraz TVP nie mogły się oprzeć lu-
stracji rodzinnej młodego artysty (jednocześnie narzekając
na naruszanie prywatności księdza Szydło). Ma ojca! Hańba!
Może jeszcze wymyślił synowi pseudonim?! Wina ojca idzie
w syna, niegodnych synowie niegodni, patoelity. Przecież
taki Sławomir czy Zenek Martyniuk sam sobie wymyślił, jak
się ma nazywać, jeden czy drugi tata nie miał nic do gadania,
i o to w prawdziwym życiu chodzi. Część reakcji typu „a ja
słuchałem polskiego hip-hopu, zanim to stało się modne”
jest równie oczywista jak teksty 99 proc. gwiazd muzyki po-
krzykiwanej, ze swej strony mogą tylko wybrańcom pogratu-
lować, nie bez zazdrości, oczywiście. Zazdrość zazdrością, ale
zawsze na końcu internetów znajdzie się Magdalena Ogórek.

Można nazwać owo zjawisko *reductio ad Ogórkum*. Gdy
niedoszła prezydent wyraża swą ostateczną opinię na jakiś
temat, temat ów staje się zamknięty – nic nie da się dodać, ani
mru mru, nie ma nawet co podejmować próby, niemożliwe,
nie uda się i wiedziałem, że tak będzie. Niech i tak się stanie.
A zatem Magdalena Ogórek spuszcza zasłonę milczenia na
Rok Pański 2019. Reszta jest sylwestrem w Zakopanem. ©

Lektor:

Przed katastrofą



■ Piotr Szarota
PARYŻ 1938
Iskry,
Warszawa 2019,
ss. 672

NIE WIEMY, CO SIĘ ZDARZY
w nowym roku. Nie wiemy,
czy właściwie odczytaliśmy
znaki, które przyniósł rok
miniony. Czytając pasjonu-
jącą książkę Piotra Szaroty
możemy się tylko zasta-
nawiać, czy w roku 1938
umielibyśmy przewidzieć
nadciągającą katastrofę
– może nie wierzylibyśmy,
że jest w ogóle możliwa?
A był to rok złych wróżb.
Najpierw dokonana przez
Japończyków masakra
w chińskim Nankinie, która

pochłonęła kilkaset tysięcy
ofiar (malarz Fujita, przyja-
ciel Picassa i Matisse’a, po
powrocie z Paryża przemie-
nił się w japońskiego nacio-
nalistę i wyjechał na front).
Potem klęski republikanów
w Hiszpanii, anchluss
Austrii, układ monachijski
oznaczający *de facto* koniec
Czechosłowacji, noc
kryształowa w Niemczech...
Wszystkie te wydarzenia
obserwujemy z perspektywy
francuskiej stolicy, która
wciąż przyciąga przybyszów,

w której przecinają się setki
ludzkich losów i ścierają się
idee. Jak na okładce, gdzie
pod wieżą Eiffla stoją naprze-
ciw siebie dwie limuzyny
– jedna z sierpem i młotem,
druga ze swastyką.
Historię ostatniego roku
światłości „miasta światła”
czyta się jak wielowątkową
powieść z mnóstwem
bohaterów; ich niepełną
listę, jak w sztuce teatralnej,
poznajemy na początku.
Filozofowie i pisarze
– Hannah Arendt, Bataille,
Beckett, Benjamin, Brasil-
lach, Breton, Céline, Cioran,
Cwietajewa, Erenburg,
Hemingway, Koestler,
Malraux, Nabokov, Anaïs
Nin, Saint-Exupéry, Sartre,
Simone Weil. Reżyserzy
– Carné, Renoir, Stroheim.
Malarze – Balthus, Dali.
Rywalizujące ze sobą
projektantki mody – Coco
Chanel i Elsa Schiaparelli.
A także Marlena Dietrich
i jej kochanek Remarque.
Tancerka Josephine Baker.
Urodzona na krakowskim

Kazimierzu twórczyni
imperium kosmetycznego
Helena Rubinstein. Lechoń,
Przyboś, Stefan Kisielewski
i Panufnik.
Bale, salony, kawiarnie,
a obok tanie hoteliki jak
z „Łuku Triumfalnego” Re-
marque’a. Dramaty uchodź-
ców – i rasistowski obłęd.
Wściekły antysemityzm
kwitnie nie tylko wśród
faszyzującej francuskiej pra-
wicy. Młody Rumun Cioran,
zachwycony zmianami
w Niemczech hitlerowskich,
napisze: „Żyd najpierw jest
Żydem, potem dopiero czło-
wiekiem”. Szwajcar Mon-
tandon, etnolog, w ramach
przeciwdziałania „żydow-
skiemu niebezpieczeństwu”
proponuje... piętnowanie
żydowskich kobiet poprzez
obcinanie im koniuszka
nosa...
Piotr Szarota, profesor
w Instytucie Psychologii
PAN, wydał wcześniej dwie
podobne książki: „Wiedeń
1913” i „Londyn 1967”. Może
teraz „Berlin 1932”? ©©

PAWEŁ

Bravo:

Higiena żywienia



EKOLOGICZNA KASZA. DEPRESJA LUKSUSU. Siedem lat temu Ewa Lipska zapisała ten emblemat w wierszu „UE”, który zaczyna się od słów: *Droga pani Schubert, czy pamięta pani jeszcze / Unię Europejską? XXI wiek. Ileż to już lat...* Jest coś obraźliwego

w mówieniu o poetce czy poecie, że są „prorocy”. Bo cóż po poecie w czasie marnym, jeśli nie jest prorocy? Dokładnie tego oczekujemy: by lepił z tworzywa mowy kształt Istotności. Wydobywali z szumu przygodnej paplaniny te kilka-kilkanaście zdań, które wystarczą, by każdy samodzielnie nakreślił szkic orientacyjny świata, w który został wrzucony.

Ekologiczna kasza. Już nie luksus, lecz rozsądny wybór – a może rozsądek staje się formą luksusu? Istotna część kaszy gryczanej obecnej na polskim rynku spożywczym niedawno okazała się skażona ponad dopuszczalne normy glifosatem – substancją podejrzaną o działanie rakotwórcze. Nie każdy kojarzy jej nazwę, ale na pewno słyszeliście inną, nawet jeśli nie macie działki pod miastem, gdzie agrest wadzi się z porzeczką, a boża krówka huśta się na smukłym listku melisy: Roundup. Świetny symbol diabelskiej alternatywy, którą proponuje nauka sprzężona z wielkim biznesem: natychmiastowa skuteczność na dziś w zamian za długofalowe uzależnienie i skutki dla równowagi biologicznej w przyszłości. Prawdziwa czarnoksiężka moc: wszelki chwast znika w okamgnieniu, a wraz z nim znój wyrwania i straty, które powoduje jego ekspansja. Ale kto widział, jak wygląda zniszczona przez długotrwałe stosowanie ziemia i zajrzał do statystyk stosowania roślin zmodyfikowanych pod kątem odporności na ten środek, ten zaczyna żałować grosza, który zaoszczędził na tym, że rzodkiewka i marchew stały się takie tanie. No i do tego wisienka na torcie – rakotwórczość: nawet jeśli nie jest całkiem solidnie udowodniona, przynajmniej działa na opinię publiczną skuteczniej od opowieści o systemowych szkołach dla żyjątek w glebie.

Wśród opowieści są bowiem i te prawdziwe, i te ważne. To dlatego czytam Lipską zamiast porannej gazety, żeby wzmocnić w sobie tkanki logosu, tak jak pochłaniam owsiankę z jabłkiem, żeby dostarczyć komórkom błonnika i rozmaitych minerałów. Składamy się w równym stopniu z komórek, co ze słów. Komórki jakoś sobie same radzą – o ile nie przesadzimy z jedzeniem glifosatu i preparatów dietetycznych. Ale słowem należy się codzienny detoks. Nauczył mnie tego w liceum mój pan od

polskiego, Witold Kaliński. Jeśli raz czy drugi sprawia wam frajdę moje pisanie, to w co najmniej połowie jego zasługa. Za każdym razem, gdy stawiam końcową kropkę, słyszę jego głos: no, kochany, jeśli wystarczy ci trójka, to możemy na tym poprzestać.

Z liceum wyszedłem ale moja druga pani od polskiego przez te lata przychodzi raz po raz z nowym zbiorem wierszy. Słowa o egzaminie z historii, który naraz wszyscy uczniowie oblali, czytane około matury jak jednozdaniowy klucz do rocznego wykładu o wojnie, niedawno wróciły do mnie w swojej strasznej aktualności. *Pamięta pani jeszcze Unię Europejską?* Ile już razy, uprawiając fenomenologię współczesnego stołu i lodówki, potykałem się o historie takie jak ta z glifosatem, kaszą i bezradnością wobec wielkiego koncernu? Z cukrem, tłuszczem palmowym, paniką glutenową czy laktozową. Czy jest sens się zamartwiać? *XXI wiek. Ileż to już lat...*

Sieciowe sklepy z książkami przypominają alejki supermarketu, pełne ładnego, niepożywnego badziewia. Uczę się do nich wchodzić z czujnością, jaką zachowuję w spożywczym czy na targu, gdzie już wiem, jak poprzestać na podstawowych produktach. Lipska jak woda. Chleb Miłosza, czarny, z grubym ziarnem, żuć powoli. Posolić Herbertem. Sok malinowy z butelki Leśmiana, byle z umiarem, bo zakręci w głowie. Gorzką czekoladę wziąć z szuflady Szymborskiej. Ostatnio sporo jadłem Dehnela, jak lekko podsmażone szlachetne mięso. Małymi kęsami, ale bardzo mnie wzmocnił. Znalezienie dobrej księgarni to jak wydeptanie sobie ścieżek do straganów z dobrymi warzywami. Wtedy warto ostrożnie w palce coś nowego, odwinąć z papierka, ugryźć. Niekiedy da się połknąć.

Ale nie ma co narzekać z samym początkiem roku. XXI wiek trwa dopiero 19 lat. *To nasza młodość, droga pani Schubert i chociaż zegary / upierają się przy swoim, trzymam ten czas mocno / w garści.*



*Ospalość pierwszych poranków nowego roku mogą wam rozjaśnić orzeźwiająca racuszki z pomarańczą. Obieramy bardzo starannie – także z białej skórki, zwanej uczenie mezokarpem, kroimy na cienkie plasterki, skrapiamy cytrusowym likierem triple sec (najbardziej znany to ten marki Cointreau) lub innym alkoholem, który pasuje nam do cytrusów, i posypujemy **cukrem**. W misce łączymy 120 g **mąki z żółtkiem** i 250 ml lodowatej **wody gazowanej** i szczyptą soli, odstawiamy na kwadrans do lodówki, po czym ubijamy **białko** i dodajemy je do masy. Zanurzamy w niej plasterki pomarańczy i smażymy krótko z obu*

*stron, aż się otlocą w głębokim oleju roślinnym. Odsączamy z nadmiaru tłuszczu na papierowych ręcznikach, na wydaniu można posypać **cukrem pudrem** (także z niewielkim dodatkiem zmielonych goździków).*

©P

W Sądzie Rejonowym dla Krakowa-Śródmieścia w Krakowie, I Wydział Cywilny, toczy się postępowanie w sprawie o sygn. I Ns 108/19/5, z wniosku Ilony Höfling, przy uczestnictwie Andrzeja Szwoilińskiego, o stwierdzenie nabycia spadku po Marii Gibowskiej, z d. Żupnik, c. Wincentego i Anieli, ur. 8 grudnia 1933 r. w Cichawie, zm. 4 kwietnia 2010 r. w Krakowie, ostatnio zamieszkałej w Krakowie przy ul. Ugorek 4/48.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców zmarłej, aby w ciągu 3 miesięcy od zamieszczenia niniejszego ogłoszenia zgłosili się i udowodnili nabycie spadku, albowiem w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

W Sądzie Rejonowym w Chełmie, I Wydziale Cywilnym, w sprawie I Ns 719/19 z wniosku Chełmskiej Spółdzielni Mieszkaniowej w Chełmie toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Danucie Kasprzak zmarłej 21 czerwca 2017 roku w Chełmie, ostatnio stale zamieszkałej w Chełmie przy al. Żołnierzy I Armii Wojska Polskiego 23/29.

Wzywa się wszystkie zainteresowane osoby, a w szczególności spadkobierców Danuty Kasprzak, aby w terminie trzech miesięcy od dnia ogłoszenia zgłosili i udowodnili swoje nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie zostaną pominięci w toczącym się postępowaniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Przed Sądem Rejonowym Gdańsk-Północ w Gdańsku, w Wydziale XIII Cywilnym, pod sygn. akt XIII Ns 334/18, toczy się postępowanie z wniosku Powszechnej Spółdzielni Mieszkaniowej „Przymorze”, o stwierdzenie nabycia spadku po Wojciechu Mieczysławie Pokorze, ur. 1 marca 1967 r. w Gdańsku, zm. 27 stycznia 2013 r. w Gdańsku, ostatnio stale zamieszkałym w Gdańsku.

Sąd wzywa spadkobierców, aby w terminie 3 miesięcy od dnia ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili się w Sądzie Rejonowym Gdańsk-Północ w Gdańsku i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie zostaną pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

W Sądzie Rejonowym Lublin-Wschód w Lublinie z siedzibą w Świdniku, I Wydział Cywilny, toczy się postępowanie, sygn. I Ns 950/18, z wniosku Spółdzielni Mieszkaniowej „Skarbek” w Łęcznej o stwierdzenie nabycia spadku po Zdzisławie Piotrze Kuśnierzu, s. Jana i Marii, zm. 2 lutego 2004 r. w Jaszczowie, oraz Lilli Janinie Kuśnier, z d. Ozga, c. Władysława i Stanisławy, zm. 5 maja 2015 r. w Łęcznej, ostatnio stale zamieszkałych w Łęcznej przy ul. Górniczej 10/6.

Wzywa się wszystkie zainteresowane osoby, a w szczególności spadkobierców Zdzisława Kuśnierza i Lilli Kuśnier, aby w terminie trzech miesięcy od dnia ogłoszenia zgłosili i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Przed Sądem Rejonowym w Jarocinie, Wydziałem I Cywilnym, przy ul. Wrocławskiej 6, toczy się pod sygnaturą I Ns 218/19 postępowanie z wniosku Skarbu Państwa – Starosty Jarocińskiego, o stwierdzenie nabycia własności nieruchomości przez zasiedzenie. Wniosek dotyczy niezabudowanej nieruchomości położonej w Cielczy:

- o powierzchni 1,40,00 ha, oznaczonej geodezyjnie jako działka 161 a.m. 1;
- o powierzchni 0,44,00 ha, oznaczonej geodezyjnie jako działka 260 a.m. 1 dla których nie była prowadzona księga wieczysta.

Sąd wzywa zainteresowanych, by w terminie 3 miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia zgłosili się w Sądzie i udowodnili swe prawa, gdyż w przeciwnym razie postępowanie będzie się toczyć bez ich udziału.

Przed Sądem Rejonowym w Mińsku Mazowieckim Wydział I Cywilny, pod sygnaturą I Ns 386/19, na wniosek Alior Banku Spółki Akcyjnej w Warszawie, toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Mirosławie Kajetanie Makowskim, zm. dnia 16 lutego 2018 r. w Warszawie, ostatnio stale zamieszkałym w Mińsku Mazowieckim.

Sąd wzywa, aby spadkobiercy w terminie trzech miesięcy od dnia opublikowania ogłoszenia zgłosili się do tutejszego Sądu i udowodnili nabycie spadku, ponieważ w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Przed Sądem Rejonowym w Mińsku Mazowieckim Wydział I Cywilny, pod sygnaturą I Ns 52/19, toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Krzysztofie Bartnickim, zm. 28 kwietnia 2016 r. w Drożdżówce, ostatnio stale zamieszkałym w Mińsku Mazowieckim.

Sąd wzywa, aby spadkobiercy w terminie trzech miesięcy od dnia opublikowania ogłoszenia zgłosili się do tutejszego Sądu i udowodnili nabycie spadku, ponieważ w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Przed Sądem Rejonowym w Jarocinie, Wydziałem I Cywilnym, przy ul. Wrocławskiej 6 toczy się pod sygnaturą I Ns 123/19 postępowanie z wniosku Błażeja Dębińskiego o stwierdzenie nabycia własności nieruchomości przez zasiedzenie. Wniosek dotyczy niezabudowanej nieruchomości, położonej w Witaszycach, oznaczonej geodezyjnie jako działka 433, o powierzchni 0,02,22 ha, wchodzącej w skład większej nieruchomości, dla której V Wydział Ksiąg Wieczystych Sądu Rejonowego w Jarocinie prowadzi księgę wieczystą KZ1J/00003040/0, oraz zabudowanej nieruchomości oznaczonej geodezyjnie jako działka 434, o powierzchni 0,12,77 ha, dla której była prowadzona księga wieczysta Witaszyce k. 269.

Sąd wzywa zainteresowanych, by w terminie trzech miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia zgłosili się w Sądzie i udowodnili swe prawa, gdyż w przeciwnym razie postępowanie będzie się toczyć bez ich udziału.

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

**DODATEK
SPECJALNY**

„TP” 1-2/2020



**Fundacja
Dorastaj z Nami**

—



Piotr Madej

FOT. ANNA LIMINOWICZ /
/ FUNDACJA DORASTAJ Z NAMI

Dobrze być razem

MARCIN ŻYŁA

Rodzicom powtarzają na spotkaniach: nie umniejszajcie przeżyć dzieci, nie pocieszajcie ich, nie udawajcie, że wiecie, jak się czują. Pozwólcie im na doświadczenie żałoby.

MAM NA IMIĘ MARTA. MAM 5 lat i chodzę do przedszkola. W przedszkolu lubię rysować i bawić się z dziećmi. Odprowadza mnie tam mama. Bo mój tata jest w niebie. Umarł daleko od domu, kiedy bronił innych ludzi. Mama często opowiada mi o tacie. Na przykład, kiedy razem robimy pierogi albo ciasto. Gdy dorosnę, chciałabym być sławną kucharką. Żeby mój tata, tam w niebie, i wszyscy ludzie na świecie nigdy nie byli głodni”.

„Mam na imię Zuzia. Mam 4 lata. Lubie się śmiać i dużo mówić. Mama mówi, że mam to po tacie. On umarł, kiedy walczył ze złymi ludźmi. Nie wiem, jaki był. Mama mówi, że był wesoły i mądry. Też chciałabym być taka mądra. Dlatego lubię się uczyć o świecie i o zwierzętach. A kiedy będę duża, chciałabym uczyć in-

nych ludzi. Żeby byli mądrzy. Bo jak ludzie są mądrzy, to nie są źli”.

Starszy chorąży Rafał Celebudzki, tata Marty, służył w Afganistanie. Zginął we wrześniu 2014 r., kiedy samochód kierowany przez zamachowca samobójcę wjechał w kolumnę polskich pojazdów. Miał 38 lat. W tym samym wieku był ojciec Zuzi – starszy aspirant Cezary Mokrzewski, funkcjonariusz CBŚ. Zginął w maju 2015 r. podczas konwojowania zatrzymanego.

W chwili śmierci ojca Marta miała miesiąc. Zuzia urodziła się dwa miesiące po.

I tata, i bohater

Księga Pamięci Poległych polskiej policji za lata 2014-19 liczy 24 nazwiska funkcjonariuszy, którzy polegli na służbie – z rąk przestępców, podczas pościgów czy zabezpieczania miejsc zdarzeń drogowych.

Co roku z dyżuru nie wraca kilkoro strażaków. Październikowy wypadek podczas rozbrajania niewybuchów w Kuźni Raciborskiej, w wyniku którego zginęło trzech saperów, przypominał, że w wojnie – w tym roku zginęło już sześciu żołnierzy. W ostatnim czasie wzrasta też liczba wypadków, których skutkiem jest trwała niepełnosprawność.

Niemal każda z tych tragedii pozostawia osierocone dzieci. I choć śmierci czy rozmiaru traumy nie powinno się ze sobą porównywać, nagłe odejście jednego z rodziców jest szczególnie – nie ma czasu na pożegnanie. Śmierć matki lub ojca na służbie to także wyzwanie dla opiekujących się nimi dorosłych.

– Pracując z dziećmi, w takich sytuacjach staramy się zwrócić uwagę na poczucie sensu – mówi Monika Baryłka,



TOMASZ KOWALCZYK (16 lat)

**Silny,
by szukać drogi**

Lubiłem niedzielne popołudnia, gdy ja i mój brat Hubert siadaliśmy z mamą na kanapie i oglądaliśmy filmy. Mojej mamy – Małgorzaty Kowalczyk – już nie ma. Pięć lat temu do Ośrodka Pomocy Społecznej w naszym Makowie, w którym pracowała, wpadł jakiś człowiek, oblał ją benzyną i podpalił. Na kanapie mamy teraz śpiam ja. Każdego dnia pragnąc, aby być tak silnym jak mama. Pamiętam ogromny ból, który poczułem na wieść, że mama nie żyje. Świąt Bożego Narodzenia 2014 r., które narodziły sześć dni po śmierci

mamy, ani kilku następnych miesięcy, gdy nie wychodziłem z domu – już nie. Mama była dla nas wszystkim. Wychowywała nas sama, pracowała, prowadziła dom, uczyła odróżniać dobro od zła, decydowała, kołata smutki i sprawiała radości. Gdy odeszła, miałem 11 lat, brata oraz babcię i dziadka. Nie byłem sam, ale dopiero po dwóch latach pogodziłem się z jej stratą i ułożyłem sobie relacje z dziadkami. Pomógł mi w tym m.in. psycholog z Fundacji Dorastaj z Nami. Uczę się liceum w Skierniewicach, w II klasie o profilu

geograficzno-społecznym. Nie wiem jeszcze, kim chcę być w przyszłości. Jestem jednak pewny, że cokolwiek wybiorę, będę w tym tak wytrwały jak mama, z zawodu krawcowa, która pracując i wychowując samotnie dwoje dzieci, znalazła czas, aby skończyć studia. Od czterech lat jestem pod opieką Fundacji Dorastaj z Nami i jej darczyńców. To dzięki nim możemy opłacić korepetycje dla mnie z matematyki, miejsce w akademiku dla brata i jeszcze wyjechać na wakacje lub ferie. To dzięki nim mam siłę. ©



RYANILANE / GETTY IMAGES

psycholożka, trenerka i coach, od pięciu lat współpracująca z Fundacją Dorastaj z Nami. – Świadomość, że rodzic zginął czyniąc dobro, często pomaga. Z drugiej strony, prasa pisze o takich ludziach „bohaterowie”. To, paradoksalnie, może „odebrać” stratę dziecka, przenieść ją za bardzo do sfery publicznej. Trzeba więc zachować proporcje. To naprawdę są bo-

haterowie, ale przede wszystkim – rodzice i bliscy.

Budowanie życia

Fundacja Dorastaj z Nami działa już niemal dekadę. Jej celem jest pomoc dzieciom pracowników służb – żołnierzy, strażaków, policjantów, ratowników – którzy zginęli na służbie lub do-

znali poważnego uszczerbku na zdrowiu. Wspiera młodych pomocą psychologiczną, finansuje korepetycje i zajęcia pozalekcyjne, zapewnia doradztwo zawodowe i edukacyjne. Jako pierwsza w Polsce nawiązała do podobnych tradycji państw zachodnich, zwłaszcza Stanów Zjednoczonych, gdzie niemal 2 mln dzieci żyje w rodzinach wojskowych. To właśnie Amerykanie doszli do wniosku, że wsparcie po nagłej stracie powinno przyjść w odpowiednim czasie – i koncentrować się na rozwoju dziecka.

Monika Baryłka: – W pierwszym okresie dzieci są otoczone najbliższymi. Programy wsparcia uruchamiają też straż, policja czy wojsko. My z reguły wkraczamy wtedy, gdy najmłodszy zaczyna się już godzić ze stratą. I szukają sposobu, jak – mimo traumy – budować życie.

Dotąd Fundacja Dorastaj z Nami zapewniła start w nowe życie 234 dzieciom pracowników służb publicznych, którzy zginęli lub stracili zdrowie podczas pełnienia obowiązków. Obecnie pod jej opieką jest 135 dzieci. Prowadzi projekty praktyk i staży. W celu zapewnienia osobistej edukacji, w porozumieniu z nauczycielami akademickimi, wdrożyła też program tutoringowy (obecnie przekształcony w ogólnopolski system doradców edukacyjnych). Organizuje warsztaty dla rodzin, współpracuje m.in. z Centrum Weterana Działań poza Granicami i



ANIA ŁABUNOWICZ-MAJOWA
(22 lata)

Lutnik

To, żeby w górach, w jednym miejscu, tuż po sobie zeszyły dwie lawiny, rzadko się zdarza. To ta druga zasypała moją tatę – ratownika Marka Łabunowicza-Maję. Zmarł w schronisku, kilka godzin po tym, jak uratował turystów, którzy utknęli na szlaku. Pamiętam ten dzień – 30 grudnia 2001 r. Tata nie wracał, a nasz dom zapętlił się ludźmi, którzy płakali i mówili, że odszedł na zawsze i że był bohaterem. Co to znaczy „odszedł na zawsze”, odkryłam, gdy z czasem

okazało się, że tata już nie ulepi ze mną śniego-wego Kubusia Puchatka i nie usadzi na swoich kolanach. Kim jest bohater, wytłumaczyła mi mama. To dobry człowiek, którego Pan Bóg zabiera do siebie, gdy ten wypetni na ziemi swoją misję. Tata był nie tylko ratownikiem TOPR, ale też znanym podhalańskim muzykiem. Poszłam w jego ślady. Swoją drogę znalazłam, gdy miałam 16 lat, za drzwiami warsztatu lutniczego. Dostałam się do Zespołu Szkół Plastycznych im. Antoniego Kenara w Za-

kopanem. Cóż jednak po teorii, gdy lutnik nie może wprawiać się w rzeźbieniu, bo w domu się „nie przelewa” i nie ma za co kupić potrzebnych narzędzi i drewna?

Zostałam artystką lutnikiem dzięki Fundacji Dorastaj z Nami i jej darczyńcom. Wyrzeźbiłam już trzy pary skrzypiec, a teraz studiuję turystykę i rekreację w Podhalańskiej Państwowej Uczelni Zawodowej. Chcę zostać tu, gdzie żył i zginął mój tata, ratując ludzkie życie. Nie czuję już żalu, że tata tamtego dnia poszedł na akcję. ©

→ Państwa, Collegium Civitas i Uniwersyte-tem SWPS. Zabiera dzieci na narty z parą prezydencką, rejs z Fundacją Odkrywców oraz obozy letnie.

Fundacja w dużej mierze pozyskuje pieniądze od darczyńców indywidualnych. Ich liczba rośnie – obecnie jest ich ponad 7,5 tys. Wielu wpłaca regularnie. To ważne: dzięki comiesięcznym wpłatom można wobec podopiecznych podejmować zobowiązania na dłużej.

I zawsze pozostaje blisko rodziców, bo to od nich zależy najczęściej. – Spotykam się z nimi podczas warsztatów – mówi Monika Baryłka. – Podziwiam ich, gdy słucham, jak sobie radzą, jaką siłę daje im miłość do dzieci i myślenie o sobie nawzajem.

Jak rozmawiać

Specjaliści od radzenia sobie z traumą wiedzą, że pocieszając dziecko, dorośli starają się często ukoić własny niepokój – towarzyszenie rozpaczającym najmłodszych rodzi wyjątkowy dyskomfort. A dla dziecka strata oznacza, że wszystko trzeba zacząć od nowa.

Monika Baryłka: – Jest ono wtedy wyjątkowo wrażliwe na wpływy otoczenia. A co robi wtedy rodzina często zresztą powodowana dobrymi intencjami? Bierz dziecko na stronę, mówi: „Weź się w garść, musisz być dzielny”. Albo: „Musisz teraz zastąpić tatę”, „jesteś teraz

Nagła śmierć rodzica
zawsze musi zmienić życie
dziecka – ważne jednak,
aby go nie zabrała.

głową rodziny”. A przecież dziecko powinno pozostać dzieckiem!

Dlatego najbliższym powtarza się na spotkaniach: nie mówcie dzieciom, że „jest dobrze” – to umniejsza ich przeżycia. Dajcie znać, że jesteście obok, gotowi słuchać, lecz nie oceniać, jak przeżywają stratę. Interweniujcie, gdy zagrożone jest bezpieczeństwo dziecka, ale w innych sytuacjach pozwólcie mu na doświadczenie żałoby. Nie pocieszajcie ich naiwnie, mówiąc „przynajmniej teraz tatę już nic nie boli” albo „masz jeszcze mamę”. I nie udawajcie, że wiecie, jak się czują. Powiedzcie: „Zdaję sobie sprawę z tego, jak musi ci być ciężko”. To zaprasza do rozmowy.

Bywa, że dorośli obawiają się, iż wywoływanie tematu śmierci rodzica spowoduje złość lub przygnębienie dziecka. Eksperci ostrzegają: jego przemilczenie może mieć skutki znacznie gorsze – dziecko nabierze podejrzeń, uzna, że dorosłemu brakuje wrażliwości, umiejętności opieki. Albo wręcz – że rodzic nie wierzy w skuteczność pomocy. Ważne, by pamiętać, że dzieci od małego uczą się, iż rozmowy

o stracie powodują smutek. Gdy widzą płacz, stres albo unik wywołany ich pytaniami, uznają, że zrobiły coś złego, i w przyszłości będą unikać powracania do tematu. Będą udawać, że wszystko jest w porządku – i tłumić w sobie emocje.

Szkola uwagi

Mariola Fanselow, doradczynie edukacyjnej Fundacji Dorastaj z Nami, mieszka w Wałbrzychu. Zanim przyszła do Fundacji Dorastaj z Nami, pracowała w przedszkolu i urzędzie pracy. Śmieje się, że miała kontakt z ludźmi w każdym wieku i z każdej grupy społecznej. To pomaga teraz – bo trauma po stracie rodzica, żony czy męża nie wybiera, dotyczy wszystkich po równo.

Jako doradczynie regularnie spotykają się z rodzinami po stracie bliskich. – Nauczyłam się zwracać uwagę na szczegóły – mówi. – Podczas jednej z wizyt w rodzinie, w której tata uległ wypadkowi na służbie, trafiłam na kłótnię między małżonkami. To nie do uniknięcia: do przeżyć związanych z utratą najbliższego dochodzi przecież utracone poczucie wartości, oczekiwania małżonka, a w tym wszystkim są dzieci.

– I co pani zrobiła?

– Usiadłam między rodzicami, rozmawiali ze sobą za moim pośrednictwem. Śmiali się, że to jak terapia – mówi Mariola Fanselow.



PIOTR MADEJ
(20 lat)

**Latający
ekonomista**

Nie mógł się mną nacieszyć. Układał mnie na swoim przedramieniu, a potem godzinami nosił i przytulał. Może mój tata – pilot wojskowy, Arkadiusz Madej – przeczuwał, jak blisko jest dzień, gdy ostatni raz poderwie swój samolot?

Nie pamiętam głosu taty ani czy nosił mnie „na barana”. Miałem niecałe dwa lata, gdy pojechał na poligon 33. Powidzkiej Bazy Lotnictwa Transportowego, wystartował samolot od ćwiczonego lotu i już nie wrócił do domu. Zostały mi po nim jego buty: żółto-

-beżowe „trapery”. Mam zdjęcie, jak wkładał w nie swoje stopy, gdy mam półtora roku. I drugie: gdy jako dwunastolatek stałem w nich na Giewoncie.

Dorastałem w świecie, w którym zadania taty wypełniała mama. To z nią jeździłem na wycieczki i grałem w piłkę nożną. To ona ciężko pracowała, liczyła przed wydaniem każdy grosz i zapępiała mi dni zajęciami. Miałem już 11 lat, gdy znalazła nową miłość, a ja prawdziwego przyjaciela.

„Lotnicze geny” mam. Jestem z zawodu technikiem

awionikiem. Robię też licencję pilota szybowcowego. Ale swoją przyszłość wiąże z ekonomią. Zaczęłam studia na kierunku finanse i rachunkowość w języku angielskim na Wydziale Nauk Ekonomicznych Uniwersytetu Warszawskiego.

Nie podjąłbym tak ważnych decyzji bez Fundacji Dorastaj z Nami i jej darczyńców. Wspierają mnie od sześciu lat. To dzięki nim psycholog pomógł mi uporać się ze stratą taty i otrzymałem korepetycje z matematyki i języka angielskiego, aby dostać się na uczelnię. ©

– Z dzieckiem i rodziną spotykamy się w ciągu roku szkolnego trzykrotnie. Czas wizyt bywa ograniczony. Uważamy, aby nie wejść w rolę pracownika socjalnego, który tylko przychodzi i decyduje za rodzinę – opowiada Monika Baryłka. I dodaje: – Im młodsze jest dziecko, tym więcej pracuje się z bliskimi. Utrata jednego z rodziców powoduje często np. problemy bytowe. Fundacja dofinansowuje wtedy rehabilitację czy terapię dziecka, która inaczej mogłaby być przerwana.

Dzieci w wieku szkolnym to dla Fundacji Dorastaj z Nami przede wszystkim pomoc w nauce i rozwijaniu zainteresowań – mogą to być korepetycje z matematyki, ale i lekcje tańca. Starsi mają bardziej sprecyzowane potrzeby.

Monika Baryłka: – Nastolatkom i studentom pomagamy głównie w sprawach rozwoju zawodowego. Czasem po prostu nie mają z kim o tym rozmawiać.

Przyjaciele rodzin

– Każde spotkanie jest poruszające. Niektóre dzieci znam już czwarty rok, spotykam się z nimi w ich domach – opowiada Mariola Fanselow. – Wiosną mój podopieczny zdał maturę i dostał się na studia. Kiedy przyjechałam na ostatnie spotkanie, jego babcia załamała ręce, że już nie będę do nich przyjeżdżać. Obiecałam, że jeszcze raz wpadnę, że nie będziemy od razu „odcinać pepowiny”.

Zmaskulinizowany charakter służb sprawia, że specjaliści fundacji mają w rodzinach kontakt przede wszystkim z kobietami, często wdowami. Ale zdarza się, że pomocy potrzebują mężczyźni.

– Dotyczy to np. żołnierzy, którzy w wyniku wypadku lub udziału w misji stali się niepełnosprawni. Dotąd trenowano ich na sprawnych i silnych, mieli radzić sobie ze wszystkim. Teraz proszą o wsparcie syna czy córkę – mówi Monika Baryłka. – Także dla dziecka, przyzwyczajonego do figury silnego ojca-żołnierza, jest to wyzwanie. Bezcenne bywa wtedy wsparcie kolegów. W kontaktach z dziećmi pomaga sport, wysiłek fizyczny przywraca też poczucie sprawstwa.

Amerykańscy psychologowie wojskowi mówią, że śmierć rodzica musi zmienić życie dziecka – ważne jednak, żeby go nie zabrała. Dlatego tak ważne jest towarzyszenie dorastającym dzieciom w ich kolejnych najważniejszych chwilach – tych, kiedy brak ojca czy matki jest bardziej odczuwalny. Urodziny, wakacje, pierwszy rower, pierwsza randka, matura...

Mariola Fanselow: – Podopieczne wysyłają mi zdjęcia, gdy dostaną prawo jazdy, zdadzą egzamin na studiach. Stajemy się przyjaciółmi rodzin.

– Dlaczego to robię? Widzę, że to działa, że jest potrzebne – mówi na koniec Mo-

nika Baryłka. – Do dziś utrzymuję kontakt z rodziną, z którą pracowałam na samym początku, spotykamy się czasem na warsztatach. Dzieciaki wyrastają na fajnych ludzi.

Fundacja Dorastaj z Nami organizuje też coroczne spotkania z udziałem rodziców – po to, aby nawzajem się wspierali. Podczas nich dzieci mają czas, by poznać się nawzajem i ze sobą pobyc. To ważne zwłaszcza dla nastolatków, którzy narzekają, że koleżanki i koledzy w szkole nie zawsze rozumieją ich przeżycia. Takie wydarzenia zmniejszają poczucie izolacji, czasem po powrocie do domu rodzicom łatwiej jest zacząć rozmowę z dziećmi.

Kilka tygodni temu odbyło się pod Wałbrzychem spotkanie z weteranem wojennym. Przyszła setka dzieci. Opowiadał im, jaką rolę odgrywa w życiu strach – mówi Mariola Fanselow. – I że nawet w wojsku nie da się go nie czuć. Każdy czasem musi poczuć lęk, słabość i pustkę. Przy świadomości, że obok są ludzie, którzy zawsze pomogą – to pozwala przeżyć.

© (P) MARCIN ŻYŁA

Pomóż dorosnąć do nowego życia podopiecznym fundacji!

Wejdź na www.dorastajznami.org

i zobacz jak to zrobić, lub wpłać na konto nr

29 1030 1508 0000 0008 1545 4006

(z dopiskiem: „Tygodnik Powszechny”).



KAMIL SUPERA

(23 lata)

Pixel perfect informatyki

Najbardziej lubię, gdy tata pozwalał mi wejść pod podwozie naszego garbusa i coś w nim dokręcić. Nie zdążył jednak nauczyć mnie naprawy auta ani innych rzeczy. Miałem 7 lat, gdy mój tata – strażak, Jacek Supera – po jednej z akcji gaśniczych nie wrócił do domu.

Dla nas – mamy, starszej siostry i mnie – odszedł nie tylko ukochany człowiek, ale i ważna część rodziny. To tata woził nas z naszych Brzezin pod Łódź do lekarzy i na zakupy oraz troszczył się o stan techniczny domu. Na począt-

ku pomagał nam dziadek. Gdy zmarł, za „pomoc” musieliśmy płacić. A że nie mieliśmy czym, jako dwunastolatek przejąłem obowiązki taty. Najtrudniej było z piecem. Zimą wstawałem przed szóstą rano, żeby przynieść opał, rozpalić ogień, a potem iść do szkoły. Dzieci wiedziały, co się stało z tatą, i omijały mnie. Bały się, że powiedzą coś, co sprawi mi przykrość. A ja zamknąłem się w sobie i nie umiałem nawiązać z nimi kontaktu. Dalej tkwiłbym w swoim żalu, gdyby nie Fundacja Dorastaj z Nami i jej darczyńcy. Najbardziej

mi pomogło wsparcie doradcy edukacyjnego, który odkrył we mnie smykatkę do techniki i pisanie. To dzięki nim opłacałem przez 3,5 roku chesne w Wyższej Szkole Informatyki i Umiejętności w Łodzi i uzyskałem tam dyplom licencjacki. Od pół roku pracuję, a od października zacząłem studia magisterskie na Politechnice Łódzkiej. Chcę być informatykiem programistą. Jeszcze nie wiem, co będę tworzył, ale będę to robił bardzo dokładnie. Mówię o mnie: „pixel perfect” – perfekcyjny aż do pixela. ©

ROZWIĄZYWANIE JĘZYKÓW

GASTON DORREN, LINGWISTA I POLIGLOTA:

Po raz pierwszy w historii ludzkości istnieje dziś język globalny.
Ale to nie znaczy, że będzie już tak zawsze.

MICHAŁ KUŹMIŃSKI: Jakimi językami Pan włada?

GASTON DORREN: Mówię oczywiście po niderlandzku, w oficjalnym języku mojego kraju. Mógłbym tego wywiadu udzielić po limburgsku – języku, w którym rozmawiam z rodziną i znajomymi. Ale rozmawiamy po angielsku. Dałbym też radę po niemiecku. I po hiszpańsku, acz z niepokojem. Albo po francusku, choć zestresowany byłbym wtedy skrajnie. I to tyle, ale są jeszcze inne języki, w których do pewnego stopnia potrafię czytać.

Języki dzielą się na łatwiejsze i trudniejsze? Próbowałem się przed spotkaniem z Panem nauczyć, jak się po niderlandzku mówi „dobry wieczór”, ale poległem na wymowie. A limburgski – to dopiero brzmi jak wyzwanie.

Prawda jest taka, że mało kto uczy się limburgskiego inaczej niż w dzieciństwie. To trochę jak z kaszubskim czy śląskim, których ludzie uczą się w domu. Odkryłem, że wyzwaniem są bez wątpienia języki azjatyckie, a zwłaszcza wietnamski. Różnice między językami europejskimi a wschodnioazjatyckimi są tak znaczne, że ich nauka to w zasadzie uczenie się mówienia od nowa. Kilkanaście lat temu próbowałem się uczyć czeskiego i było to dla mnie trudne. To jednak nic w porównaniu z wietnamskim.

Ale czy to względne, czy bezwzględne? Niektóre języki są trudne dla wszystkich, czy tylko dla Europejczyków?

Oczywiście to zawsze jest względne. Pan by się pewnie ze mną nie zgodził, że czeski jest trudny, bo dużo bliżej mu do polskiego – innego języka słowiańskiego – niż do mojego niderlandzkiego z rodziny germańskiej. Ale oba to wciąż języki indoeuropejskie, i chociaż tu, w Europie, to pokrewieństwo może się nam wydawać nieco abstrakcyjne, to gdy się tylko wyjedzie poza kontynent, można się przekonać, że to żadna abstrakcja. Holendrowi czeski natychmiast wyda się wtedy nieco dalszym, ale jednak krewnym. Bratankiem czy siostrzenicą. Gdy tymczasem wietnamski czy chiński – bynajmniej.

Z drugiej strony, ludzie anglojęzyczni zdają się sądzić, że ich język jest łatwy. To nieprawda. Jest nieco łatwiejszy niż np. polski z jego przypadkami czy rodzajem gramatycznym, ale wymowa w angielskim jest naprawdę trudna i bardzo nie-

regularna, a ortografia to już kompletna katastrofa. Angielski też jest trudny – np. właśnie dla ludzi z Azji Południowo-wschodniej. Oczywiście, łatwiej się go nauczyć dlatego, że znacznie częściej się go słyszy.

A wszystko to powiedziawszy, trzeba dodać, że żaden z 20 największych języków, które opisuję w mojej książce „Babel”, nie zasługuje na miano najtrudniejszego języka świata. Bo języki najtrudniejsze to zawsze te lokalne, którymi posługują się mieszkańcy małych, odciętych od świata wio-



sek, których się nie uczy, lecz się je przyswaja. Takie języki komplikują się z każdym kolejnym pokoleniem, akumulują się w nich wszelkie barokowe frywolności, które nigdy nie pojawiłyby się w języku o wielkim zasięgu. Jeśli nawet wietnamski jest trudny, to prawdziwie trudne są języki mniejszości etnicznych z wietnamskich gór.

Zatrzymajmy się jeszcze w rodzinie indoeuropejskiej: w połowie listy 20 największych języków świata jest niemiecki – który wielu ludziom w Polsce wydaje się... nietadny. Czy języki dzielą się na łatne i brzydkie?

No cóż, niemiecki był pierwszym językiem obcym, którego nauczyłem się porządnie, bo miałem dziewczynę Niemkę. Dla mnie był więc językiem pięknym. To też subiektywne, ale nie przeczę, że np. portugalski brzmi pięknie niemal dla każdego ucha.

A na marginesie: jak to jest, że prawie żaden język, może poza afrykanerskim, nie nazywa języka niemieckiego tak, jak nazywa on siebie sam: Deutsch? Tylko allemand, German, tysk, Tedesco, Saksan, 'almania, niemiecki...

Nazwa *Deutsch* bywa też problematyczna dla nas, Holendrów, bo niderlandzki – po angielsku *Dutch* – często jest mylony z niemieckim. W latach 40. rząd holenderski próbował nawet omijać użycie słowa *Dutch*, mówiąc o „języku Niderlandów”, bo nikt wtedy nie chciał być mylony z Niemcami. A te rozbieżności w innych językach zapewne wiążą się z fak-

Jean-Francois Rauzier, „Istanbul Veduta”, 2018 r.



ISA TERLI / ANADOLU AGENCY / GETTY IMAGES

tem, że Niemcy bardzo długo nie były zjednoczone, lecz stanowiły imperium złożone z małych państw, ziem różnych germańskich plemion. Francuzi mieli widocznie przez wieki więcej do czynienia z Alemanami, Finowie z kolei z Sasami. A Wy? Nazwaliście ich „Niemcami”, czyli ludźmi, którzy nie mówią, są niemi.

Pisze Pan w książce „Babel”, że niemiecki jest językiem dziwnym. Kiedy język jest dziwny?

Odnoszę się tu do badań amerykańskiego lingwisty Tylera Schnoebelena. Przyjrzał się on cechom kilkuset języków z całego świata – takim jak duża liczba samogłosek, istnienie rzadkich spółgłosek czy rodzaju gramatycznego zaimków, szyk zdań czy sposób przekształcania twierdzenia w pytanie. Następnie próbował określić, jak powszechne wśród języków są te cechy. Te skrajnie rzadkie nazywał „dziwnymi”. Okazało się, że to właśnie w języku niemieckim dziwnych cech pojawia się najwięcej. Dodajmy, że nie dotyczy to tylko niemieckiego, ale też np. niderlandzkiego, który nazwałbym niemieckim dla początkujących, czy afrykanerskiego (który jest niderlandzkim dla początkujących). Z kolei języki, które nam wydawałyby się dziwne, jak węgierski czy baskijski, wcale takie dziwne nie są. Nie oznacza to, że łatwo się ich nauczyć – to zupełnie co innego.

Dla Europejczyka czymś dziwnym może być tonalność.

Pojawia się nie tylko w językach np. azjatyckich, ale też w Pana ojczystym limburskim.

Limburski jest bardzo umiarkowanie tonalny, istnieją w nim tylko dwa tony i to w kilku zaledwie słowach. Na przykład słowo *waeg* – „droga” – wymawia się z intonacją wznoszącą bądź opadającą, co oznacza...

Niech zgadnę: drogę prowadzącą w górę lub w dół?

Niestety nie. *Waeg* z intonacją wznoszącą to liczba pojedyncza, a z opadającą – mnoga. Języki naprawdę tonalne mają dużo więcej tonów zmieniających znaczenie słowa. W wietnamskim jest ich siedem. Np. słowo *dra* wypowiedzane płasko, bez intonacji, oznacza melona. Z intonacją wznoszącą *díra* – oznacza ananasa. Zaś *dìra* z intonacją opadającą to kokos.

Obcojęzycznym kucharzom musi być w Wietnamie ciężko.

Słowa z osobna można jeszcze opanować, ale proszę sobie wyobrazić, co się dzieje w zdaniu, gdzie każda sylaba ma swój ton, na który trzeba zwracać! Pisany wietnamski to po części tekst, po części partytura.

Jakie jeszcze inne znaczenia może nieść brzmienie?

Każdy język ma swoje onomatopeje. W polskim macie np. słowo „kukułka”, po angielsku *cuckoo*, które jest właśnie onomatopeją. Ale niektóre języki, jak koreański, posługują się nimi na znacznie szerszą skalę, korzystając ze skojarzeń właściwych wszystkim ludziom. W pewnym słynnym eksperymencie poproszono uczestników z różnych kultur o dopasowanie nazw do kształtów: jeden miał ostre kolce jak gwiazda, drugi był obły jak chmurka. Zapytano: który kształt nazywa się „kiki”, a który „buba”? Ponad 95 proc. badanych



→ odpowiedziało, że gwiazdka to „kiki”, a chmurka to „buba”. Język koreański używa onomatopei w odniesieniu do zjawisk i własności, które nie są akustyczne, lecz wizualne, dotykowe czy smakowe. Koreańczycy uważają, że to piękne – to zarówno część ich codziennego języka, jak i poezji i sposobu snucia opowieści. Podobne zjawisko występuje także w wielu językach afrykańskich.

Nie mogę nie zapytać o temat, na który zawsze schodzą rozmowy o językach: o przekleństwa. Istnieją badania pokazujące, że ludzkość klnie w czterech podstawowych dziedzinach: świętości, seksualności, wydalania bądź poprzez przypisanie przeklinanego do grupy dyskryminowanej. Jak się klnie w różnych językach?

Generalnie ta zasada się sprawdza, ale przynajmniej w dwóch językach jest jeszcze jedna dziedzina: choroby. Jednym z nich jest jidysz, a drugim – niderlandzki. W moim... nie, nie chcę powiedzieć, że „moim codziennym” języku, istnieją przekleństwa takie jak *klere*, „cholera”. Jest dość lekkie, słowo to nie niesie zbyt ciężkiego negatywnego ładunku, bo choroba ta nie jest już dziś wielkim zagrożeniem. Bezpiecznie można przy pomocy „cholery” pomstować na pogodę.

Tak jak po polsku. Czasem też „zalewa nas krew”.

Po niderlandzku wzywamy zaś do ataku serca (jak w obel-dze *takkewif*). Ale naprawdę ciężkie przekleństwo po holendersku odnosi się do choroby, która nas współcześnie przeraża. To słowo „rak”. W odróżnieniu od „cholery” niesie olbrzymi ładunek i szokuje. Nie radziłbym ciskać obelgi *kan-kerhoer!* bez zastanowienia.

Co więc przekleństwa mówią o Holendrach, Polakach czy innych przeklinających?

Wiele, ale niekoniecznie o teraźniejszości, lecz o przeszłości. Np. Norwegia nie jest dziś szczególnie religijna, ale ulubionym przekleństwem Norwegów jest „diabeł”. Mają na niego kilka słów i przywołują go bardzo często. Czemu? Bo choć religia nie gra dziś w życiu publicznym Norwegii zbyt-niej roli, to grała ją wiek temu. Przekleństwa to tabu, ale nie zawsze aktualne.

A jak języki kodują relacje międzyludzkie? W jawańskim istnieją aż trzy rejestry służące do porozumiewania się osób o niskim statusie z elitami i na odwrót. Z kolei wietnamski dużo mówi o hierarchiach rodzinnych, zaś angielski wydaje się taki egalitarny...

Angielski często uważa się za egalitarny, bo nie ma w nim zaimka grzecznościowego i do wszystkich mówi się *you*, „ty”. Ale to pocho-pne stwierdzenie – przecież ogromną różnicę robi, czy do Jane Smith zwrócimy się *Jane*, czy *Mrs. Smith*. Zwłaszcza w brytyjskim angielskim istnieją bardzo złożone poziomy formalności wyrażające się przez cza-

sowniki i sposoby formułowania pytań. *Would you mind passing me the butter* to coś innego niż *give me the butter*.

Ale w jawańskim czy wietnamskim, a także japońskim i innych językach wschodnioazjatyckich formalność jest wrośnięta w gramatykę i reguły językowe. Moja wietnamska znajoma i nauczycielka języka ma lat 30, a ja jestem po pięćdziesiątce. Więc gdy się do mnie zwraca, jako zaimka „ty” używa słowa *bác* oznaczającego „wujku”. Byłoby nie do pomyślenia, żeby użyła innego. Ja mówię do niej *cháu*, „siostrzenico”. Jest w tym grzeczność, ale też nieuchronność – nie da się tego wyrazić inaczej, w wietnamskim nie ma neutralnego zaimka „ty”.

W jawańskim reguły te wkodowane są przede wszystkim w słownictwo. W odpowiedniej sytuacji trzeba użyć odpowiedniego synonimu, w przeciwnym razie wyjdzie się na nieokrzesanego. Po angielsku mogę okazać nieuprzejmość, posługując się językiem zbyt kolokwialnym, ale mam znacznie więcej możliwości niż w tamtych językach.

Czy języki wikłające się w hierarchie społeczne coś na tym zyskują, czy tracą?

Trudno mi odpowiedzieć obiektywnie, pochodzę z egalitarnego społeczeństwa, więc moje preferencje są jasne. Ale nie da się nie zauważyć, że na Jawie ludzie odchodzą dziś od języka jawańskiego na rzecz indonezyjskiego – m.in. dlatego, że mają powyżej uszu tej formalności. W swoich preferencjach nie jestem więc chyba osamotniony. Bo wysłowić się formalnie można w każdym języku. Jest wiele sposobów na bycie grzecznym bądź grubiańskim, nie trzeba od razu uciekać się do gramatyki czy specjalnych synonimów. Wydaje mi się to nadmiarowe w stosunku do zamierzonego celu.

Języki łączą ludzi, ale też dzielą. Językowy front biegnie między tamilskim i hindi, ale takich frontów znajdziemy też sporo w Europie. Język może być bronią?

Często nią bywa. Dzieje się to dziś w Katalonii, ale również na Ukrainie, gdzie ukraiński zmaga się z rosyjskim. Ale sam język rzadko jest źródłem konfliktu. Ten wybucha z innych powodów – ekonomicznych czy religijnych, a język pełni

funkcję granicy bądź okopu. I nawet jeśli różnica językowa nie istnieje z początku, to zostanie ona wykreowana. Gdy Norwegia uzyskała niepodległość, natychmiast zaczęła tworzyć język norweski, bo elity mówiły do tamtej pory po duńsku.

Znamiennym przypadkiem jest Jugosławia, gdzie wszystkie republiki mówiły w zasadzie tym samym językiem, a po rozpadzie kraju przyjęły własne języki: serbski, chorwacki, bośniacki, a nawet czarnogórski, o którym wcześniej nikt nie słyszał.

Ludzie zwykle są przekonani, że ich „mowa ojców” jest odwieczna. Tymczasem języki często bywały kreowane czy rekonstruowane. Jak młode są języki?

Moja wietnamska znajoma, gdy się do mnie zwraca, jako zaimka „ty” używa słowa *bác* oznaczającego „wujku”. Ja mówię do niej *cháu*, „siostrzenico”.

Jest w tym grzeczność, ale też nieuchronność –

nie da się tego wyrazić inaczej, w wietnamskim nie ma neutralnego „ty”.

Specyficznym przykładem jest turecki: to nie jest język sztuczny, jak esperanto, ale jego słownictwo zostało w XX wieku zmienione tak bardzo, że współczesnym Turkom ogromnie trudno byłoby porozumieć się z Turkami sprzed zaledwie wieku. Ale to wyjątek, większość języków zmienia się stopniowo. Każdy może się porozumieć z dziadkami, a ci dziadkowie mogliby się dogadać ze swoimi dziadkami. Pytanie, jak daleko można się w ten sposób cofnąć. W przypadku niderlandzkiego szacuje się, że porozumielibyśmy się z XVI-wiecznym użytkownikiem tego języka, a z trudnościami – z XIII-wiecznym. W przypadku angielskiego komunikacja załamałaby się znacznie wcześniej, bo język ten zmieniał się gwałtowniej w średniowieczu. Komunikacja z użytkownikiem XII-wiecznego angielskiego byłaby niemożliwa. Niekiedy ciągłość załamuje się gwałtownie, ale to wyjątkowe sytuacje.

W historii istniały wielkie języki kultury, nie narodów, np. perski czy grecki: Nowy Testament jest opowieścią o użytkownikach aramejskiego napisaną w grece. Jeszcze niedawno wypadało w wielu europejskich domach konwersować przy herbatce po francusku. Czy dziś jeszcze to działa?

Wciąż istnieje język elit i właśnie nim rozmawiamy. Tylko inaczej rozumiemy dziś elitarność: już nie jako coś przynależnego małemu, górnemu odsetkowi ludzkości, lecz związanego z wykształceniem. Istnieje korelacja między poziomem wykształcenia a posługiwaniem się językiem angielskim. Dlatego nazywam go „elitarnym”.

Ale czy to wciąż ten sam angielski? Globalna angielszczyzna niewiele ma wspólnego z mową królowej.

Ale przecież angielski jako taki wciąż istnieje, Brytyjczycy wciąż nim mówią. Zaś cała reszta z nas próbuje ich naśladować, a ponieważ nie jest to język łatwy, jest maltretowany. Jednak brytyjski – lub często amerykański – angielski wciąż stanowi standard.

I nic mu nie grozi?

Często się uważa, że zastąpi go język chiński. To jednak mało prawdopodobne – zgodziłaby się tu ze mną większość lingwistów. A to dlatego, że za sprawą angielskiego po raz pierwszy w historii ludzkości istnieje język globalny. Ludzi posługujących się angielskim znajdziemy dziś wszędzie – nawet na Kubie czy w Korei Północnej. Istnieje więc wspólny interes w podtrzymaniu angielskiego. Nawet w Chinach uczą się go dziś setki milionów ludzi.

Owszem, to jeszcze nie znaczy, że tak będzie zawsze. Bo jeżeli – co prawdopodobne – tłumaczenie maszynowe wciąż będzie się rozwijać jak dotychczas, to stanie się na tyle dobre, żeby pozwolić nam zrezygnować z wkładania wysiłku w coś, co maszyna robi za nas z równym skutkiem. To się zaczyna



GASTON DORREN jest holenderskim lingwistą, dziennikarzem i popularyzatorem. Autor m.in. książek „Lingo” – o 53 językach europejskich, oraz „Babel” – o 20 największych językach świata (wyd. polskie Karakter, 2019).

dziać już dzisiaj. Angielski może i pozostać językiem ważnym w biznesie czy w ONZ, ale zwykli ludzie, tacy jak my, przestaną się go uczyć.

Co wtedy stracimy? Jaki właściwie sens ma uczenie się języków, co to Panu dało?

Znajomość angielskiego pozwoliła mi poznać kilka osób w Wietnamie, ale dzięki znajomości hiszpańskiego mogłem zrozumieć wiele na temat życia w Ameryce Południowej. Nauczenie się języka obcego pozwala poznać inną kulturę znacznie głębiej niż w sposób zapośredniczony przez inny język. I tłumaczenie maszynowe

tego nie zmieni. Wrażenie przy porozumiewaniu się poprzez urządzenie będzie takie, jak przy filmie z lektorem, zawsze też będziemy słyszeć je z pewnym opóźnieniem, co utrudnia konwersację. Komputery nie podołają także przekładom literackim.

Właściwie dlaczego? Byłoby to tańsze i szybsze, może nawet wierniejsze, neutralne?

Szybsze i tańsze – bez wątpienia. Ale nie istnieje coś takiego jak neutralne tłumaczenie. „Babel” napisałem po angielsku, a potem sam przełożyłem na holenderski i można by się spodziewać, że będzie to łatwe. Ale okazało się trudne, musiałem za każdym razem wybierać z miliona możliwości. Każdy tłumacz się z tym mierzy. Dla maszyn to niemożliwe i nie będzie to możliwe dopóty, dopóki nie zaczną one naśladować sposobu działania ludzkiego umysłu, w tym również języka, którym ten umysł się posługuje. Czyli dopóki nie staną się jak ludzie, bo język jest czynnikiem w ogromnym stopniu definiującym człowieczeństwo. A kiedy maszyny osiągną ten poziom, pewnie będą już rządziły światem.

I problem zniknie, bo nie będą sobie zawracać głowy literaturą?

Choć równie dobrze będą ją mogły czytać i czerpać z niej przyjemność, bo będą ją rozumieć.

W książce pokazuje Pan etymologiczne podobieństwa między językami kultur tak pozornie od siebie odległych, jak np. arabska i zachodnioeuropejska. Skoro języki mogą być bronią, okopem czy granicą – to czy uświadomienie sobie takich podobieństw i pokrewieństw może nas zbliżyć?

Na pewno pokazywać, że danym językom, a więc i kulturom, kiedyś było do siebie blisko. Niemieckie słowo *Grenze* czy niderlandzkie *grens* pochodzi z polskiego „granica” – które, *nomen omen*, przekroczyło granice. Ale czy może nas to zbliżać? Nie sądzę, by wielu ludzi myślało tymi kategoriami. Takie pokrewieństwa odnoszą nas do przeszłości, a we współczesnym zbliżaniu nas do siebie znacznie większą rolę mają do odegrania *lingua franca* takie jak angielski. Czterdzieści lat temu nie pogadalibyśmy – bo uczyliście się wtedy rosyjskiego.

© Rozmawiał MICHAŁ KUŹMIŃSKI

STANISŁAW

Mancewicz:

Powody do mruczenia



JESTEŚMY BARDZO ZADOWOLENI. DECYZJA, BY SIĘ W MŁODOŚCI nie kształcić, by nie podejmować mozół trudnych studiów na solidnych kierunkach i w znakomitych uniwersytetach, wreszcie owocuje. Oto dzięki nieuctwu jesteśmy dziś niejako poza zainteresowaniem władzy. Jedyną naszą wadą, z punktu widzenia tych rządów, jest pożałowania godna skłonność do lektury, bo przecież wzorowy obywatel nie czyta niczego i jest z tego słusznie dumny. Duma ta bierze się z heroicznie podjętej życiowej walki o pustość własnej głowy, co należy dopisać do zestawu polskich cnót heroicznych. No więc walczymy z tą elitarną skłonnością, jaką jest czytanie, i obiecujemy rządowi i partii, że w nadchodzącym roku postaramy się nie czytać. Obiecujemy także solennie, że mimo zażartej walki o próżność Iba naszego, postaramy się mieć zawsze gotowe, skrajnie idiotyczne opinie na każdy temat. Od ocieplenia klimatu po kulturę, z literaturą włącznie. Mamy nadzieję, że spełniamy tym samym oczekiwania władz, zarówno lokalnych, jak i ogólnopolskich, oraz znachorstwa polskiego także tu, jak i na wychodźstwie.

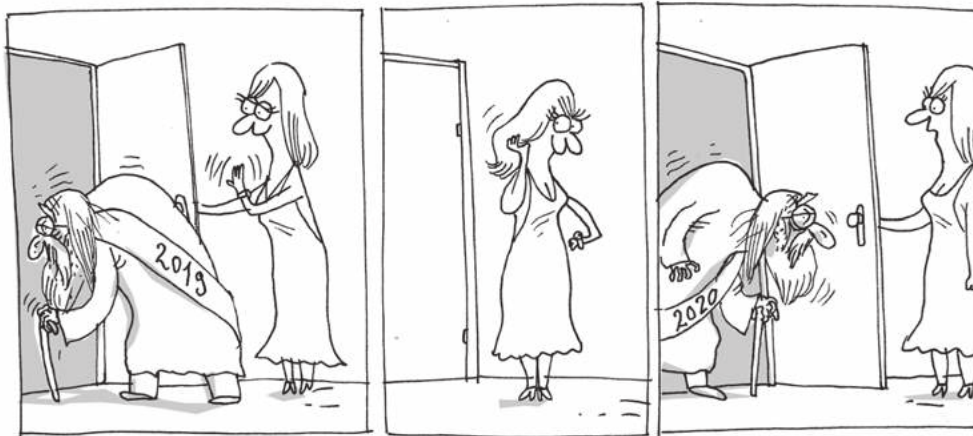
Zaiste troska, z jaką patrzono na nas, gdyśmy młodość trawili na zabawach pucharami, na tańcach, na leżeniu brzuchem do góry i przyglądaniu się obłokom, w czasie gdy rówieśnicy ślęczeli w bibliotekach i chudli przed egzaminami, wydaje się dziś groteskowa. Nieuctwo nasze było – za przeproszeniem – mądrością etapu. Wypada tu dziś poważnie poradzić wszystkim chorym z ambicji rodzicom: oto jeżeli nie chcecie, by dzieci wasze stały się wrogami ludu, wrogami Kościoła i władz tutejszych, figurami z propagitki telewizyj

partyjnych i takichże radiorozgłośni, jeśli nie chcecie – Drody Rodzice – by dzieci wasze trafiły do nieogrzewanych cel w aresztach wydobywczych, zróbcie wszystko, by owe się nie uczyły. Nauka – Drogie Dzieci – może was zaprowadzić do pierdła. Taka jest prawda czasu. Kupcie sobie więc pół literka, nie idźcie dziś do szkoły i zastanówcie się, czego w życiu chcecie. Jeżeli kłopotów – czytajcie. Jeżeli chcecie mieć luzik – dajcie ostro w puzon, a w ramach zagrychy nasycie wasze delikatne rozumy wszelakim śmieciem rozdawanym w internecie za friko.

Gdyby oto – popatrzmy – jakiś zły doradca namówił nas ongiś do studiowania medycyny, mielibyśmy się dziś z pyszna. Bylibyśmy na widelcu wszelkiej władzy i wszelkich jej paramediów. Musielibyśmy publicznie się zwierzać z ciasnot i luzów naszego sumienia, które byłoby obiektem zainteresowania każdego Płaskoziemca, bądź to milionów wiernych świętej teorii samoródtwa. Znakomite – popatrzmy – przecucie, by nie studiować prawa, wynikało z podziwu godnej przenikliwości. To każdy widzi, że sędzia, dajmy na to, jest najohydniejszym dziś wyrzutkiem zdrowego społeczeństwa, jest osobnikiem gmatwającym ludowe poczucie sprawiedliwości, jest także członkiem jakiejś odrażającej kasty, którą należy zlikwidować. Niestudiowanie prawa uważamy za jeden z naszych największych sukcesów życiowych i bardzo sobie pochlebiamy, że nie rozróżniamy prawa od lewa, prawdy od fałszu, konstytucji od konsystencji, demokracji od kleptokracji, dobra od zła, co daje nam asumpt do mniemań, że nadajemy się na ministra sprawiedliwości bądź to prezesa NIK-u, albo i biskupa.

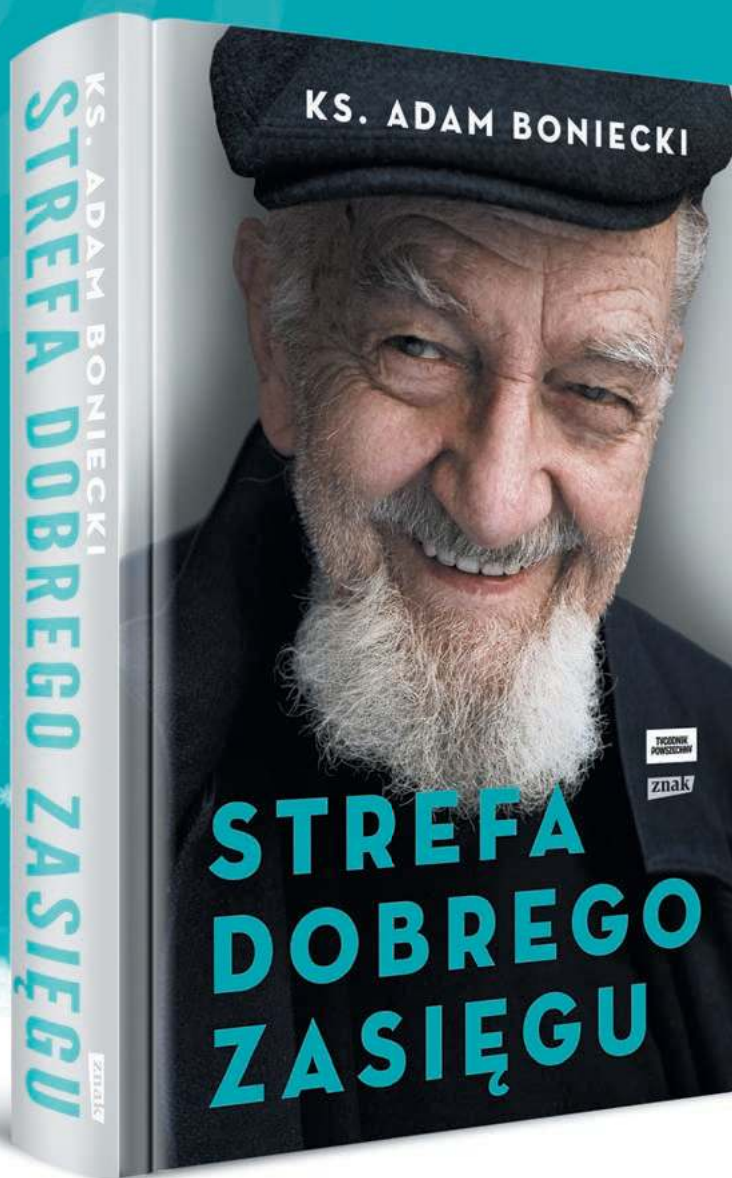
Idźmyż dalej. Studiowanie ekonomii, czego szczęśliwie uniknęliśmy, bowiem nauka tabliczki mnożenia, także byłoby aktem samobójczym. Zresztą po co tu cokolwiek liczyć, skoro policzy nam wszystko Andrzej Duda, którego ostatnią diagnozę w sprawie rosnących cen należałoby nadrukować na banknotach NBP. To nam wystarczy do szczęścia. Człowiek oczekujący świętego spokoju i marzący o niekaralności nie może być tu ekonomistą. Taka jest pokrótce prawda o doli ludzi wykształconych w Polsce. I dlatego w nowy rok wchodzimy w krzepkim poczuciu zwycięstwa i w bardzo dobrym nastroju. Jest nas większość. © P

BARTOSZ MINKIEWICZ



JUŻ W SPRZEDAŻY

Kod rabatowy: **StrefaTP** w księgarni www.znak.com.pl



Dostajemy tu dużo więcej niż komentarz do rzeczywistości. Dostajemy wgląd w świat księdza Adama, taki, który nie ogranicza się do spraw Polski, Kościoła i „Tygodnika”. Spotkania z przyjaciółmi i wspomnienia z młodzieńczych wspinaczek wysokogórskich, wyznanie nieprzemijającej słabości do zakupów w galerii handlowej i refleksja o niewłaściwości mrugania światłami po spotkaniu z wyposażonym w radar policyjnym patrolem. Przepisy na dobre świętowanie ważnych wydarzeń z kalendarza liturgicznego. Relacje z wydarzeń przetomowych. Szpile wbijane w co bardziej nadmuchane balony. „Gdybym był Konferencją Episkopatu Polski...” – zaczyna jeden z tekstów. Trochę szkoda, że nie jest. Całe szczęście, że nie jest.

znak

**TYGODNIK
POWSZECHNY**



Michał Okoński,
redaktor tomu i dziennikarz
„Tygodnika Powszechnego”

ANTHONY
HOPKINS

JONATHAN
PRYCE

REKLAMA

KOŚCIÓŁ STOI W MIEJSCU
W CZASACH,
KTÓRE WYMAGAJĄ RUCHU



THE TIMES



DWÓCH PAPIEŻY

FILM NETFLIX

INSPIROWANY PRAWDZIWYMI WYDARZENIAMI

W WYBRANYCH KINACH I NA

NETFLIX